Porywająca historia rodzin na tle wydarzeń,
które **zmieniły losy Polski**.

NIEPOŁOMICE

Zwycięzcy

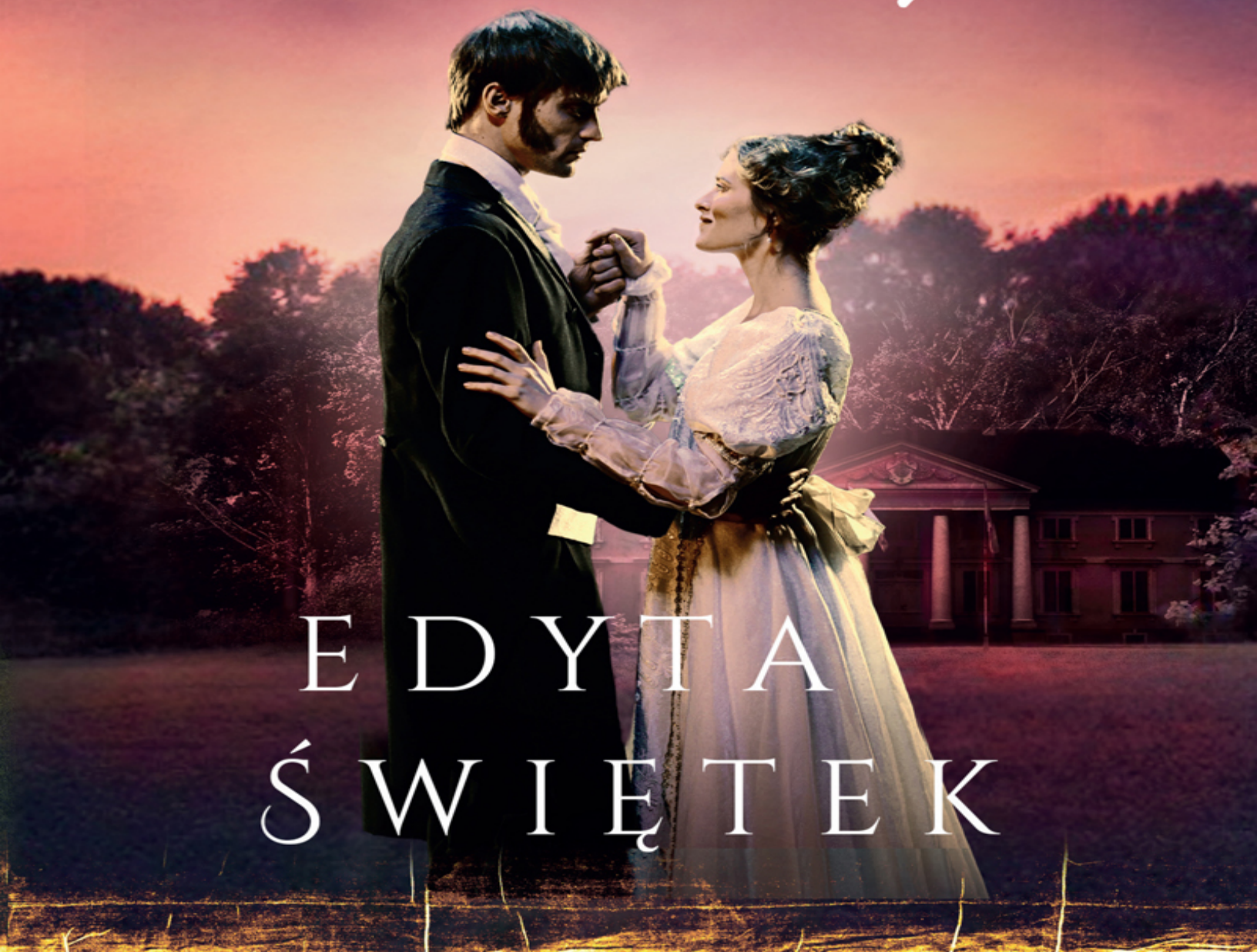

EDYTA
ŚWIĘTEK

EDYTA
ŚWIĘTEK

NIEPOŁOMICE

Zwycięscy

SKARPA
WAR
SZAW
SKA

Spis treści

Karta redakcyjna

W poprzedniej części

Rozdział 1. Cienie minionych dni

Rozdział 2. Poświęcenie

Rozdział 3. Upiory

Rozdział 4. Czas zmian

Rozdział 5.Romantyzm

Rozdział 6. Woda

Rozdział 7. Ogień

Rozdział 8. Szczyt marzeń

Rozdział 9. Pożoga

Rozdział 10. Nareszcie wolni

Podziękowania

Bibliografia

Przypisy

Redakcja
Monika Orłowska

Korekta
Janusz Sigismund

Projekt graficzny okładki
Mariusz Banachowicz

Zdjęcia wykorzystane na okładce
©Cottonbro/Pexels; Radoslaw Maciejewski/Shutterstock

Skład i łamanie
Agnieszka Kielak

Zdjęcia w środku
Mieczysław Janusz Jagła

Zdjęcie autorki na okładce
Bogusław Hajduk

© Copyright by Skarpa Warszawska, Warszawa 2021
© Copyright by Edyta Świętek, Warszawa 2021

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie

Wydanie pierwsze
ISBN 978-83-67093-23-1

SKARPA WARSZAWSKA

Wydawca
Agencja Wydawniczo-Reklamowa
Skarpa Warszawska Sp. z o.o.
ul. Borowskiego 2 lok. 24
03-475 Warszawa

tel. 22 416 15 81
redakcja@skarpawarszawska.pl
www.skarpawarszawska.pl

Konwersja: eLitera s.c.

W POPRZEDNIEJ CZĘŚCI

Antoni Parnicki oraz Jan Ostrowski ponoszą śmierć w powstaniu styczniowym. Po upadku zrywu Trzosowie daremnie oczekują powrotu Wojtka. Za udział pierworodnego w walkach zostaje im skonfiskowana połowa majątku. Rodzina popada w tarapaty finansowe.

Owdowiała Eulalia postanawia związać się z Gustawem Zaleskim. Gertruda jest przeciwna małżeństwu córki z kupcem, lecz narzeczeni biorą ślub. Eulalia zachodzi w ciążę. Wraz z dzieckiem umiera podczas porodu. Po śmierci córki Gertruda postanawia zamieszkać z Amelią.

Gustaw wdraża w swe interesy Juliusza Parnickiego. Siostrzeniec ma być jego sukcesorem.

Filomena Parnicka kocha się bez wzajemności w Maksymilianie Żelechowskim.

Maksymilian obejmuje rodzinny majątek. Zwalnia z pracy Prokopa. Mimo przysięgi złożonej Antoniemu, postanawia pomścić śmierć swej rodziny. Morduje kolejno kmieci. Gdy zasadza się na syna Zalipiaków, Nikodema, Prokop uniemożliwia mu popełnienie kolejnej zbrodni. Niedoszła ofiara i Trzos topią szlachcica.

Po tajemniczym zniknięciu Maksymiliana Filomena przenosi uczucia na Marcela Branickiego.

Nikodem Zalipiak poślubia Weronikę Trzos. Małżeństwo nie może się doczekać dzieci. Gdy w końcu kobieta rodzi syna, niemowlę umiera na skutek zakażenia.

Ze strachu przed aresztowaniem za udział w powstaniu Wojciech przystaje do bandy rozbójników. Prokop wyrzeka się pierworodnego. Podczas jednej z obław organizowanych przez Austriaków Wojtkowi

pomaga Dominika Gdula. Młodzi zakochują się w sobie, lecz ojciec postanawia wydać Dominikę za mąż wbrew jej woli. Wojtek wraz z kamratami zabija narzeczonego ukochanej. Bierze ślub z brzemienną dziewczyną, a potem, ku niezadowoleniu Prokopa, powierza ją opiece swej matki. Małżonkowie spotykają się potajemnie. Na świat przychodzi kolejno trójka ich dzieci: Klemens, Zosia oraz Bronek, który w wieku dwóch lat tonie w studni. Dominika wymusza na Wojtku obietnicę, że porzuci bandę. Mężczyzna ginie podczas napaści, która miała być ostatnią z jego udziałem.

Młodszy syn Prokopa, Zygmunt, odmawia przejęcia w przyszłości ojcowizny i wstępuje do klasztoru.

Rozdział 1.

Cienie minionych dni

Cmentarz w Puszczy Niepołomickiej.

Cuda czasami się zdarzają – rozmyślała Weronika, głaszcząc się po brzuchu, który tylko nieznacznie widać było spod fałd ciemnej perkalowej sukni.

Piąty miesiąc ciąży mijał bez większych problemów. Kobieta czuła się dobrze. Ufała, że jej dziecięciu nic nie zagraża. Poprzednie roniła znacznie wcześniej, więc skoro donosiła do tego momentu, istniało prawdopodobieństwo, że wreszcie jej się poszczęści. Tylko że do porodu nie będzie brała tamtej brudnej akuszerki, która źle przewiązała pępowinę Władeczkowi, na skutek czego synuś zmarł kilka dni po przyjściu na świat.

Chyba pora powiedzieć Nikodemowi oraz mamie – stwierdziła.

Do tej pory nikt jeszcze nie wiedział, że jest brzemienna. Nosiła sekret pod sercem w milczeniu, tłumiąc radość z kolejnej nadziei. Nawet przed mężem łatwo było ukryć prawdę, ponieważ większość czasu spędzał poza domem. I nawet jeśli zauważył, że ostatnio przybrała w talii, to zapewne uznał, że po prostu przytyła.

Może było to irracjonalne zachowanie, lecz bała się, że jeśli powie coś komukolwiek, nim miną pierwsze miesiące, to nadzieja pryśnie jak bańka mydlana. Nie chciała zapeszyć.

Matka zastała ją podczas plewienia ogródka.

– Pomogę ci, córuś – zadeklarowała, lecz Weronika posadziła ją na ławce w cieniu upojnie pachnącej lipy. Dzień był skwarny.

– Nie trzeba, mamo. Niewiele mi zostało, skończę później. No, chyba że komary nie dadzą mi żyć.

– Też ci się zachciało – sapnęła Bernadeta. – Nie masz znowu aż tak dużo ziemi, by robić w największy gorąc.

– Kiedy mnie od środka rozpiera i usiedzieć nie mogę, taki mam zapał do pracy – oznajmiła młoda.

– No dobrze, dziecko. Skoro tak mówisz…

Miło było znowu widzieć córkę pełną życia. *Biedactwo. Długo nie mogła dojść do siebie po utracie pierworodnego* – pomyślała Trzosowa, spoglądając

na nią bacznie. Uwadze kobiety nie uszło, że Weronika nabrała kształtów, a w jej oczach pojawił się blask. *Widać w końcu pogodziła się z losem. Ech… Przeklęta ta nasza dola.*

– Muszę się tym nacieszyć, nim stanę się ciężka niczym parowóz – odparła córka, spoglądając na matkę tak wymownie, że ta od razu zerwała się z ławki, składając dłonie jak do modlitwy.

– Co ty mówisz, Weronisiu? Dobrze cię zrozumiałam?

– Dobrze, mamo. Jestem przy nadziei. Mija już piąty miesiąc, więc powinnam donosić. Tylko podczas porodu nie chcę już widzieć na oczy Kowalikowej. Pomóż mi znaleźć inną akuszerkę, byle nie była to brudna baba, która zmarnuje mi następne dziecko.

– Ja je odbiorę, gdy przyjdzie na ciebie czas – oświadczyła stanowczo Bernadeta. – Rodziłam czterokrotnie, byłam przy Dominice, gdy ta wydawała na świat trójkę swych maluszków. Dość się napatrzyłam, by sobie poradzić. Z nami Czopowa nie wyczyniała takich ceregieli, jak tamta franca z tobą. Poradzimy sobie same.

– Naprawdę? Matuchno, nawet nie wiesz, jak mi ulżyło. Nie oddam się więcej w łapska tamtej wiedźmy.

Uściskom nie było końca. Bo teraz, gdy Weronika ujawniła swój sekret, mogła się wreszcie na głos nim nacieszyć, ale również wyjawić swe obawy. Bernadeta, trzymając córkę w ramionach, zapewniała, że wszystko dobrze pójdzie. Przestrzegała przyszłą matkę przed nadmiernym wysiłkiem, zaproponowała jej nawet, by na ostatnie tygodnie przed rozwiązaniem zamieszkała w rodzinnym domu. Wolała mieć oko na ciężarną.

***

– Mamo! Mamo! – wykrzyknęła uszczęśliwiona Filomena, wymachując kopertą, którą niedawno dostarczono z Niepołomic.

– Co to za krzyki, moja damo, hę? Chcesz wystraszyć maluszka? – skarciła ją łagodnie Cecylia.

Brzemienna dama usiadła z godnością na kanapie w buduarze matki, a potem oznajmiła:

– Dostałam list od brata.

– Do mnie także pisał – odparła rodzicielka.

– Ach! To już pewnie wiesz, że Julek w końcu wziął sobie do serca moje napomnienia i postanowił się żenić.

– Oczywiście że wtajemniczył mnie w swoje plany weselne. Podchodzi do nich bardzo rozsądkowo. Zastanawiam się wręcz, czy żeni się z panną, jej koligacjami rodzinnymi czy z posagiem.

Słowom Cecylii towarzyszyło głębokie westchnienie. Pod tym względem syn do złudzenia przypominał swego ojca, choć w przeciwieństwie do Antoniego Juliuszem nie musiały kierować względy finansowe. Był majętnym trzydziestopięcioletnim mężczyzną. Wuj Gustaw stopniowo wycofywał się z interesów, pozostawiając mu wolną rękę. Juliusz osiadł więc na dobre w Krakowie, chwaląc sobie uroki miasta, które zdecydowanie wypiękniało za zasługą Dietla oraz jego następcy Mikołaja Zyblikiewicza[1]. On także nie szukał narzeczonej wśród szlachty, lecz pomiędzy ludźmi, z którymi robił najlepsze interesy. Jego wybór padł na Augustę Łodzińską, pochodzącą ze znamienitej mieszczańskiej rodziny kupieckiej. Ku rozpaczy Cecylii, w korespondencji, którą od niego otrzymała, rozwodził się nie tyle nad przymiotami charakteru czy urody wybranki, ale nad tym, jakie korzyści związane będą z mariażem.

– Och, mamo! W liście do mnie nie napomknął ani słowem o kwestiach materialnych i familijnych. Zachwycał się natomiast skromnością Augusty, jej serdecznością i najpiękniejszym uśmiechem na świecie. Zapewniał mnie, że znajdę w niej siostrę i przyjaciółkę, gdyż narzeczona nie może już doczekać się naszego spotkania. Gdybym tylko mogła pozwolić sobie na podróże! Zaraz pojechałabym do Krakowa! – oznajmiła, głaszcząc się po wypukłym brzuchu, z którego lada dzień miała wydać na świat dziecinkę.

Od tygodni większość czasu spędzała w swych pokojach, niemalże nie zaglądając do bawialni, gdyż to wiązałoby się z koniecznością włożenia czegoś przyzwoitszego niż peniuar, a ona osobliwie źle znosiła teraz noszenie ciężkich sukni. Miała wprawdzie ciążowy gorset oraz kilka ładnych strojów, lecz cóż za przyjemność z wkładania tego wszystkiego tylko po to, by nudzić się w towarzystwie mamy, owdowiałej kuzynki, dwóch starych panien i wiecznie zgorzkniałej Justyny? Prócz nich w domu rezydował zubożały kuzyn Marcela, który przegrał rodzinne dobra w karty, oraz jego leciwy ojciec z daleko posuniętą sklerozą. *Smętne to towarzystwo, doprawdy!* – rozmyślała, będąc skazaną wciąż na te same osoby, gdyż siłą rzeczy musiała poniechać nawet wycieczek po Niepołomicach i spotkań ze znajomymi. Wszak dobrze wychowanej damie nie wypadało pokazywać się w świecie, gdyż obnoszenie wydatnego brzucha było w złym tonie. Mogła więc zapomnieć o teatrze, rewizytach w domach przyjaciół, a nawet przechadzkach po mieście. Nuda, nuda, po prostu nuda!

Książka z 1876 roku pod przydługim tytułem *Zwyczaje towarzyskie (le savoir-vivre) w ważniejszych okolicznościach życia przyjęte, według dzieł francuskich spisane* była jej aż nazbyt dobrze znana i, niestety, w części omawiającej zachowanie, które przystoi bądź nie przystoi damie oczekującej potomka wyraźnie napisano: „Kobieta, która wkrótce ma zostać matką, niepowinna wychodzić w dzień na ulicę i bywać w świecie. Tylko w rodzinnem kole przyjąć może zaproszenie na obiad; obowiązkiem jej wstrzymać się od uczęszczania do teatru, oddawania wizyt i ukazywania się na przechadzkach publicznych. Najsurowiej zwyczaj ten spełnianym jest przez Amerykanki i Angielki, i ze wszech miar zasługuje na to, aby go wszędzie naśladować”[2].

Ach, te Angielki i Amerykanki! Za ich przykładem skazana była na monotonię i nudę, ciesząc się każdym drobiazgiem wyrywającym ją z tej okropnej rutyny i odliczając dni do rozwiązania, by po odpowiednio długim okresie połogu ponownie rzucić się w wir życia towarzyskiego. Od zamążpójścia wciąż spotykała się z ludźmi, gdyż

Marcel utrzymywał liczne stosunki towarzyskie. A teraz musiała z tego zrezygnować z wielką przykrością dla siebie.

Cecylia odetchnęła nieznacznie, słysząc, że w liście do siostry Juliusz zachował znacznie mniej powściągliwości i dał upust romantycznym uniesieniom. Przykra byłaby jej bowiem myśl, że syn mógłby unieszczęśliwić jakąś damę tak, jak ją unieszczęśliwiał przez długie lata Antoni.

***

Po powrocie od Weroniki Bernadeta padła na kolana przed wizerunkiem staniąteckiej Matki Bożej Bolesnej, by podziękować za cud wzrastający w łonie córki. Już dawno pogrzebała nadzieję na kolejne wnuczę. Żywiła obawy, że prócz Klemensa i Zosi nie doczeka ich więcej. Tymczasem los sprawił jej miłą niespodziankę, choć na pełnię szczęścia trzeba będzie jeszcze poczekać kilka miesięcy. Zaraz też zdjął ją strach o dziecko i brzemienną.

Następnego dnia włożyła najgorszą ze swoich nielicznych sukni. Głowę przykryła czepcem, by nie potargać włosów. Wzięła ze sobą flaszkę wody oraz kukiełkę i tak zaopatrzona, nic nikomu nie mówiąc, wyruszyła na Studzieniec, by dopełnić ostatniej formalności, o której słyszała od Frani Zalipiak, gdy ta opowiadała jej, jak można pozbyć się klątwy. Musiała przejść ową drogę samotnie, tak jak wówczas. I pieszo, bo to, co łatwo przychodzi, nie przynosi efektu.

Może dlatego nie powiodło mi się za pierwszym razem, że przez las przeprowadził mnie nieboszczyk Parnicki?

Pragnęła znowu poszukać cudownego źródełka i wypatrzyć w nim monstrancję, a następnie przyłożyć ucho do ziemi i nasłuchiwać, czy bije dzwon na wieży zapadniętego kościoła. Dopiero gdy rozlegnie się ów dźwięk, klątwa zostanie zdjęta.

Wyruszyła tym samym gościńcem co przed laty: pieszo, ze śpiewem na ustach.

– *Wiosną kwiatki piękne są w ogrodzie / Lecz rój dziewcząt jest piękniejszy kroć / a więc gdy spotkasz dziewczę z opłotka / to uśmiechem swą rozjaśnij twarz*[3] – Jej czysty mocny głos niósł się daleko, wracając echem odbitym od drzew.

Już nie bała się rozbójników, bo tych ostatecznie rozgromiono w ubiegłym roku. Gdy dotarła do lasku na Winnicy, uczyniła znak krzyża.

To tu gdzieś oddał ducha Wojtuś, świeć Panie nad jego duszą – westchnęła, a potem zmówiła szeptem „Wieczne odpoczywanie".

Jar był wyjątkowo łatwy do pokonania. Ostatnie gorące dni skutecznie osuszyły gliniaste dno. I tylko gdzieniegdzie lśniły wysychające kałuże lub grunt był nieco miększy. Zbocza porastały krzaczki poziomek, które obsypywało kwiecie zapowiadające liczny owoc. Przyjemnie było wędrować w cieniu, gdzie powietrze wokół pachniało upojnie, a roje owadów brzęczały, pracowicie zapylając roślinki.

Gdy Bernadeta wyszła z lasu, oślepiło ją słońce. Momentalnie zrobiło jej się gorąco. Na szczęście wzdłuż wyboistej drogi rosły drzewa dające choć odrobinę wytchnienia od spiekoty. Wśród okolicznych pól uwijali się chłopi, kosząc łąki, grabiąc siano czy pieląc grządki. Dzieciarnia pasła bydło.

***

Gdzież jest to źródło? – wzdychała Bernadeta, wędrując leśnymi ostępami. Dotarła na mokradła. By przez nie przejść, musiała zdjąć trzewiki. Odwykła już dawno od chodzenia boso, spodziewała się więc, że porani sobie stopy. Mimo to uparcie szła naprzód, rozglądając się bacznie, czy nie dostrzeże jakiegoś znajomego widoku.

Daremnie!

Wszystko wokół wyglądało obco, a co gorsza, zaczynało się robić późno. W lesie ciemności zapadają znacznie szybciej niż na otwartej

przestrzeni, więc w pewnym momencie kobieta zwróciła uwagę na to, że umilkł świergot ptaków, a wijąca się przed nią, ledwo widoczna ścieżka zdaje się znikać sprzed jej oczu.

Z oddali dobiegł skowyt. Trzosowa nie potrafiła ocenić, czy jest to głos psa czy wilka.

***

Prokop denerwował się coraz bardziej. Na zewnątrz gęstniał mrok, a Bernadety wciąż nie było.

– Jesteś pewna, że nie mówiła, dokąd idzie? – Kolejny raz spojrzał badawczo na Dominikę, lecz ta bezradnie pokręciła głową.

– Ady mówiłam wam już, że nic nie powiedziała. Raczej nie poszła do Weroniki, bo wzięłaby ze sobą pewnie jakiegoś gościńca albo koszyk z robótkami.

Mężczyzna potarł się dłonią po szczęce.

– Wezmę Gniadego i pojadę do Niepołomic. Może jednak tam ją znajdę. Zapewne Weronika poczuła się gorzej, a Betka postanowiła, że u niej zostanie – gdybał, choć przypuszczał, że w takiej sytuacji przysłałaby kogoś z wieścią.

Martwił się, ponieważ równie dobrze na żonę mógł ktoś napaść. Wprawdzie Austriacy skutecznie położyli kres rozbojom, lecz nigdy nie wiadomo, na kogo człowiek się nadzieje, idąc przez puszczę.

A co jeśli leży gdzieś pobita, próżno oczekując pomocy? – Aż zadygotał z lęku.

Czym prędzej wybiegł z domu do stajni i osiodłał Gniadego. Jechał niespiesznie, by w razie czego nie przeoczyć ślubnej. Nasłuchiwał, czy z zarośli nie dobiegnie go jakiś jęk. Serce biło mu niczym dzwon na trwogę. Cóż, gdy nie natknął się na Betkę, a zdziwiona Weronika powiedziała, że tego dnia nie było u niej matuli, i sama zaczęła się denerwować, czy coś złego jej nie spotkało.

Zmartwiony mężczyzna wrócił do dworku, lecz nie zastał w nim żony. Podniósł więc alarm, kazał budzić śpiących parobków, brać lampy i pozostałe konie, nawet tę starą chabetę, która już od dawna nie służyła ani robocie w polu, ani nawet wnukom do nauki jazdy na oklep. Rozesłał ludzi po okolicy. Polecił im jechać do pobliskiej wsi, zaglądać do chałup, stukać w okna, jeśli będą ciemne, i dopytywać, czy ktoś nie widział Bernadety. Dominikę napomniał, by nie kładła się spać, tylko wyglądała matuli. A gdyby ta zjawiła się w domu, niech bije w gong zawieszony pod powałą obok ganku, który służył do zwoływania na posiłki. Wtedy zaprzestaną poszukiwań.

Sam skierował się do Słomiroga, licząc na to, że może znajdzie żonę w rodzinnym domu. Może zachorowała któraś z jej sióstr? Może pomarła Zenobia, w której od dawna życie ledwo się telepało?

***

W buduarze Filomeny panował zaduch. Było tak gorąco, że rodząca dama i towarzysząca jej akuszerka oblane były potem, jakby wyszły przed momentem z kąpieli, zapominając o użyciu ręcznika.

– No, gołąbeczko, jeszcze jeden mały wysiłek i będzie po krzyku – zapewniała odbierająca poród.

Położnica krzyknęła, czując kolejny nieprzyjemny skurcz, a potem ze wszystkich sił napięła mięśnie. Nagle poczuła ulgę, bo w tym samym momencie na świecie pojawiła się maleńka istotka.

– Chłopczyk! – obwieściła Genowefa, którą przed dwiema godzinami przywieziono z Niepołomic. – Ma pani syna, *madame*. Dzielna z pani kobieta – pochwaliła Branicką. – Żeby ze wszystkimi tak gładko szło!

Kilka minut później do pokoju pozwolono wejść Cecylii. Ta z miejsca porwała w ramiona zawiniątko z maleństwem. Przy Filomenie wciąż krzątała się akuszerka oraz służące, doprowadzając ją do porządku.

– O mój Boże! – wyłkała głęboko wzruszona. – Jakiż on śliczny. Mój wnusio. Mój maleńki królewicz!

Podeszła z dzieckiem do posłania córki.

– Jestem z ciebie dumna, kochanie! Jak dasz na imię pierwszemu dziecku w nowym pokoleniu?

– Marcel i ja postanowiliśmy, że będzie nosił imiona Wiktor Antoni.

– Wiktor Antoni – powtórzyła w ślad za nią. – Wiktor… Zwycięzca. Pięknie – zaaprobowała wybór córki.

– Wierzymy z Marcelem, że nasz syn będzie żył w wolnej Polsce – odparła utrudzona porodem kobieta.

Cecylia przysiadła z dzieckiem w objęciach na krawędzi jej posłania. Przytrzymując zawiniątko jedną ręką, wyciągnęła drugą, by pogłaskać policzek Filomeny.

– Ojciec byłby dumny, słysząc twoje słowa. Marzył o wyzwoleniu ojczyzny i oddał za nią życie.

Nie wiedzieć czemu, Cecylia przypomniała sobie drobny epizod sprzed lat, gdy mąż zapytał ją, będącą wówczas w stanie błogosławionym, czy weźmie udział w polowaniu, a świętej pamięci Gertruda podniosła larum o powinnościach wobec rodu i konieczności zachowania ciągłości nazwiska.

Los płata figle – pomyślała. – *Ten dwór nie stanowi już ostoi Parnickich, bo wraz z moją śmiercią ostatecznie i nieodwołalnie przejdzie w ręce Filomeny. Teraz to Braniccy tutaj nastaną: na dobre i na złe.*

***

Prokop z rosnącym niepokojem jechał konno w stronę Słomiroga. Z nieprzyjemnym dreszczem pokonał las na Winnicy, ciemny i posępny, przepełniający dziwną trwogą.

To tu gdzieś dokonał żywota Wojtek – przemknęło mu przez myśl. Przeżegnał się i zmówił modlitwę za zmarłego.

Teraz gdy syn już nie żył, gniew mężczyzny zelżał. Czasami Trzos wyrzucał sobie zbytnią surowość. Zastanawiał się, co by było, gdyby pozwolił Wojciechowi pracować na kolei. Może wówczas nie

wydarzyłoby się tyle złego? Nie miałby w nim wprawdzie godnego następcy, lecz przynajmniej chłopak nie zszedłby na złą drogę. I z całą pewnością nadal byłby wśród żywych.

Na moment wyrzuty sumienia przyćmiły lęki o zaginioną kobietę.

Moje życie to wielka porażka. Popełniłem tak wiele błędów!

Zmarnował swą surowością pierworodnego. Nie potrafił dogadać się z Dominiką, choć Bernadeta dziesiątki razy prosiła go, by traktował sneszkę łagodniej, ponieważ ona nie jest winna temu, co się stało z synem. No i jeszcze ten mord na Żelechowskim, którego z perspektywy czasu nie potrafił przed samym sobą usprawiedliwić.

Choć Prokop nie był w stanie wyzbyć się poczucia winy, dokładał starań, by łagodzić to odczucie u Nikodema. Nie chciał, by tamta zbrodnia rzucała cień na szczęście małżeńskie córki. Rozmawiał z zięciem i za każdym razem podkreślał, że sam ponosi większą winę, bo to on pierwszy wcisnął pod wodę głowę szlachcica i on ją trzymał, aż ciało zrobiło się wiotkie. Powtarzał to z wielkim uporem, by zdezorientowany młodzieniec uwierzył, że nie brał udziału w zbrodni, lecz jedynie był jej świadkiem. Na dodatek Nikodem omal nie stracił życia, więc tym bardziej nie powinien mieć skrupułów.

Nie wiedział, na ile powiodła mu się ta sztuka. Liczył jednak na to, że zięć przyswoi sobie jego słowa. Wszak kłamstwo powtarzane po wielokroć staje się prawdą. Prokop więc z premedytacją zaklinał rzeczywistość.

Minął las na Winnicy, wyjechał na otwartą przestrzeń. Przed nim, w mroku nocy, majaczył gościniec wiodący do Zakrzowa i dalej, ku Krakowowi.

Mężczyzna odsunął myśli od pierworodnego oraz od zięcia, znowu górę wziął strach, że Bernadetę spotkało coś złego. Takie zniknięcia nie były do niej podobne. Żona zawsze mówiła, jeśli nie jemu, to Dominice lub komuś ze służby, dokąd się udaje i kiedy należy oczekiwać jej powrotu. A gdy miała zamiar zabawić w jakimś miejscu dłużej, niż

pierwotnie zaplanowała, przysyłała wiadomość przez umyślnego, by się o nią nie lękał.

– O dobry Boże, niech ona się odnajdzie żywa i zdrowa. Błagam. Daję słowo, że się zmienię. Wejrzę na moje postępowanie, nie będę taki zaciekły w złości. Dogadam się z Dominiką. Przysięgam. Tylko uchroń moją gąseczkę od złego – jęknął półgłosem.

Dojeżdżał do rozstajów, gdzie droga rozdzielała się, wiodąc jedną odnogą do Krakowa, drugą ku Słomirogowi. Już miał skręcić, gdy Gniady parsknął i rzucił łbem, jakby wskazywał gościniec na wprost.

– No co jest, konisiu? Nie jedziemy do Krakowa ani do Wieliczki – powiedział Prokop, głaszcząc zwierzę po masywnym karku.

Ogier jednak, zamiast ruszyć dalej, stanął, nie zważając na ponaglenia swego pana. Rżał, rzucając łbem, jakby koniecznie chciał obrać inną drogę.

Ki czort? – pomyślał mężczyzna i poluzował cugle, pozwalając zwierzęciu, by zadecydowało o kierunku jazdy.

Zaniepokojony niezwykłym zachowaniem wierzchowca, jeszcze mocniej wytężał wzrok. Noc nie należała do szczególnie jasnych, na niebie widać było jedynie cienki rożek księżyca. Mimo to w pewnym momencie Trzos zauważył majaczącą postać. Pogonił Gniadego, a potem dziarsko z niego zeskoczył. Jego serce waliło młotem, gdy rozpoznał Bernadetę.

– Betko! Szczęście moje! Toć my, szukając cię, od zmysłów odchodzimy! Gdzieżeś ty była?

– Prokopie! Jak dobrze, żeś przede mnie wyjechał. Opadłam już z sił. Byłam na Studzieńcu.

– Gdzie? Na Studzieńcu? Na litość boską, po co?

– Klątwa – sapnęła kobieta.

– Co ty wygadujesz? Jaka znowu klątwa?

– Ta, którą Goczałowa rzuciła przed laty. Muszę jej zapobiec, bo inaczej Weroniczka znowu straci dziecinkę.

– Nie ma żadnej klątwy – odparł. – Wracajmy lepiej do domu.

– Mylisz się, Prokopie. Przeklęta nasza dola. Jedynie ja mogę odwrócić los. Muszę tylko dotrzeć w miejsce, gdzie zapadła się świątynia, i tym razem załatwić rzecz jak należy. Bo za pierwszym razem zapomniałam posłuchać dzwonu. I właśnie przez to tamta wyprawa poszła na marne – tłumaczyła mężowi, gdy już siedzieli razem na Gniadym, jadąc w stronę domostwa. – Dzisiaj mi się nie udało, nie trafiłam do źródła. Ale to nic, musiałam zmylić drogę. Wszak byłam tam bardzo dawno temu. Wszystko się od tamtej pory pozmieniało, wyrosły nowe drzewa, bagno mogło się skurczyć lub powiększyć. To nic, to nic. Znajdę – mamrotała bardziej do siebie niż do męża. W jej głosie słychać było znużenie.

– Betko, przestań! Nie wygaduj takich bzdur. I nie chodź więcej na Studzieniec, bo to nic nie da. Nie wierz w zabobony. To życie tak się plecie, że raz człowiek jest na wozie, a raz pod wozem.

***

Następne dwa dni Bernadeta spędziła w łóżku, bowiem wyprawa na Studzieniec wyzuła ją z sił. Dominika przynosiła posiłki i pielęgnowała świekrę, jakby ta wpadła w chorobę. Trzeciego dnia, gdy już zafrasowany Trzos chciał posyłać po doktora, żona wstała i rzuciła się w wir codziennych obowiązków. Wciąż jednak pozostawała zadumana i nieobecna duchem.

– Betko… Co z tobą? – zapytał Prokop, gdy po raz trzeci nie zareagowała na jego słowa. Nawet wtedy nie spojrzała na niego. Dopiero gdy złapał ją za ramię, popatrzyła przytomnym wzrokiem, jakby nagle wytrącił ją z głębokiego snu.

– Mówiłeś coś?

– Tak. Pytałem, nad czym tak rozmyślasz. Tylko błagam cię, nie mów mi znowu o klątwie – uprzedził jej słowa.

– W takim razie pozwól, że zachowam milczenie – odparła, odwracając się od niego.

Obierała ziemniaki, w jej wprawnych dłoniach szybko śmigało niewielkie ostrze.

Dominika zaraz po śniadaniu poszła z dziećmi na łąki, by przewracać suszące się siano. Prokop zamierzał wyjść na ostatnie nieskoszone grunty, lecz gdy zobaczył, że żona przyszła do kuchni, zmienił plany. Czuł, że muszą porozmawiać. Powinien definitywnie wybić z głowy Bernadecie myśli o klątwie.

– Pączusiu różany, tak nie można – zaczął od łagodnej perswazji.

– Nie próbuj mnie powstrzymywać. Wrócę na Studzieniec, gdy nabiorę sił. Dla mnie to najważniejsza sprawa. Czuję, że tylko tak mogę pomóc Weronice.

– Nie! Nikomu w ten sposób nie pomożesz. Nie chcę, abyś tam chodziła. Martwiliśmy się o ciebie! A gdyby coś złego ci się stało?

– Co złego może się przydarzyć starej babie? – Wzruszyła ramionami.

Mężczyzna zbliżył się i delikatnie nią potrząsnął.

– Po prostu nie rób tego więcej. To nie ma sensu. Uwierz mi. I obiecaj, że nie będziesz samotnie chodziła do tamtejszego lasu. Obiecaj – powtórzył z naciskiem, gdyż milczała.

W końcu, po chwili ciszy, skinęła głową.

– Niech będzie – burknęła, wracając do przerwanej czynności.

***

Gdy dwa dni później ponownie zniknęła, wiadomo było przynajmniej, gdzie jej szukać. Tym razem Prokop nie czekał, aż zrobi się całkiem ciemno, lecz wyjechał jej naprzeciw wraz z trzema parobkami. Wszyscy byli konno. Gdy dotarli pod karczmę Lamensdorfów na Balachówce, pojawił się problem, ponieważ żaden z nich nie wiedział, gdzie dokładnie znajduje się owo miejsce, którego poszukiwała Trzosowa. Nie tracąc czasu, rozdzielili się, uzgodniwszy, że spotkają się ponownie

przy gospodzie wraz z całkowitym zapadnięciem ciemności. Jeśli jej do tej pory nie znajdą, zastanowią się, co dalej począć. Wprawdzie mieli ze sobą lampy naftowe, ale czy rozważne było wnoszenie do lasu ognia, nawet gdy ten uwięziony został za szkłem kloszy? Od wielu tygodni panował skwar, wysuszając knieję, więc łatwo było o pożogę.

Między drzewami owionął ich przyjemny chłód, lecz panowały tam również znaczne ciemności. Prokop starał się nie poganiać zbytnio Gniadego, zresztą jazda na koniu pod nisko zwieszającymi się gałęziami drzew nie była najlepszym pomysłem. Zeskoczył więc z wierzchowca, by dalej pójść pieszo. Nawoływał żonę po imieniu. Niestety echo przynosiło mu wyłącznie odbicie jego słów bądź pokrzykiwań parobków.

Mrok gęstniał, Trzos zdecydowanie oddalił się od pozostałych ludzi, ponieważ już nie dobiegały go ich głosy. *Powinienem zawrócić* – pomyślał z przygnębieniem – *bo i ja zaraz pobłądzę.*

Właściwie sam nie wiedział, gdzie się znajduje. Pierwszy raz był w tym lesie, do tej pory nie miał takiej potrzeby. Wszak mieszkał tuż przy Puszczy Niepołomickiej, której maleńka część należała do niego. Ot tyle, by wystarczyło mu drzewa na opał, a kobietom grzybów oraz leśnych owoców. Teraz przedzierał się przez nieznane ostępy grząskim terenem. Pod butami kląskało błoto, więc zakładał, że zmierza w dobrym kierunku.

Chociaż dręczyły go obawy o Bernadetę, prócz strachu, że spotkało ją coś złego, odczuwał również narastający gniew. *Nikt przy zdrowych zmysłach nie lezie na bagna w obcym miejscu, na dodatek nocą! Już ja jej pokażę, gdzie raki zimują! Jak mi Bóg miły!* – odgrażał się.

Nigdy wcześniej nie podniósł ręki na ślubną, lecz szczerze wątpił, czy tym razem zachowa spokój, gdy ją odnajdzie. Wszak z powodu zabobonów oraz jej bzdurnych rojeń cztery osoby ryzykowały właśnie życie.

***

Noc była ciepła, lecz ciemna, bezksiężycowa, gdyż niebo zasnuły ołowiane chmury. Bernadeta trochę się obawiała, że może z nich lunąć deszcz. Nie wiedziała, w którym kierunku ma podążać. Intuicyjnie starała się zmierzać na wschód.

Zaguzdrała się w lesie, a na domiar złego znowu nie trafiła do źródła. Nie miała pojęcia, gdzie się znajduje, była głodna i znużona. Spychała na bok myśli o martwiącym się o nią Prokopie. Przypuszczała, że mąż jej szuka, i wierzyła, że podobnie jak poprzednio, znajdzie ją i tym razem.

Przemoczona ponad kolana i mocno ubłocona suknia oraz halki ciążyły jej niepomiernie. Wprawdzie podkasała je, gdy zapuszczała się w głąb lasu, lecz tyle razy zahaczyła strojem o krzaki, że przyodziewek opadł do jej bosych stóp. Przez jakiś czas podtrzymywała przód spódnicy dłonią, w drugiej dzierżąc zesznurowane razem trzewiki, lecz gdy kilkakrotnie się potknęła, machnęła ręką na zniszczoną odzież. Ważniejszy był kostur, na którym mogłaby się wspierać, a także macać ledwo widoczną, wydeptaną przez zwierzęta ścieżkę.

W końcu, gdy już całkowicie opadła z sił, wypatrzyła w mroku obalony pień drzewa przylegający do rosnącego obok dębu. *Odsapnę chwilę, by zebrać siły* – pomyślała, sadowiąc się na nim i opierając wygodnie plecy. – *Dobry Bóg ustrzeże mnie przed wilkami.*

***

Parobkowie już czekali pod karczmą Lamensdorfa. Prokop dotarł na miejsce ostatni.

– Nie ma jej – rzucił Michał Bielak, choć było to dość oczywiste.

– Nie wiem, co robić – westchnął Trzos. – Przedzierać się przez bagniska niepodobna po nocy. Wołałem ją, ale odpowiadało mi tylko echo.

– A może pani Bernadeta wróciła do domu inną drogą? – zasugerował Klemens Dyl.

Zafrasowany Trzos potarł dłonią szczękę.

– To możliwe – odparł po chwili ciszy. A potem z ciężkim sercem dodał: – Wracajcie do domu.

– A wy, gospodarzu?

– Pójdę w las, by dalej jej szukać. Konia zostawię w gospodzie, wezmę tylko lampę.

Zaczęli mu perswadować, że nie powinien samotnie zapuszczać się w knieję, na dodatek z ogniem. Gotowi byli mu towarzyszyć. Ostatecznie, po dłuższych deliberacjach, całą czwórką powrócili do domu. Nie zastali tam Bernadety.

– Odpocznijcie. Skoro świt wracamy na Studzieniec – zadecydował Trzos, zły, że z powodu niefrasobliwych pomysłów ślubnej odciąga ludzi od roboty, której jak zwykle było co niemiara. Fakt, że bał się o nią panicznie. Właściwie sam nie wiedział, czy górę bierze strach czy gniew.

Nie wyobrażał sobie życia bez ukochanej żony, która od lat stała wiernie u jego boku, dodając mu chęci do działania.

Tak naprawdę to mądre kobiety są siłą napędową naszej rodziny – pomyślał.

To one dbały o domowników i o panujące w domu zwyczaje i zasady. One były pierwszymi nauczycielkami dzieciaków, kładąc im w głowy dzieje rodu, wiele lokalnych historii, ucząc umiłowania dla ojcowizny, przyrody, a wreszcie dla Polski. To one posyłały podrosłą dziatwę do szkół i w dużej mierze decydowały o przyszłości rodziny, choć każda z nich: czy to Bernadeta, czy to jego matka, czy babcia, którą wciąż dobrze pamiętał, była osobą wchodzącą pomiędzy Trzosów.

***

Bernadeta znalazła się następnego dnia pod wieczór. Brudna, głodna, ledwo żywa ze zmęczenia. Potulnie wsiadła na konia i pozwoliła się zabrać do domu. Przez całą drogę Prokop łajał ją za niefrasobliwe

zachowanie, lecz odnosił wrażenie, że z tym samym efektem mógłby mówić do ściany.

Wiedział, że żonie nie starczy sił, by nazajutrz wracać do lasu, więc zaraz z rana wyprawił Bielaka po Weronikę. Dał mu konia i wóz, choć te potrzebne były na miejscu do zwózki siana. Nie chciało mu się gadać ze ślubną. Całą nadzieję pokładał w tym, że córka przemówi matce do rozsądku.

Gdy przyjechał Bielak z Weroniką, Prokop wybiegł przed dom. Pomógł córce zsiąść. Nawet nie zapytał jej o samopoczucie, tylko z miejsca zaczął opowiadać o swoich troskach.

– Zwariowała, Weronisiu. Jak słowo daję! Wciąż tylko gada o klątwie, lesie i wyprawie na studzienieckie bagniska. Wczoraj jak ją znalazłem, brudna była jak nieboskie stworzenie, a w oczach miała szaleństwo!

– Och nie! Matula wariatką? – Weronika wystraszyła się nie na żarty i od razu złożyła ojcu obietnicę, że zrobi wszystko co w jej mocy, by położyć kres matczynym wyskokom.

***

– Matulu, matulu… Po co chodzisz do lasu? To na nic. Tracisz tylko zdrowie i siły.

– To dla ciebie, córciu, i twojego maluszka.

– Nic nam nie grozi. Niepotrzebnie się narażasz, wpędzając nas wszystkich w lęk, że utoniesz w bagnisku. Mamo… Proszę, nie chodź już do lasu. Potrzebnaś mi cała i zdrowa. Obiecałaś odebrać poród – bąknęła nieśmiałe przypomnienie. – Chcesz, bym ze strachu o ciebie poroniła dziecinkę?

– Co ty mówisz, Weroniczko?

– Prawdę. Tak się o ciebie zamartwiam – odparła dobitnie brzemienna. A potem zaczęła nalegać, by matka obiecała, że zaprzestanie wypraw do lasu przynajmniej do czasu rozwiązania.

Żywiła nadzieję, że urodzi zdrowego potomka i tym samym raz na zawsze skłoni matkę do zapomnienia o klątwie.

***

– Gabrielu, ja ciebie chrzczę w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego.

Kapłan dokończył ceremonię chrztu. Jakiś czas później rodziny Zalipiaków oraz Trzosów opuściły wnętrze gotyckiego kościoła usytuowanego tuż przy niepołomickim rynku.

Dzień był pogodny i dość ciepły jak na koniec października, choć psotne podmuchy wiatru ciskały pod stopy liście mieniące się wszystkimi odcieniami czerwieni, żółci i brązów – wymarzony czas na świętowanie.

Syn Weroniki i Nikodema przyszedł na świat przed kilkoma dniami. Zdrów był jak rydz i nawet nie dał kobiecie mocno w kość podczas porodu. Świeżo upieczona mateczka doszła więc szybko do siebie. W domu Zalipiaków nareszcie zapanowała wielka radość, bowiem kolejne dni upływały, a malec nie słabł i nie chorował. Czy była to zasługa Bernadety, która samodzielnie przyjmowała dziecko pchające się na świat? Weronika głęboko w to wierzyła. Nie nacierpiała się tyle co przy Władeczku, nie musiała poddawać się dziwacznym zwyczajom, nikt nie kładł jej na brzuch zimnych, śliskich śledzi.

– Dobry Bóg wysłuchał naszych modlitw – cieszył się Prokop, choć w głębi duszy żałował, że to maleństwo nie nosi nazwiska Trzos. Powoli jednak godził się z myślą, że jego następcą będzie Klemens, syn Wojtka i Dominiki. Nie była to najgorsza perspektywa na przyszłość, bo choć chłopiec, jak przystało na dziesięciolatka, bywał niesforny, garnął się do pracy w gospodarstwie.

– Ano wysłuchał – odparła Franciszka, moszcząc się na ławie naprzeciwko Trzosów.

Chrzciny wyprawione zostały z rozmachem, bo i radość z ich powodu była ogromna. Nic więc dziwnego, że do niewielkiej chałupy zawitali

dziadkowie, ciotki oraz wujowie i kuzynostwo maleństwa. Bernadeta przysłała córce do pomocy dwie komornice, a i sama również napiekła kukiełek i nasprawiała mięsiw. Ona jedna nie podzielała powszechnej ekscytacji, pozostając nieco w cieniu, na uboczu, pogrążona w zadumie.

Ta dziecina dana nam została niejako na bórg – rozmyślała. W rzeczy samej błagała wszystkie siły sprawcze o to, by córka szczęśliwie powiła, obiecując samej sobie, że odczyni klątwę rzuconą przez Goczałową tak szybko, jak tylko to będzie możliwe. Bo choć córce i zięciowi wiodło się ostatnio nadspodziewanie dobrze, ją przepełniał lęk, że to jedynie cisza przed burzą.

A może i młodzi coś przeczuwali? Wszak nie wzięli się do budowy ładniejszego domu, choć była mowa o tym wówczas, gdy przeprowadzali się na swoje. Żyli oszczędnie, składali grosz do grosza. Na nic im nie brakowało, lecz Weronika nie trwoniła na zbytki ani talarów zarobionych przez męża, ani tych uzyskanych za wydziergane koronki. Zapewne trzymali gotówkę na czarną godzinę.

Rok 1882

Bernadeta odczekała, aż mąż wraz z parobkami odjedzie do lasu. Wiosenną porą przyszedł czas na uprzątnięcie pozimowych wiatrołomów oraz gałęzi, które nie wytrzymały naporu śniegu. Wiedziała, że Prokop próbowałby ją zatrzymać. Wyjaśniła Dominice, dokąd się wybiera, by nie przysparzać ślubnemu zmartwień. I że wróci do domu dopiero wtedy, gdy odnajdzie źródło. Niech więc nikt za nią nie jeździ do lasu, bo wzięła jedzenie, wodę, a nawet ciepłą derkę, by się nią w razie czego okryć.

Sneszka próbowała powstrzymać teściową, lecz jej starania spełzły na niczym. Gdy Bernadeta odeszła, Dominika złapała Zochę za ramię.

– Wiesz, gdzie znaleźć dziadka? – zapytała córkę.

Dziewczynka pokiwała głową, gdyż onegdaj towarzyszyła mężczyznom oraz Klemensowi w puszczy, choć matka uprzedzała ją, że nikt nie będzie jej tam niańczył, a jedynie może przeszkadzać, plącząc się chłopom pod nogami. Ona jednak póty się upierała, że pojedzie z innymi, aż Prokop zmiękł i zabrał ją ze sobą. A że nie wchodzili głęboko w knieję, był spokojny o małą. Gdyby jej się znudziło, miała po prostu wrócić. Zocha jednak wytrwała z nimi do końca, zbierając chrust – takie z niej było pracowite dziewczątko.

– Leć za nimi i powiedz, że babcia znowu wyprawiła się na Studzieniec. Zapytaj, czy mam za nią posłać parobków.

Nie chciała na własną rękę odrywać ludzi od roboty, gdyż wszelkie próby szarogęszenia się Prokop zawsze kwitował jakimś nieprzyjemnym komentarzem. Mogła się rządzić jedynie w kuchni czy na pokojach, gdzie pomagała Bernadecie, od najważniejszych spraw miała się trzymać z daleka i pod żadnym pozorem nie wydawać poleceń parobkom.

Nim mała odnalazła mężczyzn i wróciła z dziadkiem, zrobiła się pora obiadowa.

– Sam pojadę po Betkę – oznajmił Prokop, choć liczył się z tym, że w pojedynkę będzie mu trudno, skoro kiedyś nie mogli jej odnaleźć w czwórkę. – Dobrześ zrobiła, przysyłając po mnie małą. Tym razem nie puszczę jej tego płazem.

***

– Dlaczego znowu to zrobiłaś? Po co? Przecież mamy zdrowego wnuka! – utyskiwał Trzos, gdy zdołał odnaleźć ślubną.

Szli przez las pieszo, koń został przy gospodzie, bo mężczyzna uznał, że zabieranie zwierzęcia do lasu nie ma sensu.

– Nie denerwuj się, Prokopie. Ja muszę...

– Nic nie musisz! To jakieś głupie urojenia!

– Tym razem prawie mi się udało – tłumaczyła, nie zważając na jego gniew. – Na pewno byłam gdzieś blisko… Ach… Jaka szkoda, że pan Parnicki nie żyje.

– A co ma do tego nieboszczyk Antoni? – żachnął się Trzos.

– On wskazałby mi drogę. Tak jak wtedy – bąknęła strudzona kobieta.

– Kiedy? Co chcesz przez to powiedzieć?

– No wtedy, gdy pierwszy raz poszłam na Studzieniec. To on wskazał mi drogę – przyznała.

– Ale jak to? – drążył. – Widziałaś się z nim potajemnie?

– Nie. On był wówczas na polowaniu. Odłączył się od reszty i wtedy go spotkałam. Zapytał, co robię w lesie – tłumaczyła – a gdy mu wyjaśniłam, zaproponował, że zaprowadzi mnie do źródła, bo znał drogę.

– Nie wierzę! Parnicki poszedł z tobą do źródła? Też coś! Kto jak kto, lecz on nie wierzył w zabobony.

– Tak było – obstawała przy swoim.

– Powiedz ty lepiej, co naprawdę z nim robiłaś! – Niespodziewanie szarpnął ją mocno za łokieć i zmusił, by na niego spojrzała.

– No co ty? Prokopie… Nie wierzysz mi?

– A nie wierzę. Bo wiem, że nieboszczyk Parnicki lubił kobiety. Widziałem, jak łakomie na ciebie spozierał. Mów! Złajdaczyłaś się z nim? – Potarmosił ją za ramię.

Zaskoczona bólem, który jej zadał, spojrzała mu w oczy. Jeszcze nigdy nie widziała w nich tyle gniewu. Zawsze uważała męża za człowieka dość łagodnie usposobionego, wyrozumiałego dla służby oraz domowników. Teraz miała przed sobą mężczyznę dygoczącego z wściekłości.

– Nie! Co też ci przyszło do głowy?

– Zataiłaś przede mną, że mieliście schadzkę w lesie. Zdradziłaś mnie z nim? Mów natychmiast!

– Nie!

– Nie wierzę ci – rzucił z goryczą, przypominając sobie, że pojawienie się Parnickiego w ich życiu wywróciło wszystko do góry nogami. To wtedy żoną owładnęło pragnienie, by dorównać ziemiaństwu, wybudować dwór, kupić bryczkę. Wtedy zaczęła nosić się z pańska. Pamiętał, jaka zawsze była miła dla Antoniego, jak chętnie brała udział w rozmowach, gdy przyjeżdżał, jak podejmowała go kawą i słodkościami.

Kpili sobie ze mnie w żywe oczy – pomyślał, ruszając przed siebie. Nawet nie obejrzał się za Bernadetą. Przepełniał go gniew, że tak dał się zwieść pozorom. Zaufał temu nędznikowi, który lubił uwodzić cudze żony. Wszak nie odpuścił nawet Żelechowskiej, choć on i Tadeusz mienili się przyjaciółmi! Czymże więc była dla niego jakaś tam chłopka?

– Musiałaś mu nieźle dogodzić, skoro dokładał starań, by zaspokoić twoje ambicje – burknął.

– Ależ Prokopie! Nic z tych rzeczy! Jak możesz tak nisko mnie oceniać? – oburzyła się ślubna.

– Jak? Jeszcze się pytasz? Gdybyś miała czyste sumienie, od razu przyznałabyś się do tego, że to on zaprowadził cię do źródła. Dla mnie to oczywiste! Tajemnice robi się wtedy, gdy jest coś do ukrycia!

Próbowała się bronić, tłumaczyć, wyjaśnić sytuację, lecz w ogóle na nią nie zważał. Gdy dotarli pod gospodę Lamensdorfów, odplątał wodze Gniadego i dosiadł go, nie przejmując się żoną. Bernadeta, choć wcześniej miała w głowie wyłącznie myśl o tym, by odegnać zły urok, teraz pojęła, że złość ślubnego to nie przelewki. Musiała wrócić do domu, poczekać, aż Prokop ochłonie, a następnie znowu z nim porozmawiać.

Przecież w końcu mi uwierzy! Nie mam sobie nic do zarzucenia – stwierdziła, ruszając pieszo, mimo wielkiego zmęczenia, za szybko oddalającym się mężczyzną.

***

Następnego dnia u Trzosów panowała napięta atmosfera. Ilekroć Bernadeta próbowała coś powiedzieć, mąż uciszał ją ciętymi słowami. Śniadanie zjadł osobno, zaraz po nim bez słowa opuścił dom. Trzosowa liczyła na to, że gdy Prokop przewietrzy głowę podczas pracy, to gniew mu minie, lecz w porze obiadowej sytuacja nie uległa zmianie. Skończywszy posiłek, mężczyzna wstał i chciał wyjść z kuchni, lecz ślubna zastąpiła mu drogę.

– Prokopie! Tak nie można! Dlaczego się nie odzywasz? Przecież nie zrobiłam nic złego.

Mężczyzna spojrzał na nią wilkiem i złapał ją za łokieć, a następnie odepchnął w mało delikatny sposób.

– Zejdź mi z oczu, zanim przestanę się miarkować! Nie wierzę ci! Jesteś zakłamaną żmiją. Przez te wszystkie lata musieliście się nieźle bawić za moimi plecami. A może już wcześniej coś was łączyło? Może nie bez powodu zasłonił Wojtka własną piersią? Hę? – zapytał, spoglądając na nią z wielką wrogością.

– Prokopie! No co ty? – zająknęła się, bowiem zdała sobie sprawę, że wyobraźnia męża powędrowała zdecydowanie za daleko.

– A niby czemu Wojtek wyrósł na zbója? – zapytał z przekąsem, a potem sam sobie odpowiedział: – Ano temu, że z grzechu został zrodzony!

Po tych słowach zostawił osłupiałą Bernadetę i odszedł.

Dopiero po chwili stuporu kobieta odzyskała jasność myśli.

– Zwariowałeś? Spójrz tylko na Klemensa! Toć każdy powie, że to skóra zdjęta z ciebie. O Wojtku też tak mówiono! – krzyczała, nie bacząc na to, czy usłyszy ją Dominika lub któraś ze służebnych dziewek.

On jednak już tego nie słyszał, bowiem poszedł do sypialni, by odświeżyć się po wcześniejszej harówce w puszczy. Gdy doprowadził się do porządku, włożył odświętne ubranie. Jeszcze zapinał surdut, schodząc po schodach do przestronnej sieni. Z obojętną miną przeszedł

obok żony, która znowu próbowała coś mu powiedzieć. Wyszedł z dworku i skierował kroki do stajni, a krótko potem odjechał na Gniadym, nie mówiąc nikomu, dokąd się wybiera. Było to o tyle dziwne, że od dawna w dzień roboczy nie wkładał eleganckiego ubioru. Nosił go wyłącznie do kościoła albo gdy wybierał się do Niepołomic, lecz zważywszy na porę dnia, wizyta w miasteczku nie wchodziła w grę – w interesach wyjeżdżał zazwyczaj znacznie wcześniej.

***

Prokop galopował skrajem Puszczy Niepołomickiej, kierując się w stronę włości *madame* Cecylii. Jak nigdy wcześniej pozostawał ślepy na malujące się przed nim pejzaże zieleniejących młodym zbożem pól, na drzewa, których gałęzie tryskały świeżością liści, czy kępy fioletowych przylaszczek wyciągających ukwiecone główki ku ciepłym promieniom słońca. Głuchy na świergot ptaków, szmer przepływającej rzeczułki, nieczuły na wszystko to, co zawsze wzbudzało w nim pozytywne emocje, działało kojąco i sprawiało, że miał ochotę żyć.

Cóż mu było z tych wszystkich uroków wiosny, gdy jego serce krwawiło i czuł się oszukany przez istotę ubóstwianą ponad wszystkie dary natury. Przez kobietę, którą do tej pory uważał za uosobienie wierności, szczerości, za oddaną towarzyszkę życia. Jeszcze nigdy nie czuł się równie zraniony! Nie wierzył w ani jedno jej słowo. Gdyby nie miała niczego do ukrycia, opowiedziałaby mu przed laty, że na Studzieniec zaprowadził ją Antoni. Tymczasem wróciła do domu podekscytowana, uszczęśliwiona, tryskająca radością.

Który szlachcic rzuciłby się pod końskie kopyta, by ratować obcą chłopkę? – naszła go kolejna refleksja. Czym więcej o tym wszystkim myślał, tym mocniej utwierdzał się w przekonaniu, że żona była winna zdrady, a jej owocem musiał być Wojciech. Wszak Antoni dwukrotnie ryzykował, osłaniając własnym ciałem najpierw ją, później młodego! Każda następna koncepcja była coraz gorsza, zdawał sobie bowiem sprawę, że jako jedyny pozostawał ślepy i głuchy na coś, czego inni byli w pełni

świadomi. – *Nic dziwnego, że* madame *Cecylia stroniła wcześniej od wizyt u nas. Musiała wiedzieć o romansie między nimi. Nie chciała mieć nic wspólnego z Bernadetą nie dlatego, że uważała nas za ludzi gorszego stanu, wszak sama jest kupcówną, ale dlatego, że trawiła ją zazdrość o rywalkę.*

Poganiał Gniadego, by jak najszybciej dotrzeć w miejsce, gdzie być może czekało na niego rozwiązanie tej przykrej zagadki.

***

Madame Cecylię zastał wraz z rodziną w ogrodzie.

Damy popijały popołudniową herbatkę, rozkoszując się piękną pogodą oraz urokami rozkwitających klombów i omawiając kwestie związane ze zbliżającym się ślubem Juliusza oraz Augusty. Stolik, przy którym siedziały, ustawiony był w cieniu platanów. W swych barwnych sukniach same wyglądały niczym kwiecie. Tuż obok niania piastowała Wiktora, który pod jej czujnym okiem, trzymany za ręce, stawiał pierwsze, chwiejne kroki. Marcel dreptał przy sztalugach z zaczętym obrazkiem.

– Dzień dobry! – wykrzyknęła Cecylia na widok plenipotenta. Nawet jeśli była zdziwiona jego wizytą, zwykle bowiem zapowiadał się wcześniej, nie dała mu tego odczuć.

Trzos przywitał zgromadzonych, a następnie przysunął się do Parnickiej, która zaprosiła go, by usiadł na stojącym w pobliżu krześle.

– *Madame*, daruje mi pani śmiałość, lecz chciałbym zamienić z panią parę słów w cztery oczy – oznajmił półgłosem, spoglądając na nią tak intensywnie, że bez wahania zaproponowała mu przechadzkę po parku. Poprosiła służącą o umbrelkę, by nie narażać swej delikatnej cery na niepożądaną opaleniznę.

Gdy już odeszli na bezpieczną odległość, Prokop przystanął i powiedział zduszonym głosem:

– Jeszcze raz błagam panią o wybaczenie, lecz muszę o coś zapytać. Jeśli uzna pani, że moje pytanie ją obraża lub jest nazbyt śmiałe,

pokornie poproszę o wybaczenie, ale pragnienie poznania odpowiedzi bierze górę nad tym, co można uznawać za mieszczące się w granicach dobrego wychowania. Jestem tylko prostym człowiekiem, kmieciem – kontynuował z goryczą – którego psikus losu, a może raczej niecne działania i chore aspiracje pewnych osób pchnęły ponad miejsce, które jest mu należne z urodzenia. Jeśli po tym wszystkim przegoni mnie pani na cztery wiatry, jeśli każe iść precz, pozbawi dzierżawy i plenipotencji, to uniżenie przyjmę swój los, bo ten i tak jest przeklęty. – Urwał swą przemowę zarówno dla zaczerpnięcia powierza w płuca, jak i dla zebrania myśli. Zdawał sobie bowiem sprawę, że to, co chce zrobić, może zniszczyć wiele zarówno w jego życiu, jak i w życiu stojącej obok niego damy. I choć darzył Parnicką głębokim szacunkiem oraz podziwem, czuł, że nie może się cofnąć nawet za cenę utraty resztek godności.

Musiał wiedzieć!

Spojrzała na niego z narastającym zdumieniem, nie mogąc za nic w świecie zgadnąć, jaki desperacki krok pchnął go do tak zaskakującej wypowiedzi. Odczuwała głęboki niepokój, gdyż widziała grę emocji na jego twarzy, a w oczach czy to smutek, czy rozpacz, czy może jeszcze inne uczucia – mniej szlachetne, lecz tłumione siłą.

– Proszę mówić, panie Prokopie – odparła. – Pan wie, że także nie jestem damą z urodzenia, a sfera, do której niby należę, zawsze będzie miała mnie za parweniuszkę. Może właśnie to odróżnia nas od szlachty – pozwoliła sobie na pewną poufałość – że potrafimy szczerze wyrażać swe myśli, bez tej obłudy, która w sposób elegancki nazywana jest zachowywaniem pozorów.

– Zranię panią zapewne bardzo dotkliwie – uprzedził.

– Ach… Panie Trzos! Gdyby pan wiedział, ile razy raniono mnie rozmyślnie lub przez źle pojmowany takt – westchnęła, staranniej osłaniając się przed słońcem koronkowym cackiem.

– Tym bardziej więc przepraszam, że i ja dokładam cierń do tego ogródka.

– Proszę mówić – zachęciła go zaintrygowana, widząc, że mężczyzna zaplątał się w uniżonych grzecznościach.

Zobaczyła, jak mocno wciąga w płuca powietrze, które już po chwili wypuścił ze świstem. Jak łamie się sam ze sobą, jak drży mu starannie ogolona żuchwa, gdyż w przeciwieństwie do ulegających modzie dżentelmenów nie zapuszczał bujnych bokobrodów ni brody, ale poprzestawał jedynie na hodowaniu wąsa, którego starannie i dość krótko przycinał.

Nigdy wcześniej nie zwróciłam uwagi na to, jak przystojnym jest mężczyzną – stwierdziła nader niedorzecznie. – *Ma w sobie jakąś dziką pierwotną siłę cechującą kmieci, a jednocześnie nie brak mu subtelności pasującej do dobrze urodzonych dżentelmenów.*

Tymczasem Trzos zebrał w sobie odwagę, by wydusić:

– Czy pani dawna niechęć do składania wizyt w moim domu miała jakieś szczególne podłoże? Nie, nie chodzi mi o różnice społeczne czy pogardę dla mego urodzenia, bo wiem, że nie w tym rzecz – uprzedził szybko ewentualną próbę wyszukiwania usprawiedliwień dla braku taktu.

– Ma pan na myśli jakiś konkretny powód? – zapytała, odgadując w duchu, że chodzi im o tę samą przyczynę.

– Tak. Może nawet nie tyle powód, co mocno ugruntowane podejrzenia. Pani Cecylio… czy sądzi pani… Czy uważa, że to możliwe… Wiem, że pamięć o zmarłym należy uszanować, lecz nie potrafię wyzbyć się myśli, że obydwoje zostaliśmy niecnie zdradzeni. Proszę wybaczyć. Wiem, że nie powinienem rozdzierać starych blizn, szargać dobrego imienia nieboszczyka. Dla mnie jednak rana w sercu jest świeża i tym bardziej bolesna, że z dużym prawdopodobieństwem przez wiele lat byłem nieświadomym niczego durniem – wyznał, opuszczając głowę i zwieszając ramiona.

A więc jednak! – jęknęła w duchu. W jej gardle narastał szloch. Nie przypuszczała, że nawet teraz, po tylu latach, ta sprawa tak ją zaboli,

zapiecze do żywego. Wydawało jej się, że wyciągając dłoń do Bernadety i zapraszając ją do swego domu, całkowicie odcina się od przeszłości.

– Co się wydarzyło, że po tylu latach przychodzi pan do mnie z takim pytaniem? – wykrztusiła w końcu, gdyż też pragnęła wiedzieć, czy jej niegdysiejsze podejrzenia były słuszne.

– Usłyszałem o tym, że moja żona spotkała się z pani mężem w lesie koło Zakrzowa. To dość niepokojące, zważywszy, że doszło do tego wiele lat temu, a ja dowiedziałem się dopiero teraz.

Cecylia zacisnęła powieki, porządkując myśli przepływające przez jej głowę z prędkością błyskawic. Wspominała wieczny chłód męża, dystans, który wciąż ich dzielił. Nie zapomniała o swych podejrzeniach, o częstych i samotnych eskapadach konnych Antoniego, z których niejednokrotnie wracał z ogniem w oczach, w rozchełstanej koszuli i z rozluźnionym halsztukiem, o tym, jak bujał w obłokach i jak łakomie spoglądał na Trzosową, zanim doszło do pamiętnej katastrofy na niepołomickim rynku. Zazdrość, która trawiła jej duszę przez całe lata, wzięła górę. Kobieta nieznacznie skinęła głową.

– Przykro mi, panie Prokopie. Bardzo długo podejrzewałam męża o niewierność. Niech Bóg mi wybaczy, że po tylu latach szargam jego dobre imię.

Chciała jeszcze dodać, że kobieca intuicja wskazywała jej Bernadetę, lecz taktownie to przemilczała. Wiedziała, że Trzos otrzymał dokładnie taką odpowiedź, po jaką przyjechał.

Rozdział 2.

Poświęcenie

Pomnik odważnej leśniczanki Justynki – rzeźba z brązu wykonana wg projektu Marka Maślańca w 2005 r.

Lewi Mojsiejowicz opierał się łokciami o szynkwas i z wyrazem ogromnego znużenia na twarzy spoglądał na ostatnich gości gospody. Trzej mocno nietrzeźwi mężczyźni wydzierali się na całe gardło przy jednym ze stołów, obok nich, głuchy na wrzaski, siedział Prokop z czołem wspartym o skrzyżowane na blacie ręce. Wyglądał na pogrążonego w głębokim śnie. Mojsiejowicz chętnie zamknąłby już karczmę i zaległ pod pierzyną, gdyż nie przewidywał, by chłopi zamówili jeszcze cokolwiek. Wszak ostatnią flaszkę wziął dla nich Trzos, który spał teraz w najlepsze. I to właśnie z uwagi na zamożnego gospodarza, o którym właściwie nie wiadomo było, co mówić: czy zwać go kmieciem, czy panem, Lewi nie wypraszał ochlaptusów na zewnątrz, choć noc była już bardzo późna. Respekt przed Prokopem robił swoje, skutecznie powstrzymując Żyda od działania.

Prokop zachodził do karczmy kolejny dzień z rzędu. Pił tęgo, na umór, nie wdawał się z nikim w dysputy, choć ziomkowie próbowali go zagadywać. Na odczepnego stawiał innym gorzałę, sam zalewał robaka, nie mówiąc absolutnie nic.

Co do tego, że coś go trapi, Mojsiejowicz nie miał cienia wątpliwości. Niejeden raz widywał ludzi, którzy zaglądali w to miejsce właśnie po to, by topić smutki w alkoholu. Dla jednych przychodziło opamiętanie, innym rozum nie wracał. Byli tacy, po których zaglądały rozwrzeszczane połowice, by wywlec ich na zewnątrz, targając za szmaty bądź kudły do domu. Czasem przysyłały parobków, którzy wlekli nieszczęśników do obejścia. Po innych nikt nie zachodził, pozostawiając ich samym sobie – tak jak Prokopa.

Było to nader dziwne, gdyż Trzosowie i ich komornicy zawsze trzymali się razem – nad wyraz lojalni.

– Ech, świecie, świecie! I na co mu przyszło? – burknął pod nosem Lewi. A potem oderwał się od szynkwasu i huknął do pijanych: – Mości kmiecie, czas do domu! Idźcie już, chłopy. Jutro też jest dzień.

Mężczyźni zaczęli opieszale wstawać. Jeden z nich trącił łokciem Prokopa. Ten, wyrwany z głębokiego snu, podniósł głowę, potoczył wokół przekrwionymi oczami, robiąc zdziwioną minę, jakby nie miał pojęcia, gdzie się znajduje. Potem także niemrawo podniósł się z ławy, wcisnął na głowę kaszkiet i chwiejnym krokiem opuścił gospodę.

***

Bernadeta załamywała ręce nad poczynaniami ślubnego, lecz nijak nie potrafiła na niego wpłynąć. Od kilku tygodni pił na umór, niemalże nie trzeźwiejąc. Nie dawał sobie niczego powiedzieć. Gdy próbowała z nim rozmawiać, podnosił głos, wyzywał ją od najgorszych, a nawet zaciskał dłonie w pięści, choć na szczęście nie posuwał się do rękoczynów. Gdyby nie to, że każdy parobek znał swe obowiązki, jak nic gospodarstwo leżałoby odłogiem, choć i tak na pewno doszło do wielu zaniedbań.

Martwiła się tym wszystkim niepomiernie, próbując dyrygować ludźmi, pilnując, by pracowali i nie rozbisurmanili się, w czasie gdy mąż pozostawał w stanie alkoholowego zobojętnienia. Choć wciąż opętana była pragnieniem dotarcia do cudownego źródła, poniechała na razie wypraw do lasu, ponieważ musiała doglądać majątku. Martwiła się, że nie może wypełnić swej życiowej misji. Co więcej, teraz wychodziła z założenia, że i gniew Prokopa jest skutkiem starej klątwy, bowiem czas zatarł w jej wspomnieniach dokładną treść i znaczenie słów rzuconych przez Goczałową.

Choć miała huk obowiązków i same troski, starała się w miarę regularnie zaglądać do Weroniki.

Chwile spędzone u córki były najjaśniejszą gwiazdą na jej pociemniałym niebie.

– Nie pojmuję, co się z wami stało – stwierdziła pewnego dnia Zalipiakowa, gdy Bernadeta rozpłakała się tuż po tym, jak została zagadnięta o męża.

Kobiety siedziały w kuchni, pochłonięte szydełkowaniem, gdyż Eliasz Salman zamówił u Weroniki znaczną ilość koronek. Gabriel spał smacznie w kołysce ustawionej opodal, a Nikodem jak zwykle był w pracy. Mogły więc swobodnie rozmawiać o swych największych bolączkach.

– Ja też nie wiem, córeczko – odparła Trzosowa, tłumiąc szloch narastający w gardle. – To straszne – załamała ręce – ale twój ojciec wygaduje okropne rzeczy. Ubzdurał sobie, że dawno temu zdradziłam go z panem Parnickim. I że Wojtek był owocem owej zdrady.

Nie zatajała przed córką tego, co w każdej chwili mogło dolecieć jej uszu w plotkach przenoszonych przez komorników i służbę. Wolała, by Weronika dowiedziała się od niej.

– O mój Boże! – wykrzyknęła zdumiona Zalipiakowa. – Co za bezeceństwa mu przyszły na myśl? Mamo!

– Ech… Długo by opowiadać. Ale przysięgam ci, żem jest niewinna. – Uderzyła się w pierś, aż zadudniło. Następnie na prośbę córki opowiedziała całą historię ze wszystkimi szczegółami, choć większość z tego Weronika już kiedyś słyszała.

Gdy wybrzmiały ostatnie słowa, Zalipiakowa złapała się za głowę. Spojrzała na matkę, coś ważyła w duchu. A potem wykrzyknęła:

– O nie, nie! Dalej tak być nie może! Musicie się pogodzić!

– Ale jak, skoro on w ogóle mnie nie słucha? Dziecko! Czy ty wiesz, ile razy próbowałam z nim porozmawiać? Unika mnie, ucieka z domu. A jak już jest, to spity niemalże do nieprzytomności. Gdy jest trzeźwiejszy, wyklina mnie niczym jakąś wszetecznicę.

– Niedobrze – westchnęła Weronika.

Gabriel zakwilił przez sen. Kobieta pochyliła się nad chłopczykiem, ale nadal spał. Być może miał mokro, lecz na razie wolała go nie ruszać. Wróciła na miejsce obok matki i sięgnęła po robótkę.

– A może ja przemówię mu do rozsądku? – zaproponowała. – Zawsze mówił, że jestem jego ukochaną córcią. Powinien mnie przynajmniej

wysłuchać.

– Och, Weroniko! Boję się, że w tej zaciekłości i tobie gotów dokuczyć.

– Nie możemy tego tak zostawić. Wystarczy spojrzeć na Klemensa, który jest podobny do dziadka jak dwie krople wody! Matulu…

– Jeśli się nie boisz jego gniewu…

– A czego tu się bać? – odparła córka, choć wcale nie była taka pewna swego.

Pamiętała jednak, jak ojciec wstawił się za nią do matki, gdy chciała wyjść za Nikodema. To Bernadeta była wówczas mityczną Furią, przed której gniewem należało dygotać. Musiało upłynąć sporo wody w Wiśle, nim matka zaakceptowała jej wybór, lecz gdy już do tego doszło, dla młodej mężatki stała się wielkim oparciem w każdej trudnej chwili.

Przyszedł czas, abym to ja jej pomogła. Im – poprawiła się z miejsca – *bo przecież zawsze darzyli się szacunkiem i miłością.*

***

Dominika z narastającym przygnębieniem obserwowała konflikt swych świekrów. Do niedawna uważała ich za wyjątkowo zgodne stadło, mimo że zdarzały im się drobne utarczki. Pokochała Bernadetę mocniej niż matkę. Bo w rodzonej nigdy nie miała oparcia, nie zaznała od niej czułości ni ciepła, nie usłyszała jednego dobrego słowa, a jedynie wyrzekania. To Trzosowa nauczyła ją, że dzieci – nawet te dorosłe – trzeba często przytulać, by czuły się kochane. Że domowe rozmowy nie muszą krążyć wyłącznie wokół tego, co włożyć do garnka, co jest do roboty lub co złego przydarzyło się innym ludziom. Od Bernadety usłyszała dziesiątki pięknych opowieści dotyczących zarówno dziejów rodziny, okolicznych klechd, jak i historii wyczytanych z książek. Choć w domu zawsze było mnóstwo pracy, teściowa cierpliwie uczyła ją w wolnych chwilach pięknych haftów i robótek szydełkowych. W taktowny sposób wpływała na jej maniery przy stole i w życiu

codziennym, starając się zrobić z niej jeśli nie damę, bo na to nie było szansy, to przynajmniej osobę, która potrafi odnaleźć się w różnych sytuacjach i wśród różnych ludzi. Dzień po dniu delikatnie wykorzeniała ze sneszki nawyki wyniesione z domu rodzinnego.

Dobrze było Dominice u Trzosów – mimo wszystko. Choć bardzo tęskniła za Wojtkiem i szczerze opłakiwała jego przedwczesną śmierć, nie myślała o ponownym zamążpójściu, bo paradoksalnie właśnie teraz, gdy została wdową, Prokop wyraźnie złagodniał. Może przemówiły mu do serca słowa żony, że już tylko ona im została i jej dzieci? A może po prostu uwolniony od strachu, że przyjdzie mu zapłacić za przewinienia pierworodnego, przestał odczuwać do niej niechęć.

Sęk w tym, że na własne uszy słyszała, jak teść podważał swe ojcostwo i zarzucał żonie zdradę, w wyniku której przyszedł na świat Wojciech. Dla Dominiki była to wyjątkowo niekomfortowa sytuacja, wszak w każdej chwili mógł zwrócić swój gniew również przeciwko niej, a w następstwie wypędzić ją wraz z dziećmi z domu.

A ona nie chciała nigdzie odchodzić, bo pokochała to miejsce. Tutaj czuła się dobrze.

– Co z nami będzie, mamo? – zapytał pewnego dnia syn.

Klemens był bystrym chłopcem, więc on także z rosnącym niepokojem obserwował konflikt pomiędzy dziadkami. Rozumiał znaczenie słowa „bękart", zdążył mu to wytłumaczyć starszy o trzy lata komornik Staszek od Dylów.

Dominika przygryzła wargę, a potem przytuliła synka do siebie.

Niedobrze – pomyślała. – *Dziecko nie powinno frasować się takimi sprawami.*

– Bez obaw, smyku. Jakoś się to ułoży – odparła, pilnując, by w jej głosie nie było słychać targających nią wątpliwości. – A na razie bądź grzeczny, nie irytuj dziadka, staraj się nie wchodzić mu w drogę. A jak każe coś robić, to rób bez gadania.

Chciała jeszcze dodać, że może wtedy Prokop nie wyrzuci ich na zbity pysk, lecz w porę ugryzła się w język. Po co dokładać dziecku obaw?

Właściwie daliby sobie radę w szerokim świecie, ponieważ miała pieniądze ukryte pod obluzowaną deską podłogową w swej sypialni. Były to talary pochodzące z rozbojów i odrobina kosztowności. Dostała je od Wojtka krótko po tym, jak wspólnie uzgodnili ucieczkę w szeroki świat. Mąż regularnie powiększał gromadzone bogactwo o kolejne monety i drobiazgi, z ufnością oddając jej na przechowanie swoją część łupów. Nie wzdragała się przed ich przyjmowaniem. Czasami myślała o samej sobie, że jest złą, na wskroś zepsutą kobietą o czarnej duszy, skoro godzi się na niecny proceder. Może gdyby była bardziej stanowcza, gdyby konsekwentnie obstawała przy tym, by Wojtek porzucił bandę, dzisiaj żyliby gdzieś razem szczęśliwie, choć biednie. Cóż, gdy w domu świekrów, nawet zubożałym w stosunku do czasów świetności, o których wiele zdążyła się nasłuchać, przywykła do dobrobytu. Nim zabito jej męża, nie chciała nędznej wegetacji, liczenia każdego krajcara ani głodu skręcającego kiszki. Nie zamierzała wracać pod zapyziałą, okopconą strzechę, do zgrzebnych koszul i chodzenia boso przez niemalże cały rok.

Ale nawet teraz, mając środki ku temu, by odejść, wolała zostać, ponieważ prócz pieniędzy liczyło się jeszcze serce, jakie okazywała jej Bernadeta. Czuła się tutaj nie tylko akceptowana, ale również potrzebna.

***

Któregoś majowego dnia Weronika wzięła Gabriela na rękę i wyprawiła się pieszo do rodzinnego domu. Ponieważ pora była przedpołudniowa, kobieta liczyła na to, że zastanie ojca w miarę trzeźwego i zdoła się z nim rozmówić. Wcześniejsze wizyty nie przynosiły spodziewanych efektów, a jedynie utwierdzały Zalipiakową w przekonaniu, że sytuacja jest niewesoła. Ojciec nie chciał z nikim rozmawiać, niczym posępny

duch umykał przed gośćmi. Nawet z Nikodemem nie gwarzył jak do niedawna.

Tym razem dopisało jej szczęście. Jeszcze nim dotarła do domu, zobaczyła Prokopa uwijającego się przy koszeniu łąki. Był sam, bez choćby jednego pomocnika. Przez moment obserwowała w milczeniu, jak zamaszystymi ruchami odkłada kolejne pokosy. Chrzęściła opadająca trawa, lśniąc w promieniach słońca. Ojciec pracował energicznie, jakby przez tę zaciekłość chciał dać upust furii. Machał kosą raz w raz, bez chwili odpoczynku, wytrwale.

Weronika pomyślała, że kiedyś takie prace wykonywali wyłącznie parobkowie, a on tylko wszystkiego doglądał. Ale może to i lepiej, że ma zajęcie? Zawsze kochał gospodarstwo i nie mógł pojąć, czemu ani Wojtek, ani Zygmunt nie podzielają tej pasji.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Szczęść Boże – rzuciła.

Prokop drgnął nerwowo, słysząc jej głos. Zatrzymał się w pół zamachu. Powoli odwrócił się w stronę córki. Miał przekrwione oczy i worki pod nimi. Wymizerowany, blady, nieogolony, ubrany w złachaną koszulę – wyglądał tak źle, że aż ogarnęło ją zdziwienie, skąd czerpie siły do wytężonej pracy.

– Weronisia. A co ty? Sama z dzieciakiem? Nie ciężko ci? – zagadnął łagodnym tonem, jakiego dawno od niego nie słyszała.

– Ano trochę ciężko, bo skarbuś mój żarłoczny rośnie jak na drożdżach, to i waży trochę – odparła, ciesząc się, że ojciec nie okazuje gniewu.

Zdjęła z ramion chustę i rozpostarła ją na skoszonym skrawku łąki. Posadziła na niej Gabriela, a sama podeszła do Prokopa.

– A co wy? Już kosicie? Nie za wcześnie to?

– Trawy się kłoszą, więc czas zaczynać. W domu i tak nie mogę usiedzieć, wolę coś robić – oznajmił.

– Oj tatku, tatku! I na co wam ta zawziętość? Wy się zadręczacie, matula płacze, a mnie serce pęka, gdy to widzę.

– Ech… Córuś… Co ty tam wiesz – westchnął ciężko mężczyzna.

Chociaż podejrzewał żonę o zdradę i nie dowierzał, czy reszta dzieci jest jego, usiłował nie dopuszczać do siebie myśli, że Weronika także mogłaby być owocem niewierności. Serce chyba pękłoby mu z żalu, gdyby ten najukochańszy kwiatuszek okazał się chwastem.

– Być może wiem aż nazbyt dużo – wyznała młoda kobieta. – Co się z wami stało? Skąd tyle nieufności i gniewu?

Prokop wzruszył ramionami.

– Twoja matka zawiodła moje zaufanie. Otwarły mi się oczy na wiele spraw. I nie próbuj nas ze sobą pojednać, bo z góry ci zapowiadam, że to daremny wysiłek. Tutaj mi to wszystko siedzi. – Wskazał dłonią grdykę. – Ma szczęście, żem jej nie spuścił lania.

– No wiecie? – żachnęła się Zalipiakowa. – Tego jeszcze nie było, by Trzos podniósł pięść na żonę! A już w sytuacji, gdy nie ma żadnych dowodów winy, to byłaby zgroza!

– Nie bój się, ja też nie podniosę pięści, choć mnie świerzbiło, i to nieraz. Mnie nie trzeba dowodów, wystarczą fakty, które łatwo ze sobą połączyć.

– To ja wam przedstawię, tatku, fakt niezbity. Macie go wciąż przed oczami. Wystarczy, że staniecie przed lustrem z Klemensem u swego boku. Nie zaprzecie się wnuka, bo jest do was podobny. Tatku… Matula nigdy w życiu nie spojrzałaby na innego mężczyznę. Jestem o tym głęboko przekonana. Zaufajcie jej. Nie rańcie siebie i wszystkich wokół.

– A dajże ty mi spokój, dziewczyno! – Machnął ręką, jakby chciał odgonić natarczywą muchę.

– Dam wam spokój dopiero wtedy, gdy dogadacie się z matulą. Pamiętacie, jakeście mnie swego czasu prosili, bym przemówiła jej do rozsądku, gdy chodziła na Studzieniec? Tak teraz wam mówię, tato, opamiętajcie się i odpuśćcie.

Weronika nie chciała się z nim dłużej spierać, by nie wpędzić go w podły nastrój. Powtórzyła więc tylko, by uważnie przyjrzał się

Klemensowi. A potem pozbierała z łąki dziecko oraz chustę i ruszyła dalej. Chciała jeszcze odwiedzić matkę, skoro była w pobliżu.

Rok 1889

Zosia Trzos kończyła wycieranie naczyń. Zwykle robota paliła jej się w rękach, tym razem jednak siedemnastolatka pracowała powoli, co wcale nie oznaczało, że staranniej czy ostrożniej, gdyż, ku niezadowoleniu babci, zdążyła stłuc dwa talerze z porcelany.

– Zośka! – fuknęła Bernadeta. – A co ty masz dzisiaj takie marchwiane ręce?

Sama zajęta była smażeniem konfitur z malin, które nadspodziewanie pięknie obrodziły tego lata. Mieszała je drewnianą kopyścią w wielkim garze, a pod nim buzował ogień. Ciemnoróżowa pulpa wymagała stałego nadzoru, gdyż pryskała na prawo i lewo, a pozostawiona sama sobie przywierała do dna.

Choć w ostatnich latach sytuacja materialna Trzosów radykalnie się poprawiła – uwolnieni od długów, z dochodami płynącymi z własnej oraz dzierżawionej ziemi nie mogli narzekać na brak pieniędzy – to Bernadeta, nauczona niedostatkami trudniejszych lat, prowadziła gospodarstwo domowe z należytą skrzętnością, w pełni wykorzystując wszystkie skarby natury, jakie dawał sad, ogród i ta ziemia, którą tak bardzo ukochał Prokop.

– Przepraszam, babciu – bąknęła skruszona pannica, odkładając ostatni umyty talerz na stół. – Jakaś ladaca jestem dzisiaj. To mi zimno, to gorąco. A i w brzuchu mnie coś okropnie kręci.

– A nie masz ty, ptaszyno, kobiecych przypadłości? – zapytała łagodniej Betka, wrażliwa na wszelkie niedomagania swych dzieci i wnuków.

Odłożyła na moment kopyść i przetarła grzbietem ręki czoło zroszone potem, bo dzień był skwarny, a dodatkowo od pieca buchał

niemiłosierny żar. Prosta perkalowa suknia, okryta mocno poplamionym fartuchem, lepiła jej się do ciała, więc Betka dość nieskromnie rozpięła górne guziki, ukazując światu wciąż kuszący rowek pomiędzy półkulami dość jędrnych jak na kobietę w jej wieku piersi. Raz po raz poprawiała niesforne pasemko gęstych siwych włosów, które wymykało się z koka zawiniętego niedbale na karku.

– Uff… – sapnęła. – Ależ gorąc. No, to co z twoimi przypadłościami?

Zerknęła na wnuczkę stojącą w pąsach. Dostrzegła pot skroplony na jej twarzy i klatce piersiowej nad obrzeżem sukni.

Wiosną osobiście zawiozła wnuczkę do Eliasza Salmana, gdzie wspólnie nabyły dwa kupony pięknych, barwnych perkali, a następnie u najlepszego krawca zleciła uszycie dla dorastającej dziewoi „dorosłych" sukien zakrywających już nie tylko kostki, lecz sięgających niemalże ziemi.

Po chudych latach, gdy sytuacja Trzosów nie była klarowna, powróciły marzenia o koligacjach ze szlachtą. Skoro córka okazała się krnąbrna w tej kwestii, to może wnuczka posłucha jej dobrych rad dotyczących małżeństwa? Pokorne z niej było dziewczątko, ciche, skromne i pracowite – prawdziwa pszczółka. Nie strzelała oczami w stronę kawalerów, choć dziewczęta w jej wieku interesowały się płcią przeciwną. Zawsze posłuszna, nie buntowała się nawet wtedy, gdy matka lub babcia obarczały ją mniej lubianymi zajęciami. Zamiast gonić do wsi, spędzała czas na hafcie, szydełkowaniu i innych robótkach – ot, materiał na prawdziwą damę! O jej wykształcenie, podobnie jak w przypadku Bernadety i Weroniki, zadbały siostry benedyktynki ze Staniątek. Choć do klasztoru było blisko, Betka uparła się, by wnuczka zamieszkała na jakiś czas w tamtejszym dormitorium pomiędzy szlachetnie urodzonymi panienkami. Teraz sobie chwaliła tę decyzję, gdyż Zosia nabrała cech, które tak bardzo były pożądane u prawdziwych dam. I tylko czasami w jej mowę wkradały się jakieś chłopskie naleciałości, jak choćby użyte przed momentem słówko „ladaca".

– Nie, babciu – odparła dziewczyna na pytanie, które przed momentem padło. – Tamto było dwie niedziele temu, więc jeszcze jest czas. A w brzuchu kręci mnie od wczorajszego wieczora. Wierzyłam, że przejdzie, przykładałam nawet rozprażony owies, bo myślałam, że jak wygrzeję flaki, to choć trochę mi ulży, ale nie pomogło.

– Niedobrze. Podejdź no tutaj, pokaż mi się – poleciła babcia, a gdy wnuczka się zbliżyła, obmacała dłonią jej czoło i policzki. – Przecież ty masz gorączkę! Ale jak? Skąd? To nie pora na przeziębienie! Chodziłaś się kąpać do strumienia? Zawiało cię na przeciągu? Ległaś sobie na gołej ziemi?

– Nie. Samo mnie tak złapało.

– Niedobrze. Marsz do łóżka. Zaraz do ciebie przyjdę, przyłożę ci chłodne kompresy. Jędrek! Jędrek! – krzyknęła na młodego Dyla, który zwykle plątał się w obejściu jako chłopiec na posyłki.

By nie tracić czasu, przetrząsnęła szafkę w kredensie, poszukując ziół uśmierzających gorączkę. Może nie były tak skuteczne jak specyfiki z apteki, ale na początek powinny choć trochę pomóc. Gdy smarkacz przyszedł, rzuciła mu polecenie:

– Weź no Gniadego, ino go nie męcz, bo staruszek nie jest już tak szybki jak kiedyś, i jedź do apteki. Niech pan Marciszewicz[4] da ci coś na mocną gorączkę i bóle brzucha. Tylko żebyś mi nigdzie w drodze nie zmarudził, bo sprawa jest pilna – napomniała parobka, zalewając wrzątkiem suszone kwiaty bzu oraz pączki topoli.

– A to może wezmę Sokoła? – bąknął młody, któremu nie w smak było telepanie się na starej chabecie. Wolałby szybszego ogiera.

– Nawet o tym nie myśl! Bez zgody Prokopa nikomu nie wolno go brać. Nie wiesz jeszcze, że to jego ulubiony wierzchowiec? No już, jazda! – huknęła gromko. – Róziu! Pilnuj mi tej konfitury, żeby się nie spaliła. Jak zmarnujesz, to popamiętasz. – Pogroziła palcem dziewce, która wraz z Zosią zmywała wcześniej statki, a teraz zamiatała podłogę. Sama nalała do miski trochę zimnej wody, a z szuflady wyjęła świeżą ściereczkę.

***

Pokój zajmowany przez Zosię urządzony był spartańsko. Wszak nie wypadało, by panienka pławiła się w luksusach zastrzeżonych dla buduarów mężatek. Nie było tu więc dywanów, mięsistych kotar, wykwintnych mebli i bibelotów, lecz proste, wąskie łóżko, skromniutki sekretarzyk oraz szafa na odzież. W oknach wisiały szydełkowe firanki. Betka zmarszczyła brwi, widząc sukienkę niestarannie przewieszoną przez poręcz krzesła, lecz na widok cierpiętniczej miny wnuczki powstrzymała się od komentarzy.

Pannica leżała w pościeli. Mimo ciepła przykryła się pierzyną aż po brodę. Dygotała jak w febrze, to znów pojękiwała z bólu. Ułożyła się na boku, twarzą do drzwi, więc gdy Bernadeta weszła, nie umknęły jej uwadze łzy spływające z oczu dziewczyny.

– Ojej… Kociątko! Aż tak bardzo cię boli? Czemu nie mówiłaś wcześniej, tylko siliłaś się na struganie bohaterki? – zapytała łagodnym tonem.

– Nie chciałam się skarżyć – przyznała nieszczęśnica.

– Jędrek już pojechał do apteki. Przywiezie ci jakiegoś leku, choć w tej sytuacji nie wiem, czy nie rozsądniej byłoby wezwać doktora.

– Nie… Nie trzeba, babciu – stęknęła. – Przejdzie. Wystarczą lekarstwa.

– No dobrze, zobaczymy później. A na razie wypij to. – Bernadeta podała jej kubek z parującym naparem. – Powoli, nie poparz się. I do dna.

Zosia krzywiła się nieznacznie, sącząc gorzkawą ciecz. Trochę trwało, nim oddała babci opróżnione naczynie, a następnie wycieńczona opadła na poduszkę.

Tymczasem Bernadeta schowała do szafy suknię zwisającą niedbale z krzesła. Odstawiła kubek na stolik.

– Teraz przyłożę ci kompres. Chcesz, żebym z tobą została? Poczytać ci coś? – zaoferowała, układając na czole chorej zwilżoną lnianą

szmatkę.

– Tak, zostań. Opowiesz mi ładną historyjkę?

– Oczywiście. Masz ochotę na jakąś konkretną?

– O Justynce – szepnęła wnuczka. – Pamiętasz? Często mi ją powtarzałaś, gdy byłam małą dziewczynką. Chciałaś, abym była równie dzielna jak ona.

Bernadeta przysunęła krzesło do łóżka dziewczyny i usiadła. Ujęła dłoń wnuczki i pogładziła kciukiem jej grzbiet. Martwiła ją nadmierna ciepłota skóry. Zosia skuliła się na boku.

– Dawno temu, gdy Polska była wolnym krajem, na polowanie do Niepołomic zajechał król Stefan Batory wraz z całą świtą. Szczególnie upodobał sobie miejsce w naszej puszczy zwane Sitowcem. Pewnego razu właśnie tam, na uroczysku, król zdołał ranić potężnego tura. A uwierz mi, wnusiu, że takiego zwierza niełatwo wytropić. Ranne bydlę zaczęło uciekać. Król, choć nie miał przy sobie żadnego pachołka ani rycerza, ruszył w pościg. Osłabiony tur padł, lecz gdy król się zbliżył, ostatkiem sił niespodziewanie zaatakował władcę. Byłby może i zabił miłościwie panującego, gdyby nie przytomność umysłu pięknej córki leśniczego, Justyny. Dziewczyna oddała błyskawiczny strzał z kuszy, kładąc zwierzę trupem. Przejęty Batory przycupnął pod konarami rozłożystego dębu, by chwilę odpocząć. Na pamiątkę tego wydarzenia drzewo nazwano jego imieniem. I stoi ono po dziś dzień na Sitowcu, piękne i potężne, choć noszące ślady po dawnym uderzeniu pioruna[5].

– A co z Justynką? – zapytała dziewczyna tak samo, jak robiła to w czasach, gdy była dzieckiem.

– A Justynka… Justynka zyskała po tym wydarzeniu tak wielką sławę, że sama Anna Jagiellonka zaproponowała jej, by została damą dworu. Piękna leśniczanka podziękowała jednak za ten zaszczyt, ponieważ nade wszystko ukochała niepołomicką knieję i nie wyobrażała sobie, by miała żyć z dala od niej, choćby i na zamku. Wkrótce po tym wydarzeniu poprosił ją o rękę pewien okoliczny szlachcic. – Bernadeta

jak zwykle zmyślała dalsze losy owianej legendą panny. – Wyprawiono im huczne weselisko, po którym żyli długo i szczęśliwie – zakończyła.

Wierzchem dłoni ponownie dotknęła policzków i czoła wnuczki. Zosia wciąż była rozpalona, widać było wyraźnie, jak bardzo cierpi, choć próbowała zachowywać spokój. Sporządzony przez Bernadetę napar nie przyniósł efektów.

Leki przywiezione z apteki też na niewiele się zdały. Gdy Prokop wrócił z pól, kazał zaprząc konia do bryczki, którą Trzosowie sprawili sobie niedawno, a następnie pojechał do Wieliczki, by przywieźć stamtąd doktora.

Nieco później wróciła do domu Dominika z Klemensem. Spędzili niemalże cały dzień u Weroniki, ponieważ Zalipiak pilnie potrzebował pomocy przy naprawie dachu. Chłopak pomagał wujkowi, a Dominika wraz ze szwagierką także smażyły konfitury. Na wieść o chorobie córki kobieta pognała do jej pokoju i przypadła do wąskiego łóżka.

– Zosiu, Zosieńko! Co ci jest, dziecino? – zapytała z niepokojem, ponieważ pannica nigdy wcześniej nie wylegiwała się w ciągu dnia. Nawet gdy bywała przeziębiona. Zresztą była zahartowana i zawsze cieszyła się dobrym zdrowiem.

– Zimno mi, matulu – jęknęła dziewczyna. – I przeokropnie boli mnie brzuch. Co chwilę mnie goni – wyznała z ogromnym zażenowaniem, ponieważ faktycznie nie była w stanie dłużej poleżeć.

Dominika obtarła jej twarz zwilżonym ręcznikiem. Od świekry wiedziała o podanym córce specyfiku oraz o wyjeździe Prokopa po lekarza. Na razie nic więcej nie można było zrobić.

– Ależ ty jesteś rozpalona – wystraszyła się nie na żarty.

Została u Zosi do czasu, aż przyjechał medyk.

***

– Tyfus – oznajmił jowialny starszy pan, wpędzając domowników w popłoch.

Wydał kilka zaleceń dotyczących głównie higieny, lekkich posiłków i leżenia w łóżku. Potem się pożegnał, zostawiając przygnębionych Trzosów.

***

Następne dni nie przynosiły poprawy. Zosia bredziła w malignie, to znowu płakała wniebogłosy z bólu. Bernadeta nie opuszczała ukochanej wnuczki, sypiając nawet na sienniku obok jej łóżka, gotowa, by w każdej chwili czymś usłużyć. Wciąż się przy niej krzątała, próbując ulżyć jej choć trochę. Pomagała zawstydzonej własną słabością pannicy w korzystaniu z nocnika, okrywała ją i karmiła lekkim wywarem, poiła różnymi naparami z ziół i przemywała spocone ciało. Siedziała z nią dniami i nocami, nie dopuszczając do ulubienicy nikogo więcej poza Dominiką. Nawet służbie zakazała zaglądać do skromnej sypialenki, by nie krępować bardziej Zosi. Sama przewlekała jej pościel, by wciskać później skotłowane naręcza w ręce Rózi Dylowej, młodej komornicy, przeganiając ją każdego dnia nad rzekę z praniem.

Róża utyskiwała, że od tego ciągłego tarcia bielizny i płukania w zimnej wodzie popękała jej skóra na dłoniach.

Bernadeta przerzuciła na Dominikę wszystkie domowe sprawy, choć sneszka też chodziła po domu jak błędna owca, zamartwiając się o córkę.

***

Minęło półtora tygodnia, a zdrowie Zosi nie uległo nawet najmniejszej poprawie. Dziewczyna mizerniała w oczach, słabła, chudła, bredziła trawiona gorączką. W tym czasie Prokop wraz z Klemensem i gromadą parobków rozpoczynał żniwa.

Trzosowa siedziała na krześle obok łóżka Zosi, przesuwając w dłoniach koraliki różańca. Modliła się żarliwie o ukojenie w cierpieniu młodziutkiej nieszczęśnicy. A w momentach, gdy palce

nieruchomiały po ostatnim słowie pacierza, ze smutkiem konstatowała, że o ile minione lata upłynęły względnie spokojnie, to teraz znowu zdaje się odwracać koło fortuny. Prokop ostatnio narzekał na jakieś nieprzyjemne uciski w klatce piersiowej, Weronika poroniła przed dwoma laty kolejną dziecinę. Przed rokiem Betka pochowała rodziców – zmarli jedno po drugim, choć ich śmierć jak najbardziej usprawiedliwiona była wyjątkowo sędziwym wiekiem. A teraz, jak na złość, zaniemogła Zocha.

– Babciu, babciu – wyszeptała chora w krótkiej chwili przytomności. – Moja najukochańsza…

– Co, Zosieńko? Czego ci trzeba? – zapytała, wyrywając się z zadumy.

– Módl się za mnie, tak cię proszę. A jeśli ozdrowieję, przysięgam na wszystko, co święte, że pójdę do nowicjatu w Staniątkach.

– Ależ kruszyno… Nie potrzeba aż takiej ofiary. Wyleczymy cię, zobaczysz – odparła Bernadeta.

– Nie, babuniu. Potrzeba – zaprotestowała słabiutkim głosikiem wnuczka. – Pan Bóg mnie wzywa. A jeśli wydobrzeję, będzie to znak, że moim przeznaczeniem jest ziemska służba Bogu.

Bernadeta zatrwożyła się, słysząc jej deklarację. Wtem przypomniała sobie znowu o słowach Goczałowej rzuconych mściwie na niepołomickim rynku. Zerknęła na dziewczynę, ta po krótkiej chwili przytomności znowu zapadła w niespokojny sen.

– O dobry Boże, błagam, nie zabieraj nam tej ptaszyny – załkała ogarnięta bezsilną rozpaczą nad klątwą, przez którą, w jej odczuciu, tyle złego wydarzyło się w rodzinie.

Od tego już była prosta droga do obsesyjnego wręcz pragnienia, by podjąć choćby ostatnią w życiu próbę dotarcia na Studzieniec i odczynienia uroku. Sama nie potrafiła pojąć, skąd w niej aż takie przekonanie, że tylko w ten sposób odegna zło, które krążyło wokół jej rodziny. Wszak wszyscy, z którymi o tym rozmawiała, powtarzali to samo: by nie ulegała zabobonom. A jednak ona wiedziała swoje. A dla dobra jedynej wnuczki gotowa była ponieść każdą ofiarę.

Ech… Urodziłam czworo dzieci, a doczekałam tylko pięciorga wnuków, z czego przeżyła trójka. Bóg zabrał mi już Wojtka i Agnieszkę oraz Władzia i Bronka, a Zygmunta powołał do służby zakonnej. A przecież powinnam dzisiaj być otoczona liczną rodziną. To na pewno przekleństwo tamtej baby. Na pewno! – wzdychała, ocierając pot z własnego czoła.

Czuła, jak pałają jej policzki, a żołądek skręca się bólem. Podejrzewała, że także zapadła na tyfus.

Jeżeli i ja rozchoruję się na dobre, to będzie prawdziwa klęska. Bo nikt prócz mnie nie wierzy, że trzeba pójść do lasu i znaleźć źródło bijące z zatopionej chrzcielnicy.

Przypuszczała, że jej stan może się dość szybko pogorszyć. Liczyła sześćdziesiąt trzy lata, nie miała już tych sił witalnych co dawniej.

– Teraz albo nigdy – mruknęła sama do siebie, opuszczając pokój cierpiącej.

Zeszła na parter i zajrzała do kuchni.

Dominika skubała kurę, którą miała ugotować na obiad. Uniosła głowę i spojrzała pytająco na świekrę.

– Co z Zosią?

– Bez zmian, biedactwo bardzo cierpi. Zostaw tego ptaka, Rózia go może oskubać, nim pójdzie z praniem nad rzekę. Idź teraz ty do Zochy.

– Chcecie odpocząć – domyśliła się sneszka, widząc znużenie malujące się na twarzy Bernadety.

Teściowa pokręciła głową.

– Nie teraz. Odpocznę, jak wrócę.

– A dokąd się wybieracie?

– Na Studzieniec – padła lakoniczna odpowiedź.

– O nie! – jęknęła przestraszona Dominika. – Znowu? Nie pamiętacie, matulu, czym się to ostatnio skończyło? Przecie daliście słowo ślubnemu, że więcej tam nie pójdziecie – przypomniała.

– Nie próbuj mnie powstrzymać – odparła zdeterminowana kobieta.

Wyjęła z kredensu dwie bułki i wcisnęła je w kieszeń fartucha. Pokiwała do sneszki. Ta wiedziała, że nie ma sensu przekonywać Bernadety do pozostania w domu. Jej oczy znowu lśniły tą samą obsesją, która wyzierała z nich przed laty.

– Weźcie jeszcze choć flaszkę wody – poradziła. – Gorąc taki, na pewno będziecie spragnieni.

– Jak zachce mi się pić, to znajdzie się jakieś źródło. A i po drodze do lasu studni jest dość. Gdyby Prokop o mnie pytał, powiedz mu prawdę i wyjaśnij, że inaczej nie mogłam. Niech nie posyła za mną parobków, sam też niech mnie nie szuka. Nie spocznę, nim nie trafię do celu. Da Bóg, wrócę szczęśliwie.

– A więc Boże prowadź – odparła sneszka, załamując ręce. – Wracajcie prędko, matulu.

Jakiś impuls pchnął ją do dłoni Bernadety. Pochyliła się i ucałowała je z szacunkiem, choć świekra wzbraniała się przed tym gestem.

– No już, już! – Pogładziła Dominikę po policzku. – Nie frasuj się o mnie. Idź lepiej do Zosi.

***

– *Siedzi Hela w klasztorze / i wylewa gorzkie łzy / trzyma książkę na kolanie / o wolności ciągle śni*[6] – nuciła Bernadeta, wędrując ku przeznaczeniu. Jej głos jeszcze nigdy nie był równie słaby i drżący, pozbawiony tej mocy, którą zwykle rozbrzmiewał. Mimo że brakowało jej tchu, a w brzuchu odczuwała wielką boleść, nie zamierzała zawracać z raz obranej drogi. Śpiewem usiłowała odwrócić swą uwagę od cierpienia i zająć niespokojne myśli. Przepełniał ją lęk nie tyle o siebie, co o wnuczkę i całą jej przyszłość. Tak bardzo pragnęła, by Zosia wyzdrowiała, a potem ułożyła sobie życie jak najpiękniej, najlepiej u boku jakiegoś zacnego kawalera.

Przed laskiem na Winnicy Trzosowa natknęła się na Frankę Zalipiakową.

– Witajcie, Prokopowa! A dokąd to droga prowadzi? – zagadnęła Franciszka, jak zwykle ciekawska.

– Idę ku Staniątkom – odparła wymijająco w nadziei, że utnie dalsze nagabywania.

– Ku Staniątkom? A dyć nadkładacie gościńca. Bliżej by wam było, jakbyście szli wzdłuż puszczy.

– Może i bliżej, ale chciałam jeszcze zmówić „Wieczne odpoczywanie" za pierworodnego. A gdzie za wami droga? I co tam słychać na Zalipiu, bo dawno was nie widziałam? – zmieniła prędko temat, ponieważ zanosiło się, że przynajmniej kawałek gościńca pokonają we dwie. Rozstaje były około trzystu sążni dalej.

– Idę pomodlić się przed kapliczką Najświętszej Panienki i podziękować za zdrowie, bom cudem uszła z objęć kostuchy – oznajmiła Franka, posapując przy tym, gdyż była znacznie starsza od Bernadety, szybciej też się męczyła. – Pędzicie, jakby was licho jakieś goniło – skomentowała.

– Co wam dolegało? – zapytała zaniepokojona Betka.

– Tyfus mnie męczył. Olaboga! Takom była ladaca, że nie zdajecie sobie sprawy. W brzuchu mnie rżnęło, jakby kto cepem obił. Trzy niedziele prawie nie wstawałam z łóżka. Ale nie uleżałam spokojnie w tym bólu, takem się tolała i tolała. Jużem myślała, że będzie po mnie. – Pokiwała głową dla wzmocnienia swych słów.

– Tyfus, powiadacie? – westchnęła Trzosowa. – A czymżeście się leczyli?

– Ady naniesła mi Mietka Widłakówna ziela różnego. I dziurawca, i mięty, i rumianków. Poiłam się tymi miksturami, aż mi całkiem przeszło. A prosiłam Boga, by mnie zachował przy życiu, bo zawsze przydadzą się w domu moje ręce czy to do roboty, czy choćby do tulenia prawnuczków i wnusiów.

***

– Jest! Bogu niech będą dzięki! – wykrzyknęła Bernadeta, padając na kolana u brzegu ruczaju.

Była pewna, że jakimś łutem szczęścia trafiła w to samo miejsce, w które przed wielu laty przyprowadził ją nieboszczyk Parnicki, choć w lesie nie brakowało trzęsawisk, pomiędzy którymi wiły się strumyki i biły źródła.

Przez moment odpoczywała, spoglądając na taflę muskaną delikatnymi podmuchami wietrzyku. Odbijały się w nich promienie słońca przeświecającego pomiędzy zwisającymi nisko gałęziami drzew.

Brzuch bolał ją coraz mocniej, tylko cudem zdołała dowlec się tutaj, robiąc po drodze kilka postojów. Każdy jednak kończyła czym prędzej, gnana przeczuciem, że nie może mitrężyć czasu. Gorączka też jej doskwierała, wywołując dreszcze. Jedynie siła woli pchała kobietę do działania.

Po chwili Bernadeta wsparła się ostrożnie na dłoniach i utkwiła wzrok w chłodnej toni, szukając zarysu monstrancji. Serce łomotało jej głośno, jakby chciało wyskoczyć z piersi. A może właśnie tak dudniły dzwony na zatopionym przed wiekami kościele?

– Miłościwy Panie, błagam, niech cofnie się klątwa – prosiła żarliwie. – Przyjmij moją ofiarę, przyszłam właśnie tutaj, by prosić o zdrowie dla Zosieńki. A jeśli już potrzebujesz powołać kogoś w rajskie progi, to zabierz mnie, starą, zamiast młodej. Niechże się dziewuszka nacieszy światem, ja już swoje doświadczyłam. Życie za życie, dla równego niebiańskiego rachunku – szeptała, doszczętnie wyzuta z sił.

Modliła się jeszcze przez chwilę, a później z ciężkim stęknięciem powstała z kolan. Czekała ją droga powrotna do domu. Poprzysięgła sobie, że odbędzie ją w całości pieszo. Może ta ofiara spodoba się Stwórcy? Może dobry Bóg wejrzy łaskawie na jej prośby i przywróci zdrowie Zosieńce?

***

Prokop z zadowoleniem spoglądał na olbrzymią połać żyta falującego w złocistych promieniach słońca. Wokół uwijało się kilkanaście osób. Mężczyźni kosili zboże, za nimi szły dziewki kręcące powrósła i wiążące snopy, a dalej parobkowie, którzy ustawiali kucki. Jagna Bielak, niemłoda chłopka, grabiła starannie ścierń, by nie zmarnował się ani jeden kłos. To, co w ten sposób uprzątnęła, miała zgodnie z tradycją zaprowadzoną przez Prokopa zabrać do swego spichlerza. Ponad głowami żeńców, na nieskalanym najmniejszą chmurką niebie, majestatycznie szybowały bociany.

Hen daleko niosła się pieśń śpiewana przez niestrudzone żniwiarki:

Zachodźże, słoneczko, skoro masz zachodzić,
bo nas nogi bolą po tym polu chodzić.
Nogi bolą chodzić, ręce bolą robić,
zachodźże, słoneczko, skoro masz zachodzić[7].

Z chrzęstem opadały kolejne pokosy. Z nieba spływał niemiłosierny żar.

Trzos, który także wziął się do koszenia, odpoczywał w cieniu gruszy rosnącej na miedzy i rodzącej najsmaczniejszy owoc, jakiego zdarzyło mu się kosztować. Właściwie mógłby poprzestać na nadzorowaniu robotników, lecz nie potrafił spoglądać na innych bezczynnie. Już dawno temu nauczył Klemensa, jak należy trzymać drzewce i płynnie, a zarazem zamaszyście nim poruszać, by odkładać solidne pokosy. Zresztą przezornie wprowadzał wnuka absolutnie we wszystko, co wiązało się z gospodarstwem, włącznie z prowadzeniem księgi rachunkowej. Na szczęście młody garnął się zarówno do pracy fizycznej, jak i tej, która wymagała skupienia myśli.

– Ech, siły już nie te – sapnął, ocierając rękawem lnianej koszuli pot skraplający się na czole i skroniach.

Potrzebował ruchu, wysiłku fizycznego, odwrócenia uwagi od niewesołych myśli. On także zamartwiał się o wnuczkę, lecz w przeciwieństwie do żony uciekał w pracę.

Jeszcze przez moment obserwował zgrzebnie odziane chłopki, schylające się nad najcenniejszym darem przyrody. Spod zakasanych spódnic łyskały gołe stopy i łydki, mało która baba miała na nogach buty. Większe strojnisie paradowały w barwniejszym przyodziewku, konkurując między sobą pstrymi chustkami i licząc zapewne na to, że jakiś gładki parobek zwróci na nie uwagę. Wszak żniwa były doskonałą okazją ku temu, by upatrzyć sobie kandydatów do zakładania rodziny. Panny, którym robota paliła się w rękach, zwykle w okolicach dożynek wychodziły za mąż lub przyjmowały swatów. Nawet mniej zamożne nie musiały frasować się widmem staropanieństwa. Roztropne wybierały parobków równie pracowitych. Płoche, którym w głowie było fiubździu, szukały kawalerów pomiędzy tymi, którzy potrafili dobrze tańcować albo przyciągali wzrok miłą powierzchownością.

Po chwili wytchnienia Trzos wstał i ponownie ujął kosisko. Gdy wyszedł z balsamicznego cienia gruszy, ostro prażące słońce oślepiło go tak mocno, że pociemniało mu w oczach. Zaskoczony, zachwiał się i upadł na świeżą ścierń. Ostatnim wysiłkiem uniósł głowę. Zobaczył oddalającego się Klemensa.

Kiedy tak bardzo zmężniał ten chłopak? – zdziwił się, widząc, jak mocno rozrośnięty jest w barach i z jaką krzepą odkłada kolejne pokosy. – *Będę miał z niego pociechę na starość.*

Pieśń żniwiarek zakłócił donośny pisk jednej z nich.

– Olaboga! Pan Prokop zasłabł! – krzyknęła Jagna Bielak.

Rzuciła grabie na ścierń. A ponieważ była najbliżej, to ona pierwsza dopadła leżącego twarzą do ziemi Trzosa. Odwróciła gospodarza na plecy. Dychał jeszcze, choć wzrok miał dziwnie zmącony.

– Gospodarzu! Panie Prokopie! – Tarmosiła mężczyznę. – Ludzie! Pomocy! Dejcież wody z potoku, trza cucić gospodarza!

Zaraz dopadli do nich pozostali żniwiarze. Mężczyzna przelewał się przez ręce Klemensa, który uklęknął obok i ułożył sobie na kolanach jego głowę. Jedna z dziewek przyniosła dzban pozostawiony wcześniej w cieniu gruszy. Miała w nim trochę zimnej wody. Próbowali nią poić Trzosa, lecz wszystko mu wyciekało kącikiem ust, nie przełknął ani kropli. Ktoś poradził, by chlusnąć na twarz nieprzytomnego zawartością gliniaka, w nadziei, że to przywróci mu świadomość.

– Dawać konia z wozem! – rozkazał młody Trzos. – Trza go zawieźć do domu. Może babcia mu pomoże. Józka! – zawołał jedną z komornic. – Leć po Mietkę Widłakównę, niech weźmie jakiego ziela i jak najszybciej przyjdzie do dworu!

***

Ułożyli Prokopa na kanapie w bawialni, tam było bowiem najchłodniej.

Mężczyzna raz po raz tracił przytomność, a gdy ją odzyskiwał, nie wiedział, gdzie jest ani kto przy nim stoi.

– Gdzie ta najśliczniejsza gąseczka? – dopytywał. – Gdzie mój pączuś różany?

Dominika, która zbiegła z góry, poleciła synowi, by co koń wyskoczy gnał na Sokole do lasu Zakrzowieckiego, a po drodze wypytał kogoś, którędy na Studzieniec.

– Bez babci nie wracaj, choćby nie wiem co – pouczyła syna. Nie chciała mówić tego na głos, lecz odnosiła wrażenie, że to ostatnie chwile Prokopa. Modliła się w duchu, by zdołał dotrwać do momentu, gdy Klemens wróci z Bernadetą. – Puszczę za tobą parobków, jak tylko zejdą z pola – obiecała.

– Bernadetko… Szczęście moje, gdzieżeś ty jest? – wyjęczał Trzos słabnącym głosem. Potem stracił przytomność.

– Dopust Boży! – westchnęła Dominika.

Do córki, jako że ta czuła się jakby lepiej, wysłała komornicę. Sama została przy teściu. Ujęła jego spracowaną rękę i przycisnęła ją do ust.

Dałeś mi mocno popalić, nim żem owdowiała – przemknęło jej przez myśl. *– Ale dobry z ciebie człowiek, bo jakeś już się pogodził z moim istnieniem, to okazałeś mi wiele serca.*

Siedziała obok nawet wtedy, gdy przyszła Widłakówna. Znachorka od razu zakrzątnęła się w kuchni i z pomocą Dylówny przygotowała mocny ziołowy napar. Gdy przyszła z nim do bawialni, Trzos akurat oprzytomniał. Dominika próbowała pomóc mu się unieść, lecz był całkowicie wyzuty z sił. Pić nie chciał, bo napój go parzył.

– Dobre dziecko z ciebie – zwrócił się do sneszki. – Daruj mnie, staremu, żem bywał ci przykry.

– Nic nie mówcie, ojcze. Nie mam wam czego wybaczać – odparła przez dziwnie zdławione gardło.

– Szanuj świekrę, bo przychylna ci jest, niczym rodzona matula. Dawaj baczenie na Klemensa, by mądrze gospodarzył. Pracowity jest i niegłupi, poradzi sobie. A o Zosieńkę dbaj i nie daj jej, by szła za byle kogo za mąż – powiedział na ostatek. Potem stęknął boleśnie, przykładając dłoń do piersi.

– Co wam, ojcze? – krzyknęła przestraszona, lecz nie odpowiedział.

Dłoń Prokopa ześliznęła się bezwładnie z klatki piersiowej.

– Ojcze! Ojczulku! – Sneszka wstrząsnęła ostrożnie mężczyzną, lecz w jego znieruchomiałych oczach już zgasło światło.

***

Klemens rozglądał się bezradnie po kniei. Nie znał dobrze tego miejsca. Znacznie bliższa była mu Puszcza Niepołomicka szumiąca opodal dworku.

– Babciu! Babciu! Hop, hop! – krzyczał, a później nasłuchiwał, czy prócz echa odpowie mu ktoś jeszcze.

Nagle zdało mu się, że słyszy cichy jęk gdzieś w pobliżu.

– Babciu! Wyście to? – zawołał.

Uwiązał konia do gałęzi, po czym dał nura w krzaki. Zaklął pod nosem, gdy wpadł jedną nogą do strumyka, lecz już po chwili zapomniał o niedogodności, gdyż dostrzegł zwiniętą w kłębek postać, leżącą na brzegu ruczaju.

– Babciu! Babciu! – ucieszył się, rozpoznawszy Bernadetę.

Dopadł jej kilkoma krokami.

– Wojtuś? – zdziwiła się, unosząc głowę.

Miała ubłoconą suknię. Jej bose stopy były poranione i brudne. Trzewiki musiała gdzieś zgubić. W rozczochrane włosy wplątały się jakieś leśne paproszki. Mimo wszystko w jej oczach widział blask szczęścia.

– Znalazłam źródło, synusiu. Klątwa oddalona – oznajmiła z dumą. A potem uniosła się na ręce i zwymiotowała.

Młody doskoczył bliżej. Zaczerpnął garścią wody, aby ją napoić. Pociągnęła łyk i wypłukała usta. On ponownie pochylił się nad strumykiem, by obmyć twarz babci. Zaskoczył go żar bijący od jej ciała, złożył go jednak na karb zmęczenia wędrówką przez bagienne, leśne ostępy.

– Wracajmy do domu, babciu. Tam – wskazał dłonią za kępę krzaków – czeka Sokół.

– Nie potrzeba mi konia – odparła Bernadeta, usiłując się podnieść. Niestety zabrakło jej sił. Jęknęła przeciągle, gdyż żołądek znowu przypomniał o sobie potwornym bólem. Wyczerpana, ponownie opadła na omszały brzeg potoku.

– Co wam dolega? – zmartwił się chłopak. – Też zapadliście na tyfus? – próbował odgadnąć.

Bernadeta ze smutkiem przytaknęła.

– Daj mi chwilę odsapnąć – odparła. – Zaraz ruszymy do domu. Dobrze byłoby zdążyć przed Prokopem. A tak właściwie co tu robisz? – zdziwiła się. – Prokop cię przysłał? – zapytała z trwogą, zakładając, że mąż musi być na nią bardzo zagniewany.

– Nie. Mama mi powiedziała, gdzie cię znajdę.

– Coś się stało w domu? – zdenerwowała się Bernadeta. – Zosia?

– Zosia poczuła się nieco lepiej, gdym wyjeżdżał – odparł wymijająco. Nie chciał martwić babci i wspominać jej o zasłabnięciu dziadka.

– Bogu niech będą dzięki! To pewnie stało się wtedy, gdy usłyszałam dudnienie dzwonów – stwierdziła. Uśmiechnęła się blado. – Usiądź na chwilę, Wojtuś. Zaraz pójdziemy – oznajmiła. – Trzeba by jeszcze zajrzeć do Słomiroga, do prababci Zenobii. Dawno u niej nie byliśmy, pewnie tęskni za nami – mówiła niepodobnym do siebie głosem.

Wnuk zdrętwiał. Babcia wyraźnie bredziła, skoro pomyliła go ze swoim synem i wspomniała o nieżyjącej prababci. Usiadł na ziemi obok Bernadety i pomógł jej się unieść na tyle, by ułożyła głowę na jego kolanach. Pogłaskał zwichrzone siwe włosy, wyplątując przy okazji część paproszków.

– Och, babciu – westchnął cichutko.

Pomyślał, że za wiele tego jak na jeden dzień. Najpierw trzymał w ramionach słabnącego dziadka, a teraz ona poważnie niedomagała!

– Błagam, babciu, nie zasypiajcie – poprosił, widząc, że Bernadeta zamyka oczy. – Musimy wracać do domu. Dziadek na was czeka. Proszę! Nie zasypiajcie. – Poklepał ją po zwiędłym policzku.

– Dom. Mój dom – wyszeptała kobieta. Jej twarz rozjaśnił uśmiech, jakby nagle przeminął cały ból. – Jak dobrze znowu cię widzieć, Prokopie.

Nagle Klemens odniósł wrażenie, że głowa babci zrobiła się znacznie cięższa niż przed momentem.

– Babciu! Babciu! – jęknął, pochylając się nad martwą kobietą.

***

– Jak to: nie żyją? – Cecylia struchlała. – Obydwoje? Zmarli obydwoje? Tak po prostu? – zasypała Jędrka Dyla pytaniami.

Chłopak kilka minut temu przyjechał konno z dworku Trzosów, przywożąc hiobowe wieści. Do Parnickiej wysłała go Dominika, mając w pamięci zarówno niegdysiejszą zażyłość świekrów ze szlachcicami, jak i to, że Prokop, mimo rządów Marcela Branickiego, z plenipotencji Cecylii wciąż dzierżawił część jej gruntów.

Wprawdzie wówczas, gdy przed laty Trzos przyszedł ze swym wyjątkowo nietaktownym problemem, Parnicką korciło, by wypowiedzieć mu umowę, lecz ostatecznie nie zakończyła współpracy. Nie chciała wyjść na małostkową, nie szukała zemsty za zadawnioną krzywdę, nie zamierzała szkodzić człowiekowi, który przez lata był dla niej wielkim oparciem. Dobiegły tylko końca wspólne herbatki i spotkania towarzyskie. Winna czy nie, Bernadeta wzbudzała bolesne wspomnienia.

Jędrek grzecznie zaspokoił ciekawość leciwej damy. Poinformował ją o pogrzebie mającym odbyć się w Niepołomicach. Potem pożegnał się grzecznie i odjechał, zostawiając skonsternowaną Cecylię. Kobieta natomiast opuściła kantorek, w którym przyjęła umyślnego, i wróciła do bawialni, gdzie jak każdego wieczora rozsiadła się cała familia wraz z licznymi rezydentami, pomiędzy którymi osobliwie brakowało Justyny, ta bowiem opuściła ziemski padół jakiś czas temu. I choć w ostatnich latach życia bardziej przypominała swym wyciszeniem ducha niż istotę z krwi i kości, Cecylia z zaskoczeniem rozmyślała o tym, że właściwie za nią tęskni, gdyż pośród innych czasowych i stałych mieszkańców dworu ta najlepiej pamiętała dawne czasy i bolesne wydarzenia.

– Filutko, Filutko! – zwróciła się Parnicka do córki zajętej haftem na sporej kanwie. – Nie wyobrażasz sobie nawet, co się stało!

Filomena spojrzała na zaaferowaną matkę. Z jej miny wnioskowała, że chodzi o coś niebagatelnego.

– Nie trzymaj mnie w napięciu – odparła.

– Dasz wiarę, że państwo Trzosowie nie żyją?

– Trzosowie? – powtórzyła za nią Branicka. – Chodzi o Bernadetę i Prokopa?

– Owszem.

Opowiedziała córce o znanych sobie szczegółach.

– A to przykre – odparła z zadziwiającym spokojem Filomena, jakby cała ta historia w ogóle jej nie poruszyła.

– Niesamowite – stwierdził Branicki. – Ależ oni musieli się kochać, skoro nawet zmarli tego samego dnia, jakby jedno nie potrafiło przeżyć bez drugiego. Ach… Widziałem miłość w ich oczach. Piękną, godną podziwu i szacunku. Jak oni zawsze na siebie patrzyli! Daj Boże każdemu takiego przywiązania. W naszej sferze rzadko widuje się małżonków, którzy przez tak długi czas są wierni swym uczuciom.

– Masz na myśli kogoś konkretnego, mężu? – zagadnęła przysłuchująca się jego słowom żona. – Dajesz mi powody do niepokoju?

– Ależ nie! – zaprotestował żywo, czując, że palnął głupstwo. Nie powinien był w ogóle podnosić tego tematu przy ślubnej, gdyż odnosił niejasne wrażenie, że Filomena nie przepada za Trzosami. – Nie o nas mi chodziło.

Cecylia nie skomentowała słów mężczyzny, choć dały jej mocno do myślenia. *A może wtedy zbyt surowo oceniłam Bernadetę? Może skrzywdziłam ją moimi podejrzeniami? Wyrządziłam jej przykrość, z chwilą gdy poniechałam zapraszania jej do nas* – westchnęła nieznacznie.

– Tak czy owak wraz z ich śmiercią kończy się jakaś epoka – skwitowała.

Wiedziała, że po pogrzebie czeka ją spotkanie z młodziutkim hm… dziedzicem Trzosów. Czy powinna wypowiedzieć mu dzierżawę swych gruntów? Tak niedoświadczony gospodarz może nie podołać uprawie znacznego areału. Nie miała pojęcia, na ile obeznany jest ze sprawami gospodarczymi i czy w ogóle Prokop wdrożył go w swoje obowiązki.

***

Pogrzeb Trzosów, choć wypadł na samym początku żniwnego czasu, przyciągnął mnóstwo ludzi. Niepołomicki kościół nie był w stanie pomieścić całej ciżby. W środku zajęli miejsca przede wszystkim krewni zmarłych, przyjaciel Zygmunta z zakonu brat Alojzy Kosiba[8], włodarze miasta, urzędnicy z żonami, nauczyciele, familia aptekarza i okoliczne ziemiaństwo. Wiele szlachetnie urodzonych osób przybyło, by pożegnać tak znamienite persony. Do niewielkiego wnętrza wcisnęło się także kilku kupców oraz zamożniejszych kmieci. Zagrodnikom i komornikom zostały miejsca na zewnątrz – stali w otwartych drzwiach świątyni. Pomiędzy żałobnikami nie zabrakło Żydów, choć ci zwykle nie interesowali się pochówkami gojów. Prokop był jednak człowiekiem, którego znali chyba wszyscy ludzie w okolicy – i panowie, i biedacy.

Dominika przewidziała, że pogrzeb może przyciągnąć tłum ludzi, więc zawczasu poleciła, by przygotowano dwie stypy. Pierwszą dla rodziny i bardziej znamienitych gości w dworku. Drugą zaś w karczmie Lewiego Mojsiejowicza dla chłopów z najbliższej okolicy oraz komorników. Szczodrze wynagrodziła za to Żyda, polecając mu, by nie skąpił jadła i napitków.

***

Wieczorem, gdy dwór częściowo opustoszał, Klemens wymknął się na zewnątrz. Usiadł na ławce przy ganku i pogrążył się w niewesołych rozmyślaniach. Z dnia na dzień stanął w obliczu wielkiego wyzwania, na które tak właściwie wcale nie był gotów. Miał zaledwie osiemnaście lat. Do niedawna uczęszczał do szkoły. Owszem, lubił pracę w gospodarstwie, od dawna miał świadomość, że odziedziczy je po dziadku. Nie przypuszczał jednak, że tak szybko nadejdzie ten moment.

Pochylił się i ukrył twarz w dłoniach. Miał nadzieję, że nikt nie przyłapie go na chwili słabości, bowiem w oczach zakręciły mu się łzy. Tęsknił za niespodziewanie zmarłymi dziadkami, bał się czekających go

wyzwań. Czuł ciężar spoczywającej na nim odpowiedzialności za majątek, bliskich, za wszystko.

Drgnął nerwowo, gdy poczuł na ramieniu dotyk czyjejś dłoni. Podniósł głowę, szybko ocierając policzki.

– Wuj Zygmunt? – wyraził zdziwienie, gdyż wydawało mu się, że nikt nie zauważył, jak chyłkiem opuszcza jadalnię.

– Posiedzę tu trochę z tobą – oznajmił mnich, moszcząc się obok. – Wieczór piękny, noc gwiaździsta, przyjemniej tutaj niż w dusznych pokojach. Odwykłem od zbytków. Też potrzebuję chwili wyciszenia.

– A brat Alojzy?

– Ech… Ten jest w swoim żywiole. – Mężczyzna odziany w czarny habit przewiązany jasnym sznurem machnął lekceważąco ręką. – Zgromadziło się tam trochę zamożnych ludzi, więc zaraz wykorzystał okazję do kwestowania na rzecz ubogich. Ale mniejsza o to. A ty co tak tkwisz tu samotnie, hę? Tęskno ci za dziadkiem i babcią? – próbował zgadywać.

– A tęskno – przyznał młody. – No i teraz się frasuję, jak podołam wszystkiemu sam, bez pomocy dziadka. Kiedyś myślałem, że gdy już przejmę gospodarstwo, to on jeszcze niejeden raz mi doradzi. Że podpowie, jak dopilnować majątku, ludzi, trzody… Sprawdzi, czy dobrze prowadzę księgę rachunkową. Tak nagle to na mnie spadło… – urwał.

Wuj otoczył go ramieniem.

– Nie martw się, młody. Podołasz. Zaufaj sobie oraz intuicji. Od małego przyglądałeś się poczynaniom dziadka. Na pewno wiele zapamiętałeś. Znasz cykl natury, on jest odwieczny, niezmienny. A jeśli będziesz potrzebował rady, ja mogę ci służyć pomocą. Mnie też kiedyś ojciec przyuczał do objęcia majątku, lecz głos Ojca Niebieskiego okazał się silniejszy niż wołanie matki ziemi.

– A księga?

– Będzie trzeba, to sprawdzę. Akurat rachunki szły mi niezgorzej. Ze wszystkich zajęć to było dla mnie najmniej uciążliwe. Możesz na mnie liczyć, młody człowieku. Teraz ty jesteś głową rodziny, Klemensie Trzos. Musisz zatroszczyć się o siostrę i o matkę. Będzie dobrze, uszy do góry.

– Ech… Chciałbym mieć tyle pewności co wy, wuju. Za dużo tego. Dziadek zasłabł przy mnie, babcia skonała na moich rękach. Do tej pory nie mogę uwierzyć, że byłem świadkiem ostatnich chwil ich życia. Pusto bez nich w domu i smutno. Mama się frasuje, Zośka beczy, bo nie pożegnała ani babci, ani dziadka. Matula nie dała jej pójść na pogrzeb, bo wciąż jest za słaba, by wstawać z łóżka. Ale teraz, gdy już wraca do zdrowia, ubzdurała sobie, że chce do klasztoru, najlepiej do Staniątek. Przybyło mamie kolejne zmartwienie, bo wolałaby, żeby Zocha została w domu, a w swoim czasie wyszła za mąż. Ja też tak uważam. Nie chcę zostawać całkiem sam – wyznał. – Boję się, że spotka mnie coś złego i przepadnie dorobek życia wielu pokoleń Trzosów. Dziadek często mówił o tym, jak ważne jest, by przetrwał nasz ród.

– Tak, pamiętam. Mnie też wciąż to powtarzał. Dalibóg Trzosowie przetrwają – powiedział z niekłamanym optymizmem.

Zamilkli obydwaj, każdy pogrążył się w zadumie. Właściwie Zygmuntowi było żal bratanka, gdyż na młodego spadła wielka odpowiedzialność. Sam uciekł przed tym losem, mógł żyć po swojemu, zgodnie z podpowiedziami serca, choć droga, którą sobie wybrał, nie należała do najłatwiejszych. Przyzwyczajony od najmłodszych lat do wygód i dobrego jadła, początkowo z trudem znosił surowe, klasztorne warunki. Nauczony, że ma mu kto usługiwać, sam teraz był sługą. A mimo to był zdecydowanie szczęśliwszy niż wtedy, gdy ojciec chciał go żenić i osadzać na gospodarstwie.

Klemensowi przypadła w udziale moja dola – pomyślał. – *Gdyby nie mój upór, dzisiaj to na mnie spoczywałby ciężar doglądania ojcowizny i przekazania jej przyszłym pokoleniom.*

Podzielił się tą myślą z młodym.

– Jesteście szczęśliwi, wuju? – zagadnął chłopak, sięgając za pazuchę po cygaretkę. Poczęstował Zygmunta, który nie odmówił. Po chwili obydwaj zaciągali się cierpkawym dymem dobrego tytoniu.

– Tak – odparł flegmatycznie mnich. – Wiem, że komuś postronnemu trudno to zrozumieć, lecz uważam się za szczęściarza, choć nie jestem panem samego siebie i żyję w ubóstwie. Nie nadawałem się jednak na ziemianina, którym chciał mnie widzieć ojciec. I cieszę się, że postawiłem na swoim. Zresztą nie ja jeden postąpiłem wbrew woli rodziców. Miałem niegdyś kolegę, który pragnął zostać komediantem. Siłą rzeczy, ojciec nie chciał mu na to pozwolić, twierdząc, że taki zawód przyniesie hańbę familii. Ale Ludwik się uparł i pewnego dnia po prostu uciekł z domu.

– Zdołał spełnić swe marzenie? – zapytał zaintrygowany młodzian.

– No ba! Dzisiaj występuje na deskach teatralnych w Krakowie. Spotkałem go jakiś czas temu, gdy wrócił z wędrówki z obwoźnymi teatrzykami. Choć miał za sobą liczne niewygody, twierdził, że jest usatysfakcjonowany, ponieważ zajmuje się tym, co go cieszy. I że warto było walczyć o swe marzenie. A ty o czym marzyłeś jako dzieciak?

– Właściwie chyba zawsze chciałem być taki jak dziadek. Imponował mi pod każdym względem, choć bywał surowy, a w szczególności dla mamy.

– Czyli jesteś właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. Wiem, że masz znacznie więcej serca dla tej ziemi, niż miałem ja czy twój ojciec. Tato nieraz mówił o tym, że będzie z ciebie gospodarz, jak się patrzy. Teraz trochę cię to przeraża, bo z dnia na dzień zostałeś dziedzicem. Może nie tak wielkim jak panowie szlachta, ale jednak. No… Powiedz: czyż nie myślałeś o takiej przyszłości?

– Właściwie tak. Nie znam innego życia i nawet nie tęsknię za innym – przyznał.

– Uff… Jak dobrze, że chcesz kontynuować tradycje naszego rodu. To już połowa sukcesu. Resztę osiągniesz, wyzbywając się strachu. Jesteś młody, świat stoi przed tobą otworem. Twój dziadek był szanowanym

obywatelem, można więc się spodziewać, że i tobie ludzie będą życzliwi. Nazwisko zobowiązuje, nie zapominaj o tym. Nie pozwól, by przestano szanować Trzosów w gminie.

– Dziękuję, wuju. Jakoś mi tak lżej na duszy. A wiesz, czemu pytałem, czy jesteście szczęśliwi?

– Przypuszczam, że chodzi ci o plany twojej siostry.

Klemens pokiwał głową.

– Tak. Chcę, by było jej w życiu jak najlepiej. Nie jestem pazerny, gdyby powiedziała, że zostaje w domu, przeznaczyłbym dla niej hojny posag, bo o ile wiem, dziadek tego nie zrobił, choć pewnie już o tym myślał.

– Wstępując do klasztoru, też winna wnieść posag, choć przypuszczam, że naszego słowiczka siostrzyczki wzięłyby i bez tego. Wiem, że w Staniątkach kładzie się duży nacisk na umiejętność pięknego śpiewu oraz znajomość nut.

– O to akurat babcia zadbała. Jako że na guwernantkę nie było dość pieniędzy, posyłała Zochę do organisty z Niepołomic na lekcje.

– Dobrze to sobie umyśliła. Ech, matula… Jaki ona miała głos! Jakże pięknie ona śpiewała! – wspomniał z rozrzewnieniem.

– Prawda! Babcia to potrafiła tak śpiewać, że coś za duszę targało i przesuwało ją do gardła. Będzie mi brakowało jej piosenek, bo umilała nimi sobie i nam każdą chwilę. To po niej Zośka odziedziczyła talent.

***

Zosia, jak na „pannę do zakonu się mającą” była gruntownie wykształcona. Od kandydatek do postulatu wymagano biegłego czytania oraz pisania zarówno w języku polskim, jak i po łacinie, a przede wszystkim umiejętności solmizowania i śpiewu. Ten ostatni przychodził Trzosównie z taką łatwością, że słuchające jej benedyktynki wzdychały z ukontentowaniem.

– Ta będzie pięknie chwalić Boga pieśnią.

Nieco gorzej rzecz miała się z łaciną, lecz od czego była przyklasztorna szkoła, w której dziewczyna już wcześniej pobierała lekcje?

Dominice z trudem przychodziło zaakceptowanie planów córki, zdecydowanie wolałaby ją zatrzymać w domu. Wszak miała tylko tę dwójkę: Klemensa i Zochę, a prócz nich żadnych bliskich. Bo rodzina teścia już dawno powymierała, Kołodziejowie trzymali się trochę na dystans, zresztą mieszkali zbyt daleko, by można było ich codziennie widywać, a już z własnymi krewnymi Trzosowa w ogóle nie miała do czynienia od wielu lat.

Po ucieczce tylko raz zajrzała do rodzinnej chałupy. To było krótko po tym, jak powiła pierworodnego. Myślała, że dzieciak pogodzi ją z rodzicami, lecz starzy mieli zatwardziałe serca. Wyklęli ją za to, że była nieposłuszna i związała się ze zbójem, bo ostatecznie ktoś im doniósł o komitywie córki z Wojtkiem. Było dla nich bez znaczenia, że zamieszkała u jego rodziców. Nie miała dość odwagi, by zdradzić im, kim tak naprawdę są świekrowie. Bała się, że w swej zaciekłości mogliby zaszkodzić Trzosom. A ona już zdążyła przyzwyczaić się do wygodnego życia w małym dworku i znacznie lżejszej pracy, gdyż cięższe roboty wykonywali komornicy. Tak czy owak ojciec pokazał jej drzwi od chałupy, kazał się wynosić i więcej nie pokazywać na oczy.

Nie tęskniła za nimi szczególnie mocno, zwłaszcza że Bernadeta nie skąpiła jej takich czułości, jakich próżno oczekiwała od rodzonej matki.

Kiedy więc została w domu sama z synem, zrobiło się w nim zatrważająco cicho. Służba mieszkała w starej chałupie, a oni obijali się po pustych pokojach, których było dla nich zdecydowanie za wiele.

Rozdział 3.

Upiory

Fragment jednego z nagrobków na niepołomickim cmentarzu.

Rok 1901

– Aż wierzyć się nie chce, że mamy nowy wiek – stwierdził Marcel Branicki krótko po spełnieniu noworocznego toastu.

– Pozostaje tylko pytanie, co przyniesie nam kolejne stulecie – odparł Juliusz.

– Trzeba wierzyć, że upragnioną wolność. Jesteśmy pod zaborami zdecydowanie za długo. Wszak już blisko sto trzydzieści lat temu zaczęło się rozszarpywanie naszej ojczyzny… Trochę pokoleń zdążyło się narodzić, kilka odeszło. Nikt z nas nie zna smaku prawdziwej wolności.

– Może nasze dzieci będą miały okazję, by go poznać?

W minionych latach Juliusz dochował się syna Gerarda, teraz osiemnastoletniego młodzieńca, który wciąż pobierał nauki w gimnazjum w Krakowie, a w przyszłości miał wstąpić na uniwersytet, oraz Matyldy, szesnastoletniej już panienki marzącej o studiach medycznych, prawdziwej emancypantki, idącej z duchem epoki. Marcel z Filomeną doczekali się Wiktora, który ukończył dwadzieścia lat, więc jako dorosły kawaler wraz z rodzicami bawił się na przyjęciu wydanym w dworze Branickich, druga ich pociecha, niespełna osiemnastoletnia Leokadia liczyła na to, że tegoroczny karnawał będzie jednocześnie jej debiutem towarzyskim, a jedenastoletni Henryk wciąż pozostawał pod opieką guwernera. Mieli więc szwagrowie dla kogo snuć plany o wolności, popijając wybornego szampana i zerkając na damy strojne w najpiękniejsze kreacje.

O ile dla Filomeny i Augusty zmieniająca się moda była przyjemną odmianą po ciężkich sukniach wymagających tiurniur czy krynolin, to leciwa głowa rodu, Cecylia, wciąż nie mogła zaaprobować zmieniającej

się linii sylwetki, która nakazywała, by spódnice zdecydowanie zbyt mocno przylegały do bioder. Dla osiemdziesięcioletniej matrony było to odzienie zdecydowanie nieskromne, choć noszone obecnie suknie dość szczelnie osłaniały ciało, począwszy od sięgających niemalże brody szmizetek, a skończywszy na długich, rozkloszowanych spódnicach przywodzących na myśl odwrócony kielich kwiatu.

Wdowa nie brała udziału w tańcach, lecz z niekłamaną przyjemnością obserwowała zabawę licznie zaproszonych gości, gawędząc z innymi paniami obserwującymi młódź zza wspaniałych wachlarzy malowanych w przyrodnicze ornamenty bądź wykonane z pawich piór. Wśród statecznych dam snuto domysły na temat spodziewanych zaręczyn, typowano panny, które szybko powinny znaleźć starających się o nie kawalerów, oraz te, którym upolowanie męża zajmie zdecydowanie więcej czasu. Cecylię znudziło to pełne próżności targowisko małżeńskie, przywodzące na myśl nader krytyczną i wciąż modną powieść Williama Makepeace'a Thackeraya, w której zaczytywała się z lubością, odnajdując na jej kartach wiele analogii do życia polskich wyższych sfer. Sama nigdy do końca nie poczuła się szlachcianką, od dawna nie była także kupcówną. Z wiekiem nabyła znacznego dystansu do podziałów społecznych, co pozwalało jej na coraz łatwiejsze funkcjonowanie w towarzystwie.

Znacznie bardziej od salonowych plotek interesowała ją rozmowa prowadzona przez syna i zięcia, więc przysłuchiwała się teraz, jak gładko przeszli od marzeń o wolności do tematów stricte politycznych.

– Wiesz – mówił Juliusz, zwracając się do szurzego, gdyż stali samotnie, z dala od innych dżentelmenów, obserwując własne, nieźle bawiące się żony – wstąpiłem do partii politycznej.

– Do partii? – wyraził zdziwienie Marcel. – Mam nadzieję, że nie do żadnych proletariatów.

– Ależ! Znasz mnie nie od dziś, dobrze wiesz, że ideowo daleko mi do socjalistów. Zresztą ich poglądy nie służą moim interesom. Wstąpiłem do Narodowej Demokracji, choć koncepcja panslawizmu[9] jest dla mnie

wielce dyskusyjna, ponieważ tak naprawdę jedni z naszych ciemiężycieli także są Słowianami. A ja nie chcę komitywy z Petersburgiem. Nie jestem też antysemitą, wszak robię liczne interesy wśród Żydów.

– Co cię więc skłoniło ku temu, skoro w sporej części przeciwny jesteś poglądom głoszonym przez członków tej partii?

– Dążenia narodowościowe. W przeciwieństwie do naszych przodków, którzy nieco lekkomyślnie przelewali krew na polach bitewnych, my chcemy legalną drogą odzyskać niepodległość. Bez wzniecania powstań, bo te nigdy nam nie wychodziły – odparł Juliusz, podkręcając starannie przystrzyżonego wąsa.

– Tak, tak… Od lat się o tym mówi. A ja odnoszę wrażenie, że na czczym gadaniu wszystko się zaczyna i kończy.

– Mylisz się, Marcelu. Okopałeś się na prowincji, tutaj zapewne echo naszych działań dociera w znacznie mniejszym stopniu, więc nie wiesz, że mamy naprawdę aktywnych działaczy. Dmowski[10] dąży do tego, by w Kongresówce przywrócono nasz ojczysty język jako urzędowy. Musimy dbać, by polska mowa nie zaniknęła, podobnie jak kultura i sztuka, bo to zapewnia nam zachowanie tożsamości narodowej.

– Ależ Juliuszu! Nie myśl, że prowincja odcięta jest od świata. Wszak mieszkamy niemalże u stóp Krakowa. I tutaj wiele się dzieje. Bywam w gospodzie, wiem, co w trawie piszczy, bo kmiecie najchętniej gwarzą przy okowicie. I u nas nie brak polityki, choć w dużej mierze to chłopi nadają jej ton, przystępując do ruchów ludowych. Odnoszę wrażenie, że w Galicji ten ruch świetnie się rozwija i rośnie w siłę.

– No tak, ale Stronnictwo Ludowe walczy przede wszystkim o prawa polityczne i obywatelskie oraz poprawę warunków ekonomicznych chłopów. Mało w tym dążeń narodowościowych.

– Przyjdzie czas i na to. Na razie ważna jest dla nich możliwość kandydowania w wyborach. Pierwsze sukcesy odnieśli, gdy dziesięć lat temu Jan Potoczek[11] został posłem austriackiej Rady Państwa. Kto

kiedyś pomyślałby o tym, że kmieć zajdzie równie wysoko? Jeszcze nie tak dawno chłopi zobligowani byli do głosowania na przedstawicieli kleru bądź szlachty, a oni, jak wiadomo, mieli rozbieżne interesy.

– Ha! Marcelu, przemawia przez ciebie rasowy ludowiec – odparł Juliusz.

– Nie. Ja mówię ci wyłącznie o tym, co obserwuję na moich włościach. Zresztą chyba dla nikogo nie jest tajemnicą, że los prostaczków nigdy nie był mi obojętny i na wszelkie sposoby próbuję go poprawić, krzewiąc edukację i walcząc z zabobonem. Ty wiesz, jak mocno wśród gminu zakorzenione są różnego rodzaju gusła? Ile trzeba prostakom tłumaczyć, że życie w brudzie jest niezdrowe i nie należy bać się wody? Że znachor nie uleczy skutecznie ciężkich chorób, a dzieciaki powinny uczyć się czytać i pisać, by im kiedyś było łatwiej w życiu? – mówił zapalczywie.

– Oczywiście zdaję sobie sprawę, że wieś boryka się z własnymi problemami i że przed tobą stoją zupełnie inne wyzwania niż przede mną. Mnie socjaliści szkodzą, bo domagają się praw rujnujących moje interesy. A tobie ruch ludowy zdaje się nie przysparzać szkód, skoro masz o nim tak pochlebne zdanie.

– Moi drodzy! – Cecylia uznała za słuszne wtrącenie się w dyskusję, która wolnym krokiem zmierzała ku kłótni. – Nie czas na spory polityczne, odłóżcie to na później. Damy czekają. – Wskazała wachlarzem Filomenę, którą wyraźnie emablował jej niegdysiejszy adorator, Ildefons Ostrowski.

Marcel zmarszczył brwi, widząc kuzyna szepczącego coś na uszko jego żony. Bo Filutka nawet w słusznym wieku czterdziestu siedmiu lat wyglądała zjawiskowo, a wciąż piękną figurę potrafiła podkreślić najmodniejszymi kreacjami, nie ustępując niczym wielkomiejskiemu szykowi Augusty Parnickiej.

***

– Szkoda, że nie zdecydowałeś się na to, by zabrać Leokadię na bal debiutantek do Wiednia. Tam każde wydarzenie ma większy rozmach i splendor – wzdychała Filomena, gdy jechali dorożką na zabawę karnawałową, która dla córki miała być pierwszym występem w wielkim świecie.

W czasie gdy rodzice debatowali nad wyższością debiutu w Krakowie, za którym obstawał ojciec, nad debiutem w Wiedniu, na który nalegała matka, dla panny Branickiej większą troską było, czy odnajdzie się na balu. Wszak musiała zważać na wiele rzeczy, łącznie z trenem skromnej jasnobłękitnej sukni balowej, który ktoś niezdarny mógłby jej przydepnąć podczas tańca.

Leokadia siedziała obok Wiktora. Z całej siły zaciskała dłonie ukryte w futrzanej mufce. Choć panował ziąb, nie odczuwała dyskomfortu, gdyż cała jej uwaga skupiona była wokół czekającej ją zabawy. Ekscytacja mieszała się ze zdenerwowaniem, bowiem matka zdążyła po wielokroć napomnieć pannicę, jak winna się zachowywać. Została więc pouczona, że ma tańczyć z absolutnie każdym dżentelmenem, który wyrazi taką chęć, ponieważ odmowy są w złym tonie. Nieważne: stary czy młody, przystojny czy nie. I nie powinna dać po sobie poznać przykrości, gdyby do białego rana przyszło jej stać pod ścianą, gdyż kawalerowie bywają kapryśni i nie każdą pannę obtańcowują jednakowo. Ma się więc nie dąsać, okazywać pogodną twarz i ze spokojem oczekiwać, aż ktoś zwróci na nią uwagę.

W ten oto sposób prysła cała radość z zabawy, ustępując miejsca strachowi, że trafi jej się tancerz o nieświeżym oddechu, zbyt tęgi lub mikry wzrostem, albo starzec sapiący niczym miech kowalski. A w najgorszym razie spędzi całą noc na oczekiwaniu, czy zostanie zauważona. Na dodatek wszystko służyć ma temu, by w miarę prędko mogła znaleźć męża.

To ostatnie na razie wcale jej nie pociągało. Wprawdzie od dawna pod czujnym okiem matki oraz ochmistrzyni poznawała tajniki prowadzenia domu, lecz myśl o tym, że miałaby się z kimś związać na

całe życie, trochę ją przerażała. Nie czuła się jeszcze gotowa do zamążpójścia. I czasami wręcz zazdrościła młodszej o dwa lata kuzynce, która wydawała się znacznie dojrzalsza od niej, a przynajmniej sprawiała wrażenie kogoś, kto wie, czego pragnie od życia. Bo Matylda już teraz twierdziła, że nigdy przenigdy nie wyjdzie za mąż, ponieważ zamierza studiować medycynę.

Brr! Aż tak ekstremalnych wizji Lodzia nie miała, wystarczająco przerażały ją opowieści brata o zajęciach w prosektorium, krojeniu trupów i innych potwornościach. Oczywiście Wiktor nigdy nie opowiadał o tym, gdy byli w obecności rodziców. Ale czasami udawało jej się pociągnąć go za język na stronie. I nie była zdziwiona, gdy po roku porzucił medycynę na korzyść nauk przyrodniczych, które uznał za wartościowsze z punktu widzenia przyszłego ziemianina.

Nareszcie dotarli na miejsce.

Gdy uwolnieni od płaszczy weszli do sali balowej, w której przewidziano tańce dla kilkuset osób, Leokadia poczuła onieśmielenie. Stwierdziła, że wygląda nader ubogo w porównaniu z damami odzianymi w pyszne toalety i skrzącymi się blaskiem klejnotów. Jej za całą ozdobę musiała wystarczyć wstążeczka zawiązana na szyi. Oczywiście matka nie wyraziła zgody na wzbogacenie stroju piórami czy innymi dodatkami.

Ech, pozostanę zupełnie niezauważona – westchnęła, ściskając kurczowo w dłoni karnecik, w którym miała wpisany jedynie taniec z ojcem, a dalej w pewnym odstępie z Wiktorem. Czy zdoła wypełnić luki pomiędzy nimi?

Jej obawy rozwiały się bardzo prędko. Bo o ile część pannic rzeczywiście nudziła się, stojąc pod ścianą, to przyniesiony przez nią notesik balowy dość szybko zapełniony został wpisami, przy czym kilkakrotnie pojawił się w nim Hieronim Michalski, choć akurat to nie wprawiło Lodzi w zachwyt. Niby nic konkretnego nie mogła mu zarzucić: wyglądał dość zwyczajnie, był średniej postury szatynem o nieco wyłupiastych oczach, lecz wzbudzał w niej lekką niechęć. Być

może wpływ na to miał fakt, że w tańcu jego dłoń zbyt mocno ściskała jej palce. Może to, że wciąż szukał jej wzroku lub taksował jej figurę natrętnymi spojrzeniami, nie kryjąc zainteresowania niewielkim dekoltem sukni, pod którym znać było delikatnie zarysowane kobiece kształty.

– Czy będę mógł odwiedzić pannę Leokadię po zakończeniu karnawału? – zapytał w pewnym momencie.

Odczuwała wielką pokusę, by odpowiedzieć, że nie wyraża na to zgody, lecz pech chciał, że akurat odprowadził ją na fotel stojący pod ścianą, tuż obok miejsca, w którym zgromadzone były stateczne damy, głównie matki panien na wydaniu. I oczywiście w rozmowę włączyła się Filomena, a ta akurat znała państwa Michalskich.

– Ależ oczywiście, panie Hieronimie – odparła, ciesząc się, że latorośl zwróciła na siebie uwagę skądinąd dość atrakcyjnego kawalera. – Zapraszam serdecznie wraz z rodzicami. Zwykle przyjmujemy gości we wtorki oraz soboty, ale będzie pan mile widziany w każdy dzień.

– *Madame*, serdecznie dziękuję. Nie omieszkam skorzystać z zaproszenia. Wierzę, że będziemy mieli okazję do spotkania jeszcze tu, w Krakowie, podczas karnawału. Panie oczywiście zostają do końca?

– Taki mamy zamiar. Dla Leokadii to pierwszy sezon, więc pragnę, by jak najprzyjemniej spędziła ten czas i nie zamierzam go skracać przedwczesnym powrotem na wieś.

W rzeczy samej przygotowania do wizyty w Krakowie trwały ładnych parę miesięcy. Braniccy wydali fortunę na piękne stroje oraz niezbędne dodatki, bez których dobrze urodzona i posażna panna nie może się pokazywać w wielkim świecie. Wypadało więc zrobić należyty użytek z całego tego arsenału sukni, koronek, kapeluszy, wachlarzy, trzewiczków i innych kosztownych bzdurek.

– Doskonale. – Mężczyzna skinął głową. – Za pozwoleniem, oddalę się teraz, lecz liczę na kolejne tańce, które zanotowałem pannie w kajecie.

Lodzia, trącona delikatnie w bok przez matkę, potwierdziła gotowość dalszej zabawy.

Hieronim oddalił się w kierunku sąsiedniego pokoju, gdzie z kieliszkiem alkoholu w dłoni oraz cygarem w ustach zamierzał wziąć udział w kilku partyjkach wista. Nie interesowały go tańce z innymi pannami, wystawionymi przez własne matki pod ścianą sali balowej niczym towar oferowany na sprzedaż, od dawna bowiem pokpiwał z tej osobliwej giełdy matrymonialnej. Ale młoda Branicka ze swym anielskim wdziękiem od razu wpadła mu w oko. Ponadto, nim matki przedstawiły sobie młodych, usłyszał od swojej, że warto na tę małą zwrócić uwagę ze względu na spodziewany dość ładny posag.

***

Dawne włości Żelechowskich marniały. Ziemia od wielu lat nie miała dziedzica. Nigdy nie ustalono, co się stało z Maksymilianem, którego coraz rzadziej wspominała nawet *madame* Cecylia. Przepadł, jakby ziemia się pod nim rozstąpiła, śledztwo w sprawie jego tajemniczego zniknięcia zostało umorzone. Ponieważ zakładano, że mężczyzna dokądś wyjechał i zaginął w szerokim świecie, jeszcze przez jakiś czas majątkiem zarządzał Zygfryd Ziomecki. Potem ekonom spakował swój dobytek, zabierając w ramach zapłaty za poświęcony czas gotówkę i większość wartościowych rzeczy. Nieliczną służbę zwolnił. Dwór zamknął na klucz, którego nie oddał, bo nie miał komu.

Nieuprawianą ziemię powoli zarastały chwasty, a część gruntów wchłaniała puszcza. Minęło sporo czasu, nim ktokolwiek zorientował się, że budynek stoi pusty. Pewnego dnia zakradło się pod niego kilku smarkaczy z pobliskiej wioski, bowiem od dawna gadano w karczmie u Mojsiejowicza, że pan nie żyje. Ktoś widział ponoć, jak jego duch, wciąż młody i odziany w staroświecki strój, snuje się wokół domostwa przy pełni księżyca.

Wśród kmieci od lat krążyły mrożące krew w żyłach opowieści, ubarwiane z czasem upiorami nawiedzającymi dwór. Nie chodziło li tylko o panicza Maksymiliana, ale również o jego przodków. Wiosną rzekomo straszyła czarna dama o pozieleniałej twarzy, naznaczonej

piętnem cholery. Zimą na drodze prowadzącej do dworu widniały ślady zakrwawionych bosych stóp. To znowu ukazywało się truchło dziecka rozpłatanego toporem lub dziedzica z odrąbaną głową.

Niby dwór stał w pobliżu wioski, lecz nikt nie chciał zapuszczać się na jego teren. Od strony bagnisk często napływały kłaczki mgły, otaczając go mętnym oparem. Póki żyli Żelechowscy, próbowano owo bagno choć trochę osuszyć. Budowano wówczas jazy, groble, kopano rowy meliorujące grząski grunt. Teraz to wszystko zarosło chwastem, podobnie jak park, a nawet żwirowana aleja wiodąca od bramy do ganku. Cała posiadłość sprawiała przygnębiające wrażenie. Nawet wiosną czy latem, gdy świeciło słońce, a wokół rozkwitało wielobarwne kwiecie, majątek pański odstręczał ludzi i zdawał się tonąć w mroku, jakby rzucały na niego cień złowrogie chmury burzowe.

Chłopcy pobiegli tam za dnia, tuż po lekcjach w szkole, gdyż nocą mogłoby im zabraknąć odwagi. Początkowo nieśmiało wspinali się na podmurówkę, zaglądali w okna, sprawdzali drzwi, czy są zamknięte.

– Rzeczywiście nikogo tutaj nie ma – stwierdził Franek Skoczylas, najodważniejszy z całej grupki.

– Pokaż, daj popatrzeć! – Choć okien było wiele, Ignacy Trzos rozpychał się obok niego, usiłując zajrzeć przez brudną szybę do środka.

– Te, panicz! Nie pchaj się – prychnął Grzesiek Czop, cherlawy blondas, którego właściwie Ignacy mógłby jednym ciosem rozciągnąć na ziemi, gdyby oczywiście zechciał.

Trzos, mimo znacznej postury, nie był typem awanturnika i nigdy nie wszczynał bójek. Owszem, złościł się o tego „panicza", bo nie lubił, gdy koledzy ze wsi tak go nazywali. Wprawdzie mieszkał w dworku do złudzenia przypominającym obejścia szlacheckie, lecz był zwyczajnym chłopakiem. Od ojca wiedział, że okazałe domostwo wzniósł przed laty jego pradziadek z miłości do swej żony, lecz nie byli oni żadnym ziemiaństwem, tylko dość zamożnymi kmieciami. Musieli bardzo się kochać, ponieważ zmarli tego samego dnia – tak przynajmniej wynikało z dat wyrytych na nagrobku, który stał na cmentarzu w Niepołomicach.

W gruncie rzeczy Ignaś niewiele wiedział o swych przodkach, bo nikt nie miał czasu na to, by o nich opowiadać. Babcia Dominika bajała coś o dawnych czasach i historiach, które miały miejsce jeszcze za życia króla Kazimierza Wielkiego, lecz Ignaś przyjął, że to legendy. Cóż taki król, znany mu jedynie z kart w podręczniku i lekcji w szkole? Postać odległa, niemalże mityczna. Właściwie Trzos był trochę zły z powodu swej edukacji, bowiem w odróżnieniu od kolegów z wioski, nie uczęszczał do lokalnej jednoklasówki, ale do dużego murowanego budynku w Niepołomicach. Tam właśnie tłoczono mu do głowy wiele rzeczy nudnych, czasami niepotrzebnych, i wymagano od niego znacznej pilności. I po co to wszystko, skoro do szczęścia wystarczyłaby mu umiejętność czytania, pisania i, rzecz jasna, biegłego prowadzenia rachunków. Przecież w przyszłości to on będzie gospodarzył na ziemi Trzosów, bo młodsza o rok Józia pewnie wyjdzie za mąż. Albo wzorem ciotki Zofii wstąpi w klasztorne mury, przybierając nowe imię, by wieść skromne życie mniszki. Hela, najmłodsza z rodzeństwa, liczyła zaledwie rok, więc Ignaś w ogóle nie brał jej pod uwagę w niczym, choć była pocieszna na swój sposób.

Rzut oka przez okno niewiele wniósł do jego wiedzy o opuszczonym domu Żelechowskich. Zaglądał, zdaje się, do bawialni, gdyż pomieszczenie było dość przestronne, choć urządzone jeszcze skromniej niż analogiczna izba w jego rodzinnym domu. Nieliczne sprzęty pokrywał kurz, wokół pełno było pajęczyn. Ściany obłaziły z obić, pod sufitem i w narożnikach wykwitała pleśń. Nieogrzewane i niewietrzone wnętrze popadało w ruinę. Tak zapewne było w całym domostwie. Nigdzie nie zauważył nawet najmniejszych śladów ludzkiej obecności. Nic dziwnego, skoro od dwudziestu lat nikt nie zachodził do dworu. Aż dziw brał, że niestrzeżony budynek oparł się rabusiom. Być może przyczyniła się do tego zła sława miejsca.

Młodzieńcza ciekawość była jednak większa niż lęki. Chłopcy zaczęli macać po oknie, próbując je otworzyć. W końcu najmniej cierpliwy Franek zeskoczył z podmurówki, złapał pierwszy kamień, jaki nawinął

mu się w garść, i, aby nie pokaleczyć kolegów, cisnął nim o szyby sąsiedniego, wyjątkowo wąskiego okna. Te z brzękiem rozbiły się na kawałki, z których część upadła pomiędzy wybujałe trawy, a część wciąż tkwiła we framudze.

– Co robisz? – syknął Trzos, wystraszony zuchwalstwem Skoczylasa.

– Chcę tam wejść. Może po Żelechowskich zostały jakieś skarby? Nic im po nich.

– A jak wróci pan Maksymilian i zobaczy, że ktoś się włamał? Zaraz sprowadzi tutaj landwójta i policję, by szukali złodziei – odparł Ignacy.

– Phi! Ludzie w gospodzie gadają, że i on już dawno gryzie ziemię. Czego tu się bać? – prychnął Dawid Mojsiejowicz, który nad pomaganie rodzicom w gospodzie przedkładał psoty z kolegami, a niepołomicki cheder traktował dość umownie, uczęszczając do niego nie częściej niż co drugi dzień, gdyż nauka szczerze go nudziła. On, podobnie jak Ignacy, wychodził z założenia, że do szczęścia wystarczy mu biegła znajomość rachunków. Wszak w przyszłości i tak zostanie karczmarzem.

– Skoro tak mówisz… – bąknął Bartosz Zalipiak, do tej pory obserwujący w milczeniu rozwój wypadków. Nie mógł się bowiem zdecydować, czy bardziej kusi go perspektywa spenetrowania opustoszałych wnętrz, czy raczej chęć ucieczki z miejsca wzbudzającego grozę.

– Chłopaki, który ma buty? – Skoczylas spojrzał po kolegach. Sam był boso, podobnie jak Bartosz i Dawid. Trzewiki nosili Ignacy i Grzesiek. Ocenił, że Czop lepiej sobie poradzi z wśliźnięciem się do środka przez okno, gdyż po pierwsze był znacznie drobniejszej postury, a po drugie po minie Trzosa znać było, że obleciał go strach. – Grzesiek, ty tam musisz się dostać. Wyciągnij szkła i przekręć klamkę. A potem albo spróbuj nas wpuścić przez drzwi, albo szerszym oknem – zarządził.

Czop bez wahania podszedł bliżej. Pod jego podeszwami zachrzęściły odłamki szyby. Sprawnie podciągnął się na podmurówkę i pospiesznie

zaczął wyjmować resztki spomiędzy skruszałego, wyschniętego kitu. Krzyknął, gdy rozciął sobie wnętrze dłoni.

– Aua!

Gęsta czerwona krew zmieszała się z brudem. Chłopak chciał się wycofać, lecz Skoczylas go ponaglił:

– Nie maż się jak baba! Do wesela się zagoi. Mało to razy każdy z nas rozbił kolano albo się czymsik przerżnął? Właź!

Grzesiek wytarł dłoń o zgrzebną koszulę, a następnie bez większych problemów dostał się do pokoju. Podłoga niebezpiecznie ugięła się pod jego stopami, zatrzeszczały zbutwiałe deski, lecz na szczęście wytrzymały jego ciężar. Przez moment z ciekawością wodził wzrokiem po wnętrzu. Nie było tam wiele do oglądania, prawdopodobnie Ziomecki, wyprowadzając się, zabrał wszystko, co był w stanie załadować na wóz. Większe meble, które zostawił, spowijały pajęczyny i kurz, a jego drobiny, wzniecone ruchami chłopaka, wibrowały w powietrzu, drażniąc nozdrza. Kichnął siarczyście. Zerknął ku otwartym drzwiom, wiodącym zapewne do tonącej w mroku sieni. Dostrzegł mysz przemykającą chyłkiem wzdłuż progu. Uznał, że nie będzie samotnie plątał się po budynku, więc po prostu podszedł do sąsiedniego okna, które było znacznie szersze.

Chwilę później byli z nim wszyscy koledzy. Trzos oczywiście tak niefortunnie stąpnął, że jedna z desek trzasnęła pod ciężarem jego ciała. Na szczęście okazało się, że pod nią jest niewielka pusta przestrzeń, poniżej zaś piasek, na którym zapewne ułożono legary.

Chłopcy zaczęli ostrożnie krążyć po pomieszczeniu, przeszukując szafki i szuflady w serwantkach oraz stolikach, wzbijając kolejne tumany kurzu, parskając i chichocząc. Ucierali nosy po kichaniu, rozmazując na twarzach smugi brudu. Zbierali ubraniami i czuprynami mocno poszarzałe pajęczyny. Nie znaleźli nic godnego uwagi: kilka poniszczonych przez myszy i robaki książek oraz gazet, różne serwetki i bzdury niewzbudzające zainteresowania. Postanowili pójść dalej. Wyszli do sieni, z której drzwi prowadziły do kantorka oraz jakichś

innych pomieszczeń, w tym jadalni, a dalej do kuchni. W gabinecie, wśród poniewierających się flaszek po okowicie z sygnaturą Mojsiejowiczów, Skoczylas znalazł całkiem przyzwoity sztylecik, być może służący do cięcia papieru, gdyż jego ostrze było tępe. Powyżej zbrocza[12] wyryty został misterny monogram z herbem Żelechowskich. Nożyk był na tyle ładnie wykonany, że chłopak postanowił go zabrać, z nadzieją, że zdoła nadać mu odpowiednią ostrość. Reszta kolegów też wzbogaciła się o jakieś drobiazgi: zapomnianą fajkę, tabakierkę, szpicrutę... Upychali zdobycze po kieszeniach i za pazuchą, by mieć wolne ręce.

Jednogłośnie stwierdzili, że nie pójdą na piętro. Choć żaden nie przyznałby tego wprost, przerażał ich mrok domostwa i trzeszczące nieprzyjemnie deski podłóg. Zapewne schody były w jeszcze gorszym stanie. Obiecali sobie, że kiedyś tu wrócą, by dokładniej spenetrować wnętrza.

– Może następnym razem znajdziemy wejście do loszku? Na pewno gdzieś jest, bo ojciec mówił, że pod każdym dworem znajduje się piwniczka z dobrymi trunkami – powiedział Czop, tuląc do piersi zaciśniętą w pięść dłoń pulsującą tępym bólem. – Popróbowałbym szlacheckiego wina albo gorzały.

– No ba! Ja też! – przyznał Skoczylas, który już kiedyś usiłował zamówić w karczmie okowitę, lecz stary Mojsiejowicz pogonił go jak psa, nie bacząc na to, że umyka mu sprzed nosa zarobek.

– Wielkie mecyje! – Dawid wzruszył ramionami. Jako że często usługiwał w gospodzie, zdążył poznać smak napitków zastrzeżonych dla dorosłych bywalców. – Wódka pali gardło, po winie boli głowa, a po piwie chce się szczać na potęgę.

– Chyba nie jest aż tak źle, skoro starzy ciągle to wszystko piją – odparł Franek.

– Piją – przyznał młody Mojsiejowicz – ale gęby im się strasznie przy tym wykrzywiają. A baby to cedzą nieraz pół kieliszka przez cały wieczór, taki to cymes! – Cmoknął wymownie.

Tak czy owak ustalili, że mimo wszystko poszukają piwnicy. Może nawet pomyślą o wejściu na piętro, mimo obaw, czy nie zapadną się schody.

***

U Skoczylasów w chałupie niezmiennie od wielu lat piszczała bieda z nędzą, toteż z wielką radością witali zajeżdżającego od czasu do czasu franciszkanina z Wieliczki Alojzego Kosibę, który na rozklekotanym wózku przywoził pomoc w postaci mąki, ziemniaków czy innej żywności. Brat Alojzeczek, jak go zwano pomiędzy ubogimi kmieciami, dotarł w te strony za sprawą Zygmunta Trzosa, któremu żal było przymierających głodem sąsiadów.

Kiedy więc przyjechał pewnego wiosennego dnia, w samym środku przednówka, gdy w opustoszałej komorze można było uświadczyć jedynie myszy, radość była wielka. Prócz mąki i ziemniaków, Wincenty dostał jeszcze kawał podwędzonej słoniny, który to zamierzał dobrze ukryć przed wiecznie głodną dzieciarnią. Gdyby go zostawił na wierzchu, to ślubna nie miałaby czym okrasić strawy, bo zaraz zostałby zjedzony.

Z lubością powąchał aromatyczny połeć. Nim starannie okręcił go w płachtę, odciął kozikiem malusieńki kawałeczek, by popróbować tego rarytasu. Ostatni raz jadł do syta wielkanocną porą, od tamtego czasu cała rodzina zmuszona była do zaciskania pasa. Żywili się jałową kaszą, resztkami ziemniaków i jajkami, których jak na złość kury niosły ostatnio niewiele. Kokoszek mimo wszystko żal było zabijać, podobnie jak gęsi. Krowy nie posiadali, nie stać ich było na taki luksus. A resztki z wieprzka skonsumowali właśnie w okresie świąt.

Ach, jakże mu ten okrawek dogodził! Wincenty długo trzymał go na języku, z lubością ssąc tłuściutki kąsek. Żal mu było przełknąć, więc przeżuwał w nieskończoność plasterek, aż przestał czuć jego balsamiczny smak.

Pomyślał, że najlepiej zrobi, jeśli ukryje skarb w szczelinie pomiędzy kominem a ścianą. Pozostawało wierzyć, że myszy i robactwo nie przegryzą kilku warstw starej, gęsto tkanej chusty i nie zawrą znajomości ze słoniną. Ślubnej zamierzał wydzielać dobro po kawałeczku, by wystarczyło na jak najdłużej.

Już miał wcisnąć zawiniątko do dziury, gdy zauważył tam jakiś połyskujący przedmiot. Sięgnął dłonią i wyciągnął ze schowka piękny, choć tępy sztylet. Obejrzał go uważnie i zdrętwiał, widząc herb Żelechowskich.

– Tfu! Na psa urok! Toż to chyba na przekleństwo jakieś tutaj leży! Skąd to u nas? Przecie matula gadała, że wszyćko, co dziadek przyniósł ze dwora, zatopiła w bagnisku tuż po tym, jak ludziska znaleźli tam Michała z przerżniętym gardłem – mruknął sam do siebie.

Nigdy nie odkryto, kto zamordował jego wuja, lecz Skoczylasowa obstawała przy tym, że to duchy pomordowanych Żelechowskich zawiodły jej szwagra na moczary, a gdy ugrzązł w błocie, zadały mu śmiertelny cios. Od tamtej pory powtarzała, że to kara boska za grzech ojca, który nie dość, że czynnie uczestniczył w rabacji dworu, to jeszcze innych podżegał do buntu. Błagała go, by poszedł do spowiedzi i zmył z siebie ciężar grzechu, lecz on się zaparł, że nie pójdzie, i z biegiem czasu w ogóle przestał uczęszczać do kościoła. Gdy Adama zabierała cholera, od popełnionych grzechów musiał mieć serce czarne niczym węgiel. Wincenty wystarczająco dużo nasłuchał się na ten temat, by dawać wiarę, że faktycznie Bóg zsyła na nich pokutę za przewiny mordercy, który ważył się podnieść rękę nawet na niewinne dziatki. Mimo że od zbrodni minęło grubo ponad pięćdziesiąt lat, w okolicy wciąż odbijało się echo popełnionych wówczas czynów i coraz częściej w karczmie u Mojsiejowiczów bajano, że we dworze straszy.

Wincenty nie chciał, by na niego i jego dzieci spadło jakieś przekleństwo. Porwał więc sztylet i wpadł z nim do izby. Powiódł wzrokiem po babach zajętych kądzielami oraz dziatwie siedzącej przy

stole obok Franka, dukającego dość nieudolnie czytankę, którą pewnie zadał mu nauczyciel.

– Skąd to w komórce? – zapytał, ciskając nożyk na blat.

Jego uwadze nie umknął cień, którzy przebiegł po twarzy najstarszego syna.

– Pytałem, skąd w naszym domu wziął się ten fikuśny kozik? – huknął głośniej.

– To… To moje – bąknął młody.

– Skądeś to wziął?

– Znalazłem – odparł Franek z miną niewiniątka.

– Jak to: znalazłeś? I gdzie?

– No… Szliśmy z chłopakami gościńcem i nagle zauważyliśmy, że coś łysnęło w słońcu.

– I ja mam uwierzyć, że takie cacko po prostu leżało sobie na drodze? A w którym miejscu natrafiłeś na skarb? Nie przy dworze Żelechowskich czasami? – zapytał z przekąsem, a potem capnął młodego za kołnierz niezbyt czystej zgrzebnej koszuli i zaczął go tarmosić.

– Gadaj mi tu natychmiast, skąd wziąłeś nóż. Bo jak nie, to odświeżę ci pamięć rzemieniem!

W dowód prawdziwości swych słów złapał leżące zawsze w pogotowiu narzędzie do „zaprowadzania porządku".

– Nie bijcie, tatulu! – jęknął dziesięciolatek, gdyż dobrze znał ciężką dłoń ojca i jego wyrywność do wymierzania dyscypliny. – Powiem, wszystko powiem! Aua! Nie bijcież mnie! Przecież mówię, że powiem!

Wincenty trzykrotnie smagnął młokosa dla rozwiązania języka. Potem spojrzał na niego z marsową miną i pokiwał głową.

– Wesz…liś…my z chło… chło…pakami do dwoooru – wyjąkał syn.

– Jak?

– Zbiliśmy okno kamieniem. Ale to nie ja, przysięgam! – Uderzył się w pierś, aż zadudniło. – To ktoś inny cisnął, nie widziałem kto.

– Po coście tam poleźli? – zdenerwował się ojciec.

– A bo chcieliśmy sprawdzić, czy prawdę gadają o duchach. Ale niceśmy nie widzieli, ino kurz, pająki i myszy. Połaziliśmy po dworze i tam znalazłem nóż. A inne chłopaki też pozabierali jakieś rzeczy, jeszcze więcej niż ja. Bo ja wziąłem tylko tyle. Przecież we dworze nikt od dawna nie mieszka, więc nikomu to niepotrzebne – usprawiedliwił szybko swą kradzież.

– Zapamiętaj sobie, gnojku, na całe życie, by nie znosić do domu niczego, co pochodzi z dworu. Chcesz nam jakieś nieszczęście przywlec? To nie wiesz, że tamto miejsce jest przeklęte? Że nocami tłuką się tam duchy? Że na całą naszą wieś spada wszystko co najgorsze, bo nasi dziadowie dopuścili się ciężkich zbrodni? – ryczał gniewnie do chłystka. – Ja cię zaraz oduczę złodziejskiego fachu!

Ponownie złapał za rzemień. Zaczął okładać syna bez opamiętania, nie zważając na jego pełne rozpaczy krzyki i przysięgi, że już nigdy nie ruszy cudzej własności, a na dwór nie spojrzy nawet z daleka.

– Wicek! A dejże już spokój chłopakowi! – krzyknęła piskliwie Magda, jego ślubna. – Toć wytłuczesz z niego duszę. On już nie będzie – zapewniła w imieniu swej latorośli.

– A pewnie, że nie będzie! Żadne z was – powiódł wzrokiem po pozostałych potomkach – nawet na krok nie zbliży się do dworu i nie weźmie do ręki niczego, co stamtąd pochodzi. Bo jak nie, to łapy poubijam!

Ostatecznie puścił zasmarkanego i zapłakanego młokosa. Złapał nóż w garść. Przez chwilę się rozglądał, jakby nie wiedział, co z nim zrobić: ukryć go czy cisnąć do pieca. Ostatecznie wetknął sobie za pazuchę i wybiegł z chałupy.

***

– *Nie byde tu, ide dalij, / karcmarecko winka nalyj / Nalyj, nalyj do puchara / karcmarecko malowana*[13] – wyśpiewywał Edward Karpiel, góral spod

samiuśkich Tater, jak zwykł o sobie mawiać krzepki parobek, którego w okolicę Niepołomic przygnała miłość do jednej z Filusiówien. Danutę poznał na targu w Wieliczce, gdzie wraz z ojcem sprzedawał pięknie wyprawione baranie skóry. Tego samego dnia zdążył się rozmówić z jej ojcem, a kilka dni później wrócił ze swatami – tak mocno bowiem ugodziła go strzała Amora.

Jak się potem okazało, owa strzała musiała być jakaś trefna, gdyż krótko po ślubie żar uczuć ostygł. Młodego coraz częściej widywano w gospodzie Mojsiejowiczów, obłapiającego mało stateczne mężatki oraz młódki lub zalecającego się do córek Lewiego.

Dla chłopów zaglądających do karczmy był doskonałym kompanem, gdyż mocno podchmielony ochoczo stawiał okowitę, czego nie można było powiedzieć o Klemensie Trzosie. Ten bowiem, w przeciwieństwie do swego dziadka, słynącego wprost ze szczodrości, mało kiedy wykazywał się podobnym gestem.

Wincenty Skoczylas, choć nie śmierdział pieniędzmi, też przyszedł wieczorem do gospody. Wcześniej był na bagniskach, w które cisnął sztylet Żelechowskich. Teraz z poczuciem solidnie spełnionego obowiązku oraz ogromnym niepokojem ciążącym na sercu, zasiadł na ławie obok rozśpiewanego górala. Prócz niego siedzieli tam: Staszek Dyl, Tosiek Bielak, Lucjan Czop i kilku innych chłopów. Janek Filuś przyszedł ze swoją ślubną, Barbarą. Tkwił teraz z kwaśną miną, wiedząc, że tego wieczoru wiele nie wypije, gdyż żona będzie miała na niego oko.

– Co dobrego słychać? – zapytał Skoczylas, przywitawszy się wcześniej z ziomkami.

– Ano stara bieda – sapnął Janek.

– A bieda, bieda. – Lucjan pokiwał głową. – Ale u was, Wincenty, był zdaje się brat Alojzeczek.

– Rzeczywiście zajrzał, poczciwina. Ulitował się nad dolą biedaków. – Mężczyzna gorliwie przytaknął. – Niby człek z niego drobnej postury, a serce ma wielkie jak mało kto. Niech mu Bóg wynagrodzi jego dobroć,

bo jeszcze trochę, a z głodu byśmy pousychali. Ot, ciężka dola. Człek nawet gardła nie zwilży piwem, bo krajcary, com je zarobił przy zwózce drewna, już dawno wydane. W chałupie głód w oczy zagląda, ale ileż można wysiedzieć z babami? Przyszedłem więc tu, by choć wieści jakichś posłuchać – labidził, licząc w skrytości ducha, że któryś z sąsiadów postawi mu choć kwaterkę.

Rzeczywiście dopisało mu szczęście, bo Edek, który mocno miał już w czubie, przywołał karczmarkę i poprosił ją o napojenie kompana.

– Słyszeliście, chłopy, że Austriacy sprzedali część lasu dębowego za Marudami tuż obok drogi do Staniątek? – rzucił Bielak.

– Ano! Cośmy mieli nie słyszeć, skoro najęliśmy się z Jankiem do wyrębu – odparł Lucjan Czop.

– Poszliście wycinać naszą puszczę? – zgorszył się Tosiek. – Toć te psubraty sprzedali ją jakiemuś belgijskiemu kupcowi. A on ma przeznaczyć drewno na budowę okrętów! Obcym wyprzedają! – huknął.

– Do diabła z takimi rządami – skomentował Wincenty. – A wy co, rozumu nie macie, by wycinać knieję, która rośnie tu od wieków?

– A co mieliśmy zrobić? – bąknął Lucjan, zwieszając bezradnie ramiona. – Jak w chałupie bieda, to człek szuka lada jakiego zarobku.

– Dzieciaki trza wykarmić – wtrąciła Baśka, by usprawiedliwić choć trochę ślubnego, bo puszcza była dla nich pewnego rodzaju świętością. Na jednym z drzew w tamtej okolicy od niepamiętnych czasów wisiała mała drewniana kapliczka, przy której odmawiano modlitwy czy wyśpiewywano majówki.

– A świątek? – zmartwił się Bielak, który do tej pory był przekonany, że jeszcze nie ruszono drzewostanu.

– Zostawiliśmy – odparł zadowolony z siebie Filuś. – A coście myśleli – zwrócił się do Bielaka i Skoczylasa – że go zniszczymy? Cała połać wycięta, ino ten jeden dąb się ostał na skraju lasu. Stał sobie samotnie pośród powalonych pni, gdy nadjechał ów handlarz. Zaraz zaczął pokazywać na drzewo i coś po ichniemu szwargotać. Był z nim jakiś

urzędnik, który robił za tłumacza. No i od słowa do słowa powiedzieliśmy mu, że nie śmiemy ruszyć ani tego dębu, ani wiszącej na nim kapliczki.

– No i co? – dociekał Tosiek. – Pozwolił go zachować?

– A jakże! – Janek wypiął dumnie pierś, jakby oczekiwał jakiegoś orderu. – Stoi i pewnie jeszcze długie lata przetrwa, skoro się oparł zakusom kupca[14].

– Ech… Dobrze, że choć tyle zdołaliście ocalić. Niech już raz szlag trafi Austriaków i ich złodziejskie rządy – skwitował Wincenty, zezując do pustoszejącego kufla.

– Czekaj no, Wicuś, przesuń się kapkę – sapnął nagle Lucjan, który do tej pory siedział obok, a teraz zaczął się przepychać, jakby chciał wstać.

Skoczylas ochoczo ustąpił mu miejsca w nadziei, że ten idzie po piwo, bo Ryfka Mojsiejowiczówna gdzieś przepadła. Niestety, wbrew jego oczekiwaniem Czop zamiast do szynkwasu ruszył w stronę drzwi. Dopadł Mieczysławę Widłakównę, starą pannę, która słynęła na całą okolicę z dobrej znajomości ziół i odczyniania wszelkich uroków, i jął jej coś tłumaczyć. Wcisnął babie w garść jakiś drobiazg, zapewne monetę. Znachorka pokiwała głową, a potem się rozeszli. Lucek wrócił pomiędzy kompanów, nie zahaczając o stojącego przy beczce piwa Lewiego, a Mietka opuściła pospiesznie gospodę.

– Te, a coś ty naszą zielachę przepędził? – zagadnął go Staszek, gdy ten już umościł się na ławie. – Wyleciała stąd, aż się za nią kurzyło.

– Ano poprosiłem ją, by zajrzała do mojej chałupy i dała jakiejś maści mojemu Grześkowi. Huncwot skaleczył se gdzieś łapę i będzie już ze cztery dni, a może i dłużej, jak mu się to jadzi. Garści nie może zacisnąć, tak mu spuchła. Hanka próbowała go jakoś opatrywać, ale guzik pomogło. Szkoda, by teraz smarkacz nie był zdatny do roboty.

– A mówił ci, gdzie tak se załatwił rękę? – zagadnął Skoczylas.

– Nie. Właściwie to nie pytałem. Dużo to trzeba, by dzieciak zrobił se krzywdę? Młode toto, pstro ma jeszcze w głowie. Wraził gdzieś paluchy,

a teraz cierpi. Jakem był w jego wieku, to też ciągle chodziłem poobijany. A to se zadek potłukłem, spadając z drzewa, a to wykręciłem kulasa, skakając z kamienia na kamień w rzece, a to podlazłem pod cep. On nic mi się nie wyrodził. Też wszędzie go pełno. Ot, ancykrys.

– No to się go zapytaj, czy czasami nie poharatał się w dworze Żelechowskich – bąknął nieco ciszej Wincenty.

– Jee… Co ty bajesz? Przecie tam pies z kulawą nogą nie zagląda.

– Może i nie. Ale nie dalej jak dzisiaj sprałem dupsko mojemu Frankowi, bo przyznał mi się, że poniosło go tam wraz z kilkoma koleżkami. O ile wiem, był z nim i twój Grzesiek, i paru innych chłopaków. Lepiej przetrząśnij chatę i sprawdź, czy nie przywlókł ci stamtąd czegoś więcej niźli rozjadzone łapsko.

Opowiedział kompanom o tym, co wytrząsnął z pomocą rzemienia z syna, i jak później powędrował na bagna, by się pozbyć sztyletu. Zdenerwowany jego słowami Czop zaklął szpetnie i zerwał się z miejsca.

– A ty dokąd? – zapytał zamroczony gorzałą Karpiel.

– Do chałupy, żeby odżegnać jakieś większe nieszczęście – rzucił na odchodnym.

– Ech… Z bachorami zawsze jakiś kłopot – westchnął Janek, za co ślubna zaraz trzepnęła go w rękę.

– Ja ci dam bachory! – burknęła.

Sama była spokojna. Z tego, co mówił Skoczylas, jej potomków nie było w grupce urwisów, którzy weszli do dworu. Dziewuchy nie trzymały z chłopaczyskami, dwaj synkowie byli za mali i z całą pewnością nie odważyliby się na taką eskapadę, a Jacenty, nieco starszy od wymienionych smarkaczy, od dwóch tygodni terminował u kołodzieja w sąsiedniej wsi.

Upiorami z dworu od lat straszono okoliczne dzieciaki. Zresztą dorośli także unikali tego miejsca, uważając je za przeklęte. U panicza Maksymiliana nigdy nie służył nikt ze wsi, lecz dziewki i parobkowie

z Niepołomic. Choć przed laty świętej pamięci Prokop poszukiwał chętnych do pracy w dworze, nikt się nie zgłaszał. Co innego na polach czy w lesie. Tam każdy robił swoje bez obawy. Do folwarku nikt nie szedł z własnej woli nawet za życia pani Kornelii. Do Maksymiliana raz odważył się pójść po prośbie kowal, lecz został przepędzony.

***

Zioła Widłakówny nie przynosiły ulgi cierpiącemu młokosowi. W następnych dniach rana rozjątrzyła się jeszcze mocniej, a dłoń sczerniała. Zgorzel postępowała coraz dalej, przysparzając Grześkowi niewyobrażalnego bólu. Dodatkowo chłopakiem trzęsły dreszcze wywołane gorączką.

– Lucjanie, tę rękę to chyba trza będzie odciąć – zawyrokowała w końcu Mietka.

– Nie! Ojczulku, tylko nie każcie mi obcinać dłoni – jęknął przerażony dwunastolatek. – Błagam, tylko nie to!

Czop spojrzał z przestrachem na znachorkę.

– To naprawdę konieczne?

– No widzicie chyba, że martwica postępuje. Jak nie utniemy, to chłopak się wykończy. Za późno żeście mnie zawołali, zioła nie działają. Trza było od razu do mnie przyjść, jak tylko zaczęło się jadzić.

– Ale jakże to? Mam syna zrobić kaleką? Co to za życie bez prawej ręki?

– Życie to w nim zgaśnie, jak nie posłuchacie mojej rady – odparła zdecydowanym tonem.

– Podejmiecie się tego? – Spojrzał na nią niepewnie, bo takie zabiegi nie pasowały mu do stojącej przed nim chudziny z rozczochranymi kudłami wyłażącymi spod chusty w bliżej nieokreślonym kolorze.

– Ja? – wyraziła zdziwienie. – Nie wiem, gospodarzu. Tu trzeba silnego chłopa, który potrzyma smarkacza, by nie wił się i nie uciekał. Mus będzie ciupnąć gnata toporem albo przerżnąć piłką. Topór chyba

lepszy – zawyrokowała – bo raz-dwa i będzie po bólu. Potem trza zamknąć ranę rozgrzanym żelazem, by krew nie ciekła.

– Niee! Matulu, ratuj! – zawył wniebogłosy chłopak, przerażony słowami, które padły z ust znachorki. Mimo trawiącej go gorączki rozumiał, że mówią o nim i o jego ręce. Chciał się zerwać z pościeli i umknąć, lecz był tak osłabiony, że zdołał unieść jedynie głowę, po czym opadł bezsilnie na przepoconą poduchę.

– A dyć nie bucz jak baba – skarciła go Mietka. – To dla twojego dobra. Żołnierze z wojen wracają nie z takimi ranami. Bez rąk, nóg, oczu, poparzeni – wyliczyła jednym tchem urazy, z jakimi męczyli się parobkowie, którzy zostali zawezwani do służby w wojsku austriackim i wysłani na okupację Bośni i Hercegowiny.

– Kiedy chcesz to przeprowadzić? – zapytał Lucjan, nie bacząc na strach syna. Choć nie chciał go widzieć kalekim, uznał, że lepiej jednak pozbyć się martwej kończyny, niż pozwolić, by dzieciak skonał.

– Nie ma na co czekać, choćby zaraz – odparła Widłakówna.

– Przyniosę siekierę – oznajmił kmieć. – Czego jeszcze będzie wam trzeba?

– Ano dejcież jakie szarpie na opatrunki. Gorzała się przyda, trza będzie spić młokosa dla odwagi. Sama chętnie golnę kielicha, bo to niewdzięczne zajęcie. I wam też radzę pociągnąć parę łyków. – Cmoknęła wymownie bezzębnymi ustami. – Nogi będziemy musieli mu związać i lewą rękę, by się nie bronił. Bo choć będziecie go trzymać, to może być za mało. W piecu niech ktoś dobrze nabuzuje i włoży w ogień największy nóż, jaki macie, zasklepimy nim kikut – wyliczała jednym tchem, nie bacząc na to, że leżący tuż obok chłopak wyje już wniebogłosy.

– Dobrze, zaraz wszystko przygotuję – oznajmił Czop. – A wy spocznijcie. Hanka przyniesie wam okowity – wspomniał o ślubnej.

Nie zauważył, że żona stoi w drzwiach izby, przysłuchując im się ze zgrozą.

– Lucuś, bójże ty się Boga! – wykrzyknęła naraz, podbiegając do siennika, by zasłonić Grześka własną piersią. – Co ty? Rodzone dziecko chcesz okaleczyć? Ja nie pozwolę! – wrzasnęła ile tchu w płucach.

– Łodydź, babo! – fuknął na ślubną. – Albo utniemy rękę, albo chłopak się wykończy. Przecie widzisz, że toczy go gangrena. Smark jeden za późno się przyznał, że z łapą dzieje się źle. Na własną zgubę polazł do dworu!

– Nie dam mu zrobić krzywdy – upierała się przy swoim.

– A chcecie go pochować? – burknęła zielarka.

– Mieczysława dobrze prawi. Ojciec mi opowiadał, że jak jeden taki parobek z Szarowa wrócił ranny z Bałkanów, to w parę dni go pochowali, bo mu noga zgniła i zatruła całe ciało. Chcesz, żeby i Grześka spotkał taki los?

– Mnie się widzi – wtrąciła się Widłakówna – że to przede wszystkim przekleństwo jaśnie państwa. Na psa urok! Skoro tam się smark rozharatał, to nie dziwota, że gnije. Różne skaleczenia widziałam. Mniejsze i większe. Różne wyleczyłam. Ale żeby tak się jadziło? Nie, to do niczego niepodobne. Jeszcze nim się wezmę do rzeczy, będę musiała zamówić ranę. A i potem trzeba będzie odczyniać uroki – oświadczyła, gmerając w torbie z ziołami. Wyjęła z niej jakieś suche badylki. – Podpalcie mi to – rozkazała, wręczając pęk Czopowej.

Hanka niechętnie odstąpiła od przerażonego syna. Zabrała łodygi i przeszła do sąsiedniej izby, gdzie w piecu buzował ogień, na którym gotowała strawę. Płomienie z trzaskiem zajęły wysuszoną roślinę. Ostrożnie, by nie wzniecić pożaru, wróciła do pomieszczenia obok.

Widłakówna machnęła kilka razy gałązkami, by je ugasić. Teraz tylko się tliły, wydzielając sporo gryzącego dymu. Zaczęła z nimi chodzić wokół izby, nie pomijając żadnego kąta. Okadzała łóżka i skrzynie, stołki i ławki, święte obrazy rozwieszone na dawno niebielonych ścianach, każde z trzech krzywych okienek. Na ostatek podeszła do chorego i również nad nim rozsnuła siwe smużki. Przez cały czas

mamrotała pod nosem jakieś zaklęcia. Mimo szeroko otwartych oczu sprawiała wrażenie pogrążonej w głębokim transie.

– No, wystarczy! – oznajmiła. – Teraz dajcie mi gorzałkę i przygotujcie wszystko to, o czym wcześniej gadałam.

Chłopak coraz bardziej słabł. Stracił przytomność i bredził w malignie. Hanna pomyślała, że może i lepiej dla niego, by nie wiedział, co się z nim dzieje. Bez pośpiechu krzątali się z Lucjanem po obejściu, zbierając potrzebne rzeczy. W tym czasie Mieczysława siedziała na ławie przy Grześku, popijając okowitę. Co chwilę spoglądała na chorego, kiwając głową. Trochę się bała o to, czy zabieg dobrze pójdzie, bowiem nigdy wcześniej nie odcinała nikomu kończyny. Jak należy to zrobić, dawno temu wytłumaczyła jej matka.

– Ot i zasnął – stwierdziła, zerkając na Grzesia, który w końcu przestał majaczyć i rzucać się w pościeli.

Tymczasem Hanka i Lucjan przynieśli do izby wszystko, co rozkazała.

– Trzeba by jeszcze lampy i świece, ile macie, tyle weźcie, bo zmierzcha. A po ciemku nie sposób brać się do roboty.

– Czy on to przeżyje? – zapytał mężczyzna, gdy już zapewnił znachorce wystarczająco dużo światła.

– Nie wiem – odparła bez ogródek. – Jego dola od Boga zależna. Nie zawadzi zmówić pacierzy.

Zabrała się do wiązania pacjenta, gdy Hanna krzyknęła rozpaczliwie:

– Nie! Nie pozwalam! Nie okaleczajcie go. On ledwo dycha, nie przetrzyma ucinania ręki. Lepiej niech skona bez dodatkowych cierpień – załkała żałośnie. – Lucek! Lucek! Opamiętajże się, człowieku! Po co te katusze?

Mężczyzna spojrzał bez zdecydowania na żonę, potem na syna, w którym faktycznie życie musiało się tlić ostatkiem sił, a następnie na zielarkę.

– Pomódlmy się do Matki Bożej Bolesnej – zadecydował. – Zmówmy dziesiątek różańca. Jeśli Grześ w tym czasie oprzytomnieje, będzie to

znaczyło, że ma dość sił, by przetrwać. A jeżeli się nie obudzi, niech będzie tak, jak mówi Hanusia. Samiście powiedzieli – zwrócił się do Widłakówny – że wszystko jest wolą Najwyższego.

Wszyscy troje gruchnęli zatem na kolana przed obrazem Staniąteckiej Pani. Wraz z nimi uklękła i reszta domowników, tłocząca się do tej pory w sionce lub zaglądająca przez niskie, krzywe okienka. I popłynęła modlitwa – szczera, błagalna, pełna pokory.

A tymczasem Grześ, wolny od wszelkich cierpień, już dokonywał żywota.

***

Po pogrzebie młodego Czopa żaden z kolegów, którzy towarzyszyli mu w dworze Żelechowskich, nie mógł usiedzieć na tyłku. Ojcowie, zmówiwszy się wcześniej, spuścili każdemu solidne lanie. Rzeczy wyniesione z budynku zatopiono w bagniskach, by już nikogo nie kusiły.

– Niech no tylko jeszcze raz usłyszę – ganił Klemens pierworodnego – że plączesz się w tamtym miejscu, to solidnie natrę ci uszu. Nic dobrego stamtąd nie płynie. Źli to byli ludzie. Dziadek nieraz mi o nich opowiadał. Ażem był zdziwiony, że mając o nich taką wiedzę, chciał mieć z nimi cokolwiek wspólnego. A panicz Maksymilian, w podzięce za to, że dziadkowie ocalili życie jego matce, gdy była brzemienna, zwolnił go ze służby! – rzucił z przekąsem. – Z panami nie ma co trzymać. Szlachta! – prychnął pogardliwie, bo w przeciwieństwie do swoich przodków nie czuł potrzeby, by bratać się z dobrze urodzonymi ludźmi. Wcale nie uważał ich za honorowych.

Tuż po tym, jak pochowano Bernadetę i Prokopa, pod dom Trzosów zajechał Marcel Branicki. Powiedział, że przysłała go *madame* Cecylia. Miał do załatwienia sprawę delikatnej natury, której nie godziło się pozostawiać damie. W jej imieniu wycofał plenipotencje nadane niegdyś Prokopowi, anulował także umowy dzierżawy gruntów.

Tłumaczył, że po śmierci Prokopa i tak wszystkie porozumienia straciły ważność, lecz by dopełnić formalności, Parnicka poczuła się zobligowana do poinformowania o tym młodego hm… dziedzica.

Od tamtej pory wszelka komitywa ze szlachtą ustała, zresztą Klemens nie miał aspiracji, by gościć na salonach. Zajęty był pilnowaniem swego gospodarstwa, borykając się przy tym z różnymi problemami. Podobnie jak dziadek, cierpiał na brak ludzi do pracy, gdyż rodzina mu się skurczyła. Musiał więc do wszystkiego najmować parobków. Dominika zarządzała domem i częścią żywego inwentarza, on doglądał przede wszystkim gruntów. Dla własnej wygody wcześnie się ożenił, gdyż wykalkulował sobie, że przyda mu się w domu kobieta, która ogrzeje go w chłodne noce, a za dnia ulży matuli w obowiązkach. No i oczywiście obdarzy go licznymi potomkami. Za żonę wziął sobie prostą wiejską dziewuchę, młódkę liczącą wówczas szesnaście wiosen, Elżbietę od Tomalów, która pod wieloma względami okazała się prawdziwym skarbem.

A teraz najstarszy z potomków przysporzył mu zmartwień, łażąc w miejsce, gdzie nikt nie powinien zaglądać. Dla Klemensa bowiem powody ku temu były podwójne: raz z uwagi na to, jak w przeszłości potraktowano jego dziadka, a dwa ze względu na krążące po okolicy plotki, które mocno działały ludziom na wyobraźnię.

– Przysięgam, ojcze, że więcej tam nie pójdę – zarzekał się Ignaś, pewny tego, że obietnicy dotrzyma, bowiem wcale nie ciągnęło go do opustoszałego dworu. I choćby koledzy ze wsi nazywali go strachajłą czy jeszcze obraźliwiej, nie pójdzie, i basta!

***

– Źle się stało, Lucku, żeś nie próbował szukać ratunku u Reichenberga[15] w Niepołomicach. – Wincenty poklepał Czopa po plecach, gdy ten nazajutrz po pogrzebie zajrzał do gospody.

Mieczysław Reichenberg nabył aptekę od Ludwika Marciszewicza. Dał się poznać jako człowiek życzliwy, robiący wiele dobrego dla Niepołomic oraz okolicznej ludności. Zapewne wiedząc, w czym rzecz, nie zdarłby skóry z nędzarzy, jakimi byli Czopowie, a być może ocaliłby dzieciaka albo przynajmniej zaoszczędziłby mu strachu i bólu. Bo Lucjan przy kielichu gorzały opowiedział ziomkom, jak młokos cierpiał, a potem błagał, by nie ucinali mu ręki. I że w końcu on sam zawierzył tę sprawę Opatrzności Bożej.

– A bo to człek wiedział, że tak będzie? Nie mam śmiałości do kształconych, bo oni jacyś nieprzystępni dla prostego ludu. Widłakówna swoja baba. Łatwiej z taką pogwarzyć, bo prędzej zrozumie sytuację. I nie musi brać w zapłacie krajcarów, ale zadowoli się jajkami, korcem zboża czy bochenkiem chleba. Niejednemu już pomogła, myślałem więc, że i mojego dzieciaka uleczy. Za późno smarkacz powiedział, że mu się łapa jadzi i gdzie ją tak sobie poharatał. Mietka mówiła, że gdyby wcześniej wiedziała, to od razu odczyniłaby uroki. Bo ani chybi nad tamtym miejscem wisi przekleństwo.

– Dobrze gadacie, kumie. Żelechowska nie powinna była odbudowywać dworu na ruinach poprzedniego. Właśnie przez to tyle złego się dzieje. Krążą tam upiory. – Skoczylas zniżył głos.

– Też tak myślę. I pewnie z tego powodu dziedziczkę zabrała cholera, a panicz przepadł bez wieści. Ani chybi zostali wezwani przez duchy przodków. Nie powinni byli wtedy przeżyć. Gdyby zginęli z resztą, nie spotkałaby ich psia dola – stwierdził Marcińczyk. – Siła złego spadła na naszą wieś. Do dzisiaj pokutujemy za grzechy naszych dziadków. A cośmy są winni temu, że oni spalili dwór? Większości z nas nie było wtedy na świecie.

– A może powinniśmy spalić w cholerę opuszczony budynek, by duchy nie miały do czego wracać? – podrzucił Janek Filuś.

Stojący przy szynkwasie Lewi Mojsiejowicz struchlał. Był smarkaczem, gdy przed laty doszło do rzezi. Zbyt wiele wtedy zobaczył i ten obraz na zawsze zapadł mu w pamięć. Pragnął się od niego odciąć,

lecz koszmar powracał w snach lub nagłych urywkach wspomnień. Nadstawił więc czujnie uszu, by posłuchać, o czym prawią kmiecie. A jeśli zajdzie potrzeba, przemówić im do rozsądku, choć nie był pewny, czy posłuchają Żyda. Dla nich nie był autorytetem. Liczył się wówczas, gdy kogoś bardzo suszyło i chciał wypić choć kwaterkę piwa na bórg. Rozmawiali z nim grzecznie, lecz tak naprawdę trzymali go na dystans.

– Co wy, chłopy? – oburzył się Tosiek Bielak. – Rozum wam odjęło? Chcecie powielać błędy waszych dziadów?

– No… Już raz folwark został zrównany z ziemią – bąknął Staszek Dyl, któremu u Trzosów było dobrze nawet teraz, gdy majątkiem zarządzał młody gospodarz. Jego przodkowie wiedli bowiem wyjątkowo podły żywot pod rządami Żelechowskich.

– Niepotrzebnie go odbudowano. Na jakieś przekleństwo! – podjudzał Janek.

– Nie, ja do tego nie przyłożę ręki – odparł Czop. – Kara boska wciąż na nas spada za grzechy naszych ojców i dziadów. Nie przerwiemy pasma przekleństw, jeśli będziemy postępowali tak samo. A poza tym co powie Maksymilian Żelechowski, gdy wróci i zobaczy, że nie ma domu? Toć od razu podejrzenie padnie na nas.

– Na jakich nas? – obruszył się Czesław Marcińczyk, którego dziadkowi spłonęła przed laty kuźnia. – Pioruny często biją w budynki. Ja bym podłożył ogień i na zawsze pozbył się kłopotu.

– Szaleju się najadłeś? – warknął Bielak. – Nie chcę pokutować podwójnie! Mało zgryzot dręczy nas wszystkich od pół wieku?

– No właśnie. Dobrze gada – poparł go Czop. – Stary Żelechowski musiał straszliwie przekląć naszą wieś, gdy konał. Trzeba teraz zacisnąć zęby i nie narażać się na większe nieszczęścia. Dwór omijać. Błagać Boga o odpuszczenie win. A te duchy, jak prawicie, to prędzej należą do tych, którzy dopuścili się rzezi. Dręczą ich męki piekielne, więc wracają na ziemię w nadziei, że ktoś się zlituje i odmówi pacierz w intencji skrócenia kaźni.

Lewi odetchnął z ulgą. Gorączka, która na moment zapanowała przy ławie zajmowanej przez gromadkę chłopów, ostygła. A dziwaczną atmosferę do końca rozładował Edek, wtarabaniając się pomiędzy ziomków, i gwiżdżąc pod nosem skoczną, góralską melodię.

***

W parne letnie noce łatwiej było umknąć rodzicielskiej kurateli. Można było opuścić dom pod pretekstem spania na sianie w stodole, bo w ciasnej izbie panował zdecydowanie zbyt duży zaduch. Bartoszowi Zalipiakowi i Frankowi Skoczylasowi nie nastręczało to większych trudności. Ignacy Trzos miał nieco gorzej, ponieważ mieszkał w podupadającym dworku, gdzie zajmował własny pokój. Nie mógł więc łgać, że jest mu duszno, bo i tak nikt by mu nie uwierzył. Ale co za sztuka wyskoczyć oknem? Sprawny był jak kocur, nie bał się wysokości, więc niejeden raz zdołał opuścić dom potajemnie.

Najtrudniej z czwórki kompanów miał Dawid Mojsiejowicz, gdyż jego rodzice do późnych godzin nocnych obsługiwali klientów w gospodzie, nierzadko oczekując od niego pomocy. Ale i jemu czasami się udawało dołączyć do reszty. A wtedy – hulaj dusza, piekła nie ma! Pod osłoną nocy można było do woli oddawać się różnym psotom, uważając jednakże, by nie nabić sobie guza. Kłopotem były okoliczne kundle, ale na to Dawid miał najlepszy sposób: rzucał im jakieś resztki zwinięte z karczmy.

Czego oni nie nawymyślali!

Przestawiali ludziom graty na podwórkach, napełniali cebrzyki wodą ze studni, mazali po oknach, plądrowali sady. Wszystko to wśród stłumionych chichotów, by nie wydać swej obecności. Psami nie przejmowali się zbytnio, ludzie przyzwyczajeni byli do ich szczekania.

Nic więc dziwnego, że plotki o duchach i utopcach coraz mocnej zakorzeniały się w świadomości kmieci. Panny bały się chodzić samotnie po zmroku, zawsze prosiły, by odprowadzał je do domów jakiś

parobek. Oczywiście miało to różne uboczne efekty w postaci zrękowin lub niechcianych brzuchów.

Chłopcy szczególnie mocno upodobali sobie napędzanie strachu dziewczętom.

Tej nocy postanowili zaczaić się w pobliżu gospody i obserwować wracających do chałup amatorów zabawy tanecznej. Muzyka niosła się dość daleko w nocnej ciszy, budząc kundle, które wściekle ujadały. Dla chłopaków była to idealna okazja. Ukryli się pod drewnianym mostem na rzece przy gościńcu wiodącym na Staniątki. Tamtędy przechodziło zwykle sporo osób. Na czatach stanął Dawid.

– Idą! – zaszemrał w pewnej chwili, ześlizgując się po zboczu, by dołączyć do reszty.

– Kto, kto? – dociekali dowcipnisie.

– Same dziewuchy, są we trzy. Chyba żaden parobek nie chciał wychodzić z karczmy tak wcześnie.

– A to może być Kryśka. We trzy wybierały się na tańce: ona, Ewka od organisty i Kaśka Filusiówna – oznajmił Bartosz. Jego starsza siostra uwielbiała tańce w gospodzie i nie przepuszczała żadnej okazji, by pohulać z kawalerami, za co matka wciąż ją ganiła, bojąc się, by pannica nie napytała sobie biedy. – Pisku było co niemiara, gdy się przeglądały w lusterku. Zaplatały se włosy w korony, by poudawać królewny – parsknął z pogardą, nasłuchując odgłosu nóg stąpających po moście.

– A to je w takim razie po królewsku powitamy. – Skoczylas zachichotał. – Jak wlezą na most, to wyskakujemy, okładamy się po zadkach.

Jak postanowił, tak uczynili. Gdy tylko na dębowej kładce rozległ się tupot trzewików, wyskoczyli po dwóch z każdej strony, odcinając pannom drogę ucieczki. Stanęli tyłem do dziewczyn, pospuszczali gacie i zaczęli się oklepywać po wypiętych gołych pośladkach, wyjąc przy tym niczym potępione dusze. Dziewuchy podniosły pisk i chciały uciekać, lecz na drodze stały im cztery diabły z piekła rodem. Akurat była pełnia księżyca, więc miesiączek jasno oświetlał całe widowisko.

– Co tam się dzieje? Co to za wrzaski? – krzyknął rozespany Edek Karpiel, wyjrzawszy ze swej chałupy. Ta bowiem stała najbliżej mostku.

– Aa! Ratujcież, dobrzy ludzie! Diobły jakieś straszą na moście! Pomocy!

Smarkacze od razu ulotnili się jak kamfora. Przestraszone pannice nawet się nie zorientowały, gdzie zniknęli.

Tymczasem owe diabły stały pod kładką jeszcze długo po tym, jak dziewuchy uciekły. Tłumili chichot, by nie zdradzić swej obecności. Nie potrzebowali, by góral złapał któregoś za kołnierz i zawlókł do chałupy. Wszak zabawa w karczmie jeszcze się nie skończyła, więc istniały perspektywy na przestraszenie kolejnych ofiar.

Rozdział 4.

Czas zmian

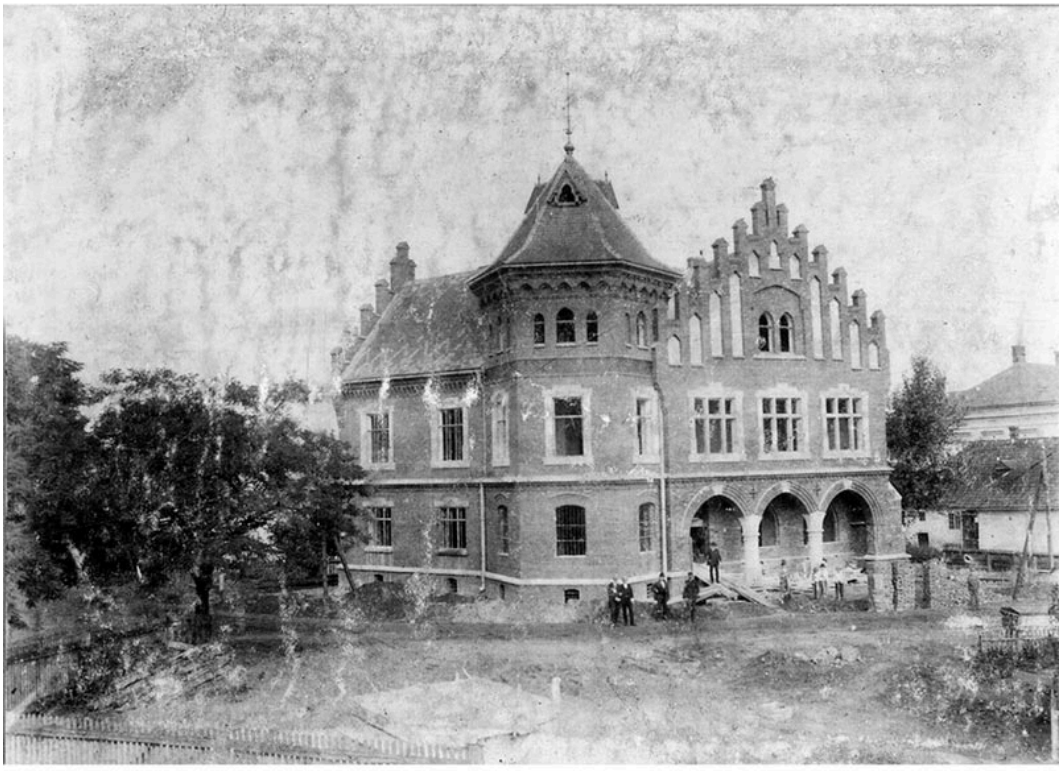

Niepołomicki ratusz – zdjęcie z czasu budowy.

Rok 1902

– Tęsknię za tobą, matulu – westchnęła Weronika Zalipiak, gdy już skończyła odmawiać modlitwy na grobie zmarłych rodziców.

Gwoli ścisłości ojca także jej brakowało, lecz w ostatnich latach ich życia to z Bernadetą łączyła ją mocniejsza więź. Być może taka właśnie była naturalna kolej rzeczy, że gdy przeminął czas buntu, doceniła jej troski. Póki matka usiłowała wydać ją za mąż według własnego widzimisię, toczyły wielkie spory. Później nadszedł czas sceptycznego obserwowania poczynań Nikodema. Dopiero gdy po pierwszym porodzie życie Weroniki zawisło na włosku, wróciło naprawdę serdecznie porozumienie. To Bernadeta wspierała córkę w każdej trudnej chwili, pocieszając ją po kolejnych utraconych nadziejach na powicie zdrowej dzieciny. Po wydaniu na świat Gabriela Zalipiakowa zaciążyła jeszcze trzykrotnie, lecz bez efektu. Gdy doszło do ostatniego poronienia, sprowadzony z Wieliczki doktor kategorycznie zabronił małżonkom podejmowania dalszych prób. A oni, choć bardzo trudno im to przyszło, pogodzili się w końcu z myślą, że los obdarował ich tylko jednym potomkiem.

– Wola Boża – oznajmił pewnego dnia Nikodem, gdy szlochała rozpaczliwie nad kolejną utraconą szansą. – Gdy odszedł Władeczek, ubłagałem Pana Boga oraz Staniątecką Panią o jedno zdrowe dziecię. I poprzysięgłem sobie wtedy, na kosteczki naszego syna, że jeśli to będzie chłopak, to choćbym miał osychać głodem, wykształcę go na doktora, by mógł czynić dobro.

Od tamtej pory minęło ładnych parę lat i rzeczywiście mąż dokonywał cudów, odkładając każdego krajcara na edukację jedynaka. Żyli skromnie, wręcz na granicy ubóstwa, ale zdołali posłać Gabriela do

szkół w Krakowie. Teraz młodzieniec kształcił się nader pilnie jako student medycyny na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Ogromną zasługą Józefa Dietla było to, że Gabriel mógł uczestniczyć w wykładach odbywających się w języku polskim oraz po łacinie, ponieważ to właśnie dzięki staraniom wybitnego doktora uczelnia oparła się germanizacji.

Weronika rozmyślała o tym wszystkim, stojąc nad grobem rodziców.

– Bylibyście dumni z Gabriela – powiedziała szeptem, nim się przeżegnała.

Odeszła wolnym krokiem. Ukłoniła się sąsiadce, którą minęła w alejce.

Dzień był wiosenny, ciepły, pogodny. Wszystko aż rwało się do życia. Niewielkie miasteczko rozbrzmiewało gwarem. Z nieco oddalonej stacji kolejowej dobiegł gwizd lokomotywy, przypominając Weronice, że wieczorem wróci mąż. W ciągu dwudziestu siedmiu lat pracy Nikodem dorobił się stanowiska kierownika pociągu. To cieszyło, ponieważ jako *zugführer* nieźle zarabiał. Doceniano go w pracy, cieszył się szacunkiem. Zresztą już przed laty, gdy zwrócił uwagę na to, w którym miejscu giną towary z okradanych wagonów, nagrodzono należycie jego czujność.

Kobieta szła niespiesznie w stronę rynku. Miała przy sobie koszyk wypełniony koronkami i haftami, które wciąż pracowicie wykonywała. Ostatnio szalenie modne wśród elegantek były szmizetki, czyli koronkowe wysokie kołnierzyki połączone z wkładką z delikatniej materii zdobnej w misterne hafty. Szmizetki umieszczało się w wycięciach sukni bądź bluzek wtedy, gdy nie wypadało eksponować obnażonej szyi. Salmanowie brali do swego sklepu każdą ilość, którą mogła dostarczyć, i dość dobrze płacili za te cudeńka. Widać niejednej damie nie chciało się spędzać czasu na szydełkowaniu lub nad tamborkiem.

Ostatnio wśród dobrze urodzonych pań zapanowała moda na aktywność fizyczną. Mniej uwagi poświęcały robótkom, więcej przyjemnościom. Oddawały się więc z pasją nie tylko polowaniom,

przejażdżkom konnym czy tańcom, ale również sportom. Coraz częściej widywano je grywające w krokieta, niezwykle modną zabawę, która dotarła z Anglii i polegała na jak najszybszym przetoczeniu kuli za pomocą drewnianego młotka z jednej linii końcowej boiska na drugą i z powrotem. Śmiechu bywało przy tym co niemiara. Zadanie, wbrew pozorom, nie należało do łatwych, gdy trzeba było uważać, by nie zaplątać się w suknię. Wyraźnie więc dostrzegało się rozluźnienie obyczajów, gdyż ze swej młodości Weronika doskonale pamiętała matkę zasiadającą w salonie z tamborkiem lub szyciem, a o podobnych ekstrawagancjach nikt wówczas jeszcze nie słyszał.

– Dzień dobry! – Z zadumy wyrwał ją damski głos. Spojrzała więc w bok, w stronę, z której dobiegał, i zobaczyła Filomenę stojącą wraz z córką obok bramy kościoła.

Obydwie panie wyglądały pięknie w popołudniowych sukniach pastelowej barwy. Zalipiakowa, choć daleko jej było do próżności, spojrzała na nie z zaciekawieniem. Najnowsze trendy w modzie zmieniły znacząco linię damskiej sylwetki, nadając jej esowaty kształt zaczynający się kapeluszem z dość dużym rondem, który zdawał się falować wraz z fryzowanymi strusimi piórami. Wysunięty do przodu biust ujmował stanik opadający dość luźno z przodu w fałd zwany odwłokiem osy. Smukłość talii, mocno ściśniętej gorsetem, podkreślał pasek z bogato zdobioną klamrą. Spódnice nosiło się teraz gładkie, pozbawione zdobnych w falbany i kokardy tiurniur, mocno opięte na biodrach i rozszerzające się ku dołowi niczym pochylony ku ziemi kwiat lilii. Tył odzienia wieńczył tren, w tym przypadku niewielki, lecz i tak zbierający uliczny kurz. Stroje te, zapewne niezbyt wygodne i mało praktyczne, miały jednak niezaprzeczalny urok. Oczywiście wzrok Weroniki na dłużej spoczął na szmizetkach osłaniających skromnie dekolty i szyje kobiet. Z nieznaczną satysfakcją rozpoznała w nich dzieła własnych rąk, widać modnisie zaopatrywały się nie tylko w Krakowie, ale również w Niepołomicach. Przez jej twarz przemknął ledwo zauważalny uśmiech. Ucieszyła się na myśl, że jej praca znajduje

uznanie w oczach tak wyrafinowanych dam, gdyż Filomena oraz jej córka zasłynęły w całej ekonomii niepołomickiej elegancją i dobrym smakiem.

Oby inne kobiety szły za ich przykładem i kupowały moje szmizetki – pomyślała.

– Dzień dobry – odparła. – Uroczy dzień na przechadzki. Jak się panie miewają?

Wymieniły trochę zwyczajowych uprzejmości, lecz na dłuższą pogawędkę nie było czasu. Zresztą już od dawna pomiędzy kobietami utrzymywał się dystans. Wszystko zaczęło się podejrzeniami Prokopa, jakoby Bernadetę coś łączyło z Antonim. Później, po śmierci Trzosów, *madame* Cecylia wypowiedziała Klemensowi dzierżawę gruntów, a zarząd nad resztkami jej majątku objął ekonom Branickiego. Weronika wiedziała, jak wielkim ciosem było to dla Klemensa, który utracił z tego powodu znaczny dochód. Od tamtej pory relacje tych dwóch rodów całkowicie się rozluźniły.

Weronika raźnie ruszyła dalej. Szybko załatwiła swą sprawę w sklepie Salmanów. Miriam, zachwycona jej pracami, zamówiła więcej szmizetek.

– A nie podjęłaby się pani zrobienia pokryć na umbrelki? – zapytała. – Mamy na stanie kilka rączek, którym brakuje wykończenia. Przyniósł nam je jakiś czas temu czeladnik Achlerów.

– Mogę je zobaczyć? – W ciemno Weronika nie chciała podejmować się nowych zleceń.

Salmanowa posłała subiekta na zaplecze dość mrocznego sklepiku. Ten przyniósł cały kosz ze sterczącymi zeń gołymi drutami. Weronika ujęła jeden z nieskończonych parasoli i podeszła bliżej okna, by przyjrzeć się misternie wykonanemu uchwytowi. Kilka razy złożyła i rozłożyła przedmiot. Potem z lekkim wahaniem pokiwała głową.

– Wezmę jedno na próbę, zobaczę, co mi wyjdzie. Na razie i tak będę miała sporo pracy z kolejnymi szmizetkami. Postaram się jednak jak najszybciej do tego zabrać.

– Nu… Moja złota pani Nikodemowa, znając pani zręczne palce, wyjdzie ślicznie. W razie czego Symeon może dostarczyć pani do domu cały ten kosz, by nie musiała go pani dźwigać.

– Oczywiście. Zajrzę do państwa niebawem.

Kobiety rozliczyły się za wykonaną przez Weronikę pracę, potem Zalipiakowa opuściła chłodną sklepową izbę. Na zewnątrz poraził ją blask słońca.

Ach! Jak można prowadzić handel w tak ponurym miejscu? – stwierdziła. Pozostałe domki i kamieniczki okalające obszerny rynek sprawiały przyjemniejsze wrażenie.

Ciekawość pchnęła ją do przejścia kilkudziesięciu kroków w stronę placu budowy, na którym od niedawna wznoszono nowy budynek magistratu. Mury z czerwonej cegły powoli pięły się w górę. Weronika wiedziała od męża, który uczestniczył czasami w sesjach rady miejskiej, że pomysłodawcą tego przedsięwzięcia był urzędujący od paru lat burmistrz Władysław Wimmer[16]. Zlecił on wykonanie projektu jednopiętrowej budowli Janowi Sasowi-Zubrzyckiemu[17] – temu samemu architektowi, który zaprojektował kościółek na niepołomickim cmentarzu oraz kapliczkę usytuowaną przy ulicy Bocheńskiej. Budowa szła szybko i sprawnie, więc istniała szansa, że za rok, może dwa, zostanie oddany do użytkowania urzędnikom z Niepołomic.

– Masz do załatwienia jakąś sprawę? – Zaskoczył ją nagle znajomy męski głos. – Jeśli tak, zapewne jeszcze trochę poczekasz.

Odwróciła się w stronę, z której dochodził.

– Gabryś! – wykrzyknęła radośnie na widok jedynaka, trzymającego w ręce niewielki sakwojaż. – Ty tutaj? Nie w Krakowie?

– Chciałem ci zrobić niespodziankę – oznajmił, całując jej dłoń. – Wiedziałem, że jesteś w domu sama i tęskniąca, bo tato wciąż podróżuje do Wiednia. Postanowiłem więc umilić ci trochę czas. Rano zdałem bardzo ważny egzamin, do poniedziałku jestem więc wolny od wszelkich zajęć na uczelni. Mam przy sobie podręcznik, bo trochę

muszę się pouczyć, ale przyjemnie będzie zrobić to w domowym zaciszu, a nie na stancji wśród hałaśliwych kompanów. Wsiadłem zatem w pociąg i oto jestem!

– Uwielbiam, gdy sprawiasz mi takie niespodzianki, syneczku – oznajmiła, muskając dłonią jego gładko ogolony policzek.

Mężczyzna wyciągnął do niej ramię.

– *Madame* pozwoli?

– Ależ oczywiście – odparła, ubawiona jego kurtuazją. Pomyślała, że babcia Bernadeta byłaby z niego dumna.

Szli niespiesznie przez rynek, kłaniając się po drodze licznym znajomym. Koło kościoła Weronika znowu dostrzegła Branicką z córką. Mimo że już wcześniej panie zdążyły się przywitać, nie sposób było przejść obojętnie.

– Powinienem wiedzieć, że obok kościoła łatwo spotkać anioły, a jednak człowiek nigdy nie jest gotowy na takie wydarzenie – powiedział Gabriel, ściskając opiętą w koronkową rękawiczkę dłoń Leokadii. Nie uszło uwadze Weroniki, że na zbyt długą chwilę zatonął w niebieskich oczach panny, którą wszak znał od dziecka, lecz tylko przelotnie.

– A któż to mówi o aniołach, panie Gabrielu – uśmiechnęła się młoda Branicka, akcentując mocno jego imię.

Nie zatrzymywali się dłużej, na damy czekał woźnica z eleganckim ekwipażem. Zalipiakowie ruszyli dalej pieszo, choć zmierzali w tym samym kierunku i nawet proponowano im podwiezienie. Weronika jednak się wymówiła, nie chcąc sprawiać kłopotu. Wiedziała ponadto, że była to tylko niezobowiązująca grzecznostka.

– Szkoda, że nie przyjęłaś zaproszenia – westchnął Gabriel, spoglądając tęsknie za odjeżdżającymi.

– Syneczku… Pewne rzeczy po prostu nie uchodzą. Branickie na pewno czułyby się skrępowane, gdyby ktokolwiek z ich sfery zauważył, że siedzą w jednej bryczce z ludźmi z gminu.

– Ech! Cóż za irytujące konwenanse! – prychnął mężczyzna. – W czymże tacy Braniccy są lepsi od nas? Bo mają więcej pieniędzy?

– To też. Ale przede wszystkim jest to szlachta. Osoby dobrze urodzone. My wywodzimy się ze stanu kmiecego. Nieważne, że twój ojciec jest teraz urzędnikiem na kolei, a ty studiujesz medycynę. Pochodzenie dyskredytuje nas wśród elity towarzyskiej.

– Trudno się z tym pogodzić – stwierdził z goryczą. Jego dobry humor prysł niczym bańka mydlana.

– Wiem. Twoja babcia aspirowała do tego, by ziemiaństwo przyjęło ją na salony. Właściwie była blisko zrealizowania swego marzenia. Gdyby nie awantura powstańcza Wojtka, zapewne osiągnęłaby cel. Bardzo pragnęła, abyśmy żyli jak ludzie należący do wyższej sfery.

– Biedna babcia… Wiesz, mamo, kiedy patrzę na te wszystkie niesprawiedliwości społeczne, to dochodzę do wniosku, że rację mają ci, którzy są za równością.

– O! Czyżbyś był socjalistą? – wyraziła zdziwienie.

– Nie do końca. Ale ich idee są mi dość bliskie. Uważam, że nie urodzenie czy też majątek rodziców powinny predestynować człowieka, dawać mu dostęp do edukacji oraz dobrych posad, ale jego faktyczne zasługi. Mam dość spoglądania na gnuśnych paniczyków, którym wydaje się, że z racji swych korzeni są panami świata.

– Bo są! – powiedziała żywo. – Zawsze tak było i to nigdy się nie zmieni. Szkoda więc, abyś zaprzątał sobie tym uwagę.

Nie chciała dodawać obcesowo, że przede wszystkim chodzi jej o to, by nie spoglądał tęsknym wzrokiem za panną, która jest dla niego całkowicie niedostępna.

A może wyolbrzymiam? – zapytała w duchu samą siebie.

***

Tymczasem Branickie przemierzały już Puszczę Niepołomicką, kierując się w stronę swych włości.

– Młody Zalipiak zyskał na ogładzie, odkąd rozpoczął naukę na uniwersytecie – rzuciła Leokadia.

– Owszem, maniery ma nienaganne – przyznała Filomena. – Za to jego garnitur prezentował się dość lichutko. Widać, że został uszyty z taniej tkaniny.

– A jakie to ma znaczenie? – zdziwiła się panna, która w ogóle nie zwróciła uwagi na odzież przystojnego kawalera, bowiem z chwilą, gdy zajrzała w jego przepastne brązowe oczy, cały świat wokół przestał na moment istnieć.

– Dla nas? Żadne. Wszak nie jest to człowiek z naszych kręgów towarzyskich.

– A jednak zaproponowałaś Zalipiakom miejsce w powozie – przypomniała córka.

– Tego wymagała grzeczność. Z góry jednak wiedziałam, że Weronika nie skorzysta z mojej oferty. Jest wystarczająco dobrze wychowana, by wiedzieć, że to byłoby *faux pas*. Na szczęście ta kobieta zna swoje miejsce – skwitowała Filomena, staranniej zasłaniając twarz umbrelką.

Leokadia zdziwiła się, słysząc jej nieco pogardliwy ton. Nigdy wcześniej matka nie zachowywała się w podobny sposób. Wydawało jej się nawet, że dawno temu miała więcej sympatii dla Zalipiakowej. Skąd więc ta niechęć? Wolała nie dociekać. Siedziała w milczeniu, rojąc sobie w myślach, że Gabriel nie nazywa się Zalipiak, ale Zalipski lub Zalipowski i jest właścicielem dóbr ziemskich porównywalnych z majątkiem papy. Czy wówczas matka byłaby przychylniejsza jego rodzinie?

Tymczasem Filomena z goryczą przypomniała sobie rozmowę, którą przypadkowo usłyszała przed laty. Choć było to nader nieeleganckie i w ogóle nie wypadało damie tak czynić, wiedziona jakimś dziwnym impulsem poszła za matką wówczas, gdy odwiedził ją niespodziewanie Prokop Trzos. Z ich rozmowy wynikało, że Bernadetę i ojca Filomeny łączyło coś nieprzyzwoitego. To tłumaczyłoby łzy, które matka jeszcze długo po odjeździe plenipotenta ocierała ukradkiem, jej późniejszą

melancholię i ucięcie relacji towarzyskich z Trzosami, a w efekcie wypowiedzenie dzierżawy Klemensowi, gdy nadarzyła się pierwsza sposobność.

Cierpienie Cecylii raniło również serce Filomeny, która swą niechęć do Trzosowej przeniosła, dość świadomie, na pozostałych członków tamtej rodziny.

Oczywiście nie uszło jej uwadze spojrzenie, jakim młody Zalipiak objął jej córkę. Na nią także spoglądali w ten sposób mężczyźni, gdy była nieco młodsza. Zresztą Ostrowski do tej pory nie przepuszczał okazji, by podczas tańców szepnąć, że nigdy nie pogodził się z jej decyzją zamążpójścia. Między wierszami badał grunt, próbując ją uwodzić, lecz ona zawsze trzymała go na dystans, ponieważ nie wzbudzał w niej choćby cienia tych emocji, które przed laty wywoływał Maksymilian.

Może na nią zerkać do woli – pomyślała o Gabrielu. – *Nie dla psa kiełbasa, nie dla prosiąt miód, tak chyba mawiają kmiecie. Ufam, że Lodzia ma dość rozsądku, by nie ulegać jego powabom.*

Mimo wszystko postanowiła jednak mieć córkę na oku, choć nie przypuszczała, by z tego jednego spojrzenia wyniknęło cokolwiek więcej. Młodzi nie bywali w tych samych kręgach towarzyskich, nie istniało więc ryzyko spotkania na salonach u znajomych. Leokadia była wprawdzie młodziutka i mogła mieć pstro w głowie, lecz miała także wpojone pewne zasady.

***

Panna Branicka długo w noc leżała w łóżku, spoglądając w sufit i nie mogąc zasnąć. Ilekroć zamykała powieki, przed jej oczami stawał Gabriel Zalipiak. Trochę walczyła z tym obrazem, lecz bywały momenty, gdy celowo przywoływała wspomnienie o przystojnym mężczyźnie. Nie chciała go wyrzucać z pamięci. Miał w sobie coś niezwykle

pociągającego, był inny od tych wszystkich wymuskanych kawalerów, którzy z uprzedzającą grzecznością zalecali się do niej w karnawale.

Rano wstała niewyspana i na tyle zamyślona, że podczas śniadania wszystko leciało jej z rąk, a herbatę posłodziła dwukrotnie.

– Lodziu! Co się z tobą dzieje? – skarciła ją w końcu matka, gdy brzdęknęła upuszczona na podłogę łyżeczka.

– Przepraszam, mamo. Migrena mi doskwiera. Źle spałam tej nocy.

– Och… moje biedactwo – rozczuliła się nad nią Cecylia. – Ja także nie mogłam zasnąć. Wszystko z powodu pełni. Księżyc świecił zdecydowanie zbyt jasno i wprost w okna.

Wnuczka spojrzała na nią z wdzięcznością. Leciwa matrona zaczęła szeroko rozwodzić się nad swą ostatnią bezsennością, odwracając uwagę rodziców od Leokadii. Tymczasem pannica zastanawiała się nad tym, czy Gabriel Zalipiak faktycznie jest tak oszałamiającym mężczyzną, jakim go zapamiętała, czy może nocne marzenia wyidealizowały go nieprzeciętnie. Pomyślała, że być może warto byłoby skonfrontować wspomnienie z rzeczywistością, i nawet miała koncepcję, jak tego dokonać. Przyda jej się przy tym pomoc brata, który, podobnie jak Gabriel, także przyjechał do domu, by spędzić kilka dni na łonie rodziny. Wystarczy tylko, że wyciągnie go na przejażdżkę konną, a później po prostu pogalopują w stronę Niepołomic. Liczyła, że zobaczy mężczyznę choćby przelotnie. Teoretycznie mogłaby wybrać się sama, gdyż rodzice nie przywiązywali przesadnej wagi do przyzwoitek, lecz nie chciała wzbudzać matczynych podejrzeń.

***

Plan okazał się prosty do zrealizowania. Znużony wielkomiejskim gwarem Wiktor z przyjemnością zgodził się jej towarzyszyć. Po obiedzie bez pośpiechu wyjechali za bramę i ruszyli stępa drogą wiodącą ku puszczy.

– Do Niepołomic? – zaproponował brat.

– Czemu nie? – odpowiedziała pytaniem, zadowolona, że sam wskazał cel wycieczki tak bardzo odpowiadający jej pragnieniu.

– No to świetnie. Chciałem zobaczyć postępy w budowie magistratu. Dużo się ostatnio dzieje w mieście i, jak na złość, wszystko mnie omija. Słyszałem, że na Wężowej Górze ma być usypany kopczyk jako wyraz sympatii i poparcia dla dzielnych uczniów z Wrześni, którzy przeciwstawili się nachalnej germanizacji przez Prusaków.

– Piękna idea – przyznała Lodzia, która jakoś na ten temat nie słyszała nic. Zapewne mówiono o tym w domu, gdy ojciec wrócił z sesji rady miejskiej, lecz ona omawiane tam sprawy jednym uchem wpuszczała, a drugim wypuszczała.

– Podobno kilka ważnych person zawiązało Towarzystwo Gimnastyczne. Nazwali je „Sokół". Sam aptekarz Reichenberg został mianowany prezesem. A skoro tak, oznacza to, że będzie się w związku z tym działo dużo dobrego. Pan Mieczysław jest wielce zasłużony dla miasta – ciągnął brat, nie zważając, że siostra niemalże nie zwraca na niego uwagi.

– Aa... Tak. Tatko wspominał coś o tym – odparła nieco roztargniona.

– Uhm. Niby zrobili to dla krzewienia sportu w myśl hasła „w zdrowym ciele – zdrowy duch", ale przypuszczam, że w rzeczywistości naszym działaczom chodzi o krzewienie i podtrzymywanie patriotyzmu wśród ludzi. Rad bym do nich przystąpił.

– Zatem się zapisz. Przypuszczam, że będą zadowoleni, gdy przybędzie im członków.

– Tak uczynię, choć niewiele będę się udzielał, przynajmniej na razie. Muszę wpierw ukończyć nauki. Ale gdy już osiądę na gospodarstwie, będę miał zdecydowanie więcej czasu.

– O ile ojczulek nie wypełni ci go ważnymi sprawami. Być może zechce, abyś osiedlił się w Branicach. Szkoda, by tamtejszy dwór stał opustoszały.

– Bez przesady. Mało tam rezydentów?

– Drogi braciszku, rezydent to nie gospodarz – przytoczyła zasłyszane niegdyś słowa Marcela. – Rodzice rozmawiali niedawno o tym, że widzieliby cię właśnie tam. Mógłbyś mieć oko na wioski położone po drugiej stronie Wisły. Wszak kiedyś to będzie twoje dziedzictwo.

– Być może. Nie będę się przed tym bronił, bo i dworek jest ładny, i ziemia urodzajna. A Heniutek – wspomniał o młodszym, dwunastoletnim bracie – zostanie pewnie w rodzinnym domu. Może mu tato dorzuci Grabie. No, chyba że tobie przypadnie majątek po babci, a Henrykowi przyjdzie budować nowy dom właśnie na Grabiu? – snuł wizje przyszłości.

– Co ma być, to będzie – stwierdziła pannica. Przyspieszyła znacząco, gdyż nużyły ją wywody dotyczące spraw miasta. Chciała jak najszybciej znaleźć się w Niepołomicach.

– Hola, hola, Lodziu! Co to za pośpiech? – mitygował ją ze śmiechem Wiktor.

– Może pościgamy się, braciszku? Co ty na to?

– Chcesz się ścigać na tym? – zakpił, wskazując głową damskie siodło.

– Czemu nie? – odparła, pewna swych umiejętności. Wszak konno jeździła, odkąd sięgała pamięcią. Najpierw tatko sprawił jej kucyka, a gdy podrosła, trenowała na małej klaczce. Niestraszny jej był najszybszy nawet galop, choć ojciec nieraz ją przestrzegał przed nadmiernymi szaleństwami, napominając jednocześnie, że nie przystoi, by młodej damie podwiewało amazonkę, niemalże odsłaniając kolana.

– Skoro dobrze się czujesz w swoim siodle, to zgoda.

– Pod kapliczkę na niepołomickim rynku?

– Niech będzie – zaakceptował propozycję, lecz nim skończył mówić, pannica spięła konia i błyskawicznie wystrzeliła naprzód.

Przez jakiś czas ją gonił, lecz granatowa suknia szybko zniknęła mu z oczu, podobnie jak cylinderek z powiewającymi za nim tiulowymi wstęgami w kolorze liliowym. Być może siostra skręciła w ścieżkę krótszą od głównego gościńca, który obrał, gdyż nie chciał być chłostany po twarzy przez nisko zwieszające się gałęzie drzew. Nie martwił się jednak o Lulę, jak zwykł ją określać, wiedział, że dziewczyna doskonale zna okolicę, a na niezbyt długim odcinku do Niepołomic nie zagrażało jej absolutnie nic.

Leokadia faktycznie zboczyła z utartego szlaku, by jak najkrótszą drogą zajechać pod chatę Gabriela. Mniej więcej orientowała się, gdzie mieszkają Zalipiakowie. Matka pokazała jej kiedyś ich dom, gdy wybrały się razem na przejażdżkę. Choć nie lubiła używać szpicruty, chłosnęła nią w bok swego konia, by zmusić go do szybszej i dość karkołomnej jazdy. Nie odczuwała strachu. Przeczucie podpowiadało jej bowiem, że zostanie wynagrodzona spojrzeniem urzekających brązowych oczu.

Zwolniła, dojeżdżając w pobliże niewielkiej drewnianej chałupy. Jej serce zabiło nagle bardzo mocno i niespokojnie, jakby zaraz miało wyskoczyć z piersi. Nie pojmowała, co się z nią dzieje, dlaczego widok tego skromnego budynku tak ją wzruszył.

Zamarła, gdy zobaczyła mężczyznę siedzącego na ławce w cieniu drzewa i wertującego jakąś książkę. Tak bardzo pragnęła, by ją zauważył!

***

Gabriel nie mógł się skupić na treści podręcznika. Nieustannie coś go odrywało od lektury. A to brzęczenie owadów, a to kot ocierający się o nogawkę spodni, a to ptaki szczebiocące przy swych gniazdach. Najbardziej jednak w nauce przeszkadzało mu powracające natrętnie wspomnienie niebieskich oczu okolonych gęstwiną rzęs oraz cudowny uśmiech i tworzący się przy tej okazji rozkoszny dołeczek na prawym policzku Leokadii Branickiej. Wzdychał więc raz po raz, rojąc sobie, że znowu ją spotyka i umawia się z nią na potajemną schadzkę. Albo lepiej

– że spacerują razem pod obsypanymi kwieciem drzewami, trzymając się za ręce. Kiedy więc usłyszał stukot końskich kopyt, od razu podniósł oczy znad kartek zadrukowanych łacińskimi opisami budowy szkieletu. Wstrzymał raptownie oddech, bowiem zdało mu się nagle, że śni, gdyż tuż za sztachetami parkanu przejeżdżała właśnie sprawczyni jego dekoncentracji.

– Panna Leokadia – powiedział półgłosem, na tyle donośnie jednak, by zwrócić uwagę amazonki. Od razu zdjął z głowy nakrycie.

– Pan Gabriel? – Udała zdziwienie, choć zbliżając się do domu, zauważyła siedzącego mężczyznę. Zdołała jednak odwrócić wzrok, nim on spojrzał na nią.

– Jakże miło znowu panienkę widzieć! – odparł i zerwał się z ławki. Kilkoma susami pokonał dzielącą ich odległość i podszedł do ogrodzenia. – Dzień dobry, *mademoiselle*.

Panna pochyliła się nieco i podała mu swoją dłoń. Uścisnął ją delikatnie przez rękawiczkę z koźlęcej skórki.

– Dzień dobry. – Słodko się uśmiechnęła. – Uczy się pan anatomii? – Ruchem głowy wskazała podręcznik.

– Taa… tak. Usiłuję. Cóż, gdy skupić się niepodobna. Wciąż coś mnie rozprasza. Myślałem już nawet o tym, by zostawić książkę i pójść na spacer do puszczy. W dusznym mieście brakuje mi jej żywiczego zapachu i piękna.

– Może więc spełni pan swój zamiar i zechce towarzyszyć mi choć parę kroków? Zmierzam do Niepołomic – oznajmiła, żywiąc nadzieję, że nie wyda mu się nachalną.

– Z prawdziwą przyjemnością – ucieszył się i czym prędzej przesadził parkan, wcisnąwszy wcześniej kaszkiet na głowę, by go nie zgubić. Nie miał z tym akrobatycznym wyczynem większych trudności, bowiem ubrany był wyłącznie w spodnie na szelkach, lnianą koszulę oraz wygodne trzewiki. Nie nosił marynarki ani krawata, wyglądał raczej jak zwyczajny, choć może bardziej odświętnie odziany wiejski młodzieniec, a nie jak student.

Onegdaj z całą pewnością prezentował się bardziej elegancko, choć Lodzia za nic w świecie nie mogła sobie tego przypomnieć, gdyż w jej myślach utrwaliły się przede wszystkim brązowe oczyska oraz mocno zarysowana żuchwa. Jego zwinność nie uszła uwadze Leokadii. Dziewczyna zgrabnie zsunęła się z siodła, nie czekając na pomoc. Potem złapała Palomę za lejce i ruszyła przed siebie niespiesznym krokiem. Liczyła, że po drodze nie spotka nikogo, kto mógłby o jej samowoli donieść matce lub ojcu. Trudno byłoby jej się z tego wyłgać, choć kłamczuszką była dość zręczną.

– Zdziwił mnie widok panny samotnej – zagaił Gabriel. – Zgubiła panna przyzwoitkę?

– Można tak rzec. Przyzwoitką był mój brat i faktycznie się zawieruszył. Właściwie nie tyle zawieruszył, co wybrał utarty szlak. On preferuje wygodne gościńce, ja wolę skracające drogę, ale mniej uczęszczane ścieżki. Trudniejsze do pokonania, lecz sprawiające więcej satysfakcji.

– Dama, która nie obawia się wyzwań? – Uniósł brew.

– Tatko mnie nauczył, że nie zawsze należy wybierać najprostsze rozwiązania i czasami trzeba coś poświęcić, choćby własną wygodę, by osiągnąć cel, o którym się marzy.

– A to pięknie – odparł mężczyzna, coraz mocniej zauroczony niezwykłą panną. Zaimponowała mu jej odwaga oraz znaczne wyemancypowanie. Nie każda dziewczyna przecięłaby puszczę, pędząc konno w damskim siodle, które zapewne nie należało do wygodnych, a tym bardziej bezpiecznych, gdyż dama na koniu miała przede wszystkim uroczo wyglądać. Względy praktyczne schodziły na drugi plan.

– Piękne jest to, że pan studiuje medycynę – poprawiła Gabriela. – Wspaniały zawód, wymagający poświęceń. Moja kuzynka, Matylda, także pragnie zostać lekarzem. Zapewne rodzice jej na to pozwolą, ponieważ mieszkają w Krakowie. Matylda, choć ma dopiero siedemnaście lat, jest dojrzała nad wiek i wyemancypowana. Mnie,

mimo wszystko, tłamsi mnóstwo konwenansów. Ale wróćmy do pana studiów – podjęła przerwany wątek, gdyż uznała go za szalenie interesujący. Zaczęła wypytywać Gabriela o treści wykładów, profesorów i jego odczucia związane z kierunkiem, w którym podążał.

Szli niespiesznie, rozmawiając. Leokadia żywiła nadzieję, że Wiktor nie wpadnie w popłoch, gdy dotrze do rynku i zobaczy, że jeszcze tam nie przyjechała. Zamierzała rozstać się z Gabrielem koło apteki Mieczysława Reichenberga. Czasu nie mieli więc zbyt dużo. Czy wystarczy go, by mężczyzna zaproponował potajemną schadzkę? W skrytości ducha właśnie na to liczyła. Intuicja podpowiadała jej bowiem, że Zalipiak jest nią zaintrygowany równie mocno jak ona nim. Sęk w tym, że panience nie wypadało być nachalną. Już i tak to niby przypadkowe spotkanie mogło wywoływać pewne podejrzenia, więc w kwestii wykonania kolejnego kroku inicjatywa musiała należeć wyłącznie do niego.

– Tutaj powinniśmy się rozstać – powiedziała z głębokim smutkiem, gdy dotarli pod aptekę. Widok na kapliczkę, przy której umówiła się z bratem, przesłaniał kościół.

Gabriel bez trudu odgadł, że z jakiegoś powodu Leokadia nie chce, by jej brat zobaczył ich razem. Może chodziło o jego pochodzenie, a może o niezbyt elegancki ubiór, wolał nie dociekać, choć poczuł, że jest mu przykro.

– Nie chcę, by Wiktor uznał, że nie można mnie nawet na moment spuścić z oczu i wciąż powinnam mieć przy sobie przyzwoitkę – wyjaśniła dziewczyna. Jej słowa z miejsca poprawiły mu nastrój, mimo to nadal czuł się persona non grata.

– Było mi niezmiernie miło, że mogłem pannie towarzyszyć. Zachowam pamięć o tym spotkaniu, a gdy już będę w Krakowie, z przyjemnością będę je wspominał.

– Mnie też było bardzo przyjemnie. Czas minął zastraszająco szybko. Gdyby przy haftach i innych zajęciach upływał równie prędko! – westchnęła.

Przez chwilę stali w milczeniu, spoglądając sobie w oczy. Dzielił ich przyzwoity dystans, lecz obydwoje marzyli o tym, by go skrócić. Żadne nie miało dość odwagi, żeby wykonać jakiś gest. W końcu Branicka uśmiechnęła się delikatnie.

– Do zobaczenia, panie Gabrielu.

– Do zobaczenia, panno Leokadio – odparł, żałując, że nie potrafi się zdobyć na to, by primo: zaproponować jej schadzkę, secundo: wziąć ją w ramiona i ucałować różane usta.

Spoglądał za odchodzącą dziewczyną. Nie dosiadła konia, prowadziła go nadal za wodze. Wyglądała niczym wiotka trzcinka rozkołysana wiatrem: krucha, delikatna, urzekająca.

Cóż mam do zaoferowania szlachciance? – pomyślał z przygnębieniem.

Wiedział, że nim uzyska tytuł doktora, minie ładnych parę lat. Tymczasem rodzice na pewno znajdą jej dobrze urodzonego narzeczonego. Nim on zakończy edukację, ona zdąży wyjść za mąż. Kiedy Leokadia będzie rodziła dzieci, sam będzie rozglądał się za jakąś przyzwoitą posadą. Potem jeszcze powinien spłacić dług wdzięczności wobec rodziców, którzy przez całe życie oszczędzali, by posłać go na studia.

Doceniał ich gest całym sercem, zrobili wszystko, by odmienić jego los. Wszak mógł, wzorem ojca, zostać pracownikiem kolejowym, wspinać się mozolnie po stopniach kariery, która nigdy nie zaprowadzi go na żaden zaszczytny stołek, lecz skończy się co najwyżej etatem kierownika pociągu.

Zwiesił ramiona, odwrócił się i odszedł w stronę domu rodzinnego.

Dla niej jestem nikim. Nie powinienem rozdzierać sobie serca miłostką, która nie ma przyszłości.

***

Zasmucona Lodzia minęła mur otaczający kościół pod wezwaniem Dziesięciu Tysięcy Męczenników. Nie pojmowała, czemu Gabriel nie

zdobył się na to, by zaproponować schadzkę.

A co, jeśli pomyliłam się w jego ocenie? Jeśli nie zrobiłam na nim żadnego wrażenia? Wszak mógł odprowadzić mnie pod aptekę wyłącznie dlatego, że tak nakazywało mu dobre wychowanie, bo zauważył, że jestem bez przyzwoitki, i nie chciał, abym była narażona na zaczepki obcych mężczyzn – rozmyślała przygnębiona panna. – *W Krakowie widuje pewnie dość pięknych kobiet. Może spotyka się ze ślicznymi szansonistkami, bywa w teatrze, operze, kawiarniach… Och!*

– Lulo! – wykrzyknął na jej widok brat. – Gdzie się podziewałaś? Już miałem wracać po ciebie do puszczy. Wystraszyłem się, że Paloma poniosła, bo zbyt mocno chlasnęłaś ją szpicrutą. Nic ci się nie stało? Jesteś cała? – dociekał, choć nie widział ani w ruchach, ani wyglądzie siostry najmniejszych oznak upadku z konia.

– Nic mi nie jest. Po prostu zmyliłam ścieżki i wyjechałam nie tam, gdzie powinnam – odparła. – Sama jestem zdziwiona, że pobłądziłam, przecież dobrze znam puszczę.

– W porządku. Najważniejsze, że nic ci się nie stało. Lulo?

– Tak?

– Mam prośbę…

– Jaką?

– Czy możesz ten epizod zachować dla siebie? Rodzice byliby zmartwieni, słysząc, że zawiodłem ich zaufanie i straciłem cię z oczu.

Dziewczyna stłumiła uśmieszek cisnący jej się na usta.

– Oczywiście, braciszku. Nie pisnę ani słóweczka.

***

Jeśli Leokadia sądziła, że drugie spotkanie z Gabrielem w czymkolwiek jej pomoże, to była w błędzie. Nie wyrwała go ze swoich myśli, a ilekroć przed jej oczy wracał jego wizerunek, serce zaczynało niespokojny łomot, jakby miało wyskoczyć z piersi. Nie potrzebowała wiele czasu, by uznać, że uległa czarowi pierwszej miłości, o której czasami czytała

ukradkiem w książkach przemycanych do swej skromnej, panieńskiej sypialni. Zapewne gdyby matka wiedziała, co czyta córka, surowo by ją za to skarciła. Lodzia była jednak nader uparta z natury i czym bardziej czegoś jej się zakazywało, tym mocnej dążyła do tego, by osiągnąć założony cel.

Oczywiście dla matki było to prawdziwe utrapienie. Filomena robiła co mogła, by wychować córkę na damę, lecz ta często stawała okoniem. Przeważnie *madame* Branicka narzekała na krnąbrną latorośl przy swej matce, licząc na sojusz, lecz Cecylia często bagatelizowała te troski.

– Ach, ona jest taka po cioci Eulalii – wzdychała, gdyż uwielbiała wnuczkę i pobłażała wielu jej wybrykom.

– Babcia ma dla mnie więcej zrozumienia niż mama – jęczała pannica, szukając poparcia u swej ukochanej nestorki.

Nic więc dziwnego, że to leciwej matronie powierzała czasami swe sekrety. Tego, który nosiła w sercu od dwóch dni, nie mogła zdradzić nikomu, nawet jej. Była zakochana.

Być może znalazłaby w babci sprzymierzeńca, wszak Parnicka często powtarzała, że w małżeństwie ważne jest przywiązanie i miłość, bo bez tego ludzie żyją obok siebie, nie znając się prawie wcale i dusząc się w nieszczęściu.

***

Z początkiem ubiegłorocznego karnawału, gdy przyszła pora na debiut Leokadii w towarzystwie, Filomena zaczęła snuć plany matrymonialne, robiąc pierwsze przymiarki i marząc o tym, by córka znalazła narzeczonego ze znacznym majątkiem i pięknym pochodzeniem. Wprawdzie na zamążpójście dziewczyna miała jeszcze dość czasu, lecz co szkodziło pomarzyć o doskonałej partii? Wszak Filomena doskonale pamiętała, jak niewiele zabrakło, by ona zaprzepaściła własną szansę na szczęście. Gdyby posłuchała głosu serca tęsknie wyrywającego się ku Maksymilianowi, dzisiaj zapewne byłaby zgorzkniałą starą panną.

Ewentualnie, jeśli jakimś cudem wyszłaby za mąż, pozostawałaby teraz w stanie trudnym do określenia: ni to wdowa, ni to kobieta porzucona, ponieważ nigdy nie wyjaśniono, gdzie przepadł Żelechowski. I z całą pewnością nie byłaby tak majętną osobą, gdyż jej ówczesny ukochany nie zaliczał się do krezusów.

Cóż, potrafiła odpowiednio wcześnie ochłonąć i zmusić samą siebie do kierowania się rozsądkiem podczas wyboru kandydata na męża. Ale czy Lodzia postąpi równie rozważnie? Dzieliła się swymi wątpliwościami z matką, lecz ta nie podzielała jej racji.

– Phi! – fuknęła kiedyś Parnicka. – Ty miałaś wolną rękę, więc pozwól i córce, by sama decydowała o swym losie.

– Lula jest na to zdecydowanie zbyt młoda i trzpiotowata. Byłam znacznie starsza od niej, wychodząc za mąż. Ale w gruncie rzeczy nie jest dobrze, gdy panna zbyt długo pozostaje niezaręczona. A podobieństwo do ciotki Eulalii nie jest żadnym atutem – westchnęła Filomena.

– I ty byłaś taką samą filutką jak moja droga szwagierka – przypomniała Cecylia.

– Było, minęło. Z wiekiem należy nabierać powagi, mamo.

Cecylia przewróciła oczami, gdyż akurat ona z wiekiem znacząco traciła na jakże pożądanej powadze. Role się odwróciły. Teraz to Filomena zachowywała się statecznie, nobliwie i narzucała dyscyplinę otoczeniu. Cecylia zaś spoglądała na to wszystko z pobłażliwością.

Odzywa się w niej kupiecka krew – pomyślała przekornie Parnicka. – *Patrzy tylko na to, by Lodzia zrobiła dobry interes, wychodząc za mąż.*

– Za wcześnie na te twoje spekulacje, córko. Lula to jeszcze dzieciak. Ma dopiero dziewiętnaście lat i pstro w ślicznej główce. Potrzebuje przynajmniej dwóch, trzech lat, by dojrzeć. Nie spiesz się więc tak bardzo z tym małżeńskim targowiskiem próżności.

– Dziewczęta w tym wieku często wychodzą za mąż.

– Owszem, gdy muszą, bo przykładowo nie mają posagu, a ktoś pragnie je poślubić. Albo gdy zostaną skompromitowane. Lodzia ma czas.

– A co jeśli roztropniejsze panny sprzątną jej sprzed nosa najatrakcyjniejsze partie?

– Płaczu nie będzie – skwitowała Parnicka. – Zawsze znajdzie się jakiś godny uwagi dżentelmen. Jeśli nie w Niepołomicach, to w Wieliczce, Krakowie lub Bochni. Ba! Kto powiedział, że Lula nie podbije komuś serca, gdy Juliusz zabierze ją oraz swoje pociechy w zapowiadaną podróż po Europie?

– Nie zaznam ani chwili spokoju podczas ich wojaży. Będę drżeć ze strachu, że mój brat dopuści do tego, by zadurzyła się w kimś nieodpowiednim.

– Przesadzasz, skarbie. Juliusz to rozsądny mężczyzna. Jestem przekonana, że będzie miał oko na Lulę.

Podróż, ku wielkiej ekscytacji ciekawej świata pannicy, zaplanowano na czerwiec. Nikt jednak nie zdawał sobie sprawy z tego, że pewnego dnia owa ekscytacja przeminęła niczym mgła rozwiana przez podmuchy wiatru.

***

– A co ty, Elżuniu, nie idziesz z babami w las, by zbierać poziomki? – zdziwił się Klemens, gdy żona, zamiast pójść z Dominiką i innymi kobietami, została w obejściu.

– Nie – odparła. – Świekra kazała mi siedzieć w domu, zabroniła chodzenia do lasu na owoce.

– A to czemu? Przecież wczoraj wieczorem matula wspominała, że dzisiaj po obiedzie pójdziecie wszystkie do puszczy.

– Też się zdziwiłam. Ale powiedziała mi, że skorom jest brzemienna, to nie powinnam jeść żadnych owoców aż do święta Matki Boskiej Jagodnej[18], patronki jagód leśnych i ogrodowych. Bo taki jest zwyczaj.

– Pierwsze słyszę. Przecież chodziłaś już z brzuchem trzy razy.

– Tak, ale wszystkie dzieciaki rodziłam wiosną, nim cokolwiek zdążyło dojrzeć. A świekra gadała, że chodzi o jakąś klątwę sprzed lat. I abym się jej ustrzegła, mam zostać w obejściu.

– Klątwa? – Klemens uniósł brwi.

– No podobno twoją babkę przed laty przeklęła jakaś wiedźma…

– A to dopiero! – żachnął się. – Ty lepiej nie dawaj wiary zabobonom, Elżuniu! Bo to przez te bzdury babcia zmarła w lesie, daleko od domu. Gdybym za nią nie pojechał, pewnie pożywiłaby się nią leśna zwierzyna, rozwlekając truchło. Skonała z głową na moich kolanach, bo choć była chora, poszła na Studzieniec odczyniać jakieś czary. Nie byłoby tego, gdyby słuchała, gdy dziadek mówił, że to tylko głupie bajanie.

– Kiedy mnie twoja matula opowiadała to, co sama usłyszała od babki. I wyliczała przy tym, ile zmarło wam krewnych. A ci, co nie pomarli, to albo poszli do klasztoru, albo nie zaznali szczęścia.

– A czy mnie czegoś brakuje? – burknął małżonek, niezadowolony, że żona dała wiarę temu, co sam uważał za bzdury. – Mam ciebie, zdrowe dzieciaki, głodny nikt z nas nie chodzi…

– Ale Parnicka odebrała ci zarząd nad swoim majątkiem – weszła mu w słowo.

– Było, minęło. – Machnął ręką lekceważąco, choć znowu poczuł to nieprzyjemne uczucie żalu, które pojawiało się, ilekroć przypominał sobie o tej stracie. Bo pierwsze lata gospodarowania na swoim były dla niego wyjątkowo trudne. Wciąż brakowało mu gotówki na opłacanie najemnych robotników. Gdyby nie pieniądze, które matka dawno temu dostała od Wojciecha „na nowe życie”, pewnie siedziałby w kieszeni Goldbluma lub innego lichwiarza. – A ty bądź mądrzejsza od mojej matuli i nie ulegaj głupim lękom.

– A ciotka Weronika? – Ciężarna nie dawała za wygraną. – Poroniła tyle dziateczek, że aż strach! Może ona nie wiedziała o tym, że przed świętem Matki Boskiej Jagodnej nie powinna zbierać owoców? Pewnie

chodziła do puszczy przed czasem. A jeśli jeszcze dodać do tego klątwę, to już wiadomo, czemu straciła swoje maluszki.

– Tyś za to donosiła każde – przypomniał. – A poza tym ciotka ma Gabriela. Kształci się chłopak na doktora ku radości całej rodziny. Gdyby faktycznie nasza dola była przeklęta, to i on by pomarł. Albo Ignasiowi przydarzyłoby się coś złego wtenczas, gdy polazł ze smarkaczami ze wsi do dworu. Tymczasem to nie on, tylko Czop rozharatał sobie łapę i umarł – skwitował dobitnie. – Zapamiętaj sobie raz na zawsze: nie chcę słyszeć o żadnych klątwach!

***

Gabriel nie spał przez niemalże całą noc. Wciąż powracały urywki wspomnień minionego popołudnia i krótkiej przechadzki z Leokadią. Żałował, że mimo wszystko nie zdobył się na odrobinę odwagi i nie wyznał, jak bardzo go oczarowała.

A co jeśli nasze spotkanie nie do końca było przypadkowe? – Jego serce szaleńczo załomotało. Wszak z tego, co mówiła Lodzia, wynikało, że nie jest strachliwą panienką, która boi się własnego cienia. Mogła specjalnie wymknąć się spod kurateli brata. Być może zauważyła, jakie na nim wywarła wrażenie. A może ona także uległa magicznej chwili, gdy spojrzeli sobie w oczy, a teraz swym zachowaniem postanowiła go delikatnie ośmielić, by on odważył się o nią zawalczyć? *Kiedyś będę lekarzem, a to nie byle co. Doktorzy cieszą się szacunkiem społeczeństwa, mieszkają w ładnych domach i w ogóle dobrze im się wiedzie* – stwierdził. Czy były to wystarczające atuty, by próbować zdobyć serce tak interesującej istoty?

Rano, gdy już wstał, miał w głowie pewną szaloną myśl, którą zamierzał wprowadzić w czyn jeszcze przed powrotem do Krakowa.

***

Po obiedzie Lodzia wymknęła się z książką do ogrodu. Na szczęście wśród bujnej roślinności mogła przechadzać się swobodnie, bez przyzwoitki, która zapewne towarzyszyłaby jej podczas wyprawy poza teren przylegający do dworku. Panna dotarła do swego ulubionego zacisznego zakątka i tam umościła się na ławce z egzemplarzem trzeciego tomu powieści *Nad Niemnem* autorstwa Elizy Orzeszkowej. Zapewne tytuł ten w jej dłoniach wywołałby delikatne oburzenie matki, gdyż poza innymi wątkami traktował o dwóch mezaliansach szlachcianek, które pokochały niżej urodzonych mężczyzn. Wytrawny czytelnik dopatrzyłby się w tekście jeszcze i innych związków, które mogłyby wywołać jeśli nie zgorszenie, to przynajmniej pełne oburzenia uniesienie brwi. Ale ona właśnie teraz potrzebowała takiej budującej lektury, z której jasno wynikało, że niemożliwe bywa możliwe, a panny z dobrych domów poślubiają prostych, lecz szlachetnych ludzi, ponieważ przedkładają miłość nad względy materialne. Sprawa była więc niezwykłej wagi, skoro pisało się na ten temat powieści. A przecież literatura ma służyć nie tylko przyjemnościom, lecz również pokrzepianiu serc i krzewieniu ważnych wartości – tak zawsze twierdziły: babcia, matka oraz jej ostatnia nauczycielka.

Cóż, gdy tego dnia nawet lektura ją nużyła?

Nagle Lodzia usłyszała szelest pomiędzy roślinami i ciche syknięcie. Rozejrzała się i poczuła, jak jej serce zaczyna niespokojnie łomotać w piersi.

– Pan Gabriel? – Uniosła brwi w wyrazie zdumienia.

– Dzień dobry, panno Leokadio. Proszę mi wybaczyć śmiałość, lecz nie mogłem w żaden sposób powstrzymać się przed tym małym szaleństwem.

– Jak pan się tutaj dostał? – zapytała, wiedząc, że brama zwykle jest zamknięta, gdyż przyjeżdżającym gościom otwiera ją dyżurujący tam odźwierny.

– Przeskoczyłem przez mur. Cóż to dla mnie? – Puścił oko do dziewczyny.

Od wścibskich spojrzeń osłaniały ich wybujałe krzewy przekwitającej tawuły. Lodzia nie martwiła się, że ktoś może ich zobaczyć, choć ryzyko oczywiście istniało, gdyby któryś z mieszkańców dworku wybrał się na przechadzkę.

– Wybaczy mi panna zuchwałość? – zapytał mężczyzna.

– A powinnam?

– Wiem, że zasługuję na skarcenie. Wtargnąłem tutaj niczym złodziej, mącąc pannie spokój. Nie mogłem jednak odmówić sobie przyjemności spojrzenia na pannę choćby z daleka, nim wyjadę znowu do Krakowa. To niby tak blisko, a tak daleko zarazem. Serce najchętniej zostałoby w Niepołomicach, lecz rozum powiada, że trzeba wracać na uniwersytet. Proszę więc darować mi śmiałość. – Pochylił lekko głowę, oczekując wyroku Leokadii.

– Jakże miałabym się gniewać na pana? Wszak sama wczoraj powiedziałam, że do odważnych świat należy. I że warto walczyć o swe marzenia.

– Czy zatem mnie wolno choć pomarzyć?

– A o czym? – zapytała z kokieterią w głosie.

– O tym, że pomyśli panna o mnie od czasu do czasu.

– Tylko tyle?

– Aż tyle. Bo chciałbym w tych myślach być dla panny kimś wyjątkowym. Kimś, kto sprawia, że świat nabiera zupełnie innych barw. Bo ja właśnie tak się czuję, odkąd spojrzałem pannie w oczy – wyznał, kucając przy ławce na tyle daleko, by nie spłoszyć Leokadii.

– To szaleństwo – wyszeptała.

– Tak, szaleństwo – przyznał skruszony, bojąc się, że teraz zostanie przegnany za bramę, może nawet poszczuty psami.

– To szaleństwo – powtórzyła – któremu i ja uległam, panie Gabrielu.

– O miła! – ucieszył się, wyciągając do niej dłoń. – Pozwolisz?

Z onieśmieleniem podała mu swoją rękę. Zaskoczyła go aksamitna gładkość nagiej skóry tak jasnej i delikatnej, że sprawiała wrażenie,

jakby należała do anielskiej postaci. Delikatnie ucałował rękę dziewczyny, na więcej się nie ważył.

– Teraz wiem, że lżej mi będzie wyjechać. Łudziłem się nadzieją, że i pannie serce choć odrobinę szybciej zabiło, gdyśmy się spotkali i onegdaj, i wczoraj. Bo ja od dwóch dni chodzę niczym zamroczony, nie mogąc sobie znaleźć miejsca. Ja wiem, że w oczach panny być może jestem nikim, prostym człowiekiem ubogiego pochodzenia. Ale proszę mi dać wiarę, panno Leokadio, że gdy tylko ukończę studia, mój los się odmieni.

– Ależ ja w to wierzę, panie Gabrielu! Wiele pan osiągnął, dostając się na uniwersytet. Wiem, że to niełatwe, wszak i mój brat studiuje. Często opowiada o wymagających profesorach i strasznych ilościach materiału do opanowania. Podziwiam więc pańskie wysiłki.

– I zechce się panna ze mną spotkać, gdy już zdam ostatnie egzaminy i wrócę na lato do Niepołomic?

– Och! – westchnęła ciężko, przypominając sobie nagle, że wtedy gdy on przyjedzie, sama będzie już pewnie bardzo daleko, poza Galicją. Choć wcześniej cieszyła się na podróż z wujem, teraz poczuła nieprzyjemny ucisk w żołądku na samą myśl o tym, że nie spotkają się tego lata. *Nie! Nie mogę tak po prostu wyruszyć w podróż!* – Coś wymyślę, choć to nie będzie łatwe, gdyż rodzice zaplanowali mi już lato. Ale proszę się nie frasować, mam swoje sztuczki – odparła enigmatycznie. Przecież nie mogła mu powiedzieć, ile zamierza dla niego poświęcić. Wierzyła jednak, że warto, gdyż w jego oczach była sama szczerość i tyle ciepła, że to spojrzenie ogrzałoby ją zapewne nawet w najchłodniejszy dzień.

***

Noc kolejny raz przyniosła bezsenność i tysiące niespokojnych myśli.

Przecież mogę sobie pomarzyć o niemożliwym – westchnęła w końcu Leokadia. – *To nic nie kosztuje, niczego nie zmienia w moim życiu, nikogo nie*

unieszczęśliwia. Dzisiaj chcę sobie wyobrażać, że jestem zwyczajną dziewczyną z niezamożnej rodziny i wolno mi sobą dysponować. Albo lepiej, że on jest szlachcicem, bo chyba jednak łatwiej jest żyć, gdy ma się pokojówkę, kucharkę i koniuszego. A właściwie co by komu szkodziło, gdybym wyszła za mąż za kogoś takiego jak on? Wszak Lucjan Rydel ożenił się z chłopką z Bronowic. I co się stało? Nic wielkiego. Wyspiański napisał o tym sztukę, na której tatko z mamą byli w teatrze. Czemu więc nie miałoby być na odwrót: by szlachcianka poślubiła prostego człowieka? Nawet nie kmiecia, bo przecież Gabriel studiuje medycynę! Kiedyś będzie doktorem, a to nie przelewki – rozmyślała, przewracając się niespokojnie z boku na bok.

***

Gdy rano zeszła do pokoju stołowego, znowu znużona i z podkrążonymi oczami, zatroskana babcia pogłaskała ją po twarzy.

– A co to moje kociątko takie mizerniutkie?

– Och babciu… – westchnęła pannica, wtulając twarz w jej opiekuńczą dłoń.

Cecylia spojrzała wnuczce głęboko w oczy, a potem pokiwała głową ze zrozumieniem. Znała ten błysk, widywała go wielokrotnie u bliskich. A ponieważ w ich domu bywało wielu mniej lub bardziej atrakcyjnych kawalerów, usiłowała odgadnąć, który z nich skradł serce tej ptaszyny. I już szykowała się na to, by w razie czego bronić wyboru Lodzi, gdyż ufała, że skądinąd niegłupia, choć nieco filuterna panienka, nie dałaby się zbałamucić mężczyźnie niewartemu źle przespanych nocy, westchnień i tęsknot, które miała wypisane na twarzy.

Rodzina zasiadła do śniadania. Tym razem dziewczyna pilnowała się, by nie zwracać na siebie uwagi. Bez zaangażowania słuchała rozmów prowadzonych przy stole.

– Czeka nas dzisiaj wizyta u krawcowej oraz modystki – przypomniała Filomena, zwracając się bardziej do ślubnego. – Żałuję, że nie wystarczyło czasu na to, by w Krakowie sprawić Lodzi garderobę na

wyjazd. Tamtejsze krawcowe mają zdecydowanie więcej polotu. Na prowincję moda dociera ze znacznym opóźnieniem. A przecież nie mogę puścić Leokadii w świat w niemodnych strojach.

Dziewczyna westchnęła ciężko, zastanawiając się, w jaki sposób wykręcić się od wyjazdu, na który jeszcze kilka dni wcześniej cieszyła się wręcz nieprzytomnie. Bo choć miała pozostawać pod opieką wujostwa, to jednak wyprawa bez rodziców była czymś naprawdę wielkim. Lodzia marzyła o podróży elegancką salonką, o miejscach, które zwiedzi, ludziach, jakich spotka na swej drodze, i rzecz jasna o strojach, które ze sobą zabierze. Naciągała matkę na kolejne podróżne toalety, trzewiczki, rękawiczki z cienkiej skórki lub koronek, kapelusze oraz tysiące fraszek, bez których młoda dama nie jest w stanie funkcjonować. A teraz, gdy już można było odliczać dni do wyjazdu, cała radość prysła jak bańka mydlana. A wszystko przez ciemne oczy Gabriela, elektryzujący dotyk jego dłoni oraz jej niepokorne serce, które rozpaczliwie wyczekiwało kolejnych spotkań.

Tylko jak powiedzieć rodzicom, że wolałaby zostać w domu? A raczej, że wcale nie chce go opuszczać?

– Oczywiście, duszko – odparł Branicki. – Mam nadzieję, że po tych zakupach nie zostanę nędzarzem. – Puścił oko do córki.

Dziewczyna zmusiła usta do bladego uśmiechu.

Przez resztę dnia na zmianę rozmyślała o tym, jak wymigać się z podróży po Europie, oraz o cudnych chwilach spędzonych w towarzystwie Gabriela. Wzdychając cichutko, bezwiednie gładziła własną dłoń w miejscu, którego dotknął wargami przystojny student.

– Lodziu! Przestań bujać w obłokach! – fuknęła na nią matka, gdy kolejny raz zapytała ją o kolor woalki do podróżnego kapelusza i nie doczekała się odpowiedzi.

Dziewczyna wskazała jedną z próbek prezentowanych przez matkę, nie zastanawiając się, czy wybór będzie trafny. Nawet nie próbowała skupić uwagi na kolejnych przymiarkach i sprawunkach. O ile dawniej wizyty u modystki czy krawcowej niezwykle ją ekscytowały, i z anielską

cierpliwością godzinami mogła mierzyć nowe modele kapeluszy czy sukien, to teraz uczestniczyła w tym ze znużeniem. Odetchnęła z ulgą, dopiero gdy wraz z matką powróciły do domu.

Symulować jakąś niedyspozycję? Udać, że skręciłam nogę w kostce? – rozważała. – *Nie, kostka odpada, każdy lekarz pozna się na kłamstwie. Co robić? Co robić? Co robić?*

Znacznie łatwiej byłoby się wymigać od wizyty u rodziny w Krakowie, jakiegoś spotkania towarzyskiego lub balu. Jak na złość, w grę wchodziła podróż marzeń. Taka, jaką być może miała okazję odbyć jedyny raz w życiu. I nie, nie miała najmniejszych wątpliwości, czy warto dla kawalera zrezygnować z podobnej atrakcji.

Popołudniem, gdy rodzina odpoczywała w salonie, Lodzia miała już w głowie plan, który zamierzała jak najszybciej wprowadzić w życie. Okazja nadarzyła się bardzo szybko.

– Córciu, zagraj nam coś ładnego – poprosił Marcel.

Lodzia odłożyła tamborek i wstała z kanapy. Niespiesznie przeszła dwa kroki, a następnie wydała z siebie pełne dramatyzmu westchnienie i osunęła się na dywan. Wcześniej już kilkakrotnie wykorzystywała tę sztuczkę w różnych sytuacjach, na przykład wówczas, gdy nużyły ją lekcje z panną Adelajdą albo gdy rezydentki zamęczały ją o wykonywanie kolejnych pieśni. Zdołała więc zachować kamienny wyraz twarzy, gdy wokół zgromadziła się rodzina.

– Lulo! – wykrzyknęła matka, padając obok niej na podłogę i układając ostrożnie jej głowę na swych kolanach. – Biedactwo znowu zemdlało! Dajcie mi szybko sole trzeźwiące. Córciu, córeczko, ocknij się! – Delikatnie potrząsnęła dziewczyną.

– Ach, to pewnie przez ten upał – stwierdziła Cecylia, wachlując wnuczkę.

– Może trzeba otworzyć okno? – zasugerował Marcel, biorąc pannicę na ręce, by ułożyć ją na kanapie.

– Ależ skąd! – zganiła go ślubna i podetknęła córce pod nos flakonik z mieszaniną amoniaku, wodorowęglanu sodu, lawendy oraz kilku innych mocno pachnących składników. – Nie ma nic gorszego od przeciągu! Można od niego dostać globusa.

Leokadia z niemrawością odpowiednią do sytuacji zaczęła otwierać oczy.

– Co się stało? – zapytała słabiutkim głosikiem.

– Zemdlałaś – oznajmiła Filomena, siadając przy niej.

– Ach tak. Słabo mi i czuję zawroty głowy – odparła dziewczyna.

***

W następnych dniach powtarzała swą sztuczkę przy każdej możliwej okazji, skarżyła się też na nieustającą migrenę. W końcu zatroskani rodzice odesłali ją do sypialni i sprowadzili do niej lekarza. Doktor zalecił kilkudniowy odpoczynek w łóżku i unikanie wyczerpujących zajęć. Odradził dalekie podróże. Przypadłości złożył na karb osłabienia organizmu oraz nieokreślonej dziewczęcej histerii.

– Och, mamusiu! Czy to oznacza, że nie pojadę w podróż z wujkiem Juliuszem? – wyłkała komediantka, zasłaniając twarz batystową chusteczką.

Siedząca przy niej Filomena miała zafrasowaną minę.

– Kochanie… Obawiam się, że trzeba odwołać twój wyjazd – powiedziała po chwili milczenia. – Te omdlenia i migreny są na tyle niepokojąc i uciążliwe, że zarówno dla ciebie, jak i dla wuja byłby to pewnie znaczący problem.

– Nie… – jęknęła pannica, gdyż tego wymagała sytuacja. W głębi duszy modliła się jednak, by matka pozostała nieczuła na ten delikatny lament.

– Wiem, wiem, Lulo. Zależy ci na podróży, zresztą nam także. Nie wiadomo, czy i kiedy powtórzy się taka sposobność. Może jeszcze wydobrzejesz na tyle, by pojechać? – odparła matka bez większego

przekonania. – W razie czego polecę Wali, by zaczęła pakować twoje kufry.

Pokojowa, Walentyna Szalejko, miała towarzyszyć Leokadii. Czterdziestoletnia wdowa, niegdysiejsza mamka i niania panienki, była osobą, którą *madame* Branicka darzyła pełnym zaufaniem. Wierzyła, że Wala nie tylko zadba o komfort córki, ale również będzie stała na straży jej moralności, dotrzymując kroku młodej damie w samotnych przechadzkach. Wszak też miała córkę w wieku Luli, miłą dzieweczkę służącą na pokojach.

***

Panna Branicka nudziła się niepomiernie, spędzając w sypialni dłużące się w nieskończoność dni. Cierpiała jednak dla dobra sprawy. Musiała symulować chorobę odpowiednio długo i wiarygodnie. Za całe towarzystwo służyły jej książki, po które zakradała się do biblioteki lub posyłała Jankę Szalejko, wytłumaczywszy jej wcześniej, gdzie znajdzie pożądaną lekturę. By nie zamęczały jej swoją obecnością rezydentki, chętne do czuwania przy jej łóżku, uprosiła matkę, by nikogo do niej nie przysyłać. Zdecydowanie wolała czytać niż oddawać się pogawędkom skupionym wokół jej „choroby" bądź jakichś bzdurnych spraw. Tolerowała u siebie wyłącznie matkę i babcię, lecz na szczęście one zajęte były prowadzeniem domu, miały wiele obowiązków towarzyskich, czynnie udzielały się w kółku religijnym oraz charytatywnym. Nie mogły więc przesiadywać u niej całymi dniami.

Gdy była sama, wstawała z łóżka, podchodziła do okna i rzucała zza firanki tęskne spojrzenia na ogród, w którym rodzina lubiła spędzać wiosenne oraz letnie popołudnia. Zazdrościła damom możliwości zagrania w krokieta, obejrzenia występów amatorskiego kółka dramatycznego, w którym sama chętnie udzielała się w ostatnim półroczu, przejażdżek konnych czy choćby spacerów pomiędzy klombami. Marzyła o wycieczce parostatkiem po Wiśle czy wyjściu

dokądkolwiek, byle poza skromny pokoik, w którym z premedytacją uwięziła samą siebie.

Mimo wszystko pannica znosiła owe drobne niedogodności jeszcze przez trzy dni po tym, jak salonka z wujem Juliuszem oraz jego rodziną, służbą i bagażami odjechała do Wiednia, skąd miała zawieźć ich jeszcze dalej, do słonecznej Italii. Dopiero wtedy poprosiła Jankę, by pomogła jej w porannej toalecie, i po raz pierwszy od dwóch tygodni zeszła na śniadanie do jadalni, gdzie powitano ją z wielkim entuzjazmem.

– Luleczko moja kochana! – wykrzyknęła Cecylia na jej widok. – Dobrze się czujesz? Nie za wcześnie aby wstałaś z łóżka?

– Już mi lepiej, babciu – odparła, zajmując swoje miejsce przy stole.

Z udawanym brakiem apetytu zjadła niewielki posiłek, obiecując sobie, że zakradnie się później do kuchni i przekąsi coś więcej. By nie wzbudzać niczyich podejrzeń, po obiedzie oświadczyła, że potrzebuje jeszcze trochę wypoczynku, i odeszła do swej sypialni. Postępowała tak przez następne dwa dni, a potem, ku uciesze rodziców, powoli zaczęła wracać do swego zwyczajowego trybu życia, zwiększając aktywność.

– Och… jaka szkoda, że zapadłaś na zdrowiu akurat przed samym wyjazdem. Juliusz był wprawdzie gotów odłożyć podróż o kilka dni, lecz skąd mogliśmy wiedzieć, że tak szybko wrócisz do pełni sił? – wzdychała Filomena, załamując ręce nad tym, co ominęło jej córkę.

– Trudno, mamusiu – odparła Lodzia, strojąc pokorne minki. – Mam przed sobą całe życie i zapewne jeszcze niejedną podróż.

– Ach… jakie dobre z ciebie dziecko. Mądre, wyrozumiałe – ucieszyła się Filomena, która raczej spodziewała się spazmów, histerii, a przynajmniej nieutulonych łez z powodu utraconej rozrywki. – Zdrowie najważniejsze. Po południu spodziewamy się gości. Zapowiedzieli się państwo Michalscy oraz Dąbrowscy. Mam nadzieję, że dotrzymasz nam towarzystwa i umilisz czas muzykowaniem. Michalscy pewnie przywiozą ze sobą Hieronima. Bądź dla nich akuratna, kochanie. Hieronim to bardzo atrakcyjna partia. Niejedna

panna marzy o tym, by się nią zainteresował. Koniecznie włóż błękitną suknię haftowaną w pęki kwiatów.

– Nie lubię jej – grymasiła córka, której nie w smak były matczyne słowa. Zresztą wzmiankowanej toalety faktycznie nie znosiła, gdyż miała poczucie, że prezentuje się w niej jak podlotek, a nie dorosła panna.

– Ależ kochanie! Wyglądasz w niej zjawiskowo. Niby jest niezwykle skromna, lecz hafty nadają jej uroku.

***

Latem nikt nie mógł narzekać na brak zajęć, bo roboty w polu był huk. A to sianokosy, a to pielenie, a to żniwa. Dzieciarnię trzeba było przeganiać na pastwiska z bydłem albo w las po maliny, jagody, poziomki czy grzyby, bo szkoda byłoby, aby tyle darmowego dobra szło na zmarnowanie. A wiadomo, że malina przydatna jest na przeziębienia, jagody na niestrawności i bóle brzucha, poziomki bardziej dla przyjemności, a bez grzybów trudno sobie wyobrazić wigilię Bożego Narodzenia. A i wielu kmieciom cienka zupa grzybowa pomagała przetrwać przednówek.

Mimo tego nawału zajęć Mojsiejowicz nie narzekał na pustki w gospodzie, bo po znojnym dniu niejeden chłop wpadał na kielonek gorzały, dzierlatki na tańce, licząc, że zwrócą uwagę jakiegoś krzepkiego parobka, a baby jak to baby – by pomielić jęzorami, obgadać mniej szanujące się dziewki, przypilnować ślubnych, sprawdzić, którzy kawalerowie nazbyt ochoczo zaglądają do kieliszka, by w razie czego wybić córkom z głów niefrasobliwe decyzje matrymonialne.

Przy okazji tańców oraz popijaw gadano nie tylko o spodziewanych jesienią weseliskach, ale także o duchach straszących w okolicy dworu i o polityce, w której działo się wiele ciekawego.

– Wiecie co, chłopy? – zagadnął Tosiek Bielak, sadowiąc się wygodnie na ławie.

– Nie pytaj głupio, ino gadaj – odparł Marcińczyk.

– No już, już, ino gębę muszę przepłukać piwem, bo gorąc taki, że w gardle zasycha. – Dopiero gdy pociągnął zacny łyk, z dumą oznajmił: – Do partii przystałem.

– Jee... co ty gadasz? – zdziwił się Skoczylas. – A na co ci to? Czasu masz za wiele?

– Czas, Wincenty, trzeba znaleźć i na takie sprawy. Bo jak my, kmiecie, nie dopilnujemy swoich interesów, to nikt się za nami nie wstawi. Mus jest, by nasz stan miał swoich ludzi w radach. Trzeba dopominać się o równouprawnienie i różne korzyści.

Od dawna do okolicznych mieszkańców docierały wieści o utworzonym w Rzeszowie przez małżeństwo Wysłouchów[19] oraz Jakuba Bojkę[20] Stronnictwie Ludowym. Początkowo chłopi podchodzili do tej kwestii nieco sceptycznie, uważając politykę za zbędne zawracanie głowy, lecz z biegiem czasu zaczęli pojmować, jak ważna jest możliwość samostanowienia.

– Phi! Jakież możesz mieć korzyści z politykowania?

– Ano różne. Ty, Franiu, nie bądź taki wszystkiemu przeciwny. Nasi dziadowie marzyli o wolności. Trudno im było komukolwiek przedstawiać te... no... postulaty, bo zawsze reprezentowali nas panowie lub księża. A przecież szlachcie zniesienie pańszczyzny było mocno nie na rękę. Świętej pamięci babka opowiadała, jak źle żyło się pod pańskim batem. Głód, nędza i choroby, ot co! Dziadek, nieboszczyk, strasznie się tym frasował. Twoi nic ci o tym nie gadali?

– A niby kto miał mówić, skoro dziadka zabrała cholera?

– No to mnie słuchaj, dawne czasy były ciężkie. Teraz jest jakby nieco lżej, bo i urodzaj latoś, i człowiek robi na swoim, nie na cudzym.

– Dałby Bóg – wtrącił się w to Marcińczyk – byśmy jeszcze doczekali, aż odejdą stąd Austriacy. Szlag mnie trafia na ich szwargot, dzieciaki też od tego głupieją.

– U nas i tak da się wytrzymać. Ponoć Prusacy mocno przykręcają śrubę w Wielkopolsce. Chcą całkowicie podporządkować sobie ludzi, by nawet ojczystego języka zapomnieli. Te uczniaki z Wrześni słusznie się buntowały przeciwko nauce religii i prowadzeniu modlitw po niemiecku. A bo to Pan Bóg zrozumie ten szwargot? – zastanawiał się Tosiek Bielak.

– Ja to bym nie chciał, żeby mi dzieciaki w domu plotły obcą mową. Pewnie, niech sobie znają szwabski, bo bez tego trudno załatwić cokolwiek w urzędzie, choć u nas i tak źle nie jest, sporo naszych siedzi na różnych stanowiskach – stwierdził Filuś, któremu znowu towarzyszyła Barbara, uniemożliwiając tym samym częste pociąganie okowity.

– Jeszcze tego brakowało! – poparła go ślubna, choć bardziej niż dysputą chłopów zajęta była zerkaniem na tańczące pary.

– Skaranie świata z tymi Austriakami. Szkodniki francowate. Łupią z podatków, niszczą puszczę i wszystko inne. Szkoda, że się szlachcicom nie udało powstanie w sześćdziesiątym trzecim. Kto wie? Może gdybyśmy nie byli zależni od Wiednia, to człowiek miałby cokolwiek lżej? – westchnął Skoczylas.

– O to, to! I właśnie z tegoż względu przyłączyłem się do partii. Bo wiecie, chłopy, Wysłouchowie to swoi ludzie, niby szlachta, ale rozumieją nasze potrzeby. Ja tam litery ledwie składam, ale moja Agniecha całkiem dobrze sobie radzi. I czasami nawet kupuje „Przodownicę”[21], a tam można znaleźć różne mądre rzeczy. No to czyta mi baba w niedzielne popołudnia. I to ona mnie namówiła, bym się zgłosił do ruchu ludowego. Bo Wysłouchowie uważają, że konieczne jest rozwiązanie naszych problemów, chcą autonomii dla Galicji i odbudowy Polski.

– Taa… Ciekawe, jak to osiągną, skorośmy tyle lat są zniewoleni przez Austriaków. – Skoczylas wciąż pozostawał sceptyczny.

– Oni wierzą, że prędzej czy później do tego dojdzie. Panowie szlachta nie pogodzili się z zaborami – wtrącił nieźle zorientowany

w polityce Marcińczyk. Jemu ludzie z całej okolicy zwozili do kuźni różne plotki. – Ino teraz chcą wyzwolenia w inny sposób. Nie walką zbrojną w powstaniu, ale pracą i pomyślunkiem.

– A niech mnie! – parsknął śmiechem Lucjan Czop. – Widział kto kiedy jakiegoś pracowitego szlachcica? Toć oni rączki mają delikatne, nieskalane robotą.

– Weźże ty mnie nie przerywaj, Lucku, bo wiem, co gadam. Panowie nie popuszczą. Wyczekują sposobności, ale nie chcą ryzykować jak w sześćdziesiątym trzecim, bo szkoda przelewać krew. Dojdą swego pertraktacjami.

– Fiu, fiu! Czym? – Bielak zagwizdał z podziwu, słysząc słowo, którego sam za nic w świecie nie potrafiłby powtórzyć.

– No... Dogadywać się będą. Ino jeszcze trochę muszą urosnąć w siłę.

– Aha. To by się zgadzało. Bo jakem był na zebraniu partyjnym w Niepołomicach, to tam gadał jeden taki mądrala, że faktycznie potrzebna jest odbudowa Polski. A nam należy się takie samo prawo w polityce, jakie mają księża i panowie. Byśmy sami mogli o sobie stanowić.

– To może i babom dadzą w końcu prawo do głosu? – bąknęła nieśmiało Filusiowa.

Zaraz ją wyśmiali i zakrzyczeli.

– Cicho, babo. A na cóż wam prawa do głosowania? Toć wam dzieci rodzić, przy garach stać i obrabiać co lżejsze w gospodarstwie. My jesteśmy siłą. – Staszek Dyl huknął się w pierś. – Wam nic do polityki.

Baśka coś tam jeszcze próbowała jazgotać wraz z innymi gospodyniami, które przygnało do karczmy, lecz nie znalazły posłuchu wśród mężów.

– Ale powiem wam teraz najlepsze – Bielak podjął przerwany wątek. – Wysłouchowie chcą powiększenia majątków chłopskich.

– Jakim sposobem? – zainteresował się Karpiel, zezując na siedzącego naprzeciwko teścia, któremu także zaświeciły się oczy.

– Potrzeba następnej reformy rolnej. Jedna już była, jak zniesiono pańszczyznę, teraz czas na kolejną. Wysłouchowie chcą dla nas ułatwienia w przejmowaniu ziemi z wielkich majątków.

– Ee… U nas takich nie ma. Pokaż mi w okolicy szlachcica, który ma więcej niźli parę łanów. – Wciąż sceptyczny Czop wzruszył ramionami.

– Chłopi muszą zyskać na znaczeniu – nie ustępował Tosiek. – Róbcie, co chcecie. Dalej gnuśniejcie na zapieckach. Ja tam jestem zdania, że w partii może być siła. Warto przynajmniej popróbować.

Ten i ów zaczął deklarować chęć przystąpienia do partii, choć czasu na zebrania nie było. Głównie chodziło o to, by wiedzieć, co w trawie piszczy, bo na większe reformy jeszcze się nie zanosiło. Na razie cieszyli się, że w Galicji jest jakby trochę spokojniej. Epidemie szczęśliwie omijały okolice Niepołomic. Poza nielicznymi przypadkami tyfusu nic wielkiego się nie działo. Nawet pogoda nie kaprysiła jakoś szczególnie, przynosząc ludziom dobre plony.

– Wreszcie człowiek ma trochę lepiej – stwierdził Skoczylas, rad, że w końcu może kupić piwo za własne halerze[22], nie na bórg. Pokiwał ręką na karczmarkę i pokazał jej pusty kufel.

Baśka, widząc, że i jej maż osuszył naczynie, potarmosiła go za ramię.

– Stary, a poszlibyśmy zahulać – zaskrzeczała.

Kapela złożona z trzech synów organisty zaczynała właśnie mazura. Janek, rad nierad wygramolił się zza stołu. Zwykle ustępował połowicy, bo marudna była jak diabli. Pewnie żyć by mu nie dała, gdyby nie wziął jej w tany. Liczył na to, że raz-dwa ją zmęczy.

Tymczasem Czop, zadowolony, że zostali uwolnieni od babskiego towarzystwa, postanowił rozbawić ziomków historyjką o nieobecnym w gospodzie Mateuszu Zalipiaku.

– Słyszeliśta, chłopy, że Mateusz sprawił se nową krowę?

– A dyć chwalił mi się, jak byłem u niego na odrobku. Ino mówił, że strasznie to bydlę dożarte. Narowista jest ponoć jak wściekła kobyła – odparł Bielak.

– Buchacha! – parsknął śmiechem Lucek. – A widziałeś go przy dojeniu tej krasuli?

– Ano nie. Ale jak o niej wspominał, to dziwnie był czerwony na gębie i wzrokiem w bok uciekał, jakby coś chciał ukryć. Bąknął jeno, że dojenie francy to nie lada sztuka.

– A ja żem do niego zaszedł akurat tego dnia, gdy ją przyprowadził z targu. Ładna krówka, czerwona, wypasiona aż miło. Boki to jej się świeciły, widać, że poprzedni właściciele dobrze jej dogadzali. Do stajenki nawet dała się wprowadzić, ale jak Małgośka wzięła skopek i zydel, to jakby diabeł w krowę wstąpił. Rzucała się, nie dając do siebie podejść. W końcu gospodyni się wściekła i zawołała starego. Ten ponoć chciał jej pokazać, że sobie poradzi, ale dostał racicą w goleń. Przegnał więc ślubną do chałupy, bo stwierdził, że musi wydoić krasulę jakimś sposobem. Przywiązał jej powrozem nogę do haka w ścianie, przestawił zydel na drugą stronę, no i łapie się za strzyki. A ta jak go nie łupnie drugą racicą, aż bidok wpadł pod żłób. Mateusz się zezłościł i wymyślił, że przywiąże tę nogę do przegrody oddzielającej krowę od świń. Jakoś się przecisnął między mućkę a ścianę, ale franca nie zamierzała mu ustąpić. Przednią nogą oberwał nieco lżej. Złapał ostatni postronek i uwiązał jej obydwie przednie nogi do żłobu. Pewnie myślał, że mu się bestia już nie wywinie. Zaczął się jakoś z tym swoim stołeczkiem wciskać pomiędzy krasulę a ścianę i nagle prask! Tak dostał w pysk ogonem, że aż mu pręga wyszła na twarzy. Widziałem to na własne oczy.

Przy stole poniósł się gromki śmiech, bo ziomkowie próbowali sobie wyobrazić, jak Zalipiak toczy boje z opornym bydlątkiem.

– A toś musiał mieć komiczny widok, jakeś wlazł do stajni – stwierdził Marcińczyk, trzęsąc się jak w febrze.

– Ano miałem, bo zaszedłem go chyba w najlepszej chwili. Po tym, jak go franca prasnęła w gębę, wkurzył się już nie na żarty. Nazad się wygramolił. Chciał jej przywiązać ogon do nogi, by więcej go nie chlastała, ale zabrakło mu powróseł. Wyciągnął więc pasek z portek.

A że Zalipiak chudy jak miesiączek na nowiu, to gacie spadły mu aż po kostki. No i teraz dawajcie baczenie, bo właśnie wtedy wlazłem do obory. Chciałem go prosić, by pomógł mi przy sianokosach. No i patrzę, a tu bydlę spętane, dupę ma na wierzchu, Mateusz zaś stoi za krowim zadkiem z gaciami opuszczonymi do kostek – urwał na moment, rozejrzał się, czy nie ma w pobliżu jakiejś baby lub młódki, by nie gorszyć niewieścich uszu dalszą częścią historii. A potem podjął opowieść, zniżając głos tak, by usłyszeli go wyłącznie kamraci zasiadający przy tym samym stole: – Dziwnie to wyglądało, przyznaję, więc pytam ja: „Kumie, a co wy robicie?". Ten na mnie spojrzał wilkiem i mówi: „Chędożyć będę. Bo jak ci powiem, że chcę to bydlę wydoić, to i tak mi pewnie nie uwierzysz".

Nic więcej nie zdołał dodać, bo huknęli wszyscy takim śmiechem, że zagłuszyli nawet grajków. Chichrali się dłuższy czas, w końcu Lucjan uznał, że wypada usprawiedliwić Zalipiaka przed ziomkami.

– Jak powiedział o chędożeniu, to musiałem mieć głupią minę, bo przecie niewiele jest grzechów większych nad takie zwyrodnialstwo. Zaraz wyjaśnił mi po kolei całą historię niefortunnego dojenia. I w dowód prawdziwości swych słów wcisnął się z zydlem między ścianę a krowę. Franca rzeczywiście próbowała fikać, ale na szczęście dobrze ją spętał. A ja żem podszedł do mućki od drugiej strony. Stanąłem przy korycie i choć próbowała mnie bóść, pogłaskałem ją po łbie. Gadałem do niej jak jaki głupek, ale to ją chyba uspokoiło, bo w końcu ją Mateusz wydoił. Mleka dała jak mało która, pewnie warta była tych wszystkich zachodów. Ale jak spotkam Zalipiaka, to muszę go pociągnąć za język, bo ciekawym jest, czy dalej cyrtoli[23] się z wiązaniem jej nóg.

– A to ci dopiero! – sapnął Tosiek, ocierając z oczu łzy. – To już wiem, czego tak popatrywał w ziemię, gdym go wypytywał o krasulę. Pewnikiem myślał, żeś już roztrąbił po wsi, jak to się zabierał za... he...he... he... Chędożenie.

– A co wam tak wesoło, chłopy? – zagadnęła Baśka, sadowiąc się znowu pomiędzy nimi. – Pewnieście jakieś zbereźności wygadywali, hę?

– A gdzież tam, gospodyni! – żachnął się Czop. – Tu była poważna dysputa o dojeniu krów.

– Tere fere! Już ja widzę chłopa, który doi krowę – zakpiła. – Pewnie nawet byśta nie wiedzieli, gdzie szukać strzyków.

Odpowiedział jej gromki śmiech.

Rozdział 5.

Romantyzm

Leśniczówka na Woli Batorskiej

Leokadia „wyzdrowiała” w samą porę. Zakończył się właśnie rok akademicki i do domu przyjechał Wiktor, by złapać oddech przed wyjazdem na wakacje do Londynu. Został tam zaproszony przez jednego z kolegów. I całe szczęście, gdyż w przeciwnym razie rodzicom mogłoby przyjść do głowy, by odwiózł siostrę do Włoch, ponieważ matka przebąkiwała o tym, nim wrócił.

Pannica mogła więc korzystać z upragnionej swobody i wyczekiwać na kolejne spotkanie z Gabrielem. Wierzyła, że tym razem młodzian wykona pierwszy krok i znajdzie sposób na to, by się z nią zobaczyć. Obydwoje wiedzieli, że musi to nastąpić w tajemnicy.

Na ten moment musiała poczekać cały, nieznośnie dłużący się tydzień.

Także tym razem Gabriel zakradł się do ogrodu Branickich. Nie mieli zbyt wiele czasu, gdyż było to tuż przed kolacją i Lodzia wiedziała, że w każdej chwili może zabrzmieć gong wzywający domowników na posiłek. Nie mogła nie stawić się w jadalni, gdyż to od razu postawiłoby jej bliskich na nogi. Powitanie było więc nader powściągliwe – zaledwie uścisk dłoni i głębokie wejrzenie wygłodniałych oczu. Umówili się więc na schadzkę następnego dnia.

– Zna pan opuszczony dwór Żelechowskich? – zapytała panienka.

– Tak – odparł. – Krążą słuchy, jakoby tam straszyło. Nie boi się panna Lodzia?

– Ani trochę – rzuciła dość zadziornie, bowiem opuszczona przez Boga i ludzi posiadłość w ogóle jej nie przerażała. Niejeden raz zapuszczała się tam na wycieczki konne. Sama bądź z ojcem, który także za nic miał krążące po okolicy opowieści. Nigdy wprawdzie nie buszowali po tamtym terenie, szanując cudzą własność, nawet jeśli ostatni właściciel przepadł w tajemniczy sposób. Lodzia uważała to miejsce za romantyczne, choć dość ponure.

– Odważna panna z ciebie, Lodziu – stwierdził z rosnącym zachwytem, bo choć sam był jedynakiem, to miewał do czynienia z kuzynkami ze strony ojca, a te panicznie bały się upiorów, choć namiętnie raczyły się historyjkami na ten temat, twierdząc, że straszy nie tylko na terenie dworskim, ale również w pobliżu mostu za gospodą i w zagajniku na niewielkim pagórku. Kryśka Zalipiakówna opowiadała nawet o diabłach z gołymi zadkami, które pewnego razu wyskoczyły znikąd, robiąc wiele strasznego hałasu i wyciągając z chałupy Edka Karpiela. Ten odprowadził każdą z dziewuch wracających wtedy z gospody do domu. I nawet przyznała się, pąsowiejąc mocno na twarzy, że łobuz za „opiekę" od każdej zażądał całusa.

– A pan ma obawy?

– Oczywiście, że nie. Jako kandydat do zawodu lekarza nie wierzę w żadne zabobony ni dyrdymały.

– Zatem tam się umówmy.

– Jutro?

– Tak. Przyjadę konno zaraz po obiedzie.

Podała mu jeszcze godzinę spotkania i właśnie w tej chwili zabrzmiał nieszczęsny gong.

Czasu wystarczyło im zaledwie na uścisk dłoni.

***

Choć dorosłej pannie nie przystawało podobne zachowanie, Leokadia wciąż lubiła przemykać rano do babcinego buduaru. Staruszka zwykle budziła się skoro świt, lecz nie od razu opuszczała łoże. Dziewczyna wskakiwała więc pod jej pierzynę, przytulała się do ukochanej nestorki i gawędziła z nią o różnych mniej lub bardziej istotnych sprawach. Czasami próbowała pociągnąć ją za język, gdy zasłyszała fragment jakiejś ciekawszej rozmowy. Matka bowiem nie o wszystkim chciała z nią rozmawiać, tłumacząc, że jest zbyt młoda i pewne tematy nie są przeznaczone dla jej uszu. Ona zaś była już przecież dorosłą panną na

wydaniu, więc bardzo chciała, by tak ją traktowano. Ta okropna „akuratność", o którą rodzicielka wciąż suszyła jej głowę, była dla niej nie do zniesienia.

Ostatnio jednak mało interesowały ją kuchenne plotki. Częściej podczas swych porannych odwiedzin u babci poprzestawała na tym, że wtulała się w jej kruche ciało i pozwalała, by seniorka głaskała ją po głowie niczym małą dziewczynkę. Czasami wzdychała przy tym, bowiem przypominało jej się, że podobną pieszczotą darzył ją Gabriel.

– A co moja dziewczynka taka milcząca? – zapytała Cecylia, widząc, że wnuczka błądzi myślami gdzieś w oddali.

– Czasami słowa są niepotrzebne. Dobrze mi, babciu.

– Nie żałujesz utraconej okazji do poznawania świata?

– Nie. Jeszcze nigdy przebywanie w domu nie cieszyło mnie równie mocno.

– O! A to nowość, bo zawsze ciągnęło cię do ludzi. Pamiętam, jak widywałam cię ukrytą za framugą drzwi od bawialni, gdy ktoś przybywał do nas z wizytą. Uciekałaś niani, by przysłuchiwać się rozmowom dorosłych. A ja udawałam, że cię nie widzę. – Puściła oko do wnuczki. – A gdy rodzice wydawali bal, zerkałaś na przyjeżdżających gości ze schodów. I wciąż marudziłaś, że też chcesz nosić dorosłe suknie, upinać wysoko włosy i przebywać z nami. Co spowodowało tak nagłą odmianę? Nie powiesz mi, moja panno, że półtora roku bywania na salonach w zupełności wystarczyło ci do szczęścia.

– Owszem. Ilekroć goszczą u nas państwo Michalscy, mam ochotę krzyczeć wniebogłosy. Albo zrobić coś paskudnego. Bo mama każe mi siedzieć z potulną minką, jak najmniej się odzywać i być a-ku-rat-ną! Och, babciu... Jak ja nie cierpię tego słówka!

Cecylia parsknęła śmiechem.

– Znam i ja bardzo dobrze ten wyraz. Mnie wpajano te same zasady. Panienka winna być cicha, skromna, potulna i a-ku-rat-na – powtórzyła za wnuczką. – Bo inaczej żaden kawaler nie zwróci na panienkę uwagi.

I zostanie panienka starą panną. Ale tobie, moja maleńka, chyba to nie grozi. Śliczna jesteś jak malowanie, urodę wzięłaś na szczęście nie po mnie, lecz po Parnickich. Może też i po rodzinie swego ojca. Nic dziwnego, że Hieronim tak często tutaj zagląda – podsumowała z lekkim przekąsem.

– O to, to! Babciu! Mama jest nim zachwycona, a mnie aż coś w środku skręca, gdy mam go zobaczyć.

– Hm… Skręca, mówisz? A może błędnie interpretujesz swe doznania? Może to skręcanie to nic innego, jak przyspieszone bicie serduszka?

– Babciu! – jęknęła Lodzia. – *Et tu, Brute, contra me?*[24]

– No już dobrze, dobrze, dziecino. Przecież się z tobą droczę.

– Wiem. Ale mama serio chce mnie wydawać za Michalskiego.

– A ty go nie chcesz.

– Nie chcę. Mam dopiero dziewiętnaście lat. Jeszcze zdążę wyjść za mąż. I, doprawdy, chciałabym mieć więcej wpływu na kandydata do mariażu.

– Myślę, że rodzice nie będą cię do niczego zmuszali. Wszak ja dałam Filutce wolną rękę…

– Ech, babciu. Ona nie jest tak liberalna jak ty – westchnęła młoda, a później zamilkła, pogrążając się w zadumie.

Cecylia nie drążyła tematu. Ufała jednak, że córka posłucha jej rad i nie będzie wywierała presji na dziewczynę.

***

Od dwóch miesięcy Gabriel i Leokadia spotykali się potajemnie w opuszczonej posiadłości Żelechowskich. Zwykle spacerowali po nieprawdopodobnie zachwaszczonym ogrodzie, kryjąc się przed ludzkimi spojrzeniami wśród dziko wybujałych roślin lub w cieniu nadgryzionej zębem czasu altanki. Brnęli poprzez wysokie trawy,

bowiem nieujarzmione zarośla zaczęły zarastać wysypane żwirkiem alejki.

Niekiedy siadali na kamiennych schodkach w cieniu ganku, choć to było nieco nierozważne, bo a nuż ktoś zapędziłby się w to miejsce i ich wypatrzył. Rozmawiali ze sobą o wszystkim i o niczym. Potrafili razem milczeć, spoglądając w bezchmurne niebo. Czasami jedno z nich czytało na głos książkę, która szczególnie ich interesowała. Lubili tę samą poezję. Przebywając w towarzystwie Gabriela, Lula nigdy nie odczuwała nudy, nie dostrzegała też braków w jego wychowaniu. Wzruszał ją szacunek, z jakim ukochany mężczyzna wyrażał się o swoich bliskich, szczególnie o czułej, troskliwej matce. Wspominał babcię Bernadetę, którą coraz słabiej pamiętał, więcej o niej wiedział z historii snutych przez rodziców.

– Matula wspominała, że była prawdziwą damą. Nosiła piękne suknie, dbała o edukację mojej mamy i wujków, pomagała potrzebującym. Nigdy nikomu nie odmawiała pomocy, nawet wówczas, gdy w oczy wiał jej wiatr. Pamiętam jej piękne opowieści. Dużo mówiła nam o dziejach rodziny Trzosów. Bo wiesz, Lodzieńko – zdążyli już przejść na „ty" – Trzosowie nie byli zwyczajnymi chłopami.

– Opowiesz mi o tym? – zapytała panna.

Siedzieli na pledzie rozłożonym wśród niekoszonych traw w ogrodzie Żelechowskich. Mieli tutaj wydeptane miejsce, w którym najczęściej przebywali – bezpieczni w swej kryjówce. Zostawiali kraciasty koc w pobliskiej, na wpół zrujnowanej altanie, by Lula nie musiała za każdym razem przemycać go ze sobą, ponieważ to ona pewnego dnia zabrała go ze swej sypialni.

– Oczywiście – odparł, a potem zaczął snuć historię zasłyszaną przed laty od babci Bernadety.

Leokadia siedziała zasłuchana i rozmarzona.

Wiedziałam, że on i jego bliscy nie są zwyczajnymi kmiotkami – pomyślała z satysfakcją. – *Skoro sam król nadał im ziemię, to nie są w niczym gorsi od moich szlachetnie urodzonych krewnych i znajomych. Może powinnam*

opowiedzieć o nim rodzicom? Wszak i w naszej rodzinie był mariaż błękitnej krwi z zamożnymi mieszczanami bez tytułów. To chyba o czymś świadczy?

– Pięknie opowiadasz – powiedziała, gdy zamilkł.

– Choć nie noszę nazwiska Trzos, dumny jestem z moich przodków – odparł. – I zadbam o to, by pamięć o nich przetrwała. Chcę ocalić naszą historię od zapomnienia. Bo człowiek, który nie zna swych korzeni, jest jak wędrowiec błądzący we mgle, który nie pamięta, skąd wyszedł ani dokąd dąży. Lodziu… czy ciebie to nie zniechęca do mnie?

– Ale co? – zapytała, nie do końca rozumiejąc, w czym rzecz.

– To, że jestem prostym człowiekiem. Zapewne daleko mi do dżentelmenów, z którymi spotykasz się na salonach.

Dziewczyna na moment zmrużyła powieki i przypomniała sobie Hieronima Michalskiego, nadętego bufona, który miał o sobie wygórowane mniemanie, gdyż jego rodzice posiadali ładny majątek ziemski w okolicy Brzeska, a on w przyszłości miał go po nich odziedziczyć. Nie jego zasługą było, że należał do nieco zamożniejszej szlachty. Miał po prostu łut szczęścia, przychodząc na świat w takiej, a nie innej rodzinie. I choć zapewne ojciec z matką robili, co mogli, by zapewnić mu staranne wychowanie i wykształcenie, na każdym kroku wychodził z niego pozbawiony taktu, arogancki ignorant.

– Nie, Gabrielu – odparła szczerze. – Urodzenie o niczym nie świadczy, podobnie jak majątek. Dla mnie liczy się to, co człowiek nosi w sercu i umyśle. Lubię spędzać czas w twoim towarzystwie, bo to, co mówisz, jest ciekawe. Nie pleciesz andronów jak inni.

– To miłe – powiedział, a następnie delikatnie przykrył jej dłoń swoją dłonią.

Rzadko pozwalał sobie w stosunku do niej na podobną śmiałość. Powściągał się ze wszystkich sił, by nie zrobić czegoś, co mogłoby uchybić jej czci lub ją spłoszyć. Nie był pewny, czy Leokadia spotyka się z nim, ponieważ nuży ją salonowe życie, czy z czystej ciekawości, by wyłapać różnice pomiędzy prawdziwymi dżentelmenami a nim, urodzonym w chacie krytej strzechą, czy może poczuła do niego to

samo, co on odczuwał w stosunku do niej. Nigdy nie zachęcała go do poufałych gestów, płoniła się, ilekroć dotykał jej ręki, siadając na pledzie, zawsze zachowywała stosowną odległość i dbała o to, by nie stykały się ze sobą nawet ich ubrania. Bliska i daleka zarazem.

Pokochał ją tak mocno, że gdyby nagle zniknęła z jego życia, to pewnie by tego nie przeżył. Nieuchronnie jednak zbliżał się czas jego wyjazdu do Krakowa. Zalipiak dobrze wiedział, że nie będzie w stanie przyjeżdżać do domu zbyt często, a to oznaczało rozłąkę, tęsknotę i ogromną próbę dla nich. Czy panna Branicka nie zaręczy się w tym czasie z innym mężczyzną? Przecież niczego mu nie obiecywała!

Westchnął nieznacznie.

– Lodziu… Wiesz, że niebawem muszę wyjechać?

Pokiwała głową w odpowiedzi, w jej oczach zagościł smutek.

– Czy wolno mi żywić nadzieję, że o mnie nie zapomnisz, gdy będę w Krakowie?

– A czy ty będziesz pamiętał?

– Oczywiście. Każdego dnia i każdej nocy myślami będę tutaj. Czy mogę do ciebie pisać?

– Chciałabym, lecz obawiam się, jak to będzie postrzegane przez moich rodziców. Nie wiedzą, że się z tobą spotykam. Och… Może nie powinnam była robić sekretu z naszej znajomości? Może powinnam była zaprosić cię do nas na podwieczorek, by rodzice mieli okazję poznać cię trochę lepiej i polubić… – Z rosnącym bólem serca obserwowała grę emocji na jego twarzy. Choć zdawał się rozumieć sytuację, na pewno odczuł przykrość.

Leokadia kilkakrotnie próbowała przy jakiejś mało zobowiązującej pogawędce z rodzicielką nawiązać do Zalipiaków lub Trzosów, lecz Filomena za każdym razem zbywała ją, wyrażając się o tych ludziach mało pochlebnie. Pannica wiedziała więc, że taka korespondencja mogłaby po prostu nie dotrzeć w jej ręce, przejęta przez matkę.

– Gdybym niespodziewanie zaczęła dostawać od ciebie listy, na pewno wywołałoby to wielkie poruszenie. Chyba że… – urwała, zastanawiając się nad czymś. – Może jesteś w stanie wysyłać je do kogoś, kto mógłby mi je dyskretnie przekazywać? Albo skąd sama mogłabym je odbierać.

– Coś wymyślę – obiecał, a następnie przycisnął wargi do wierzchu jej dłoni. Później, ośmielony brakiem protestu z jej strony, dotknął swego policzka smukłymi palcami dziewczyny, przesuwając je ku ustom.

– Gabrielu – wyszeptała, spoglądając mu w oczy z tkliwością. – Znajdź sposób na to, byśmy mogli ze sobą korespondować. Gdy wyjedziesz, pusto się zrobi w moim życiu.

– Jedyna! Gdybyś wiedziała, jak ucieszyły mnie twoje słowa. To jak balsam dla duszy, która tęskni za tobą nawet wtedy, gdy jesteś tuż obok. Bo przecież każda chwila zbliża mnie do momentu, gdy przyjdzie nam się pożegnać.

– I mnie smutno na myśl o tym – wyznała, płoniąc się po czubki uszu.

Z pewnym onieśmieleniem wynikającym z obawy, czy nie zostanie odtrącony przez ukochaną, ujął ją pod brodę. Spojrzał w jej roziskrzone oczy. Opuścił powieki i przysunął się bliżej – tak że poczuła na wargach ciepły powiew jego oddechu, a potem lekkie muśnięcie, jakby trąciły je płatki kwiatu. Gabriel całował ją delikatnie, z ogromem uczucia, sprawdzając, na ile może sobie pozwolić. Niespiesznie przesunął językiem po jej ustach, a gdy je rozchyliła, pogłębił pocałunek. Namiętna pieszczota wzburzyła im krew w żyłach.

– Najdroższa – wyszeptał, gdy na moment się od niej odsunął. – Moja jedyna, ukochana… Moja?

– Twoja, Gabrielu.

– Poczekasz na mnie, aż ukończę studia?

– Oczywiście – odparła z ogromem wiary w składaną właśnie obietnicę. Już wiedziała, że poruszy niebo i ziemię, by spełnić swe marzenie o prawdziwej miłości. Domyślała się, że czeka ją do

pokonania tor przeszkód, lecz nie zamierzała rezygnować. Przekona rodziców, że ten cudowny mężczyzna zasługuje na jej uczucie.

– Kocham cię, Leokadio. Gdy już uzyskam tytuł doktora, poszukam odpowiedniej posady. A wtedy będę mógł poprosić o twoją rękę. Ja wiem, że niewiele spędziliśmy ze sobą czasu, lecz serce nie może się mylić. Jestem pewien moich uczuć.

– Ja także cię kocham, Gabrielu.

Rozdział 6.

Woda

Zalane gospodarstwo – zdjęcie pochodzi z powodzi z 1934 r.

Rok 1903

– Znowu leje – westchnął Wincenty Skoczylas, zerkając na małe, krzywe okienko w izbie kuchennej.

– Parszywa pogoda – przytaknęła mu Magda.

Deszcz spływał obfitymi strugami ze strzechy, rozbryzgując się z chlupotem w kałużach, które jeszcze nie zdążyły obeschnąć po ostatniej ulewie. Niebo zaciągnięte było ołowianymi chmurami wiszącymi tak nisko, że zdawać by się mogło, iż zahaczają o wierzchołki drzew.

– Skaranie świata – burknął mężczyzna. – Wszyćko w polach sponiewierane, ladace. Nie będzie latoś dobrych plonów.

– Ano nie. Jak sucho źle, ale jak za mokro, to jeszcze gorzej, bo uprawy gniją. U Zalipiaków na łące krowa tapla się w wodzie po pęciny. Żal bydlątka – sapnęła ślubna.

– Żal, żal, ale żreć coś musi. Jak tak dalej pójdzie, to nie będzie kiedy zrobić sianokosów. Ech, losie francowaty! Biedakowi zawsze wiatr w oczy.

Dalszą rozmowę przerwało stukanie do drzwi. Po chwili do pomieszczenia wszedł Marcińczyk.

– Niech będzie pochwalony – przywitał się, zdejmując kaszkiet.

– Na wieki wieków – odparli gospodarze pospołu z dziatwą oblegającą stół, przy którym dzieci udawały, że się uczą, bo w rzeczywistości Franek bujał w obłokach, a czwórka młodszego rodzeństwa mazała bez ładu i składu po kajetach.

– Co dobrego powiecie, sąsiedzie?

– Ady nic – odparł jeszcze w progu sieni, otrzepując się z deszczu. – Robić się nie da, bo ciapie i ciapie. Rzeczułka wzbiera, patrzeć, jak pozalewa nam pola.

– Cholerne Austriaki – warknął Wincenty. – Poskąpili koron na podniesienie wałów. W dupach mają, że nam strach zaziera w oczy. Zaś będą plony zniszczone.

Parę lat wstecz wykonywane były nowe wały i naprawiane te, które usypano wcześniej. Pierwotnie opracowany projekt, który zakładał znaczne podniesienie zabezpieczeń, by zapobiec takim nieszczęściom, jak przykładowo powódź z 1813 roku, został odrzucony z uwagi na zbyt wysokie koszty realizacji.

– A bo to się nami przejmują? Choćby i zamek zalało, ich to nie wzruszy.

– Trza prosić Boga i Staniątecką Panią, by deszcze ustały – wtrąciła się Magda. – Jarzyny nie da się wypielić, tak mokro. Wszystko idzie na zmarnowanie, bo chwasty wyrastają, że hej! A zasiewy stłamszone i mizerne.

– U mnie to samo, Skoczylasowa.

– Ech… Przyciśnie nas bida. Zaś Alojzeczek będzie miał pełne ręce roboty z kwestowaniem. Po innych wioskach ludziom jest o tyle lżej, że zawsze mogą się zwrócić po pomoc do dworu. A u nas co? Nie ma pana…

– Choćby był – burknął Marcińczyk – pomocy byś nie uświadczył. – Dyć panicz przegonił mojego ojca, kiedy poszedł do Żelechowskiego po pożyczkę, gdy spłonęła stara kuźnia i chałupa. Psami go wtedy poszczuł, ancykrys jeden!

– Prawda. Słyszałem o tym. Ech… Co to był za człowiek? Do diabła z nim, lepiej, że przepadł, bo i tak nie mielibyśmy pożytku z jego obecności.

***

Deszcz zmuszał rodzinę Branickich do przesiadywania w domu. Utrzymujące się opady zniechęcały do składana wizyt, gdyż koła powozu grzęzły w błotnych koleinach. Zapewne z tych samych

względów mało kto ich również odwiedzał. Dwa lub trzy razy zajrzał Hieronim Michalski, który od dłuższego czasu bez większego powodzenia emablował Leokadię. Panna trzymała go na dystans, nie dając nawet cienia nadziei. Listy, które wymieniała z Gabrielem, utwierdzały ją w przekonaniu, że warto wiernie czekać na powrót ukochanego.

Zbliżało się lato, a z nim szansa na ponowne spotkania, choć na razie pogoda była odstręczająca.

A niech pada – rozmyślała Lula, haftując pracowicie wyprawę. – *Może teraz się wyleje za wszystkie czasy i z nastaniem lata zawita słoneczna aura?*

Tętent kopyt wytrącił ją z zadumy, a rodzinę wprawił w poruszenie.

– Ktoś do nas przyjechał mimo słoty! – ucieszyła się Filomena.

Pragnęła, by odwiedził je absztyfikant córki. Bo choć Lula liczyła dopiero dwadzieścia lat, nie można było dopuścić, by tak atrakcyjna partia przeszła jej koło nosa. Wszak w zubożałej Galicji, gdzie większość szlachty żyła nader skromnie, a nieliczni magnaci trzymali się razem, trudno było o odpowiedniego kawalera.

Choć nie wypadało tego czynić, podeszła do okna i zerknęła zza firanki na podjazd wysypany żwirem. Ku jej radości faktycznie gościem okazał się młody Michalski, co natychmiast obwieściła domownikom. Zlustrowała córkę uważnym spojrzeniem. Ku jej zadowoleniu panna prezentowała się nienagannie, choć miała nieco zbyt blade policzki. Cienie pod oczami nadawały Lodzi uduchowionego wyglądu, a urocza popołudniowa suknia w kolorze niebieskim podkreślała anielską urodę panny.

Marcel odłożył gazetę. Choć nie uważał potencjalnego zięcia za szczególnie inteligentnego, zadowolony był z jego wizyty. Zawsze to jakaś odmiana w domu zdominowanym przez kobiety, gdzie jedynymi mężczyznami prócz niego i rzecz jasna służby byli: przygłuchy, leciwy wuj Szczepan oraz Wiktor spędzający większość czasu w Krakowie. Trzynastoletniemu Heniowi nie pozwalano na przebywanie wśród dorosłych, jego miejsce było w pokoju lekcyjnym, gdzie zdobywał

wykształcenie pod czujnym okiem guwernera, gdyż dopiero jesienią miał rozpocząć naukę w gimnazjum.

Po wymianie przywitań Hieronim usiadł blisko Marcela, lecz tak, by ze swego miejsca mieć dobry widok na pannę Branicką. Dziewczyna zaledwie zauważyła jego obecność, zajęta wyszywaniem. Nie nawiązywała kontaktu wzrokowego. Nigdy go nie próbowała ośmielić, stwarzając dystans. I choć już od dłuższego czasu nosił się z zamiarem oświadczyn, wciąż wyczekiwał sposobności, by wybadać grunt. Czułby się bowiem niekomfortowo, gdyby dostał arbuza. Ze sposobu, w jaki przyjmowano go u Branickich, wnioskował, że może liczyć na przychylność rodziców pięknej panny.

– Niestraszny panu deszcz? – zagadnęła Filomena.

– Ależ skądże! Ciągnie mnie do towarzystwa. Ileż można tkwić bezczynnie w domu, wsłuchując się w nokturn kropli bębniących o parapety? Raźniej, gdy można przebywać w tak uroczym towarzystwie.

– Rzeczywiście. Za dużo już tej słoty. Wiele okolicznych pól stoi pod wodą. Jeśli pogoda się nie poprawi, czeka nas nieurodzaj. Państwa mocno zalało? – zapytał Branicki.

– Prawdę mówiąc, nie wiem. Nie wyjeżdżam ostatnio na przejażdżki konne. Żadna to przyjemność, gdy pada.

– I nie zaciekawiło pana, by spojrzeć na dobra gospodarskim okiem? – wyraził zdumienie Marcel. Nie przepadał za tym mydłkiem i nie pojmował, czemu Filomena tak usilnie chciałaby wydać za niego Lulę. On wolałby dla niej narzeczonego, który ma więcej upodobania do ważnych spraw i mniej ciągot do wista. Na szczęście córka nie sprawiała wrażenia zainteresowanej takim konkurentem, choć pewnie z innego powodu, bo za niewieścim rozumowaniem niełatwo czasami nadążyć.

– Ależ od tego ojciec zatrudnia ekonoma. Nie ma potrzeby, abyśmy taplali się w błocie. Do tego stworzeni są chłopi.

Branicki żachnął się w duchu. Niby młody Michalski nie powiedział niczego odkrywczego, wszak wielu ziemian nadmiernie polegało na zarządcach swych włości, lecz on osobiście uważał, że jest to karygodne. Choć jego majątek rozproszony był na znacznym terenie, regularnie go objeżdżał konno. Często rozmawiał z kmieciami mieszkającymi w pobliżu, by posłuchać, co w trawie piszczy.

– Chłopi poniosą największe straty z powodu padającego deszczu – zauważył.

– Nie zgodzę się z panem – stwierdził Hieronim. – Czym większy areał człowiek uprawia, tym większe ponosi ryzyko, a gdy coś idzie nie tak, to tym większe są straty. Mały gospodarz niewiele ucierpi. Dla nas będzie to spory uszczerbek. To znaczy mam na myśli ziemiaństwo, choć nie do końca moją familię. Nam nie grozi nędza mimo słabych plonów.

– Winszuję – burknął Branicki. – Niby ma pan rację, mówiąc, że większy majątek oznacza większe straty. Ale dla biedaka przymierającego głodem każdy korzec zboża jest cenny. A my, gdy nam ziemia nie da plonu, możemy sięgnąć do pugilaresu i wydobyć z niego banknoty odłożone rok wcześniej. Nie można więc równać naszej i ich sytuacji – skwitował z pewną satysfakcją, wszak zapędził tego mądralę w kozi róg.

Zerknął na córkę. Lula przesłała mu porozumiewawczy uśmieszek.

Czyli trafnie spostrzegłem, że nie przepada za Hieronimem – odetchnął z ulgą.

***

Tuż przed wigilią Świętego Jana niebo zaczęło się przecierać. Klemens Trzos z nadzieją spojrzał w górę. Pomiędzy ciemnymi, skłębionymi zasłonami pojawił się błękitny prześwit, będący bez wątpienia zapowiedzią ładniejszej pogody. Nie padało już od kilku godzin. Cóż, gdy było zbyt mokro, by można było myśleć o sianokosach. Woda stała na łąkach, połyskując w promieniach słońca przedzierających się

poprzez szczeliny między szarym kłębowiskiem. Brodziły w niej bociany, daremnie szukając myszy, z braku których musiały zadowalać się żabami.

– Niech no jeszcze choć trochę przeschnie – zwrócił się do ślubnej – a zaraz trzeba wyjść z parobkami na kośbę. Pewnikiem znowu zabraknie ludzi do roboty, bo każdy będzie patrzył, by wpierw obrobić swoje grunty. Dobrze, że dziadkowie zadbali o to, byśmy mieli do pomocy choć Dylów. Nieboszczyk Prokop miał nosa.

– Ano dobrze – przytaknęła ślubna, sypiąc kurom ziarno wprost przed wejściem do dworku. Nawet przez myśl jej nie przeszło, by trzymać drób przy starej chacie, gdzie mieszkali komornicy. Nie dowierzała, że nie będą podbierali jaj lub kur, więc zaraz po ślubie kazała wybudować kurnik na podwórzu, choć Dominika załamała wówczas ręce i stwierdziła, że świętej pamięci świekra przewraca się w grobie. Elżunia jednak, choć młoda, należała do tych, co to nie dają sobie w kaszę dmuchać, i z miejsca zaczęła zaprowadzać w domu własne porządki. – Warzywnik trza pielić. Lada moment będę goniła baby do ogrodu. Dobrze, że przestało lać, bo jeszcze trochę, a wszystko by w tym błocie zgniło.

***

Dwa dni później faktycznie przeschło na tyle, by możliwe było rozpoczęcie prac na łąkach i zagonach. Pielenie szło opornie, ponieważ ziemia wciąż była bardzo mokra i oblepiała korzenie chwastów. Elżbieta nie chciała jednak odkładać pracy na później, gdyż przeczucie podpowiadało jej, że to nie koniec kaprysów aury. Grzęzły więc z babami po kostki, plaskając bosymi stopami o wciąż mokry grunt. Niewdzięczna była to praca i znojna, plecy bolały od ciągłego schylania się, a dłonie piekły od rwania wybujałych chwastów.

– Ot, skurczysyństwo – utyskiwała Trzosowa. – Poradzi sobie w każdej pogodzie. A jarzyna ledwo powschodziła, jakaś skarłowaciała i nędzna.

– Tak to już jest, gospodyni – odparła Rózia Dyl. – Chwast się pleni, a zasiew leni. Deszcz niestraszny perzowi.

– Józka, a ruszajże się żwawiej. – Elżunia skarciła pracującą obok córkę. – Noc nas zastanie w polu!

Dziesięciolatka z markotną miną spojrzała na ciągnące się hen daleko kartoflisko. Zdecydowanie wolałaby pójść do szkoły, gdzie pani nauczycielka opowiadała różne ciekawe rzeczy. Nauka nie była jej zmorą, podobnie jak lżejsze obowiązki domowe. Ale pielenie zagonów było czymś nie dość że nudnym, to jeszcze nad wyraz męczącym. Miała już poobcieraną skórę dłoni. Matka rzadko goniła ją do podobnych prac, wychodząc z założenia, że dziewczyna w jej wieku, pochodząca z niebiednej rodziny, winna się choć trochę wyedukować. Wszak od znojnej roboty były komornice i parobkowie. Tym razem jednak niepewna pogoda wymusiła na Trzosach zaangażowanie całej familii. W domu została jedynie Dominika piastująca rocznego Stefusia i trzyletnią Helcię. Wprawdzie Józia chciała zostać z rodzeństwem, lecz matka przegnała ją w pole, tłumacząc, że lepiej, by oko na maluchy miała babcia, której coraz ciężej się schylać. A młodej nic nie dolega, więc niech zrobi coś pożyteczniejszego.

Nienawykła do biegania boso dziewczynka z trudem przesuwała ciężkie, oblepione błotem trzewiki. W końcu, wzorem innych robotnic, zzuła je i zostawiła na miedzy. Gołymi stopami też niedobrze było stąpać. Ziemia była nieprzyjaźnie zimna, błotnista, a gdzieniegdzie sterczały z niej pozostałości korzeni, badyli, zdarzały się także kamienie. Deptanie po nich sprawiało ból.

Nienawidzę pracy w gospodarstwie – pomyślała Józia, marząc o tym, by w przyszłości pracować na pokojach w jakimś eleganckim domu, zajmować się fryzowaniem pięknych dam, pomaganiem im w toalecie lub podawaniem kawy w ślicznych porcelanowych filiżankach, piękniejszych nawet od tych, których żałosne resztki stały w kredensie w kuchni u Trzosów i stanowiły smętną pamiątkę po dawnej świetności rodziny. Mogłaby też ewentualnie wykształcić się na nauczycielkę, ale

wówczas czekałoby ją zapewne staropanieństwo, a tego chyba nie chciała. Bo choć liczyła dopiero dziesięć wiosen, wiedziała, że niezamężne kobiety mają smutniejsze życie i są wytykane palcami.

Najbardziej na świecie pragnęła być jak owiana legendą prababka Bernadeta, która była ponoć prawdziwą damą noszącą jedwabne suknie oraz kapelusze i jeżdżącą bryczką. Józia wciąż wypytywała o nią rodziców, lecz ojciec mówił niewiele na ten temat, a matka nic, gdyż Bernadeta zmarła, nim ona i tatko wzięli ślub. Jedynym źródłem informacji była więc babcia Dominika, ewentualnie nader rzadko widywana ciotka Zocha, która związała swoje życie ze staniąteckim klasztorem, a po złożeniu ślubów przyjęła imię Otylia.

Józia schyliła się po kolejną kępę chwastów. Pociągnęła za łodygi i syknęła z bólu. Zerknęła na zakrwawioną dłoń.

Nigdy, przenigdy nie zostanę gospodynią! – postanowiła.

Bez pośpiechu wróciła do pracy, nie zważając już na dalsze ponaglania.

***

Niebo znowu kłębiło się ciemnymi chmurami. Mimo wszystko Klemens nie wstrzymywał parobków, a wręcz poganiał ich, by pracowali szybciej. Kosił nawet Ignaś, choć szło mu to powoli. Młody jednak nie zamierzał się buntować, gdyż lubił zajęcia gospodarskie. Zresztą nie zostało im już wiele łąki do skoszenia. Wszyscy liczyli na to, że zdążą przed wigilią Świętego Jana i przyjdzie im w spokoju odpocząć, a nawet rozpalić tradycyjne ognie sobótkowe.

Na szczęście pogoda wytrzymała i Trzosowie zdołali skosić swoje łąki. Teraz nie pozostawało nic innego, jak modlić się o słońce, które wysuszy trawę na siano.

***

– Daj Boże, by w końcu nastały skwarne dni – westchnął Klemens, gdy rodzina zebrała się przy śniadaniu w wigilię Świętego Jana. – Niedobrze, by trawa leżała na mokrej ziemi.

Trzosowie jadali w kuchni, z salonu nie korzystali prawie nigdy. Paradny pokój stał przez większą część roku zamknięty i tylko Józka zaglądała tam, by od czasu do czasu wytrzeć z mebli kurz, przewietrzyć duszne wnętrze i marzycielsko powzdychać.

– Grunt, że nie pada – odparła ślubna, zajęta krojeniem grubych pajd świeżo upieczonego chleba.

– Ale jest malarycznie. A to też kiepsko, bo nie wysuszę łąki.

– Nie frasuj się, synuś, obeschnie – stwierdziła Dominika, która przy śniadaniu piastowała najmłodszego wnuczka, niespełna rocznego Stefana. – Jeszcze tak nie było, by tyle dolało, ale skoro słońce wyziera zza chmur, to trzeba mieć nadzieję, że w końcu zrobi się naprawdę ładna pogoda. A przydałoby się, bo przecie dzisiaj sobótki. Wianki trza wić, ogniska palić, kwiatu paproci poszukać.

– Ja polecę do puszczy – oświadczył Ignaś. – Ugadaliśmy się z chłopakami, że poszukamy kwiatka. Może wskaże nam drogę do ukrytych skarbów.

– Nie za smarkatyś na to? – zapytała Elżbieta.

– A gdzieżby!

– A szukajcie, szukajcie. – Klemens się zaśmiał. – Ino zważajcie na diabły, czarownice i inne potwory. Tak łatwo nie dadzą wam go znaleźć.

– Ha, ha, ha! Już widzę, jak latacie z gołymi zadkami po kniei – zakpiła Józia, ponieważ zgodnie ze zwyczajem poszukiwacze winni się rozebrać do naga, przepasać na krzyż zielem bylicy i z różańcem w ręku lub szkaplerzem oraz jakąś pobożną książką iść w las.

– A jak już znajdziesz owo ziółko, to nie zapomnij przynieść go do domu i złożyć przed świętym obrazkiem – dość poważnie napominała syna Elżunia. Podobnie jak świekra, wierzyła w ludowe opowieści. – To zapewni nam wszystkim szczęście, mądrość i wielkie bogactwo.

– No… Mądrość na pewno przyda się Ignasiowi, bo z arytmetyką to u niego kruchutko – zakpiła ponownie siostra.

Chłopak wykrzywił się szpetnie.

– Czekaj, czekaj, Józka. Niech no go tylko znajdę. Zaraz sobie zażyczę, by uczynił mnie niewidzialnym. I będę za tobą chodził krok w krok, słuchając, o czym paplesz z dziewuchami. I jeszcze będę was straszył i rzucał wam rzepy w warkocze – zagroził, na co młoda pokazała mu język.

Niemowlę siedzące na kolanach Dominiki wyciągnęło rączkę po pajdę chleba nasmarowaną obficie masłem. Chłopczyk zrobił to jednak tak niefortunnie, że kromka upadła na podłogę. Głodny uderzył w płacz.

– A cichajże, mały – skarciła go babcia. – Zaraz podamy ci papu.

Pochyliła się, by unieść z podłogi chleb. Z uszanowaniem go ucałowała.

Po śniadaniu Klemens poszedł do szopy, by przygotować drewno na ognisko. Z zadowoleniem spojrzał w niebo, na którym było jakby nieco mniej chmur, a więcej błękitu.

***

– Wiosna była mokra, lato nic nie jest lepsze – stwierdził Marcel, częstując cygarami Stanisława Niedzielskiego[25], który przyjechał z niespodziewaną wizytą.

Stanisław podziękował za cygaro i kieliszek brandy. Nie miał czasu na przyjemności, gdyż do Branickiego przybył ze sprawą niecierpiącą zwłoki.

– Mnie to frasuje, drogi przyjacielu – odparł. – Leje nieprzerwanie kolejny dzień. Poziom Zabawki i Podłężanki niepokojąco wzrósł. Właściwie rzeki osiągają stan krytyczny i lada chwila mogą się rozlać na okolicę.

– Serafa też wysoka. Objechałem wczoraj Brzegi i Grabie, by zobaczyć, jak się sprawy mają. Wisła jeszcze nie jest bardzo duża, choć

zaczyna groźnie wyglądać. Na domiar złego grunt jest już mocno nasączony i nie przyjmuje wód.

– Ano jest wyjątkowo mokro. Znaczna część siana zgniła na łąkach.

– U mnie to samo. A i w Niepołomicach ludzie powiadali, że mało kto zdążył wysuszyć i zebrać. Trzosom sporo zalało – oznajmił.

– Ach, mówisz o swych sąsiadach? Tych, których przodkowie mieli aspiracje salonowe?

– Tak, o nich mi chodzi. O ile stary gospodarz, Prokop, radził sobie nad podziw dobrze, to jego spadkobiercy, Klemensowi, marnie idzie pilnowanie majątku. Młody był, gdy objął dziedzictwo po przodkach, mleko miał pod nosem. Nie zdążył nauczyć się zarządzania. Dobrze, że odebrałem mu plenipotencję do doglądania włości Filomeny, bo pewnie poszłyby na zmarnowanie. A przecież to będzie posag naszej Leokadii.

– No tak, słusznie postąpiłeś. Ale wracając do rzeczy: nie podoba mi się sytuacja związana z zabezpieczeniem przeciwpowodziowym. Wiemy dobrze, że w tysiąc osiemset trzynastym doszło tu do znacznej powodzi, po której konieczna okazała się budowa nowych wałów. Sęk w tym, że Austriacy poskąpili funduszy na ich nadsypanie do takiego poziomu, by zabezpieczyć nas na wypadek, gdyby stan wód był porównywalny z tym z ubiegłego wieku. Boję się, że to może pociągnąć za sobą fatalne skutki.

– Co zatem radzisz, mądra głowo? – zapytał Branicki.

– Moim zdaniem konieczne jest jak najszybsze umocnienie wałów. Zanim będzie za późno.

– Nie uważasz, że to nadmierny defetyzm?

– Nie. Wały tego nie wytrzymają. Są nasiąknięte wodą. Usiłuję właśnie przekonać ludzi do ich ratowania, ale niewielu chce mnie słuchać. W przeważającej większości ufają, że umocnienia są wystarczające, wszak w ostatnich latach dość hojnie partycypowali w ich budowie na Wiśle i lokalnych dopływach. Zebrałem kilkadziesiąt osób. Pracują na brzegach Serafki i Zabawki. Sytuacja źle wygląda

w okolicy Kokotowa, bo tam wylała Zabawka na nieuregulowanym odcinku pod mostem kolejowym.

– Aj! To fatalnie! – zmartwił się Branicki, do którego właśnie dotarła powaga sytuacji. Wszak jego dobra ciągnęły się po sąsiedzku z Kokotowem.

– Jest źle, lecz na szczęście wójt Krzysztofek[26] skrzyknął parobków do roboty. Gdyby jeszcze w Brzegach coś zdziałać, może opanowalibyśmy sytuację.

– Brzegi też przystąpią do akcji – oznajmił pan domu. – A Austriacy? – zapytał o rzecz najbardziej oczywistą.

– Ignorują problem. Praktycznie pozostawili nas bez wsparcia.

– Niedobrze.

– Fatalnie. Nie ma chwili do stracenia, Marcelu. Skieruj swoich ludzi do pomocy. Ja jeszcze spróbuję coś wskórać u władz, a potem pojadę dopilnować robotników. No dobrze, muszę ruszać! – powiedział, wstając z fotela, na którym na moment przycupnął. – Pokłoń się ode mnie *madame* Filomenie. Na salony nie zajrzę, bo ani nie mam stosownego ubrania, ani czasu na fraszki.

Nim wyszedł, Branicki wcisnął w jego dłoń kieliszek brandy.

– Strzemiennego na rozgrzewkę. Jeszcze złapiesz jaką febrę w tym deszczu.

Śledziowski wypił alkohol i bezzwłocznie opuścił gabinet.

Branicki natomiast kazał siodłać konia i skrzykiwać ludzi do roboty. Wraz z Wiktorem oraz parobkami wyruszyli w stronę Brzegów.

***

W czasie gdy mężczyźni gorączkowali się nad sytuacją powodziową, Lula krążyła niespokojnie po całym domu. Brzydka pogoda udaremniała jej spotkania z Gabrielem. Zaproszenie mężczyzny do domu nie wchodziło w grę, gdyż mogłoby skutkować u matki palpitacją serca,

a przynajmniej ostrym atakiem migreny. Pozostawała jedynie wymiana liścików z czułymi słówkami i zapewnieniami o dozgonnej miłości. Tego lata młodzi ludzie spotkali się zaledwie dwukrotnie, choć był już jedenasty lipca. I niestety na razie nie mieli widoków na kolejną schadzkę, ponieważ Lula, przy całym swym tupecie i pomysłowości, nie byłaby w stanie wymyślić wiarygodnego powodu, dla którego opuszcza dom, natomiast Gabriel nie zdobył się na to, by pod osłoną nocy przedostać się na teren posiadłości, a następnie zakraść do pokoju panienki, choć przez moment obydwoje snuli takie plany.

Tęsknili niewyobrażalnie za swym towarzystwem, spokojnymi pogawędkami, wspólnym spoglądaniem w niebo, szeptaniem czułych słówek, uściskami dłoni, a wreszcie za rozkosznym dreszczem pocałunków burzących krew w żyłach. Byli tak blisko i zarazem tak daleko od siebie!

– Co to za ruch? – zdziwiła się Filomena, zerkając przez ramię córki, która zatrzymała się przy oknie. Parę minut wcześniej służący wywołał z salonu Wiktora, teraz zobaczyła, że mąż i syn dosiadają koni i w towarzystwie kilku innych osób szykują się do opuszczenia posiadłości.

– Przechodziłam koło gabinetu, gdy wychodził stamtąd pan Niedzielski. Tatko obiecał mu, że pojedzie na Brzegi, by doglądać umacniania wałów, a gdy mnie zobaczył, prosił, abym ci przekazała, żebyś się nie martwiła, ponieważ czuwają nad wszystkim. Nie wie, kiedy wróci do domu, więc mamy nie czekać z wieczerzą, lecz zostawić mu coś w kuchni.

– Och! On i te jego pomysły! – Filomena przewróciła oczami. Czasami irytowało ją postępowanie męża. Niby był dżentelmenem, lecz potrafił zachowywać się nieprzewidywalnie. Poza tym kto to widział, by pan domu stołował się w pomieszczeniach dla służby? Jej wypadało tam zachodzić, wszak musiała dbać, by dom funkcjonował należycie. Ale że on? Zgroza!

Zignorowała wzmiankę o umacnianiu wałów jako mało istotną. Wszak w ostatnich latach wciąż przy nich grzebano. Musiały więc być solidne!

– Tylko tego brakuje, by któryś zachorował na płuca – burknęła, odwracając się od okna.

Cecylia jeszcze przed paroma minutami drzemała w swym ulubionym fotelu, otulona lekkim pledem, gdyż wilgoć powodowała łamanie w kościach, a nawet niemiłe ataki podagry. Teraz zerkała z niedowierzaniem na córkę.

Och… Kiedy Filutka przedzierzgnęła się w stetryczałą i wiecznie niezadowoloną jędzę? – zastanowiła się w duchu. Nie pojmowała metamorfozy, jaką pięćdziesięcioletnia kobieta przeszła w ostatnich paru latach. Kiedyś była miłą trzpiotką, która podchodziła do życia z radością i optymizmem. Samodzielnie podejmowała decyzje ważące na jej losie. Nikt nie narzucał jej, za kogo ma wyjść za mąż. Marcel był człowiekiem poczciwym, prawdziwym dżentelmenem, traktował ją z ogromnym szacunkiem i czułością. Kiedy Cecylia spoglądała na zięcia, czasami kręciły się w jej oczach łzy, gdyż sama nie miała tyle szczęścia w małżeństwie co córka. Czemu więc Filutka, mając wszelkie powody do zadowolenia, stała się zgorzkniała i pełna pretensji do świata?

– Ech… Przez ten deszcz człowiek całkowicie odcięty jest od życia towarzyskiego – westchnęła Branicka, moszcząc się na kanapie. Odruchowo sięgnęła po tamborek z naciągniętą serwetą, którą od kilku dni pokrywała pracowicie haftami. – Nawet pies z kulawą nogą nie zajrzy. A na dodatek Marcel, wiedząc, że dzisiaj mamy dzień przyjmowania wizyt, ot tak sobie wyjechał, zabierając Wiktora. No jakże to? Powinien zostać na wypadek jakichś odwiedzin.

– Filomeno! – zirytowała się Cecylia. – Sama sobie przeczysz. Najpierw mówisz, że z powodu deszczu życie towarzyskie zamarło, a teraz liczysz na gości?

– No ale może do nas zajrzeć młody Michalski. – Kobieta zerknęła wymownie w stronę córki, która z dnia na dzień coraz mocniej

pogrążała się w melancholii. – Luli dobrze zrobiłoby jego towarzystwo. Miły dżentelmen przywołałby uśmiech i rumieniec na jej twarz.

– Mamo! – Tym razem to w głosie córki dało się usłyszeć zniecierpliwienie. – Nie mów o mnie tak, jakby mnie tutaj nie było. A pan Hieronim wcale nie jest mi potrzebny do szczęścia.

– Ale jesteś smutna, drogie dziecko. Pewnie tęsknisz… – zasugerowała Branicka.

– Owszem, tęsknię. Ale za słoneczną pogodą i samotną przejażdżką na Palomie. To zdecydowanie większa przyjemność niż układne pogawędki z tym eee… nudziarzem. – Chciała powiedzieć, że nadętym bufonem, lecz w porę powściągnęła język. Matce zapewne nie spodobałyby się jej słowa. A połajanki w obecności rezydentów towarzyszących rodzinie byłyby żenujące.

Nie lubiła tych dni, gdy wystrojona w elegancką popołudniową suknię musiała oczekiwać w bawialni na gości, prowadząc męczące rozmowy ze starą ciotką lub niezamężnymi kuzynkami ojca, które na łaskawym chlebie przemieszkiwały w ich dworze. Cały ten salonowy świat, który tak mocno ją pociągał, gdy była małą dziewczynką lub podlotkiem, teraz zdawał jej się pusty i pozbawiony sensu. Zdecydowanie lepiej czuła się w towarzystwie Gabriela, gdy milczeli razem lub rozmawiali o wszystkim i o niczym.

Filomena zadzwoniła po służącą. Po chwili do pomieszczenia weszła dziewczyna ubrana w skromną, ciemną suknię przepasaną białym fartuszkiem. Dygnęła grzecznie i wysłuchała polecenia, by przygotować imbryk z herbatą. Nawiązała kontakt wzrokowy z Lodzią.

– Czy panienka także czegoś sobie życzy? – zapytała, przykładając niby mimochodem dłoń w miejsce, gdzie miała naszytą kieszonkę.

Lula w lot odgadła, w czym rzecz, gdyż Janka niejeden raz przekazywała jej liściki od Gabriela, które do niej dostarczał zamieszkujący w Niepołomicach Prot, posługujący na dworcu kolejowym. Jego wizyty w dworku nie dziwiły nikogo, gdyż przywoził do Branickich pocztę, czasami jakieś towary przekazywane z magazynów

Juliusza czy prenumerowane czasopisma. Poza tym powszechnie było wiadome, że nie pozostaje obojętny na uroki Janki, której czarne, grube warkocze oraz czekoladowe oczęta wzbudzały w nim głęboki zachwyt. I choć państwu nie wypadało plotkować o służbie, gdyż nie był to dość elegancki temat do konwersacji salonowych, snuto domysły, czy nadobna dzieweczka porzuci posadę dla wytrwałego adoratora. Tak czy owak panna Branicka z trudem zachowała powagę, lecz jej oczy zajaśniały, jakby wstąpiło w nią nowe życie. Tę subtelną zmianę od razu dostrzegła Cecylia. Uśmiechnęła się z pobłażaniem. Ciekawa była, kiedy wnuczka zdradzi rodzinie swój sekret i czy mocno wstrząśnie to Filomeną. W razie czego zamierzała stanąć po stronie zakochanej dziewczyny.

– Tak, Janeczko – odparła Lula. – Nim kucharka przygotuje herbatę, przynieś z mojego pokoju jedwabny szal haftowany w pawie pióra. Trochę chłodno dzisiaj.

– Pawie pióra? – żachnęła się Filomena. – Przecież ten szal w ogóle nie pasuje do twej sukni! Janko, przynieś kremowy z pękami maków, będzie zdecydowanie odpowiedniejszy.

– Rzeczywiście, mama ma rację. Weź kremowy – potwierdziła panna odziana w różaną suknię.

Najchętniej sama poszłaby po jedwabną materię, zabierając przy tej okazji list, który niewątpliwie miała dla niej służąca, lecz bała się, że matka zacznie coś podejrzewać. Godziny przyjmowania wizyt były w ich domu święte i nawet jeśli, tak jak tego dnia, nikt nie zaszczycił ich swą obecnością, bez istotnego powodu nie miała prawa opuszczać bawialni.

A może powinnam symulować migrenę? – uprzytomniła sobie panna. Już pragnęła ucałować kopertę, przebiec wzrokiem po treści, a następnie przytulić do piersi arkusik z kilkoma słowami skreślonymi przez Gabriela.

Godzinę później, gdy większość zgromadzonych w salonie osób drzemała, ukołysana monotonnym szumem deszczu, Leokadia

wymknęła się do swego pokoiku. Pod poduszką czekał na nią liścik.

Lodziu moja najukochańsza!

Kreślę do Ciebie stęsknioną dłonią kilka pospiesznych słów. Na moment przyszedłem do domu, by się posilić i przy okazji napisać o tym, co się dzieje. Od rana byłem z innymi nad Wisłą, która wygląda przerażająco, tocząc mętne, błotniste wody gigantyczną masą. Zagrożenie powodzią jest bardzo realne. Za chwilę znowu pobiegnę nad rzekę, by pomagać w naprawianiu wałów. Pomódl się, Jedyna, by napór wód nie przerwał umocnień.

Całuję Twe jedwabiście gładkie rączki i różane usteczka.

Twój na zawsze

Gabriel

Przeczytała kilkakrotnie wiadomość, za każdym razem bardziej drętwiejąc ze strachu. Pojęła, że to, o czym mówił do ojca pan Niedzielski, nie było ani trochę wyolbrzymione. Wisła mogła wylać, podtopić miasto i całą okolicę. Dla mężczyzn umacniających nasypy stanowiła śmiertelne niebezpieczeństwo.

– Ach! Mój Boże! Matko Boska Bolesna! – Upadła na kolana przy łóżku, czyniąc dłonią znak krzyża na piersi. – Miejcie w opiece Gabriela. Uchrońcie go przed najgorszym – załkała, a następnie zatonęła w żarliwej modlitwie.

Domyślała się całej grozy sytuacji. Wszak Zalipiak nie był pierwszym lepszym parobkiem, lecz studentem medycyny, przyszłym lekarzem. Nikomu nie przyszłoby na myśl, by angażować go do fizycznej pracy, gdyby nie istniało poważne ryzyko powodzi.

Przez uchyloną kwaterę do pokoju napływał zapach deszczu oraz niemiły chłód. Lula, w przeciwieństwie do matki oraz babci, nie bała się przeciągów, lecz ta woń, przywodząca na myśl staw wypełniony oślizgłymi żabami i rzęsą, nie należała do przyjemnych. Gdy więc już dziewczyna uniosła się z kolan, podeszła do okna, by je zamknąć.

Dostrzegła powóz zajeżdżający przed dom. Rozpoznała taranty Michalskiego, skrzywiła się więc nieznacznie.

Wzdychając ciężko, zerknęła w lustro. Schodzenie do salonu z mocno zaczerwienionymi oczami i opuchniętą twarzą nie miało najmniejszego sensu. Każdy domyśliłby się, że płakała, to pociągnęłoby za sobą lawinę pytań – jeśli nie od razu, to po wyjeździe gościa. Już widziała gniewne ściągnięcie brwi na matczynej twarzy i słyszała jakieś niemiłe komentarze. Wiedziała, że rodzicielka nie może jej darować, iż wodzi za nos Hieronima. Niejeden raz była przez nią napominana, że powinna delikatnie i taktownie zachęcić dżentelmena do oświadczyn. Wszak przyjeżdżał do nich od ponad dwóch lat nie tylko po to, by gawędzić z Marcelem o gospodarce i polityce, ale przede wszystkim dla Leokadii.

Cichutko wyśliznęła się na korytarz i przechyliła przez balustradę, by zerknąć ukradkiem do holu. Dostrzegła Szalejkównę, Hieronim jeszcze nie zdążył wysiąść z ekwipażu. Zapewne czekał, aż lokaj otworzy drzwiczki i osłoni go parasolem, a następnie wprowadzi pod zadaszenie.

– Janeczko! – syknęła na służkę. – Janko! Chodź tu szybko. – Pomachała dłonią, gdy pokojówka się obejrzała.

Dziewczyna dziarsko wbiegła po schodach na poddasze.

– Tak, panienko? – zapytała, domyślając się, że liścik zawierał jakieś smutne wieści, gdyż jej uwadze nie uszły ślady łez na twarzy Luli.

– Powiedz mej matce, że złożyła mnie okropna migrena i nie dołączę do gości.

***

Szum deszczu skutecznie zagłuszył tętent końskich kopyt oraz turkot powozu. Dopiero odgłosy dobiegające z przestronnego korytarza wywołały ożywienie w bawialni. Mimo deszczu przyjechali jacyś goście!

– Ach… Gdzież ta Lula? – zniecierpliwiła się Filomena, przypuszczając, że zaraz do zgromadzonych w salonie dołączy

Hieronim.

Ledwo wybrzmiały jej słowa, do pomieszczenia wszedł Michalski, a zaraz za nim panna służąca.

– *Madame.* – Dygnęła przed Filomeną. – Panienka przeprasza, lecz nie zejdzie już dzisiaj na dół. Deszcz wywołał u niej silny atak migreny.

– Och nie! – jęknęła Branicka.

– Och… Jaka szkoda – zawtórował jej zawiedziony mężczyzna.

– Panie Hieronimie, zechce pan spocząć. Zajrzę do córki, może nie jest aż tak źle, jak mówi służąca? Miłe towarzystwo na pewno poprawiłoby jej samopoczucie.

W tej samej chwili nader dziarsko jak na swój wiek zerwała się z fotela Cecylia.

– Zostań, Filomeno, ja zajrzę do wnuczki. Ty zabaw naszego gościa.

Skonsternowana Branicka nie próbowała się przeciwstawić.

***

Zgodnie z przewidywaniami Cecylii wnuczka wcale nie leżała w łóżku z migreną. Siedziała przy sekretarzyku, ściskając w dłoni liścik. Na jej twarzy widać było zaschnięte ślady łez.

– Lodzieńko moja kochaniutka, co ci? – zagadnęła babcia, podchodząc do niej i przytulając ją do swej piersi.

– Och, babciu! Ten deszcz… – wyjąkała pannica.

– Tak, wiem. Janka mówiła, że wywołał u ciebie atak migreny. Ale domyślam się, kochaniutka, że nie o to chodzi. Jakieś smutne wieści? – Wskazała kopertę.

Dziewczyna drgnęła nerwowo i wykonała gest, jakby chciała schować ją do biurka. Zamiast tego pociągnęła lekko nosem.

– Grozi nam powódź. To dlatego tatko i Wiktor w takim pośpiechu opuścili dom, choć wiedzieli, że narażą się na utyskiwania mamy.

– Ach! Twoja matka zrobiła się ostatnio nieznośna – stwierdziła nader niedyplomatycznie Cecylia, moszcząc się na krawędzi wąskiego, panieńskiego łóżka. Wychodziła z założenia, że osobie w jej wieku wypada znacznie więcej niż młodym. – Ale chyba nie boisz się, że zaleje nas wielka woda? Lękasz się o tego młodzieńca, który skradł ci serduszko i roziskrzył oczęta szczęściem? – zapytała dość trafnie.

– Tak. Poszedł z innymi, by umacniać wały. A ja przeokropnie się o niego lękam. Błagam… nie każ mi iść do salonu. Widzisz, że nie panuję nad emocjami.

– Ależ, dziecino! Nawet przez myśl mi to nie przeszło. Domyśliłam się, że dostałaś liścik od swego amanta. Oczy cię zdradziły, moja konspiratorko. Ale nie lękaj się – uprzedziła wątpliwości wnuczki – twoja matka niczego nie dostrzegła. Choć ma dobry wzrok, jest ślepa jak kret. Widzi tylko to, co chce zauważyć. Ech… Po kim ona taka jest, tego nie wiem. Chyba po swej babce, bo moja świętej pamięci mateczka była równie surowa. Gdy przyjechał Michalski, chciała przyjść po ciebie, lecz ją uprzedziłam, bo odgadłam, że potrzebujesz w samotności nacieszyć się wieściami od lubego. Przykro mi, że nie są pomyślne. Pomodlę się, by nic złego mu się nie przytrafiło. A teraz wrócę do salonu – oznajmiła, wstając. – Będę czuwała nad tym, by nie przywiało tutaj twojej matki. Ale w razie czego powinnaś się położyć, by się nie zdemaskować, gdybym nie zdołała jej powstrzymać.

– Dziękuję, babciu. Bardzo cię kocham, wiesz?

Cecylia uśmiechnęła się ciepło, pokiwała głową, a potem opuściła pokoik na poddaszu.

***

Gabriel oraz kilkunastu innych ochotników, pomiędzy którymi było raptem trzech żandarmów z wachmistrzem Zajączkiem na czele, dotarli do miejscowości Grabie, położonej przy samym brzegu Wisły. Dalej rzeka przepływała przez Brzegi, Podgórze i Płaszów ku centrum

Krakowa. Mężczyźni zeskoczyli z furmanek, którymi dowieziono ich na miejsce, i zgłosili się do komisarza Drużbackiego, który dowodził całą akcją pod okiem inżyniera Flisowskiego[27]. Komendy padały szybko, czas naglił, a wody przybywało. Rozmoknięte wały były niczym sito, przez które sączyły się błotniste strużki.

Furmani raz w raz przywozili zgniłe siano, którego nikt nie pozbierał z podtopionych łąk. Prócz tego utykano szczeliny ziemią, drewnem, a nawet obornikiem. W ruch szły łopaty, kołki i deski. Łatano, uszczelniano, wzmacniano, tocząc nierówną walkę z żywiołem.

Zmierzch zapadał nadspodziewanie szybko, więc zaczęto rozpalać ogniska i pochodnie. Nie wstrzymywano pracy. Gdy ktoś zaczynał się słaniać ze zmęczenia, odchodził na bok, by spocząć w czyjejś stodole, posilić się miską gorącej strawy, choć trochę przesuszyć mokry grzbiet. Nikt jednak nie wypoczywał dłużej, niż to było konieczne, groza sytuacji działała na wyobraźnię. Wśród mężczyzn walczących z żywiołem Zalipiak zauważył Branickiego wraz z synem. Nawet dżentelmeni zakasali rękawy, by pomóc.

No przecież Grabie należą do Branickich! – uświadomił sobie Gabriel, zdwajając wysiłki mimo zmęczenia ciężką pracą. Jakoś cieplej zrobiło mu się na sercu, gdy sobie uprzytomnił, że robi to wszystko nie tylko, by ratować okoliczne wsie przed zalaniem, ale również dla bliskich ukochanej kobiety.

***

Popołudniem następnego dnia do zmęczonych ludzi dotarły hiobowe wieści. Około dziewiątej rano woda zaczęła przelewać się przez wały w Płaszowie. Część ochotników udała się więc na ratunek umocnieniom położonym nieco dalej, za Kokotowem, ku ujściom Serafy, zasilanej Drwiną i Zabawką. Tam ryzyko ich przerwania było największe z uwagi na napierające masy dopływu.

Zmęczony Branicki dosiadł konia i pojechał do domu, by choć trochę odpocząć i przekazać niepokojące wieści swoim bliskim. Na miejscu został przejęty Wiktor, który stwierdził, że zdrzemnie się na moment, a potem wróci do pracy. Zalipiak zauważył, jak ze sobą rozmawiają, a następnie starszy z mężczyzn odjeżdża. Od tej pory starał się trzymać w pobliżu młodego. Przeczucie mu podpowiadało, że powinien mieć na niego oko. Gdyby coś złego przydarzyło się bratu ukochanej, nie potrafiłby sobie tego darować.

– W Płaszowie puściły wały! – Wśród uwijających się ludzi gruchnęła budząca grozę wiadomość. – Zalane są Rybitwy i Przewóz, część Brzegów także stoi pod wodą!

Było wczesne popołudnie, gdy pracujący na wałach Wiktor uniósł głowę, by spojrzeć w stronę miasta. W pierwszej chwili zdziwił go widok zbrązowiałych łąk, które jeszcze niedawno, choć skoszone, zieleniły się soczystością traw.

Niemożliwe, by tak szybko zgniły – pomyślał, wytężając wzrok. A może to po prostu znużenie? Dochodziła piętnasta. Od dwudziestu czterech godzin pracował równie ciężko jak parobkowie, nie szczędząc wysiłków. Otarł mokrą od deszczu twarz, odgarnął niecierpliwym gestem włosy lepiące się do czoła.

– Wielka woda ku nam płynie! – krzyknął co tchu w płucach, uświadomiwszy sobie w końcu, że to nie majak wywołany nieludzkim zmęczeniem.

Ludzie zaczęli panikować, że zaraz rozerwą się umocnienia wzdłuż Drwiny i Serafy, które za wszelką cenę próbowali ocalić.

– Osłaniają nas wały! – krzyknął Niedzielski, kierujący w tym miejscu akcją. – Nie możemy się poddawać. Ludzie! Domy wam pozalewa, dobytek zabierze! Trzeba ratować nasypy! – dopingował robotników do zdwojenia wysiłków.

Nikt zresztą się nie oszczędzał. Łatano, uszczelniano, utykano przecieki, lecz z każdą chwilą coraz wyraźniej wyglądało to na daremny trud.

– Gdyby choć deszcz przestał padać – westchnął wyczerpany Zalipiak.

Niestety chmury wisiały niskimi, gęstymi kłębami, nie przepuszczając promieni słonecznych, które teraz bardzo by się przydały.

Mijały kolejne godziny. Wiktor co jakiś czas zerkał na wierzchowca, którego uwiązał w pobliżu. Kilka razy zmieniał mu miejsce, to znowu puszczał go na moment luzem, ponieważ koń był mądry, nie uciekał i nie czynił szkód. Teraz jednak ogier był wyjątkowo niespokojny. Nerwowo parskał, próbował się zerwać, unosił się na tylnych nogach. Musiał odczuwać niepokój w związku z nadpływającą wodą. A ta już podchodziła do wałów na drugim brzegu Serafy, gwałtownie wzbierając i napierając na rozmokniętą zaporę.

– Puszczę luzem Wizarda – oznajmił Branicki mężczyźnie, który od jakiegoś czasu nie odstępował go nawet na moment, pracując z nim ramię w ramię. Kojarzył go z widzenia, wiedział, że to młody Zalipiak, potomek znanej w okolicy rodziny Trzosów, student medycyny. Rad był więc jego towarzystwu, jakoś raźniej mu było, gdy widział jego wysiłki.

Uwolnił konia i poklepał go po karku.

– Wracaj do domu, konisiu. Na pewno znajdziesz drogę.

Miał nadzieję, że rodzina nie wpadnie w panikę na widok samego wierzchowca. Nie chciał jednak trzymać zwierzęcia w miejscu, gdzie zrobiło się niebezpiecznie.

***

– Ojcze! Ojcze! – krzyczał podniecony mocno Henryś, wbiegając do salonu.

Trzynastolatek za nic miał karcące spojrzenia matki. Podbiegł do fotela, w którym siedział Marcel, wypoczywając po trudach akcji ratunkowej. Łamało go boleśnie w kościach, miał cierpiętniczą minę. Nie chciał kłaść się do łóżka, na wypadek gdyby przyjechał umyślny z jakimiś wieściami. Czuwał więc przy kominku, w którym wyjątkowo

rozpalono ogień, bowiem letnią porą niemalże nigdy tego nie czyniono. Rozgrzewał się brandy, a na stoliku obok już czekała filiżanka z kawą. Chociaż wrócił do domu przed kilkoma godzinami i zdążył doprowadzić się do ładu, wciąż trząsł się jak w febrze.

– O co ten krzyk, mój chłopcze? – zapytał syna.

– Koń Wiktora wrócił.

– Sam? – zdenerwowała się Branicka.

– Sam.

– Matko Przenajświętsza! Pewnie coś mu się stało! Trzeba posłać parobków, by go poszukali.

– Nie ma powodu do strachu, Filomeno. Umówiliśmy się, że gdyby Wizard zaczął się mocno płoszyć, bo na miejscu był straszliwy zamęt, to Wiktor puści go luzem do domu. Zostali z nim parobkowie, którzy także byli konno. Skoro żaden nie wrócił, oznacza to, że nadal pracują nad umocnieniem wałów i obserwują rozwój sytuacji.

– Czy nam także woda zagraża? – zmartwiła się ślubna.

– Ależ skądże! Jesteśmy wystarczająco daleko i wysoko. Wiktor tam został, by mieć oko na Grabie. Te, niestety, może zalać – skwitował z przygnębieniem.

Leokadia słuchała ich w milczeniu. Miała pobladłą twarz i cienie pod oczami, uwiarygodniające jej wymówkę migrenową. Nie została w swoim pokoju wyłącznie dlatego, że liczyła na jakieś wieści związane ze wzbierającymi rzekami. Panicznie bała się o życie Gabriela, więc wciąż modliła się w duchu, by ominęło go niebezpieczeństwo. Z trudem powstrzymywała się od płaczu.

***

Zasilona wodami powodziowymi Serafa gwałtownie wezbrała, coraz mocniej napierając na rozmakające wały. Zapadała noc, lecz nie poniechano rozpaczliwych wysiłków. Zapłonęły latarnie i pochodnie. Zmordowani ratownicy opadali z sił. Wałami uciekali w stronę

Kokotowa przerażeni mieszkańcy okolicy, prowadząc dzieci i niosąc ze sobą toboły z odrobiną dobytku, który chcieli ocalić przed spodziewanym rychło potopem.

– Bóg zsyła na nas karę za grzechy. Biada nam, biada! – zawodził chłop wlokący na postronku oporną krasulę.

Woda wznosiła się coraz wyżej. Część parobków porzuciła narzędzia, by wrócić do domów i spróbować cokolwiek ocalić z dorobku życia wielu pokoleń. Gabriel z trudem opanował chęć ucieczki. Przede wszystkim nie chciał opuszczać Wiktora, którego nawet zaczął podziwiać za hart ducha i niezłomną wolę walki. Ponadto myślał o tym, że woda, gdy puszczą wały, może rozlać się po całej okolicy, i zatopić śpiących w domach mieszkańców. Wielu ludzi bowiem, wciąż nieświadomych zagrożenia, pokładało wielką ufność w inżynieryjne zdolności Austriaków. Nie mieli pojęcia, że wały, którym tak wierzyli, są w rzeczywistości znacznie niższe, niż zakładał pierwotny projekt.

Mężczyźni walczący z żywiołem zmieniali stanowiska pracy, wycofując się ku Zabawce. Jeszcze żywili nadzieję, że ich trud przyniesie pożądane efekty, choć zostało ich zaledwie kilkunastu. W końcu po dwudziestej trzeciej woda zaczęła przelewać się przez ostatnie umocnienie, wypełniając koryto Zabawki i przelewając się dalej na łąki oraz pola.

Szum narastał.

– Uciekajcie, ludzie! Ratujcie życie! – wykrzyknął Niedzielski, który kontrolował sytuację, sprawdzając co jakiś czas, która jest godzina.

Został kwadrans do północy, gdy szumiąca przerażająco masa wody rozdarła wały. W tym złowieszczym odgłosie niknęły krzyki i jęki ludzkie. Pogasły lampy i pochodnie. Zapanowała groźna, jeżąca włos na głowie ciemność, a po chwili, gdy uspokoił się szum, zapadła martwa cisza.

Niedzielski dosiadł konia i wytężył wzrok. Niewiele można było ujrzeć w mroku, lecz wiele wskazywało na to, że zarówno Brzegi, jak i Grabie stanęły pod wodą. Już nic nie dało się uczynić. Spiął konia

i ruszył w stronę Śledziejowic. Pragnął choć na moment pojechać do domu, jednak zamierzał wrócić wraz z brzaskiem, by ocenić wielkość szkód wyrządzonych przez żywioł.

***

Gdy puściły wały, Gabriel i Wiktor przebywali akurat w pobliżu miejsca, gdzie otwarła się apokaliptyczna gardziel, wypluwająca hektolitry wody. Nim pogasły światła, Zalipiak dostrzegł, że napierająca masa porywa ze sobą Branickiego, pchając go w stronę szybko zatapianych łąk. Bez chwili namysłu skoczył za nim.

– Wiktorze! Wiktorze! – krzyknął, lecz szum był ogłuszający. Przez moment zdało mu się, że słyszy wołanie o pomoc.

Jakimś cudem złapał tonącego mężczyznę. Ten, przerażony sytuacją, chwycił kurczowo Zalipiaka i wciągnął go pod wodę. Przez chwilę mocowali się ze sobą, parskając i krztusząc się wodą, która spychała ich coraz dalej. Gabriel usiłował dość nieporadnie płynąć, trochę na oślep, gdyż niczego nie było widać.

– Trzymaj się mnie, Wiktorze! – przekrzykiwał kipiel.

Wtem zderzyli się z jakimś drzewem. Wiktor, który nie doznał żadnej szkody, od razu pochwycił masywny pień. Uwolnionego od jego ciężaru Gabriela porwał rwący nurt.

Przez dłuższą chwilę Wiktor odpoczywał, nie dowierzając własnemu szczęściu i martwiąc się jednocześnie o człowieka, który go ocalił. Domyślał się, że mógł to być Zalipiak. Zdawało mu się, że rozpoznał jego głos. Teraz winien skoczyć mu na ratunek, nie było innego wyjścia. Nie chciał mieć cudzego życia na sumieniu. Ponieważ był niezłym pływakiem, rzucił się w ślad za Gabrielem, młócąc silnymi ramionami taflę. Niekiedy zatrzymywał się, macając stopami grunt. Woda sięgała mu czasami po pas, momentami po pachy, to znowu była tak płytka, że nie dawało się płynąć. Rozlewała się coraz spokojniejszymi falami, zabierając ze sobą błoto, ziemię, zgniłe siano, które nieprzyjemnie go

oplątywało. Zaczął więc nawoływać Zalipiaka, lecz odpowiadał mu jedynie plusk. Miotał się rozpaczliwie, szukając swego wybawcy, lecz ciemności nie sprzyjały jego wysiłkom. W końcu, gdy doszczętnie opadł z sił, poddał się i postanowił, że wróci do domu. Mimo wszystko żywił nadzieję, że Gabriel zdołał się jakoś uratować.

***

W mdłym świetle brzasku przed oczami Niedzielskiego roztaczał się przerażający obraz spustoszeń. Cały teren pomiędzy Zabawką a Podłężanką został zatopiony aż ku wsi Podłęże. Woda wciąż huczała. W promieniach wschodzącego słońca widać było zalane po powały chałupy. Ludzie gromadzili się na wzniesieniach i dachach. Kulili się w koronach drzew. Dzieło zniszczenia było straszne.

Stanisław uniósł do oczu lornetkę i uważnie zlustrował okolicę. W prawym wale Serafy dostrzegł dwie potężne wyrwy, którymi wciąż napływała woda, porywając kopy siana ustawione wzdłuż brzegu, tworząc wiry tańczące niczym eliksir w czarcim kotle, pieniąc się wysokimi na półtora metra falami.

– Dziękować Bogu, że wały puściły na łęgach, a nie we wsi – stwierdził, spoglądając na dwa buchające z koryta wodospady. – Jak nic porwałoby domy i potopiło śpiących ludzi. Tak przynajmniej chłopi życie ocalili.

***

Przemoczony i do cna wyczerpany Wiktor wyruszył w drogę do domu. Miał do pokonania dystans około dwóch mil, z czego przez znaczną część to brodził w wodzie, to płynął. Później dotarł na niezalane tereny, dziękując Bogu, że fala powodziowa nie sięgnęła aż tak daleko, pozostawiając w spokoju Niepołomice i jego rodzinne strony, choć i tutaj wiele pól było pozalewanych.

Szedł wraz z brzaskiem i wschodzącym słońcem, które raziło go w oczy. Nie miało jeszcze dość mocy, by osuszyć jego przemoczone do ostatniej nitki ubranie, więc dygotał z zimna.

Teraz wyszło? – żachnął się Branicki. – *To o dobrych kilka dni za późno. Tyle nieszczęścia zdążyło się wydarzyć, odkąd ostatni raz ogrzewało nas swymi promieniami!*

Wiedział jednak, że dla chłopów, którym pozalewało gospodarstwa, poprawa pogody jest prawdziwym darem niebios. Istniały bowiem szanse na to, że woda opadnie, a oni zaczną suszyć, co im pozostało, choć pewnie nikt w okolicy nie zbierze plonów z pól.

Był dojrzałym dwudziestodwulatkiem, a jednak płakał rzewnymi łzami na myśl o przeżytym piekle, o stratach, jakie uczynił potop, o zalanym Grabiu należącym do ojca. Zdawał sobie sprawę, że mieszkający tam chłopi będą potrzebowali wsparcia. O tym wszystkim zamierzał mówić z bliskimi, gdy już dotrze do domu. Wierzył, że rodzinne gniazdo oparło się żywiołowi, choć oczywiście istniało prawdopodobieństwo, że wały puściły również bliżej Niepołomic. Każdy krok napawał go jednak coraz większym optymizmem. Nigdzie nie widział śladów wielkiej wody.

U bramy posiadłości opadł całkowicie z sił. Wsparł się dłonią o mur i przez chwilę spoglądał na skąpany słońcem dworek. Jakże to był inny widok od tego, co wciąż miał przed oczami. Jakież to było sielskie i cudowne uczucie wiedzieć, że dom ocalał! Wiktor był u kresu wytrzymałości, gdy wszedł po stopniach i padł wprost w ramiona kamerdynera.

***

– Apokalipsa, ojcze – opowiadał znacznie później, gdy wykąpany i najedzony leżał w swym łóżku w sypialni, odpoczywając.

Cała rodzina zgromadziła się w niewielkim pomieszczeniu, by zasypać go lawiną pytań. Opowiedział więc o tym, co działo się

w minionych dwóch dniach, o rozpaczliwiej walce o wały i o późniejszym kataklizmie.

– Byłbym utonął, bo porwał mnie wzburzony nurt, lecz skoczył za mną jeden ochotnik z Niepołomic. Wiele godzin pracowaliśmy ramię w ramię, może więc dlatego przyszedł mi z pomocą, zamiast samemu ratować skórę. Bo taki wysiłek, jaki razem podejmowaliśmy, jednoczy ludzi i zbliża. To nic, że to syn prostaków. Serce się liczy! Zresztą czy Zalipiakowie to aż tacy parweniusze? Wszak Gabriel i jego matka wywodzą się z Trzosów, a to zacna rodzina, choć niezamożna – prawił, nie zważając na emocje grające na siostrzanej twarzy.

– Co się stało z tym człowiekiem? Wrócił z tobą do Niepołomic? – zapytała z nadzieją Leokadia.

– Nie. Nie wiem, co z nim. Bo gdy jakoś zdołał doholować mnie do drzewa, na którym spędziłem bodajże kwadrans, po prostu zniknął mi z oczu. Byłem do cna wyzuty z jakiejkolwiek energii, więc nie miałem sił na to, by od razu skoczyć jemu na pomoc. W mroku nocy zauważyłem jedynie, jak porywa go rozszalały żywioł.

– Och nie… – jęknęła Lula, blednąc. – Nie widziałeś go więcej?

– Ależ Lodziu! – skarciła ją matka. – Nie wypada, by tak podniecać się czyimś losem.

– Mamo! Przecież my go znamy! Jak możesz być równie bezduszna? – wykrzyknęła z taką mocą w głosie, że bliscy odwrócili się ku niej i wlepili w nią badawcze spojrzenia.

– To potomek kmieci. Na pewno sobie poradził. A ty, moja panno, panuj nad sobą! – fuknęła Branicka.

– Wiktorze, powiedz mi, co z Gabrielem? – Dziewczyna szarpnęła ze wszystkich sił ramię brata. – Mów mi natychmiast, że żyje!

– No co ty? Lulo? – zdziwił się Wiktor, a widząc obcą dzikość w jej oczach, dodał prędko: – Jego los nie jest mi znany. Przykro mi, lecz prawdopodobnie zatonął.

– Nie! – krzyknęła rozdzierająco panna. – Nie wierzę ci, nie wierzę!

Wybiegła z pokoju, zostawiając osłupiałą rodzinę.

Cecylia ze zrozumieniem pokiwała głową. Dla niej było oczywiste, że to Gabriel Zalipiak skradł serduszko wnuczki. Reszta dopiero zaczynała dochodzić do wniosku, że z jakiegoś tajemniczego powodu los Zalipiaka nie jest obojętny Leokadii.

Po chwili niemalże grobowej ciszy zaczęli mówić wszyscy naraz, przekrzykując się i gubiąc w domysłach. Dopiero gdy usłyszeli na podjeździe tętent kopyt, rzucili się do okna.

– Matko Najświętsza! – wykrzyknęła Branicka. – Jedzie konno w popołudniowej sukni! Na dodatek bez kapelusza i rękawiczek! Czy ona postradała rozum?

***

Leokadia nie zastanawiała się długo nad tym, dokąd pojechać w pierwszej kolejności. Od razu skierowała Palomę ku Niepołomicom. Gnała niczym wicher, nie zważając na to, że wiatr targa jej włosy. Nie bała się słońca, które mogło zostawić ślad opalenizny, a nawet piegi na jej skórze delikatnej niczym płatek róży. Strach o ukochanego przyćmiewał inne bodźce.

Zatrzymała się przed domem Zalipiaków. Zeskoczyła z konia i energicznie ruszyła do wejścia. Nie zdążyła zastukać, gdy zostały otwarte i stanęła w nich Weronika. Kobieta wyglądała na znużoną, jakby miała za sobą nieprzespane noce i przepłakane dni. Lula nie musiała o nic pytać.

– Panna Branicka? Co panią tutaj sprowadza? – zapytała kobieta zaskoczona niecodziennym wyglądem szlachcianki, która słynęła z eleganckich strojów i nienagannych manier, a teraz prezentowała się dość dziwnie: w popołudniowej sukni i z rozwianymi włosami. Nie miała rękawiczek ani nawet kapelusza.

– Dzień dobry, pani Weroniko. Czy Gabriel jest w domu? – Mimo wszystko postanowiła się upewnić.

– Nie – padła odpowiedź. Głos Zalipiakowej zdławiony był emocjami. – Boję się o niego. Inni już wrócili i opowiadają straszne rzeczy o powodzi na Grabiu, w Brzegach i pod Krakowem. Ponoć zalało nawet część Podłęża. A to już tak blisko nas… – Weronika załamała ręce.

– Jadę go szukać – oznajmiła Leokadia. A potem wyciągnęła dłoń i, choć sama była przerażona, przykryła nią lodowato zimne palce kobiety, by dodać jej choć trochę otuchy. – Na pewno go znajdę.

– Niech Bóg pannę prowadzi.

Zalipiakowa zrobiła znak krzyża na czole Branickiej.

Leokadia z zadziwiającą zręcznością, mimo wąskiej w biodrach kreacji, wsiadła na konia i bezzwłocznie wyruszyła w dalszą drogę. Pogalopowała gościńcem w stronę Kokotowa. Z relacji brata wynikało, że gdzieś tam stracił z oczu Gabriela. A może było to nieco dalej, w okolicy Brzegów? Po drodze wypytywała ludzi, czy ktoś z nich nie widział ukochanego. Pokazywała fotografię, którą przezornie zabrała ze sobą. W domu trzymała ją ukrytą w sekretarzyku. Nikt nie był w stanie jej pomóc, więc jechała wytrwale dalej, aż dotarła do Podłęża zalanego po brzegi Podłężanki, która na co dzień była dość spokojną i niezbyt głęboką rzeczułką. Paloma parsknęła nerwowo, jakby nie chciała dalej jechać, lecz Lula trąciła ją piętą w bok. Póki woda sięgała jedynie końskich pęcin, wciąż galopowały, rąbiąc błotniste rozbryzgi. Jeszcze nigdy Lodzia nie odczuwała równie wielkiej wdzięczności wobec ojca, za to, że nauczył ją trzymać się pewnie w siodle. Wszak grunt był grząski, sporo ryzykowała, zmuszając Palomę do szybkiej jazdy. W każdej chwili koń mógł się potknąć. Dziewczyna intuicyjnie wybierała drogę, mniej więcej pamiętając, którędy prowadzą gościńce. Mokra suknia lepiła jej się do nóg, a rozlewisko było coraz głębsze. Dalej nie dało się jechać, ponieważ za Zakrzowem lesisty teren opadał gwałtownie w dół, tworząc dolinę. Zdruzgotana Lodzia wstrzymała klacz i spojrzała na apokaliptyczny krajobraz. Potem skierowała się na południe w nadziei, że może gdzieś tam znajdzie ukochanego.

***

– Leokadio! Na litość boską! Gdzie byłaś? – wykrzyknęła na jej widok matka i załamała ręce. – Jak ty wyglądasz? Co ci strzeliło do głowy?

Dziewczyna była zmęczona godzinami spędzonymi w niewygodnym damskim siodle. Dłonie miała otarte do krwi, usta jej spierzchły, a twarz przypieczona słonecznymi promieniami była podrażniona. O tym, jak prezentują się jej włosy oraz suknia nawet nie chciała myśleć. Wchodząc do domu, zostawiła za sobą mokre błotniste ślady, choć przed gankiem wyżęła strój na tyle, na ile było to możliwe, a przekraczając próg, starała się unieść rąbek, by nie odsłaniać zbyt wiele, a jednocześnie nie narobić większego bałaganu.

– Możesz nam wyjaśnić swoje zachowanie, córko? – Ton ojca był równie surowy.

– Filomeno, Marcelu! Ochłońcie! – Cecylia uznała za słuszne wtrącić się, zanim dojdzie do awantury. – Nie widzicie, w jakim ona jest stanie? Dajcie jej odpocząć i doprowadzić się do ładu. Na pewno później o wszystkim nam opowie.

– O nie, mamo! – zaperzyła się Branicka. – Nie tym razem! To ja przez całe popołudnie odchodziłam od zmysłów, zastanawiając się, dokąd pojechała, a ty mi każesz ochłonąć? Pół dnia nie było jej w domu! Pojechała sobie, nie mówiąc ani słowa, niestosownie ubrana, bez kapelusza i rękawiczek! O przyzwoitce nawet nie wspomnę, bo samotne eskapady już wcześniej sobie urządzała. Najwyższa pora skończyć z tymi swawolami! Przecież jak do uszu pana Michalskiego dojdą plotki o jej ostatnich wyczynach, to gotów przenieść uwagę na inną panienkę.

– Mamo… Błagam, nie teraz – jęknęła Lodzia.

Była zdruzgotana, ponieważ nigdzie nie natrafiła na żaden ślad. Nie spotkała nikogo, kto widziałby ukochanego. Na domiar złego przerażała ją skala zniszczeń uczynionych przez wodę. Nie chciała dopuszczać do siebie myśli, że żywioł pochłonął nie tylko majątek wielu osób, ale również życie Gabriela.

– Właśnie, że teraz jest na to najwyższy czas – odparła Branicka. Ujęła latorośl za łokieć i pociągnęła ją za sobą do gabinetu, by zejść z oczu wyzierającym z bawialni rezydentom oraz służbie, która nagle miała mnóstwo pilnej pracy w sieni. Zgrzytnął klucz przekręcany w zamku.

Osłupiały Marcel spojrzał w ślad za żoną i córką. Nie był zdolny do wykonania jakiegokolwiek gestu. Od lat żona sukcesywnie zamieniała się w zołzę wybuchającą gniewem z byle powodu. A on dla świętego spokoju wolał jej unikać w takich momentach, zachodząc w głowę, gdzie podziała się owa słodka panna, do której niegdyś się zalecał. W tamtym okresie nic nie wskazywało na to, że poślubi heterę.

Zza zamkniętych drzwi przez dłuższy czas dobiegały krzyki.

Cecylia spojrzała z wyrzutem na Marcela.

– No, zrób coś, zięciu, nim ta furia zadręczy ci rodzoną córkę! – fuknęła ze złością. – Nie pojmuję, jak mogłeś pozwolić, by ślubna wzięła cię pod pantofel – skwitowała dobitnie.

***

Zapłakana Leokadia długo nie mogła zasnąć. Mimo potwornego zmęczenia przewracała się z boku na bok w pościeli. To szeptała pacierze w intencji odnalezienia się Gabriela, to wstawała i podchodziła do okna, by spojrzeć na bezchmurne niebo i połyskujący bladym światłem księżyc.

Kłótnia z matką skutkowała całkowitym zakazem kontaktów z ukochanym. Bo od słowa do słowa Filomena wydobyła z córki całą prawdę. I za nic miała fakt, że Zalipiak uratował Wiktorowi życie, ani to, że jest wzorowym studentem medycyny i ma niezłe perspektywy na przyszłość. Dla matki był nikim. Potomkiem chłopów, nędzarzem. Miłość łącząca młodych ludzi w ogóle się nie liczyła, bo gdy w grę wchodziło małżeństwo, w jej opinii istotny był przede wszystkim majątek oraz pozycja społeczna. I nieważne, że własna rodzina powstała przez mariaż szlachty z kupcami, to akurat usprawiedliwiał

interes Parnickich, którzy przed laty balansowali na krawędzi bankructwa. W przypadku Gabriela brak pieniędzy przesądzał sprawę, a jego przyszłość Branicka uważała za niepewną.

Nie pomogły ani łzy, ani krzyki, bo te zostały zakończone wymierzeniem policzka Leokadii. Nic nie było w stanie skruszyć serca Filomeny. Nawet babcia z ojcem dobijający się do drzwi gabinetu nie mogli nic zrobić. Dopiero gdy furia matki ucichła, pannica została odprawiona do swej sypialni, gdzie dostarczono jej gorącą wodę do mycia oraz ciepłą kolację.

Lodzieńko moja ukochana!

Daruj, że milczałem przez ostatnie cztery dni. Dwa z nich spędziłem na wałach, próbując je ratować przed zerwaniem. A potem, gdy doszło do katastrofy, nurt porwał mnie i miotał, aż pozbawiony czucia zostałem wyłowiony z wody przez szlachetnych ludzi. Przeleżałem w ich izbie kilkanaście godzin. A gdy jako tako doszedłem do siebie, w swej zacności odwieźli mnie furmanką do domu.

O tym, co widziałem i przeżyłem, nie chcę pisać w liście, bo mogłabyś się nadmiernie zamartwiać. A ja przecież cały i zdrowy, choć trochę zmęczony, wróciłem do domu. Ufam, że Bóg nade mną czuwał dzięki Twym modlitwom.

Całuję Twoje rączki, Ukochana, żywiąc nadzieję na rychłe spotkanie.

Twój na wieki

Gabriel

Leokadia tuliła do piersi arkusik zapisany przez ukochanego niczym najcenniejszy skarb. Przed godziną dostarczyła go Janka. Na szczęście Filomenie nie przyszło na myśl, że służąca może przenosić wiadomości. Zapewne matka przypuszczała, że Gabriel wysyłał je oficjalnie i trafiały w ręce córki wraz z pocztą od Matyldy czy koleżanek z pensji, w której przez jakiś czas Lula pobierała nauki. Dwa dni wcześniej zapowiedziała bowiem córce, że od tej pory będzie kontrolowała jej korespondencję. Niech więc Lodzia wybije sobie z głowy, że otrzyma choćby jeden list od

jakiegokolwiek mężczyzny poza Hieronimem. Najwyższy czas, by córka nabrała rozumu, zanim tak wyborna partia przejdzie jej koło nosa.

***

Następnego dnia z Krakowa dotarły przygnębiające wieści. Miasto mocno ucierpiało w powodzi. Zalało nie tylko okoliczne wsie, ale również Błonia, park Jordana, wiele ulic, a nawet kościół na Skałce. Juliusz stracił wszystkie towary w swych magazynach. Czego nie wyniósł nurt, to zostało doszczętnie przemoczone. Nikt nie potrafił określić, jak będzie wyglądała wypłata odszkodowań przez towarzystwa ubezpieczeniowe, na razie Parnicki szacował straty.

***

U Mojsiejowicza przygnębieni chłopi przepijali ostatnie halerze.

– Niceśmy nie zebrali – biadolił Mateusz Zalipiak, który, zaraz po Trzosie, należał do najzamożniejszych gospodarzy w okolicy. Cóż, gdy jego pola i łąki położone były dość nisko i w pobliżu rzeki. Zalało mu wszystkie uprawy – począwszy od zboża, poprzez warzywa, a skończywszy na ziemniakach, które były ostatnią nadzieją na wykarmienie rodziny w zimie i na przednówku. Niewysuszone siano zgniło na łąkach. – Będę musiał zarżnąć krowę, bo nie będzie jej czym wykarmić.

– Jak ją zarżniesz, to już nie pochędożysz – bąknął Lucek Czop, przywołując anegdotę krążącą po wsi. Chciał rozbawić ziomków, lecz już od dawna nikomu nie było do śmiechu.

By jakoś przeżyć, chłopi zastawiali wnyki na dziką zwierzynę. Robili co mogli, byle odwlec w czasie wyrzynanie własnego inwentarza. Wyciągali ostatnie zaskórniaki z sienników, wyprzedawali co kto mógł, wysyłali dziadków na tułaczkę po prośbie. Dużo pomagał brat Alojzy Kosiba, którego wizyty były we wsi darem niebios i błogosławieństwem. Do karczmy zachodzili tylko dlatego, że Mojsiejowicz dawał gorzałkę

i jadło na bórg, choć każdy wiedział, że kiedyś trzeba będzie owe długi pospłacać.

– Nawet u Trzosa zgniły w polu ziemniaki. Zebrali jedynie odrobinę – oznajmił Staszek Dyl. – Urobiliśmy się w zimnicy i w mokrym, a wykopaliśmy tyle, że do przednówka na pewno nie starczy.

– Czyli wszędzie bieda – skwitował Karpiel. Ten nie bał się głodu. U ojca plony były obfite, miał obiecane wsparcie, którym tak za bardzo nie chciał się przechwalać, choć wiedział, że niejednemu pewnie dopomoże, a kiedyś rachunki jakoś się wyrównają. Byle przeżyć do następnej wiosny, gdy zaczną się pojawiać pierwsze płody rolne.

– Ano wszędzie ciśnie. Żal nie tyle tej roboty, którą człowiek włożył w ziemię, ale tego, co posiał czy posadził. Jakbym wiedział, że mi zboże w polu zgnije, nie marnowałbym ziarna – westchnął ciężko Filuś.

– U Branickiego mają lepiej. Ich grunta wyżej położone, jakiś plon pozbierali – powiedział Lucek. W jego głosie słychać było zazdrość. – A i pan nie najgorszy, na pewno wspomoże tych, którym braknie. My to nawet nie mamy do kogo zastukać po prośbie.

Niejeden raz ten temat był wałkowany w okolicy. I zawsze wracano do tego samego wniosku: że dziadowie straszną krzywdę uczynili i sobie, i następnym pokoleniom, a dusze pomordowanych mszczą się również na potomkach złoczyńców. Tym razem nikomu nawet nie chciało się nawiązywać do tego tematu.

– Co z tego, jak dziedzic musi poratować grabian? Tam wszyćko ludziom zalało, łącznie z chałupami – odparł Zalipiak. – Może jednak trza Bogu dziękować, że nam nie utopiła się gadzina[28], nie zamoczyło domów i tego, co ostało w stodołach. Nędznie, bo nędznie, ale jakoś przeżyjemy kolejną zimę. Może Austriaki ulżą cokolwiek? Odpuszczą podatki, darują choć trochę ziarna? Wszak nie cała Galicja stanęła pod wodą. Ponoć ino u nas narobiło biedy.

Rozdział 7.

Ogień

Rezerwat przyrody w Puszczy Niepołomickiej

Rok 1904

– Rok niepodobny do roku. Sucho latoś – stwierdził Klemens, próbując rozgnieść w dłoni grudę ziemi. Ta była twarda jak skała i nie poddawała się palcom.

– Ano goronc[29], goronc – przytaknęła Elżbieta, która w niedzielne popołudnie wyszła z mężem na spacer. – Może to i lepiej? Zważ na to, jak łońskiego roku dolało. Nie było czego zbierać.

– Ale deszcz by się przydał.

– Kto mówi, że nie? Byle nie napadało zbyt dużo.

Brnęli miedzą rozdzielającą łany zbóż. Tego roku nie wybujały wysoko, lecz urosły skarłowaciałe. Klemens pochylił się, urwał jeden kłos i roztarł go w dłoniach. Zdmuchnął łuski i obejrzał to, co zostało. Potem wsypał sobie zawartość garści do ust.

– Tylko patrzeć żniw. Wcześnie przyjdą tego roku, bo ziarno już schnie.

– Ciężkie te ostatnie lata. Wszystko idzie jakby z kamienia.

– Nie ma co smędzić[30], Elżuniu. Zdrowia i sił nam nie brakuje, głodni nie chodzimy. Inni mają gorzej. We wsi bieda aż piszczała na przednówku – użalił się nad losem ziomków. Choć sam miał liche zbiory, jak tylko mógł, pomagał innym. – My jakoś daliśmy sobie radę. Trzeba się cieszyć, że z tej powodzi, zgnilizny i głodu nie wyszła żadna zaraza. Ty... zobacz no... To chyba nasza Milunia! – Wskazał krowę, która zamiast na łące, pasła się w polu karpieli[31].

– O rety! Rzeczywiście! – pisnęła ślubna i puściła się biegiem, by wygnać bydlątko spomiędzy zagonów. Podniosła przy tym taki jazgot, że umarłego postawiłaby na równe nogi.

Zwierzę nic nie robiło sobie z jej pokrzykiwań i zaczęło uciekać, ciągnąc po ziemi postronek. Klemens skoczył ślubnej na pomoc. We dwoje zdołali przegnać krasulę na pastwisko. Dopiero tam dała się schwytać.

– Niech no ja dorwę Rózię – pomstowała Elżbieta – to tak ją prasnę[32], że się nie pozbiera! Mówiłam kaciale[33], by porządnie upolowała[34] gadzinę, bo Milunia choć poczciwa, lubi się urwać i poleźć w szkodę. Nieraz już do imentu[35] starasiła[36] mi warzywa. Nic pożytku nie mam z tej dziewuchy. Ino fiu-bździu w głowie i bojcenie[37] z innymi – narzekała na opieszałą komornicę, która zazwyczaj zajmowała się pasaniem bydła.

– Teraz to już na pewno się nie uwolni – oznajmił Klemens, sprawdzając mocowanie postronka i palika. – Oho… Ktoś chyba pali ognisko. Czujesz? – Pociągnął wymownie nosem.

– Czuję. Pewnie smarkacze rozpalili gdzieś za rzeką – stwierdziła.

– Niezbyt to rozsądne. Sucho jest, łatwo o wywołanie pożogi.

***

Wizja Klemensa szybko się ziściła. Faktycznie susza spowodowała pożar. Trzos dowiedział się o tym w Niepołomicach na targu, gdzie spotkał Nikodema. Wrócił stamtąd z niewesołymi nowinami.

– Puszcza się pali – oznajmił, wchodząc do kuchni.

Kobiety krzątały się przy gotowaniu obiadu. Młodsza dziatwa: czteroletnia Helenka i dwuletni Stefuś już siedzieli przy stole. Stefuś na kolanach u Józi przeżuwał kawałek gotowanej kury. Hela dopominała się o swoją porcję, też była głodna, lecz ją już obowiązywała dyscyplina, więc miała jadać ze wszystkimi. Stefkowi jeszcze pobłażano, bo był malutki, więc by nie było płaczu, dla świętego spokoju dostawał czasami jakiś kąsek poza kolejnością.

– O matuchno! – jęknęła Dominika. – Gdzie? Chyba daleko stąd, bo tutaj nie dolatuje ogień i dym…

– Wuj Nikodem mówił, że jak przejeżdża pociągiem, to widzi całe połacie z czarnym, wypalonym podłożem leśnym. Dochodzą i do pół morga. Zostają ino sosny z pniami osmalonymi od spodu. Ogień nie niesie się górą, lecz idzie dołem.

– Ale jakże to? – zdziwił się słuchający ich Ignaś.

– To ty nie wiesz jeszcze, basałyku, że wszędzie tutaj są torfowiska? – prychnęła na niego matka, mieszając kapuśniak ze starej kapusty, którą mieli w beczce jeszcze sprzed dwóch lat. Przekiszona woniała dość mocno, lecz o dziwo zachowała kruchość, gdyż antałek stał w piwnicy ziemiance, przez którą ciurkał cienki jak talia Józki potoczek, bijący ze źródełka tuż za folwarkiem. Celowo Elżbieta nakazała wykonanie owego loszku w tym właśnie miejscu, twierdząc, że w takich warunkach żywność najlepiej się przechowa. I miała rację, ku zadowoleniu świekry, która początkowo podeszła do tej koncepcji nieco nieufnie.

– Prawda to. Torf jest przecież dobrym opałem – przypomniała mu babcia. – Można go wybierać nawet na półtora łokcia[38] w głąb ziemi. U nas mało się z niego korzysta, bo lepsze drewno czy węgle. Ale biedacy ze wsi często chodzą po torf, jeśli nie do puszczy, to przynajmniej w miejsca, gdzie jest go sporo. Nie powiedziałeś w końcu, gdzie się pali – zwróciła się do syna.

– Wuj gadał, że najwięcej pogorzelisk jest od strony Bochni.

– Niedobrze. Może dojść i do nas – zmartwiła się Elżunia. – Hela! – ofuknęła córkę. – Ile razy mam ci powtarzać, żebyś nie łaskotała Stefusia przy jedzeniu. Jeszcze się mały załknie i narobicie biedy!

– Strażnicy leśni pilnują, by ogień się nie rozprzestrzeniał. Pożary są na szczęście niewielkie i chyba niegroźne. Robotnicy kopnią rowy, by ograniczyć ich zasięg. Jeśli zajdzie potrzeba, puścimy parobków do puszczy, nich pomogą. Nie chciałbym, żeby i do nas dotarł żywioł. Wystarczą mi podtopienia sprzed roku. Ech… – stęknął. – Zewsząd pchają się same problemy. Człek nie może ani chwili spokojnie pożyć.

Kobiety spojrzały wymownie po sobie. Zarówno Dominika, jak i Elżbieta uważały, że źródło niepowodzeń bierze się z klątwy sprzed lat.

Na głos nie wolno im było poruszać tego tematu, Klemens nie pozwalał, złoszcząc się, że dają wiarę w bzdury.

***

Od czasu powodzi Leokadii znacznie trudniej było spotykać się z Gabrielem. Początkowo matka pilnowała jej niemalże na każdym kroku, więc zakochanym nie pozostawało nic innego, jak wymienianie się liścikami. Później sprytna pannica przekabaciła Wiktora, przypominając mu delikatnie, że to Gabriel uratował mu życie. Szczerze wyznała bratu swe uczucia oraz zamiary i, o dziwo, znalazła w nim sprzymierzeńca. Branicki nie uważał Zalipiaka za prostego kmiotka niewartego względów jego siostry. Przeciwnie, odczuwał wiele szacunku do mężczyzny wytrwale zdobywającego wykształcenie w kierunku, któremu sam nie był w stanie sprostać.

Krył więc Lulę przed bliskimi, ułatwiając jej schadzki. Nie miał nic przeciwko ich miłości. Nie uważał, by to uwłaczało ich rodzinie. Zdawał sobie sprawę, że w przyszłości Gabriel może wiele osiągnąć. Jak mógł, starał się pomagać, więc kilka razy niby mimochodem wspomniał rodzicom i o tym, komu zawdzięcza życie, i o tym, że Zalipiak jest wzorowym studentem odnoszącym sukcesy. Ojciec słuchał jego słów z typową dla siebie powagą i nie podawał ich w wątpliwość. Raz nawet sam wyraził uznanie dla tego młodzieńca. Ba! Podziękował mu za ocalenie pierworodnego, gdy spotkał go pewnego dnia w Niepołomicach. Matka natomiast pozostawała sceptyczna. Nie dowierzała, że Zalipiak ukończy studia. Twierdziła, że możliwości są trzy: albo jego rodzicom zabraknie pieniędzy na finansowanie edukacji dorosłego syna, albo delikwentowi zabraknie zapału do nauki, albo ostatecznie osiągnie kres swych możliwości intelektualnych i dalej nie ruszy z miejsca. Uważała bowiem, że chłopi są ciemni z natury i jedyna wiedza, jaką są w stanie posiąść, to proste rachunki oraz składanie liter. Gabriel w jej opinii był ewenementem.

W rzeczy samej, słuchając o jego sukcesach naukowych, utwierdzała się w przekonaniu, że przed laty ojciec zdradził matkę z Bernadetą Trzosową, czego owocem mogła być Weronika. To tłumaczyłoby, skąd u tego chłopaka pociąg do wiedzy.

Młodzi, jak dawniej, spotykali się w ogrodzie opuszczonego dworu. Nigdy nie próbowali dostać się do środka. Nie ze strachu przed duchami, gdyż żadne z nich nie dawało w nie wiary, lecz z prozaicznego braku klucza. Leokadię pociągała tajemniczość tego miejsca i rada byłaby w nim pomyszkować, by poszukać jakichś śladów obecności poprzedniego gospodarza.

Kiedyś babcia mimochodem napomknęła, że Maksymilian Żelechowski i jej matka mieli się ku sobie. A może raczej, że afekt był jednostronny. Czy to dlatego matka była taka zgorzkniała?

Po pamiętnej powodzi z ubiegłego roku Lodzia nie robiła przed ukochaną babcią sekretu ze swej znajomości z Gabrielem. Zresztą wiedziała, że Cecylia już dawno odgadła stan jej ducha. W gruncie rzeczy zwierzenia miały same zalety. Po pierwsze: dobrze było zrzucić ciężar z serca i opowiedzieć jej o tym, że ona i Gabriel snują poważne plany na przyszłość. Babcia także czasami ułatwiała im spotkania, zabierając z domu wnuczkę pod pretekstem wspólnego spaceru. Zwykle zachęcała młodych, by wędrowali dalej, a sama drzemała na pledzie rozłożonym w cieniu. Po drugie: Cecylia delikatnie acz stanowczo usiłowała wyperswadować Filomenie swatanie córki Hieronimowi, który niestrudzenie czynił podchody, napawając pannicę coraz większą niechęcią.

Pewnego dnia zaskoczyła jednak wnuczkę niepomiernie. Zorientowawszy się, że młodzi przeważnie na miejsce schadzek obierają dwór Żelechowskich, wcisnęła w dłoń dziewczyny stary, mocno zaśniedziały klucz.

– Myślę, że Maksymilian nie był na tyle przezorny, by zmienić zamek – stwierdziła.

Leokadia podniosła na nią zdziwione spojrzenie. Spacerowały właśnie po ogrodzie, doceniając fakt, że upał ostatnich dni nieco zelżał.

– Ale jak to?

– Leżał zapomniany w moim sekretarzyku przez długie lata. Przykryły go jakieś szpargały, nawet nie myślałam, że wciąż jestem w jego posiadaniu. Ostatnio jednak zaczęłam porządkować swoje papiery. Wiesz, dziecino… jestem już w takim wieku, że nigdy nic nie wiadomo. No i przez przypadek natrafiłam na ten klucz. Myślę, że może ci się przydać, choć przypuszczam, że po tylu latach dom jest w opłakanym stanie.

– To prawda – przyznała Lula. – Zaglądaliśmy kiedyś przez wybite okno. Wszędzie pełno jest kurzu i pajęczyn. Na pewno buszują tam myszy. Ale gdyby choć trochę uporządkować jeden z pokoi, mielibyśmy przyzwoite schronienie. Bo zawsze jest ryzyko, że ktoś zapuści się do ogrodu po na wpół zdziczałe owoce, kwiaty lub zioła.

– Ufam, że zachowasz zdrowy rozsądek. – Cecylia spojrzała wymownie na pannę. – A gdy już twój kawaler obroni dyplom i znajdzie dobrą posadę, jeśli zajdzie taka konieczność, będę toczyła z moją córką prawdziwą batalię o twoje prawo do szczęścia.

– Och… babciu! – westchnęła wzruszona Leokadia. – Tak bardzo cię kocham…

– Wiem, wiem, moja mała. Widać takie było przeznaczenie, by nasze rody ostatecznie się połączyły, choć Gabriel nie nosi nazwiska Trzos.

– O czym ty mówisz? – zdziwiła się wnuczka.

– Drobiazg. Nic takiego. – Starsza dama machnęła lekceważąco dłonią. A ponieważ właśnie przechodziły obok ławki, wyraziła chęć odpoczynku. – Po prostu od mniej więcej sześćdziesięciu lat nasze losy wciąż jakoś się ze sobą splatają. Trzosowie odgrywali ważną rolę w życiu Parnickich. A Braniccy… Braniccy poniekąd ich skrzywdzili, przyczyniając się do zubożenia tych zacnych ludzi. Gdyby Marcel i Filomena nie przekonali mnie do wycofania plenipotencji… Dzisiaj pewnie Klemens byłby panem o statusie majątkowym nieustępującym

naszemu. Może nawet wspierałby finansowo edukację swego kuzyna. Wszak to pierwszy student w ich familii. Dla takich ludzi doktor w rodzinie stanowi nobilitację i zaszczyt.

– Nie frasuj się, babciu, wydarzeniami z przeszłości. Pewnie już nikt o tym nie pamięta.

– Niestety, o takich rzeczach trudno jest zapomnieć, wiem o tym doskonale.

– Może dlatego właśnie jesteśmy jak Romeo i Julia? Romantyczni kochankowie, których misją jest pojednanie zwaśnionych rodów?

– Wypluj te słowa! Lulo! Romeo i Julia? To złe porównanie – zdenerwowała się Cecylia.

– Och… My nie skończymy tak jak oni. Jesteśmy zbyt rozsądni, by tak głupio umierać. Ja i Gabriel pokonamy wszystkie przeszkody, zobaczysz! Jeszcze trochę, a zatańczysz na naszym weselu.

– Ja i tańce? Dobry żart! Ta przyjemność już dawno jest poza moim zasięgiem. Stare kości zaczęłyby klekotać, aż rozsypałyby się w proch – zachichotała jak, nie przymierzając, podlotek. – Dość mam balów za sobą, tych udanych i nieudanych, gdy pełniłam jedynie funkcję wątpliwej urody dekoracji salonu. Kraków był dla mnie pod tym względem znacznie łaskawszy niż Niepołomice. Tutaj długo traktowano mnie jak parweniuszkę, kupcównę. W wielkim mieście nikt na to nie zważał, mój karnecik rzadko kiedy bywał pusty. Było, minęło… Ale cudny jest ten twój młodzieńczy optymizm. Nigdy, przenigdy nie zmieniaj się, Lodziu. Nie zgorzkniej jak twoja matka. Obiecaj mi to – zażądała staruszka z dziwną determinacją.

– Ależ oczywiście, kochana babciu! Na wszystko mogę ci przysiąc, że żadne przeciwności losu nie uczynią ze mnie hetery.

***

– Panie kierowniku! Panie kierowniku! – Przed Nikodemem stanął zasapany *schaffner*.

– Co się wydzierasz? – zapytał zirytowany Zalipiak. Zamierzał sobie uciąć krótką drzemkę, póki byli na terenie Galicji.

– Gore! – wysapał młody.

– Ciszej! Pasażerów chcesz zdenerwować? Co się pali? Pociąg? – wystraszył się jednak.

– Niech pan wyjrzy przez okno. Łuna po północnej stronie. Znowu płonie puszcza.

Zalipiak wstał i otworzył okno. Buchnęła na niego fala gorąca. Zdecydowanie nie mogła pochodzić z lokomotywy, gdyż znajdowali się na samym końcu składu. Wytężył wzrok i faktycznie dostrzegł na horyzoncie łunę. Akurat zapadały ciemności, więc niebo w tamtym miejscu barwiło się na pomarańczowo.

– To nie puszcza – ocenił, choć bez większej pewności, bowiem słyszał, że w ostatnich dniach knieja płonęła już wielokrotnie, lecz na szczęście strażnicy leśni szybko opanowywali sytuację. Znał też specyfikę pożarów wybuchających w okolicy, zwykle były one mało widoczne, gdyż sprawiały raczej wrażenie rozżarzonego ogniska węglowego, które niszczyło przede wszystkim korzenie drzew, z rzadka wystrzeliwując w górę snopami iskier. Ta łuna była jednak dość myląca. – Obstawiałbym raczej pożar jakiejś wioski, i to gdzieś daleko, być może poza granicami Galicji, na terenie Królestwa.

Gdy dojechali do Bochni, od razu zauważyli, że na dworcu panuje niezwykłe poruszenie. Zewsząd dobiegały krzyki, że puszcza się pali i do jej ugaszenia skierowano cały batalion strzelców z Bochni, gdyż sami ułani, których szwadron stacjonował w Niepołomicach, to zdecydowanie zbyt mało.

***

Wiktor odprowadził siostrę do dworu Żelechowskich, a gdy upewnił się, że w ogrodzie czeka na nią Gabriel, spiął konia i odjechał do Niepołomic. Miał ochotę na kwaterkę piwa, lecz nie chciał zaglądać do

pobliskiej karczmy Mojsiejowicza, by nie wzbudzać zbędnego poruszenia w wiosce.

Bez pośpiechu przeciął Puszczę Niepołomicką. W lesie panował zaduch, czuć było niesioną wiatrem woń spalenizny.

Ech… Jak nie powódź, to pożar – westchnął. Słyszał, że pod Bochnią palą się torfowiska. Ojciec, podobnie jak inni włościanie, oddelegował kilku parobków do pogłębiania rowów zabezpieczających przed rozprzestrzenianiem się ognia. Braniccy liczyli na to, że do nich pożoga nie dotrze. – *Dość klęsk!*

***

W tym samym czasie Leokadia pozwoliła, by Gabriel ucałował z czułością jej usta i nacieszył się jej widokiem. Nieczęsto mieli okazje do spotkań, lecz tęsknota tylko podsycała żar uczuć.

– Moja jedyna, jestem taki szczęśliwy, że cię widzę. Niechby już moje studia dobiegły końca, niechbym zdobył upragnioną posadę! Zaraz poproszę twoich rodziców o twą rękę. A jeśli odmówią, uprowadzę cię i potajemnie weźmiemy ślub – wyszeptał pół żartem, pół serio.

– Muszą się zgodzić. Babcia zapewniła, że będzie próbowała na nich wpłynąć. Jest po naszej stronie. Spójrz – sięgnęła do kieszeni i wyjęła z niej klucz – dała mi go wczoraj. Podobno można dzięki niemu dostać się do tego domu. – Wskazała dwór, przy którym się zatrzymali.

– Nie boisz się tam wchodzić? – wyraził zdziwienie, widząc, że pannica zmierza do wejścia.

– Och… Gabrielu! Tyle razy ci mówiłam, że niestraszne mi są duchy. Nie jesteś ciekawy, jak tam jest?

– A jakże! Swego czasu mój dziadek, Prokop, był administratorem u Żelechowskich. To było bardzo dawno temu. Coś tam opowiadał o tych ludziach, ale brzdącem małym byłem, więc niewiele z tego pamiętam.

Weszli po skruszonych schodkach pod zadaszenie. Lodzia włożyła klucz w zamek, lecz nijak nie mogła go przekręcić.

– Zaciął się pewnie ze starości – stwierdziła z żalem.

– Może ja spróbuję? – zaproponował Zalipiak.

Odsunęła się, by zrobić mu miejsce. Mężczyzna wytężył siły. Kilka razy poruszył kluczem w jedną i drugą stronę. Ostatecznie zamek puścił. Zapiszczały dawno nieoliwione zawiasy. W sieni panował mrok. Choć Gabriel otwierał drzwi powoli, w powietrze wzbił się kurz. Jego drobiny wirowały w promieniach słońca.

– Ostrożnie – przestrzegł Zalipiak, gdy wchodzili do wnętrza. Pod ich stopami zatrzeszczały złowieszczo deski. – Pozwól, że pójdę przodem. Jestem cięższy, więc jeśli mnie podłoga utrzyma, to i ciebie powinna.

– Oczywiście – odparła zaaferowana Lula. – Nigdy nie byłam w opuszczonym domu. Jestem bardzo ciekawa, czy będzie tam równie strasznie jak w domiszczach z naszej ulubionej książki.

Tego roku często czytywali razem nowele Edgara Allana Poe, których anglojęzyczne wydanie otrzymała od niesfornej kuzynki. Czasami ubolewała nad tym, że Matylda, choć młodsza, cieszy się znacznie większą swobodą. Jej rodzice byli zdecydowanie bardziej liberalni od Branickich, choć w przypadku Leokadii to raczej matka narzucała dyscyplinę i posuwała się wręcz do kontrolowania lektur córki, by ta nie chłonęła nieodpowiednich wzorców lub nie czytała treści powodujących histerię, nadmierną egzaltację czy inne niepożądane następstwa.

Wnętrze domu było ponure, zasnute pajęczynami, z widocznymi dowodami obecności gryzoni. Pomieszczenia sprawiały wrażenie ogołoconych. Widać było także ślady czyjejś potajemnej wizyty, gdyż szuflady zostały pootwierane i wybebeszone. Być może rabuś dostał się przez wybite okno w bawialni. Zapewne to on postawił stopę tak niefortunnie, że załamała się pod nim zbutwiała deska podłogowa.

– Trochę tu upiornie – wyszeptał Gabriel, jakby obawiał się, że podnosząc głos, pobudzi uśpione duchy.

– Rzeczywiście – przyznała równie cicho Leokadia. – Ten dom sprawia wrażenie bezosobowego. Żadnych portretów, zdjęć, rodzinnych pamiątek… Jakby faktycznie od zawsze zamieszkiwały go wyłącznie mary. Babcia pewnie nie wiedziała, że jest w tak opłakanym stanie. A może dała mi klucz z myślą o tym, że zajrzę tutaj, a potem jej opowiem, co widziałam?

– Być może. Ale jak weszła w posiadanie klucza? – zdziwił się mężczyzna.

– Ostatni właściciel dworku, Maksymilian, był jej przybranym synem. Choć nosił nazwisko Żelechowski, wychowywała go jak własne dziecko. Chyba nigdy nie pogodziła się z jego tajemniczym zniknięciem.

– To wiele tłumaczy. Być może sama nie chciała tutaj przyjeżdżać, bojąc się bolesnych wspomnień.

– Zapewne. Biedna babcia…

Jeszcze przez dłuższy czas kręcili się po opuszczonych wnętrzach, zaglądając w każdy zakamarek. Obejrzeli kuchnię, której drzwi prowadzące na zewnątrz zamknięte były jedynie na lichy skobelek.

– Aż dziw bierze, że rabuś nie wszedł tędy – stwierdził Gabriel. – Wystarczyłby trochę silniejszy kopniak, by wyłamać zabezpieczenie.

– Może ten ktoś nie próbował dostać się tą drogą, wychodząc z założenia, że tutaj też jest solidny zamek.

Wrócili na korytarz, stamtąd dostali się do niewielkiej sypialni na tyłach domu. Zapewne była to służbówka ekonoma. Ten pokój wyglądał zdecydowanie najlepiej. Musiał być najdłużej i najstaranniej ogrzewany. Może też przysłużyła mu się południowa ekspozycja. Oczywiście myszy zrobiły swoje: pled porzucony na łóżku nosił wyraźne ślady zębów gryzoni.

– Ojej! Jak późno! – wykrzyknęła nagle dziewczyna. – Straciłam poczucie czasu. W domu na pewno się o mnie niepokoją. Nigdy nie wracałam tak późno! Aż dziw bierze, że Wiktor mnie nie szuka. Och… Chyba nic złego mu się nie przytrafiło! – Załamała ręce.

– Nie martw się. Być może czeka przy bramie. Chodźmy stąd. Poczekaj… – Przystanął w pół kroku. – Czujesz dym?

Lula pociągnęła nosem i zmarszczyła brwi.

– Tak, czuję. Ale to niemożliwe, by doleciał tutaj swąd spalenizny znad Bochni – oceniła, mając w pamięci pożar lasu, o którym wspomniał ojciec, gdy wyjeżdżali z Wiktorem z domu.

Wyszli z niewielkiego pokoju znajdującego się na tyłach. Na korytarzu kłębił się gryzący dym, a gdy postąpili jeszcze parę kroków, tuż obok wystrzeliły płomienie.

– Pali się! – Krzyk Gabriela zagłuszony został przez przeraźliwy pisk Leokadii.

***

– Słyszeliście, chłopy? Puszcza znowu gore – oznajmił Wincenty Skoczylas w karczmie, gdy w gorący lipcowy wieczór szukali ochłody, popijając piwo z beczki, którą Mojsiejowicz przechowywał w loszku.

– A co byśmy mieli nie słyszeć? – bąknął Staszek Dyl. – Byłem ja wczoraj z Klemensem w lesie. Kopaliśmy rowy, by ogień nie przeniósł się na jego część kniei. Ziemia twarda, wysuszona, urobiliśmy się okrutnie. Jak nigdy w życiu, nabawiłem się pęcherzy od łopaty.

W dowód prawdziwości swych słów wyciągnął spracowane dłonie i pokazał je ziomkom. Faktycznie miał kilka odcisków, niektóre nawet były rozkrwawione.

– Fiu, fiu! Toś się natyrał, Stasiu. – Karpiel zagwizdał i poklepał go po plecach.

– A gdzie się pali? – zapytał Marcińczyk.

– Od strony Bochni, głównie koło Gawłówka – oznajmił Skoczylas.

– Nikodem Zalipiak widział z okien pociągu, że torf tli się w wielu miejscach, jednak największe łuny są w tamtym rejonie. A pasażerowie jadący od Krakowa gadali ponoć, że strażnik z wieży Mariackiej widział potężne dymy za Wieliczką.

– Jak za Wieliczką, to niedobrze, bo bliżej nas – zmartwił się Edward. – Z ogniem nie ma żartów.

– Ano nie. A my przecież siedzimy niemalże pod lasem – bąknął Czop. – Jak pożoga dotrze tutaj, to może pochłonąć wieś.

– Nie ma strachu. – Wincenty machnął ręką. – Po naszej stronie lasu jest wiele trzęsawisk. Bagnisko nie przepuści pożaru.

– Może nie przepuści, może przepuści – odezwał się Marcińczyk. – Gdyby poszedł z dymem dwór, nikt by się nie przejął. A i pewnie klątwa spadłaby z nas w końcu, gdyby czarcie siedlisko raz na zawsze zostało pochłonięte najpierw przez ogień, a potem przez knieję.

– Bajesz, Cześku – zgasił go Dyl. – Co ci przeszkadza ta rudera? Nie podoba ci się, nie patrz w tamtym kierunku. Lepiej napij się piwa, dobrze ci to zrobi na orzeźwienie.

Byliby może i wypili jeszcze po kuflu, lecz nagle do gospody wpadł młody ułan.

– Chłopy, zbierajcie się, kto żyw! – krzyknął gromkim głosem. – Trzeba ochotników do gaszenia pożaru. Z Krakowa jadą na pomoc piechurzy, z Bochni strzelcy, ale każde ręce potrzebne są do kopania rowów.

– Kiedy idzie na wieczór – stęknął któryś parobek.

– Nie ma gadania, że wieczór. Jeśli nie pójdziecie pomóc, to pójdziecie z dymem! – powiedział dobitnie.

Mężczyźni zgromadzeni w karczmie spojrzeli po sobie. Każdy miał za sobą dzień znojnej pracy, bo tego roku, z powodu suszy, żniwa zaczęły się wyjątkowo wcześnie. Mimo to jeden po drugim zaczęli wstawać z ław lub pozostawiać swe partnerki od tańców. Ten i ów dopił resztkę piwa czy wychylił kieliszek okowity.

– Jak trza, to trza. Nie możemy dopuścić, by wieś zgorzała.

Najbardziej ociągał się Marcińczyk, ale w końcu on także ruszył z innymi.

Na zewnątrz zapadał zmierzch, więc z daleka widać było łunę nad puszczą.

***

Wiktor zdecydowanie zbyt długo zabawił w karczmie. Wszystko przez dwóch podróżników, którzy dosiedli się do niego u Szwarcbauma. Opowiadali barwnie o podróży w dalekie kraje, a on słuchał ze znacznym zaciekawieniem o lwach, żyrafach i słoniach. Nawet nie zauważył, gdy wypili flaszeczkę okowity, po niej kolejną i jeszcze jedną, choć sam za nie płacił, raz po raz sięgając do solidnie wypchanego pugilaresu. Był już mocno podchmielony, gdy zorientował się, że na zewnątrz zapada zmierzch, a on powinien był dawno temu zabrać Lulę do domu. Zaczął więc zbierać się do wyjścia, lecz kompani nie chcieli go puścić, wciąż zagadując, łapiąc go za rękawy i próbując usadzić na ławie. Ostatecznie kupił im jeszcze jedną butelkę gorzałki, a potem uprzejmie się pożegnał.

Chwiejnym krokiem opuścił gospodę. Rozejrzał się, lecz jego wierzchowca nie było. Zaczął więc rozpytywać ludzi, nieco bełkotliwie, czy nie widzieli Wizarda, lecz nikt niczego nie zauważył. Zupełnie jakby koń zapadł się pod ziemię. To nieco otrzeźwiło Branickiego. Przez chwilę rozważał, czy zgłosić kradzież policjantom, czy lepiej jak najprędzej wracać po Leokadię. Piesza wędrówka zabrałaby mu zapewne co najmniej godzinę.

Nie myślał na tyle trzeźwo, by pożyczyć wierzchowca od kogoś ze znajomych. Po prostu ruszył przed siebie. Zdawało mu się, że idzie sam, lecz w rzeczywistości miał towarzystwo. Wyśliznęli się za nim z karczmy dwaj podróżnicy i podążali w bezpiecznej odległości, licząc na to, że szlachcic pójdzie jakimś wyludnionym zaułkiem.

Dopadli go na skraju puszczy.

– A co to ma znaczyć? – zdenerwował się, gdy poczuł silne pchnięcie, po którym padł na gościniec. Usiłował wstać, lecz zdołał tylko uklęknąć,

gdy kolejny cios całkowicie go zamroczył.

Sprawne ręce rabusiów szybko znalazły portfel pełen banknotów, odpięły dewizkę zegarka i pozbawiły Wiktora rodowego sygnetu.

***

Puszcza płonęła dość niepozornie. Tylko gdzieniegdzie widać było łuny, więc zdawać się mogło, że ogień jest hen daleko, i nie stanowi zagrożenia. O jego obecności w pobliżu świadczył bijący gdzieniegdzie żar, jakby zamiast ziemi i leśnej ściółki deptało się po rozżarzonej płycie pieca. I tylko od czasu do czasu pożar wydostawał się spomiędzy warstw torfu, wystrzeliwując w górę snopy iskier, obejmując setkami ognistych jęzorów jakieś nadwątlone drzewo, którego wypalone korzenie nie były w stanie utrzymać się w spopielałym gruncie. Padały więc dumne dęby, buki, sosny oraz jesiony na sąsiadów, wzbijając w powietrze gęsty dym.

Mieszkańcy wsi pracowali w miejscu, które zdawało się dość bezpieczne. Było i tutaj gorąco, odczuwali drażniący swąd spalenizny, lecz ufali, że uchronią swe sioło przed pożogą. Kopali rowy, które miały odciąć drogę żarowi rozprzestrzeniającemu się w torfowiskach pod ziemią. Każdy przekop musiał być głęboki co najmniej na półtora łokcia i możliwie szeroki, bo tylko tak można było powstrzymać piekło szalejącego żywiołu. Zmęczenie mocno dawało im się we znaki. Baby krążyły pomiędzy tą częścią lasu a rzeką, donosząc w skopkach, wiadrach i dzbanach wodę, którą profilaktycznie polewano runo. Niejeden z chłopów gasił nią pragnienie, bo nie dość, że dzień sam w sobie był skwarny, to jeszcze zewsząd bił dodatkowy gorąc. Większość z nich pozrzucała koszule, wszędzie połyskiwały spocone torsy i barki.

Pracowali energicznie, bez opieszałości, urywania choćby chwili, by sobie dychnąć[39]. Strach zaglądał im w oczy, bo od lasu mogły zająć się zboża oraz sioło i nawet sąsiedztwo bagien nie dawało już poczucia bezpieczeństwa.

– Aa! – wrzasnął boleśnie Karpiel, gdy niespodziewany podmuch ognia osmalił mu tors, twarz i włosy. Jego głos poniósł się gromkim echem.

– Edziu! Co ci? – wykrzyknął pracujący najbliżej niego Czop. Rzucił sztychówkę i podszedł do wyjącego mężczyzny. Twarz Edwarda spływała mieszaniną krwi i sadzy.

– Wody! Dejcież, ludziska, wody! Edziu się poparzył! – alarmował Lucjan. – Będzie dobrze, Edek. Nie maż się, boś nie baba – próbował uspokoić ziomka, lecz ten wrzeszczał, jakby go kto żywcem obdzierał ze skóry.

Odprowadzili Karpiela na bok, bliżej rzeki i usadzili go na brzegu. Zaraz pojawiła się Bronka, jego ślubna i spróbowała przemyć mu twarz, lecz to wywołało jeszcze głośniejszy lament.

– Trzeba go zabrać do domu. Nam już nie pomoże – stwierdził Tosiek Bielak, choć ubytek silnych męskich rąk był dla nich sporą stratą. – Idźcie, Karpielowa, z chłopem do chałupy. A i weźcie Widłakównę, bo wygląda to na porządne poparzenie. A jak spotkacie po drodze jakichś ludzi, to zaganiajcie ich do lasu, bo robi się coraz groźniej.

Wystraszeni nieprzyjemnym wypadkiem Edka, pracowali teraz z większą ostrożnością, sprawdzając sztychówką grunt, wypatrując żarzącego się torfu i mocniej osmalonych korzeni, świadczących o obecności podziemnych ognisk.

***

Po wyjściu z gospody Marcińczyk odczekał jeszcze chwilę, aż ziomkowie na dobre znikną mu z oczu. Nie poszedł wraz z nimi do lasu, lecz skierował się wpierw do swego obejścia. Domownikom, którzy byli zdatni do pracy, polecił, by szli ratować puszczę. Przegonił więc baby, nakazując im zabranie wiader na wodę, oraz parobków z łopatami. Sam zapowiedział, że niebawem do nich dołączy. Pokręcił się trochę po podwórzu, zaglądając w kąty, jakby czegoś szukał. Potem wziął dwie

flaszki z gęstą, nieco mętną cieczą i chyłkiem ruszył w przeciwnym kierunku.

W pobliżu opuszczonego dworu już od dawna nie kręcił się nikt. Nawet okoliczni smarkacze omijali przeklęte miejsce z daleka, nauczeni tego ojcowskimi paskami i rzemieniem. I dobrze. Nie potrzebował świadków. Nie oczekiwał na poklask ziomków, był natomiast głęboko przekonany, że jego czyn pozytywnie wpłynie na życie mieszkańców wioski.

Postanowił jednak, że na wszelki wypadek nie wejdzie na teren posesji bramą wjazdową, lecz przemknie boczną furtką, o której wiedzieli tylko nieliczni. Z dala dobiegało rżenie konia. Być może ktoś nadjeżdżał gościńcem, choć nie słychać było tętentu. Marcińczyk pomyślał, że musi się pospieszyć. Podkradał się ostrożnie niczym złodziejaszek. Korciło go, by zajrzeć do środka, lecz rozsądek brał górę nad ciekawością. Kowal rozglądał się więc uważnie, czy nikt go nie widzi. W pewnej chwili zdało mu się, że słyszy dobiegające z wnętrza głosy, a za oknem mignął jakiś cień.

Ani chybi duchy – pomyślał. Ręce miał zajęte, więc nie mógł się przeżegnać. Zmówił jednak asekuracyjnie „Pod Twoją obronę".

Przemykając wzdłuż ścian, rozlewał zawartość flaszek, a z każdym jego krokiem drażniący zapach nafty przybierał na sile. Resztą cieczy oblał drzwi. Potem trzasnął zapałką i zapaloną pstryknął w stronę dworu, jednocześnie uskoczył energicznie w tył. Nie czekał, aż ogień rozgorzeje na dobre, lecz rzucił się do ucieczki w zarośnięty park, ku ukrytej furtce.

***

Wybiła godzina, gdy Braniccy zwykli zasiadać do kolacji, a Leokadii i Wiktora wciąż nie było w domu.

– Gdzie oni są tak długo? – denerwowała się Filomena, wędrując od okna do okna i wyglądając na aleję wjazdową. – Och! Już ja im powiem

do słuchu, jak przyjadą!

– Nie denerwuj się. – Cecylia bezskutecznie próbowała uspokoić córkę. – Na pewno niebawem wrócą.

– A jeżeli coś się stało? Przecież to niemożliwe, by nie było ich do tej pory! Może któryś koń poniósł? Może spotkało ich coś złego? – jęczała Branicka, załamując ręce.

– Wezmę konia i przejadę po okolicy – stwierdził Marcel, wstając.

Odłożył na bok płachtę gazety i wydał służbie rozkazy. Sam poszedł zmienić buty, wziąć kapelusz, rękawiczki oraz szpicrutę. Nie zawracał sobie głowy zmianą odzieży, gdyż również odczuwał znaczny niepokój. Nie dysponował wieloma parobkami, ponieważ większość wolnych ludzi oddelegował do puszczy. Pozostali odpoczywali po żniwiarskich znojach. Kazał jednak wezwać tych ludzi, by w razie czego byli w pogotowiu, a najlepiej, by także rozjechali się po okolicy.

Gdy wypadł poza bramę swej posiadłości i zerknął na wschód, dostrzegł wzbijające się w niebo gęste kłęby dymu. Były na tyle odległe, że nie stwarzały realnego zagrożenia dla jego włości. Mimo to zawrócił i wszczął alarm.

– Pali się! Pali! Zwoływać parobków. Kto żyw, niech bierze wiadra i łopaty. Chyba płonie już las przy wsi Żelechowskich! – krzyczał. Wiedział, że jeśli nie postawi ludzi na nogi, to pożoga dotrze i w pobliże jego zabudowań.

Wydał służbie kolejne dyspozycje, a następnie, z braku lepszego pomysłu, ruszył gościńcem w stronę Niepołomic. Denerwował się zarówno o dzieci, jak i z powodu pożogi. Żywił jednak nadzieję, że jedno z drugim nie ma żadnego związku. Lodzia i Wiktor byli rozważni, nie zapuściliby się w knieję, wiedząc o pożarach. Gdy dotarł na skraj puszczy, zawahał się przez moment. Czy jazda traktem wiodącym przez las nie była zbyt ryzykowna? Dokąd mogli udać się młodzi? Choć wydawało mu się to nieracjonalne, intuicja pchała go w stronę miasteczka.

***

Tymczasem Filomena nie ustawała w snuciu różnych czarnych wizji, to znowu narzekała, że syn naraził na szwank dobre imię swej siostry, bo kto to widział, by panna z porządnego domu wałęsała się konno po zmierzchu.

– Wiktor jest odpowiedzialnym mężczyzną, nie dopuści, by przydarzyło jej się coś złego – mitygowała ją Cecylia, usiłując nie okazywać strachu. Sama także była bowiem mocno zdenerwowana i wyrzucała sobie, że dała Luli klucz od dworu Żelechowskich. Wszak to domiszcze stało puste od wielu, wielu lat. Nie wiadomo, w jakim było stanie, choć pamiętała, jak Maksymilian wspominał, że dom wymaga znacznych nakładów finansowych.

O mój Boże... A co, jeśli runął? – zastanawiała się w duchu, czy jest to możliwe. Rozsądek nakazywał jej odrzucenie takiej koncepcji, dworek nie mógł być aż tak podupadły. *Powinnam była powiedzieć Marcelowi, aby tam pojechał szukać Leokadii.*

Tak bardzo się tym przejęła, że przestała zważać na córkę. Sama zerwała się i podeszła do okna. Widziała łunę pożaru odbijającą się od pociemniałego nieba. Pod wpływem impulsu wyszła z bawialni i, tak szybko, na ile pozwalały jej mocno już zastałe kości, weszła na piętro. Okna kilku sypialni, w tym jej własnej, wychodziły na wschód. Wychyliła się, analizując uważnie to, co widzi. A potem czym prędzej opuściła pokój. Złapała sługę, który nawinął jej się w holu pod rękę.

– Natychmiast bierz konia i sprawdź, czy pali się dwór Żelechowskich. Jeśli tak, wszczynaj alarm i szukaj pana Branickiego! – wysapała. – Trzeba gasić! Ra-to-wać...

– Niedorzeczne! – prychnęła Filomena, którą ruch wyciągnął z bawialni. – Są ważniejsze sprawy niż ratowanie opuszczonego domu.

– Ty nic nie rozumiesz... – wyszeptała Cecylia pobielałymi ze zdenerwowania wargami. – Oni tam mogą być... Trze...ba ich ratować... – Jakiś straszliwy ciężar zaległ na jej klatce piersiowej. Nie mogła

wydobyć z siebie ani jednego słowa więcej. Łapała powietrze niczym ryba wyrzucona z wody.

Branicka obrzuciła ją spojrzeniem pełnym politowania.

– Kogo ratować: Żelechowskiego? Coś ci się pomyliło, mamo. Maksymilian dawno temu przepadł bez wieści.

– Nie! – jęknęła ostatkiem sił leciwa matrona. – Tam może być Lula z Ga...

Nie skończyła. Osunęła się na posadzkę.

– Lula? – zdziwiła się Branicka. – A skądże tam Lula? Janko! Janko! Prędko sole trzeźwiące. *Madame* Parnicka zasłabła! – krzyknęła, pochylając się, na służącą.

Jak ty nic nie rozumiesz – przemknęło przez myśl Cecylii.

A potem zapadła się w bezgraniczną, duszącą ciemność, z której nie było już odwrotu.

– Matko? Mamo! – powtarzała zdenerwowana Filomena. – Mamo! Nie rób mi tego teraz... Nie możesz umrzeć. Nie pozwalam ci, mamo!

***

Wiktor nie miał pojęcia, ile czasu przeleżał na zakurzonym gościńcu wiodącym przez puszczę. Mogła to być krótka chwila, gdyż jeszcze nie zapadł całkowity mrok. Do przytomności przywróciło go szarpnięcie za ramię.

– Wiktorze! Wiktorze! Na litość boską! Co się tutaj stało? Gdzie Lula? – Jak przez kłęby waty docierał do niego głos ojca.

Stęknął, łapiąc się za potylicę. Pod palcami wymacał ciepłą, lepką wilgoć. Spojrzał na dłoń. Krew.

– Co się stało? – zapytał mocno rozkojarzony.

– To ja pytam, co się stało! Gdzie masz konia? Gdzie Leokadia? – krzyczał mu rodzic nad uchem. – I, na litość boską, co cię opętało, by jechać przez puszczę, gdy parę mil stąd szaleją pożary? Nawet jeśli teraz

ten trakt jest w miarę bezpieczny, to sytuacja może się błyskawicznie zmienić. Ogień przenosi się szybko.

Wiktor przez moment usiłował zebrać myśli. Przypomniał sobie nieodpowiedzialną pijatykę w obecności dwóch nieznajomych mężczyzn. Później wyszedł przed gospodę, nie było tam Wizarda. Luli też nie było. Zaraz, zaraz… jechał dokądś po nią. Nie! Nie jechał, lecz szedł. I wtedy ktoś zaskoczył go od tyłu.

Młody mężczyzna obmacał kieszenie marynarki.

– Ktoś na mnie napadł – jęknął. – Nie mam portfela i zegarka. I sygnetu!

– A gdzie Leokadia, Wiktorze? – Marcel, choć przerażony atakiem na syna, usiłował zachować opanowanie.

– Lodzia jest w dworze Żelechowskiego – uprzytomnił sobie młody ze zgrozą, bo właśnie pogrążył siostrę przed tatą. Niefrasobliwy głupiec!

– Na litość boską! A cóż ona tam robi? Sama? Jakże to możliwe? Opowiadaj mi po kolei, co wyście narobili – zażądał stanowczo. By nie tracić czasu, dosiadł konia i wyciągnął rękę po syna. – Wskakuj. Sprawę napaści zgłosimy jutro u landwójta. Jedziemy po Lulę, nie ma ani chwili do stracenia, bo ogień może odciąć nam drogę powrotną. Jesteś pewny, że Leokadia jest właśnie tam? – dociekał. – Nie pomyliło ci się? Bo wiesz… Dostałeś w głowę.

– Bez cienia wątpliwości. I to nie mogło być mocne uderzenie, choć faktycznie na moment pozbawiło mnie czucia.

– No to teraz mi powiedz, jak to się stało, że zostawiłeś siostrę bez opieki. I co robiłeś w Niepołomicach. Byłeś w karczmie, nie przecz. Czuć od ciebie gorzałkę.

Wiktor opowiedział ojcu o wszystkim, choć wiedział, że ściągnie tym samym jego gniew na siebie i siostrę. Ojciec z miejsca zaczął go łajać niczym jakiegoś smarkacza.

– Tato… Lula kocha tego człowieka. To nie jest żaden mydłek, żaden cwaniaczek czy łowca posagów. Zalipiak studiuje, ma widoki na

świetlaną przyszłość Jestem przekonany, że zapewni mojej siostrze godne warunki życia. Ma dość determinacji, by naprawdę wiele osiągnąć.

– Nie jestem przekonany. Wy, młodzi, podchodzicie zbyt lekko do wielu istotnych spraw. Nie pojmujecie, że pewne decyzje podejmuje się raz na zawsze, a potem ponosi ich konsekwencje. I że w małżeństwie sama miłość to zbyt mało – dokończył z goryczą.

Miał na końcu języka stwierdzenie, że w jego związku miłość, przynajmniej ze strony Filomeny, zakończyła się w mgnieniu oka. Pozostały wspólne sprawy, dzieci, majątek. Natomiast w pożycie małżeńskie wkradł się taki chłód, że choć Marcel wciąż darzył ślubną ciepłymi uczuciami, wolał zrezygnować z sypialnianych uciech i szukać zaspokojenia poza domem niż brać w ramiona zobojętniałą kobietę, która nie potrafi mu okazywać czułości. Gdy jeszcze z nią sypiał, odnosił niekiedy wrażenie, jakby pomiędzy nimi stał jakiś cień. Jakby żona ukradkiem wzdychała do innego mężczyzny, kogoś innego darzyła tym, co powinno niepodzielnie należeć do niego. Tak więc uczucia, nawet najgorętsze, mogły z czasem wygasnąć. Z tego właśnie powodu chciał dla córki odpowiedniego kawalera, niekoniecznie Michalskiego, tego bowiem, mimo zachwytów Filomeny, uważał za bęcwała. Nieważne, że absztyfikant był atrakcyjny z materialnego punktu widzenia.

Ale czy doktor wywodzący się z plebsu stanowiłby lepszą partię? Zwłaszcza dla panny uduchowionej, bywałej w świecie, wychowywanej w dobrobycie oraz w zamiłowaniu do sztuki i piękna? Czy poza potrzebami egzystencjalnymi będzie w stanie zaspokoić jej potrzeby duchowe?

Teraz jest to pewnie oczarowanie miłą dla oka powierzchownością. Może podziw dla człowieka, który z determinacją walczy o poprawę swego losu. Ale co będzie później? Zwłaszcza gdyby się okazało, że Zalipiak dostanie posadę medyka w jakiejś pipidówce pod Kołomyją? – rozmyślał Marcel.

Wyjechali z puszczy. Choć nerwy nakazywały Branickiemu pośpiech, nie chciał zbytnio poganiać konia obciążonego balastem dwóch osób.

Kiedy jednak dotarł na otwartą przestrzeń, stwierdził, że coś mu się nie zgadza. Widział łunę pożaru na niebie, lecz nie nad lasem, jak pierwej założył, ale nad opuszczonym dworem.

– Matko Boska! – wykrzyknął przerażony. – Pali się dom Żelechowskich!

– O Boże! Leokadia!

***

Pożar rozprzestrzeniał się szybko i otaczał cały budynek. O wydostaniu się oknem nie było mowy, droga do drzwi także była odcięta. Żar buchał zewsząd, jakby ktoś celowo podłożył ogień. Przerażona Leokadia piszczała. Gabriel zachował trzeźwość umysłu. Wiedział, że muszą działać szybko, w przeciwnym razie upieką się żywcem.

– Zostań tu – polecił ukochanej.

Sam wrócił do pokoju na tyłach i porwał leżący na krawędzi łóżka cuchnący myszami, mocno zakurzony pled. Wrócił do ukochanej i owinął ją starym kocem. W tej sytuacji zakurzona, czy wręcz zniszczona suknia była najmniejszym problemem. Musiał wyprowadzić Leokadię kuchennymi drzwiami, to była jedyna możliwa droga ucieczki.

– Wstrzymaj oddech – krzyknął, a następnie podniósł ją i przerzucił sobie przez ramię. Rzucił się pędem poprzez płonący fragment korytarza tuż przy drzwiach do salonu. Dalej ogień jeszcze nie dotarł. Przy odrobinie szczęścia mężczyzna powinien dobiec do kuchni.

Uderzył go żar, zasyczały iskry, zatrzeszczała niebezpiecznie podłoga, lecz jakimś cudem zdołał pokonać pięć kroków gorejącą przestrzenią. Płomienie liznęły go po dłoniach. Zalipiak kopniakiem otwarł drzwi wiodące do kuchni. Ogień dotarł również i do tego pomieszczenia. Coraz trudniej było oddychać, lecz mimo wszystko Gabriel biegł, trzymając na ramieniu Lodzię okutaną w derkę. Nie myślał o ciężarze, zmęczeniu, poparzeniach, których z całą pewnością nie uniknął, najważniejsze było ratowanie panny.

Wyjście z budynku było coraz bliżej. Jeszcze tylko jeden mały wysiłek, jeden kopniak…

Złowieszczo zatrzeszczały belki podtrzymujące strop.

– Aa! – Gabriel zawył z bólu, gdy wyjątkowo nieostrożnie stąpnął, skręcając nogę w kostce.

***

– To koń Leokadii! – wykrzyknął Wiktor, widząc nadbiegające z przeciwnego kierunku spłoszone zwierzę. – Spróbuję go pochwycić.

– Nie teraz! Koń trafi sam do domu – fuknął zdenerwowany Marcel.

Już mknęli wzdłuż kruszącego się muru okalającego posiadłość. Wjechali w bramę i ich oczom ukazał się przerażający widok. Opuszczony dwór płonął niczym pochodnia. Branicki spiął ogiera i śmignął wiodącą do niego aleją.

– Lodziu! Lodziu! – wykrzyknął, zeskakując na żwir.

– Lulo! – zawołał przerażony Wiktor.

Nie było szansy podejść bliżej, gdyż buchał stamtąd potworny żar. Nagle część dachu zapadła się i runęła, wzniecając snopy iskier, kłęby dymu oraz potężne jęzory ognia. Młody padł na kolana i zapłakał, kryjąc w dłoniach twarz. Był przekonany, że siostra usmażyła się w środku.

– Moja wina! Moja wina! Moja bardzo wielka wina! – łkał, tłukąc się w pierś.

***

W tym samym czasie Marcel usiłował przedrzeć się przez gęstwinę zarośli, by sprawdzić, czy na tyłach domu sytuacja nie wygląda choć odrobinę lepiej.

– Leokadio! – krzyczał co tchu w płucach, zdzierając gardło i usiłując przebić się przez huk pożogi.

Wyklinał samego siebie w myślach, że posłał ludzi wprost do lasu, zamiast polecić im, by rozeznali się w sytuacji, choć było dość oczywiste, że nikt z jego parobków nie ruszy do gaszenia od dawna opustoszałego dworu, który wśród kmieci uchodził za nawiedzony.

– Tutaj! – usłyszał nagle krzyk córki. – Tatku, tutaj!

Rozejrzał się i dostrzegł machającą do niego dziewczynę. W wieczornym mroku płomienie odbijały się od jej ubrudzonej sadzą twarzy. Leokadia siedziała na derce, trzymając na kolanach głowę wpółleżącego obok mężczyzny. Na jego widok nieznajomy próbował się unieść. Marcel dopadł ich w kilku susach.

– Tatku, jak dobrze, że jesteś. Trzeba pomóc Gabrielowi. Poparzył się i na dodatek zwichnął sobie nogę, ratując mnie z płomieni.

– O dobry Boże! Córeczko! Nic ci nie jest?

– Nie... Chyba nie – odparła. – Gabriel mnie uratował.

Młody mężczyzna wyprostował się z wysiłkiem. W przeciwieństwie do Leokadii, która była tylko rozczochrana i brudna jak nieboskie stworzenie, miał mocno zniszczoną odzież, osmalone włosy i kilka urazów broczących krwią. Marcel nie potrafił ocenić, czy są to poparzenia czy otarcia. Zalipiak z całą pewnością potrzebował pomocy.

– Dziękuję za wyprowadzenie Leokadii z pożaru – rzucił szorstko Branicki. – Możesz mi powiedzieć, córko, co tam robiłaś?

– Wszystko ci wyjaśnię później. Ale błagam, pomóż najpierw Gabrielowi.

– Może pan wstać?

– Z małą pomocą powinienem. Nie wiem tylko, czy zdołam postawić choćby parę kroków. Nie pojmuję, jakim cudem zdołałem aż tutaj dotrzeć. Gdy upewniłem się, że Lodzi nic nie zagraża, po prostu padłem.

– Nerwy – skwitował Marcel, wyciągając do niego rękę.

Zalipiak wsparł się na ramieniu mężczyzny, z drugiej strony podtrzymywała go Leokadia. Stłumił syknięcie, gdy uraził oparzony

bok. Mężnie zniósł cierpienie, kuśtykając pomiędzy zaroślami.

– Leokadio! – wykrzyknął na ich widok zszokowany brat. – Żyjesz! O dobry Boże! Byłem pewien, że zginęłaś w ogniu.

– Wiktorze, trzeba będzie odwieźć pana Zalipiaka do domu. Weź mojego konia i przyślij po nas bryczkę. A gdy już wyprawisz po nas parobka, udaj się do Niepołomic i przygotuj państwa Zalipiaków na powrót syna. Niech sprowadzą felczera lub aptekarza. Na pewno potrzebne będzie coś do opatrzenia ran.

***

– Nigdy nie pozwolę na to, by moja jedyna córka poślubiła prostaka! Syna chłopów i robotników! Może na dodatek socjalistę! – wykrzykiwała wzburzona Filomena, drepcząc po buduarze. Ne chciała odbywać rozmowy z mężem w bawialni wśród rezydentów oraz służby, choć jej głos niósł się po całym domu.

Tylko niespodziewana śmierć Cecylii odsunęła awanturę w czasie. Dopiero gdy staruszka została złożona w mogile i należycie opłakana, powrócił temat samowolnej eskapady Lodzi, zaufania, które zawiódł Wiktor, i skandalu wiszącego w powietrzu. Najpierw rodzice zmyli głowy dzieciom, nie żałując im gorzkich słów oraz wyrzutów, że choć są dorośli, postąpili nader nieodpowiedzialnie. Potem zamknęli się we dwoje, by omówić problem w spokoju.

– Ja też nie jestem przekonany, czy to słuszna decyzja – podjął Marcel – ale zważ na to, że wieści szybko rozeszły się po okolicy. Widziałaś, jak sztywny i oficjalny był Michalski, gdy składał nam kondolencje?

– To prawda. Na Lulę nawet nie spojrzał. Jeśli do tej pory nie czyniono jej afrontów, to zapewne z uwagi na pamięć o Cecylii. Znajomi uszanowali moją żałobę, lecz jestem pewna, że Niepołomice aż huczą od plotek o Leokadii, która wróciła do domu brudna jak spódniczka pani Badeni[40]. Osoby z towarzystwa gotowe są uznać, że nasza córka jest równie szalona jak tamta wariatka. Świętej pamięci babcia wspominała

kiedyś, że ponoć podczas balu u swych znajomych pani Marianna pozostawiła w sypialni gospodarzy brudne kalesony, po które następnego dnia przysłała swego sługę. A gdy w Sukiennicach wydawano bal na cześć księcia Józefa Poniatowskiego, pojawiła się tam w dwóch różnych butach! – Załamywała ręce, wspominając opowieści, którymi swego czasu raczyli ją dziadkowie Zalescy.

– Ależ Filomeno! Co ty wygadujesz? W ogóle nie widzę tutaj związku!

– A ja widzę związek, i to niemały! Wszak nie każdy z naszych znajomych musi wiedzieć, że przed laty, po śmierci pana Badeniego, twój wujek wykupił dobra w Branicach[41]. Niektórzy mogą uważać, że jesteśmy spokrewnieni z Badenimi, skoro należy do nas tamten majątek!

– O nie! Jak możesz porównywać Lulę z żoną Marcina Badeniego![42] – obruszył się Marcel, któremu, siłą rzeczy, także nieobce były te historie. Wszak nim odziedziczył dobra po wuju Henryku, zdążył usłyszeć, jak to ze skąpstwa *madame* Marianna nakazywała doczepiać swą bryczkę do furmanki z gnojem, by na przejeździe przez rogatkę zaoszczędzić na opłacaniu myta, ponieważ taka karawana traktowana była jako jeden wóz. I że podobnych wyczynów miała na swym koncie bez liku.

– Leokadia ma zszarganą reputację – jęknęła Filomena. – I co teraz mam zrobić? Żaden przyzwoity kawaler nie zwróci na nią uwagi. Może należałoby ją dokądś wysłać? Usunąć ją sprzed oczu plotkarzom? Niechby wyjechała na rok, dwa… ludzie zapomną…

– Naprawdę w to wierzysz? Ludzie są pamiętliwi. Dwa lata to mało, by zostawili ją w spokoju. Wątpię, czy i pięć lat pomoże w tej sytuacji. – Poniekąd przyznawał rację Filomenie.

– Pięć lat? Ależ jak Lula wróci, będzie starą panną. No chyba że znajdzie sobie męża gdzieś w świecie. Tylko że ja nie ufam jej nawet za grosz! Boję się, że znowu mogłaby się związać z jakimś parweniuszem!

– Wątpię, czy ona zechce związać się z kimkolwiek innym – zauważył mężczyzna. – Jakkolwiek dziwnie to zabrzmi, nasza córka kocha Gabriela od Zalipiaków. Może jednak powinniśmy obdarzyć tego młodego człowieka dobrodziejstwem zaufania? Wszak uratował życie najpierw Wiktorowi, potem Luli.

– Nie musiałby ratować tej trzpiotki, gdyby nie namącił jej wcześniej w głowie – fuknęła gniewnie Filomena. – Powiem więcej. On jej nie uratował. On zgubił naszą córkę, bo teraz jest skompromitowana!

– To łatwo naprawić. Wystarczyłoby, żeby wzięli ślub…

– Szlachcianka wychodząca za mąż za prostaka? – przerwała mu Filomena. – Nie… To straszne!

– Lucjan Rydel ożenił się z chłopką – przypomniał ślubny. – A i w twej familii bywały przypadki mariaży błękitnej krwi z mieszczkami.

– Nawet mi o tym nie przypominaj! Zresztą inaczej ma się rzecz, gdy w grę wchodzi dobrze urodzony mężczyzna i kobieta z niższych sfer, która jest gruntownie wykształcona i wychowywana jak dama.

– O ile wiem, Weronika Zalipiak odebrała staranne wychowanie. O jej rękę ubiegał się nawet jakiś szlachcic.

– Ale wyszła za robotnika kolejowego.

– Urzędnika – poprawił ją ślubny.

– Jak zwał, tak zwał!

– Przypominam ci, że przed laty utrzymywałaś relacje towarzyskie z Weroniką. Byłaś jej bardzo przychylna. A gdy zmarł jej pierworodny…

– To było dawno temu – znowu weszła mu w słowo. – Robiłam to ze względu na moją świętej pamięci matkę. A ona, jak dobrze wiesz, była nieco yyy… eee… ekscentryczna. Niefortunnie dobierała sobie znajomych.

Marcel prychnął gniewnie. Byłby może poniechał dalszej dyskusji, lecz żal mu było Leokadii.

– Chyba lepiej, by Lula była szczęśliwa u boku człowieka mającego szansę wiele w życiu osiągnąć, niż żeby została zgorzkniałą starą panną,

za którą wlecze się cień jakichś plotek – stwierdził.

– Ale jak ty sobie to wyobrażasz? Takie święta przykładowo albo uroczystości rodzinne… Miałabym siadać przy wspólnym stole z Zalipiakami i Trzosami? Może jeszcze jadać z nimi z jednej miski?

– Bez przesady, Filutko. To cywilizowani ludzie. Trzosowie aspirowali swego czasu do wyższych sfer. A i Zalipiakowie nie należą do ubogich kmieci. Trzeba wyjść ponad uprzedzenia, przełamać schematy i zbratać się z tą familią. Oni są tacy sami jak my.

– Mówisz jak socjalista. – Skrzywiła się z odrazą.

– Nie, moja droga. Mówię jak człowiek o otwartym umyśle. I powiem jeszcze więcej: będę wspierał tego młodzieńca w jego dążeniu do zdobycia tytułu doktora. Na początek zapewnię młodym przyzwoite warunki, a później zadbam, by Gabriel mógł praktykować w Niepołomicach. Na szczęście mogę liczyć na poparcie burmistrza i paru innych zacnych obywateli.

***

– Ja, Gabriel, biorę ciebie, Leokadio Gertrudo, za żonę i ślubuję ci: miłość, wierność i uczciwość małżeńską oraz to, że cię nie opuszczę aż do śmierci. Tak mi dopomóż, Panie Boże Wszechmogący, w Trójcy Jedyny i wszyscy święci. – Głos Gabriela brzmiał pewnie i donośnie w niewielkim wnętrzu niepołomickiego kościoła.

Ślub był cudem okupionym znacznymi cierpieniami. Ratując Leokadię z pożaru, Gabriel poparzył bok, dłonie oraz twarz. Przez wiele tygodni zmagał się z potwornym bólem. Rany goiły się powoli. Do tego dochodziła niepewność pierwszych kilku dni po pożodze, gdy nie miał wieści od ukochanej. Rozpaczał, że oto nadszedł koniec pięknego snu o miłości, po którym nadszedł ponury świt. W końcu matka przyniosła z targu nowinę, że zmarła Cecylia Parnicka, w związku z czym w domu Leokadii zapanowała żałoba. To tłumaczyło poniekąd brak kontaktu. Sam nie był w stanie wziąć w dłoń pióra, by skreślić do niej choćby kilka

słów. Nie chciał prosić o pomoc mamy czy któregoś z przyjaciół, wydawało mu się to zbyt intymne.

Był mocno zaskoczony, gdy pewnego dnia do niewielkiego domku w Niepołomicach zawitał Marcel Branicki, by podziękować za uratowanie córki. Mężczyźni odbyli poważną rozmowę, która w pierwszej fazie stanowiła masę wymówek na temat szargania reputacji panny z dobrego domu. Później Branicki wyraźnie zmienił front i dał młodemu odczuć, że oczekuje przyzwoitego potraktowania Leokadii. Gabriel od razu zadeklarował gotowość poślubienia panny Branickiej i roztoczył przed Marcelem wizję wspólnej przyszłości. Bał się, że zostanie wyśmiany, lecz ziemianin okazał się człowiekiem, który potrafi w racjonalny sposób wznieść się ponad uprzedzenia. Zażyczył sobie, by młodzi wzięli ślub jak najprędzej, nie bacząc na to, że Gabriel jeszcze studiuje. Tak więc gdy tylko młodzieniec wyleczył rany, stanął na ślubnym kobiercu.

– Ja, Leokadia Gertruda, biorę ciebie, Gabrielu, za męża i ślubuję ci: miłość, wierność i uczciwość małżeńską oraz to, że cię nie opuszczę aż do śmierci. Tak mi dopomóż, Panie Boże Wszechmogący, w Trójcy Jedyny i wszyscy święci. – Lodzia z czułością spoglądała w roziskrzone szczęściem oczy mężczyzny, zdawała się nie zauważać łysiny na skroni w miejscu, gdzie ogień najmocniej polizał ciemną czuprynę, ani blizn szpecących prawą stronę jego twarzy oraz dłonie.

Zalipiak z łomoczącym sercem wysłuchał przysięgi składanej przez ukochaną. Oto ziściło się jego największe marzenie: poślubił pannę Branicką na dobre i na złe. Zamierzał zrobić wszystko, aby ją uszczęśliwić, choć małą czarną chmurką na jego prywatnym niebie była myśl o tym, że póki nie ukończy studiów, będzie skazany na znaczną pomoc teścia.

Warunkiem zawarcia małżeństwa, który postawił Marcel, było zapewnienie Leokadii godnych warunków życia. Po ślubie młoda para miała więc zamieszkać w Krakowie przy ulicy Floriańskiej, w kamienicy należącej do Juliusza Parnickiego, wuja Lodzi. Koszty ich utrzymania

wziął na siebie Branicki. Zalipiak poprzysiągł sobie, że kiedyś zwróci teściowi wszystko co do halerza. Miał swój honor i nie zamierzał dawać satysfakcji *madame* Filomenie, która nawet nie kryła się ze swoją niechęcią.

***

Gabriel stał w oknie, spoglądając to w rozgwieżdżone niebo, to znowu na pogrążony w ciemnościach ogród przylegający do posiadłości Branickich. Nowożeńcy mieli spędzić tutaj noc poślubną, a już następnego dnia planowali wyjazd do Krakowa, gdzie czekało ich pospieszne urządzenie się w ich pierwszym wspólnym mieszkaniu – na razie jeszcze nie własnym, lecz użyczonym przez krewnych. O podróży młodzi małżonkowie nawet nie marzyli, ponieważ za kilka dni zaczynał się rok akademicki. Zalipiak nie mógł sobie pozwolić na opuszczanie wykładów, teraz bowiem odczuwał jeszcze większą presję, by z jak najlepszymi wynikami ukończyć studia, a następnie znaleźć solidny etat, który pozwoli mu na zapewnienie ukochanej godnych warunków życia.

To wszystko następowało tak szybko, że wciąż nie mógł uwierzyć we własne szczęście. Ledwo choć trochę zaleczył rany, a już odbyły się pospieszne zaręczyny, po których niemalże w mgnieniu oka przyszło mu stanąć na ślubnym kobiercu. Zanim wsunął obrączkę na palec serdeczny Leokadii, kilkakrotnie upewnił się, czy narzeczona dobrowolnie zamierza wstąpić w związek małżeński, a nie li tylko ulega presji rodziców pragnących, by uratowała zszarganą reputację. Poparzenia na jego głowie i dłoniach nie wyglądają może przerażająco, ale z całą pewnością szpecą. Czy to jej nie zraża? Nie wywołuje dreszczu obrzydzenia? Za każdym razem odpowiadała tak samo. Twierdziła, że blizny nie mają znaczenia, bo patrząc na niego, widzi przede wszystkim mężczyznę, którego umiłowała całym sercem.

Jęknęła cicho sprężyna w klamce. Zalipiak odwrócił się i zobaczył żonę wchodzącą do gościnnej sypialni. W swym panieńskim pokoiku

dokonała toalety i przebrała się w nocną bieliznę.

– Lodziu… – wyszeptał, wyciągając do niej dłoń. Nie ruszył się z miejsca. To ona podeszła i przywarła do jego boku.

– Kochany mój! Jestem – powiedziała, obejmując go w pasie.

W mroku rozproszonym zaledwie jedną świecą połyskiwały jej oczy.

Nie dostrzegał w nich odrazy, a jednak jakiś wewnętrzny impuls nakazał mu zapytać ją jeszcze raz:

– Jesteś pewna, że nie odstręcza cię mój widok? Naprawdę chcesz ze mną dzielić życie i… łoże? – Jego głos był zdławiony emocjami. Choć ufał w szczerość jej uczuć, z lękiem oczekiwał odpowiedzi. Gdyby powiedziała, że potrzebuje czasu albo wręcz osobnej sypialni, bez wahania zrezygnowałby z małżeńskiego pożycia, by nie przysparzać jej cierpienia.

– Gabrielu, Gabrielu, Gabrielu… – westchnęła Lula. – Ile razy mam ci powtarzać, że jesteś dla mnie całym światem? Że kocham cię ponad wszystko. Że blizny nic nie znaczą. Że wziąłeś w posiadanie moje serce. Jak mam cię przekonać, miły? Czy powinnam wejść w ogień i pozwolić, by poparzył także moją twarz, abyś zrozumiał, że miłość jest ponad takie drobnostki? Tak, wiem, wiem… – poprawiła się z miejsca. – Dla ciebie to nie jest drobnostka, bo to ty przeżywałeś katusze i ciebie bolało. Ocaliłeś mi życie, mężu. Lecz bez ciebie straciłoby ono jakikolwiek sens.

– Naprawdę? – Właściwie w jego głosie nie było już niedowierzania.

– Jeśli jeszcze kiedykolwiek wspomnisz coś na ten temat, dam się oszpecić – zagroziła całkiem poważnie – abyś nie czuł się inny niż ja. Jesteś pięknym człowiekiem. Dla mnie wręcz aniołem. Rozumiesz?

Nie czekając na jego odpowiedź, wspięła się na palce i delikatnie ucałowała jego wargi. Jednocześnie przesunęła dłonie z pleców Gabriela na twarz, gładząc zgrubienia powstałe po jej prawej stronie. Wzruszony mężczyzna także uniósł rękę, by dotknąć jej policzka i tego rozkosznego dołeczka, który tworzył się na nim, gdy rozciągała usta w uśmiechu.

– Kocham cię, Lodziu. Nigdy, przenigdy nie przestanę cię kochać.

Świeżo upieczonych małżonków połączył czuły pocałunek, który szybko przerodził się w namiętną pieszczotę. Gabriel tulił do siebie ukochaną, błądząc opuszkami po jej twarzy, szyi, obojczykach. Jeszcze nie ważył się, by dotknąć żony śmielej. Nigdy wcześniej nie pozwalał sobie na nic więcej ponad pocałunki czy uścisk ręki. Szanował ją, w jego sercu i myślach była uosobieniem niewinności.

Odsunął się na moment, lecz tylko po to, by zgasić świeczkę, a potem wziąć kobietę na ręce i zanieść do łoża. Gdy posadził ją wśród haftów, batystów i koronek, zagadnął:

– Zakładam, że wiesz, czym jest małżeńskie pożycie…

Orientował się, że nie każda panna ma jasność sytuacji, a nade wszystko nie chciał w tak intymnej chwili wpędzić żony w strach czy zgorszenie. Choć targała nim namiętność, wciąż jeszcze panował nad reakcjami swego ciała i na jedno słowo Lodzi poniechałby uciech.

– Wiem. Mama objaśniła mi to, co powinnam wiedzieć – odparła. Nie dodała jednak, że matka, płoniąc się niczym niewinna panienka, mówiła o skromności i potulności, jakie powinny cechować mężatkę. I że przestrzegała ją przed nadmiernym poddawaniem się namiętności, by nie została uznana za ladacznicę. Tymczasem Lula zdążyła przeczytać niejeden romans, który wywołałby matczyne zgorszenie, miała więc świadomość, że pożycie z mężczyzną może wywołać ekscytację i absolutnie nie musi być monotonne. Zresztą świętej pamięci babcia także zdążyła jej co nieco na ten temat wspomnieć i wręcz przestrzegała Lulę przed oziębłością, chłodem czy nadmierną skromnością.

Gabriel umościł się obok żony. Wpółleżąc, gdyż wspierał się na łokciu, całował jej słodkie usta. Muskał językiem ich zarys oraz wnętrze. Jego dłoń błądziła po ramieniu Luli, przesuwając się ku obojczykowi, klatce piersiowej, a wreszcie filigranowym guziczkom koronkowego peniuaru. Bez pośpiechu odpinał jeden po drugim, muskając opuszkami nagą skórę wyłaniającą się spod delikatnej materii. Później

w te same miejsca przyciskał wargi, oddychając zapachem ciała ukochanej kobiety. Czuł dotyk jej palców pomiędzy swymi włosami – to na karku, to na ramionach.

Pociągnął i rozwiązał wstążeczkę przy staniku koszuli nocnej, a następnie odsłonił nieduże, lecz jędrne piersi żony. Noc nie była dość ciemna, by pozbawić go tego urzekającego widoku. W bladym świetle księżyca wyraźnie widział zarysy dziewiczego ciała, pochwycił także spojrzenie Leokadii.

– Nie wyobrażasz sobie, Gabrielu, jak bardzo cię kocham – powiedziała.

To wystarczyło, by porzucił ostatnie wątpliwości. Pomógł żonie zdjąć koszulę, sam także się rozebrał. Nim rozchylił Leokadii uda, obsypał pocałunkami jej piersi, brzuch oraz łono. Całował, delikatnie kąsał, chłonął uwodzicielską woń. A gdy już był u kresu wytrzymałości, ostrożnie natarł na jej rozkosznie wilgotne, lecz bardzo ciasne wnętrze.

Leokadia była przygotowana na przyjęcie męża, więc krótkotrwały dyskomfort szybko przeminął, ustępując miejsca doznaniom tak intensywnym i niezwykłym, jakich nigdy wcześniej nie dane jej było pokosztować. Oplotła nogami biodra męża i przylgnęła do niego ściśle, by ich ciała stały się zwartą całością.

Pragnęła go bezwstydnie, wręcz do bólu. Chciała, by w nieskończoność poruszał się, wywołując to zadziwiające mrowienie w dole brzucha, to znowu przebiegające wzdłuż kręgosłupa impulsy.

Nie była gotowa na spazm rozkoszy, który nagle wstrząsnął całym jej ciałem, wkładając w gardło przeciągły jęk.

– Zabrałeś mnie do raju, mój aniele Gabrielu – wyszeptała, gdy już było po wszystkim, a zaniepokojony mąż z onieśmieleniem zapytał, czy jego namiętność nie sprawiła jej przykrości.

Rozdział 8.

Szczyt marzeń

Sypanie Kopca Grunwaldzkiego na Wężowej Górze w Niepołomicach

Rok 1910

Nie było chyba w okolicy ani jednego mężczyzny, który nie byłby choć przez moment zaangażowany w akcję sypania kopca Grunwaldzkiego. Skoro burmistrz Wimmer potrafił sprawować społecznie swą zaszczytną funkcję, to czemu oni nie mieliby ponieść choćby niewielkiej ofiary na rzecz ukochanego miasta? Okazją do tego, by się wykazać, była obchodzona przed czterema laty pięćsetna rocznica zwycięskiej bitwy pod Grunwaldem. To właśnie wtedy prezes „Sokoła" – aptekarz Mieczysław Reichenberg oraz druh Władysław Kowalski[43] poddali pomysł, by odnowić usypany nieco wcześniej kopczyk upamiętniający strajki dzieci we Wrześni. Pierwszym zamysłem było ustawienie tam krzyża, by uczynić miejsce bardziej widocznym, szybko jednak pojawił się plan, by właśnie dla uczczenia rocznicy owej bitwy odnowić cały kopiec i nadać mu wymiary choć trochę zbliżone do pobliskich kopców Wandy oraz Krakusa. Trzeciego marca 1910 roku Władysław Kowalski oznaczył sześciometrową żerdzią wysokość nowego usypiska, wytyczył także jego obwód. Tuż po godzinie osiemnastej na to miejsce posypały się pierwsze łopaty ziemi. Ochotnikom ponoszącym trud przygrywała orkiestra miejscowej straży ogniowej pod batutą Antoniego Siwka[44]. Rozpoczęto tym samym mozolne przedsięwzięcie, które miało trwać przez następnych kilka lat.

By choć trochę przyspieszyć działania, proboszcz wyraził zgodę, aby sypanie kopca odbywało się również w niedziele oraz święta po nieszporach, ponieważ w dni powszednie mało kto był w stanie wygospodarować czas na pracę społeczną. Pieniądze na ten cel złożyła miejscowa ludność, wydano także okolicznościowe kartki i znaczki. Z kapitałem w wysokości trzystu koron przystąpiono do realizacji zamierzenia.

***

Od kilku lat Gabriel Zalipiak wraz z żoną Leokadią znowu mieszkał w Niepołomicach. Po ukończonych studiach, z pomocą teścia, Gabriel nabył ładną willę wzniesioną przez fachowców Władysława Wimmera. Zalipiakowie zamieszkiwali ją wraz z dwójką dzieci: pięcioletnią Gabrysią oraz rocznym Stasiem. Powoli stawali na nogi, spłacając dług zaciągnięty u Branickiego. Młody lekarz postawił sobie bowiem za punkt honoru, że odda Branickiemu wszystko to, co od niego otrzymał poza posagiem Luli. Choć w Niepołomicach praktykował już doktor Andrzej Madejski[45], znalazło się i dla niego dość pracy. Dzielili się pacjentami, nie konkurując ze sobą, ale zgodnie współpracując. Obydwaj należeli do „Sokoła", choć Gabriel angażował się nieco mniej w sprawy towarzystwa, gdyż znaczną część wolnego czasu przeznaczał na dokształcanie się i studiowanie książek medycznych.

Niemniej jednak pod koniec maja wziął udział w posiedzeniu komitetu, którego celem było pozyskiwanie funduszy oraz koordynacja prac związanych z sypaniem kopca. Wrócił stamtąd podekscytowany i z miejsca podzielił się nowinami z żoną.

– Wyobraź sobie, aniele mój, że druhowie krakowskiej Straży Polskiej usłyszeli o naszej akcji i zgłosili chęć pomocy. Byli na dzisiejszym posiedzeniu Komitetu i nagle sprawy nabrały nowego wymiaru. Dosłownie – uśmiechnął się – bo kopiec będzie mierzył nie sześć, lecz czternaście metrów. Proboszcz dał zgodę na wybieranie ziemi z pobliskiej parceli plebańskiej, a Franciszek Wimmer[46] zapewnił narzędzia oraz fachowych robotników.

– A to pięknie.

– Pięknie – potwierdził mężczyzna, bezwiednie pocierając dłonią naznaczony bliznami policzek. – Zobaczysz, że usłyszy o nas świat. Dumny jestem, że mogę w tym uczestniczyć.

– Och Gabrielu – westchnęła, przytulając się do niego. – Uwielbiam cię za ten twój niewyczerpywalny entuzjazm.

– Tylko za to? – zapytał, odchylając się tak, by spojrzeć jej w oczy.

– Dobrze wiesz, że nie tylko. Jesteś światłem mojego życia. Czasami nie mogę uwierzyć, że los dał mi tyle dobrego. Niewiele brakowało, a matka wydałaby mnie za mąż wbrew mej woli.

– Ech… gdyby mogła, z przyjemnością zastąpiłaby mnie kimś bardziej godnym twej ręki – odparł Gabriel.

– Na szczęście nie ma na to wpływu.

– Na szczęście. Jutro, gdy skończę przyjmować pacjentów, pójdę na Wężową Górę – wrócił do wcześniejszego tematu. – Trzeba zakasać rękawy i cokolwiek pomóc. Czternaście metrów… Dasz wiarę?

Rok 1913

Pod rządami burmistrza Władysława Wimmera Niepołomice przeżywały wyraźny rozkwit. Dzięki niemu zostało wzniesionych sporo solidnych domów, piękny budynek ratusza, w którym można było załatwić wiele ważnych spraw, a także fabryka cegieł i dachówek, którą otwarł do spółki z ziemianinem z Grodkowic Żeleńskim oraz niejakim Homolaczem[47]. Niepołomickie wyroby szybko zyskały bardzo dobrą opinię, trafiając na budowy daleko poza granice Galicji. Zamawiano je w Niemczech, Francji i innych europejskich krajach. Co zamożniejsi gospodarze zaczęli zastępować strzechy pięknymi, czerwonymi pokryciami. Brat burmistrza, Franciszek, także okazał się człowiekiem przedsiębiorczym, gdyż to właśnie on zbudował pierwszy na tym terenie młyn parowy. Okoliczna ludność zyskała dzięki temu nowe miejsca pracy, żyło się godniej, dostatniej.

Włodarze miasta nie zaniedbali również krzewienia patriotyzmu wśród mieszkańców. Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół”, do którego należeli między innymi Wiktor Branicki i doktor Gabriel Zalipiak, rozwijało się dynamicznie, wychodząc daleko poza program popularyzacji zdrowego stylu życia. Skupieni tutaj dżentelmeni

urządzali regularnie zebrania, podczas których śpiewano pieśni narodowe, wystawiano także amatorskie przedstawienia sztuk Fredry, Rydla czy Bałuckiego.

Wiktor znał już nieźle kwestie Dziennikarza z utworu *Wesele* napisanego kilka lat wcześniej przez Stacha Wyspiańskiego, dobrego znajomego Parnickich z Krakowa. To on złożył druhowi Franciszkowi Ziembie[48] z „Sokoła" propozycję wystawienia tej sztuki w Niepołomicach. Ku radości Branickiego pomysł spotkał się z zainteresowaniem, choć wymagał sporych nakładów pracy od aktorów amatorów.

Gabriel i Wiktor zamknęli się w gabinecie, w którym zazwyczaj doktor przyjmował swych pacjentów, by przećwiczyć role przed próbą generalną.

– *A to czytaj, kto ciekawy; / wiecie choć, gdzie Chiny leżą?*[49]

– *No, daleko, kajsi gdzieś daleko; / a panowie to nijak nie wiedzą, / że chłop chłopskim rozumem trafi, / choćby było i daleko. / A i my tu cytomy gazety / i syćko wiemy* – wyrecytował Gabriel, któremu przypadła w udziale rola Czepca. Sam zresztą zabiegał o to, by odgrywać tę, a nie inną postać, choć zdawał sobie sprawę, że gwara chłopska w jego ustach pociągnie za sobą lawinę uszczypliwych uwag ze strony teściowej.

Ach! Cóż z niej było za wredne babsko! Zalipiak niejeden raz zachodził w głowę, jakim cudem ten poczciwiec, teść, wytrzymuje ze swoją ślubną. Marcel zdawał się równie pogodzony ze swą dolą co imć Felicjan Dulski z Anielą. W przeciwieństwie do Branickiego Zalipiak jednak nie zbywał milczeniem docinków, gdyż znał własną wartość i nie pozwolił na to, by deprecjonowały ją niezasłużone słowa krytyki. Oczywiście pociągało to czasami za sobą jakieś drobne utarczki słowne, lecz na szczęście w takich sytuacjach żona stała za nim murem.

Gabriel już cieszył się na myśl o oburzeniu Branickiej, gdy podczas przedstawienia zobaczy swego zięcia w stroju krakowskim, czyli pasiastych portkach, sukmanie oraz czapce z pawimi piórami. Doskonale wiedział, że będzie go ganiła za afiszowanie się chłopskim

pochodzeniem. Wszak w eleganckim towarzystwie na każdym kroku podkreślała, że zięć wywodzi się z rodziny z aspiracjami. Zasugerowała też kiedyś, by zmienił nazwisko na Zalipowski, by brzmiało bardziej wytwornie.

– Nieźle ci idzie – stwierdził Wiktor, a potem wrócił do swej kwestii: – *A po co?*

– *Sami się do światu garniemy.*

– *Ja myślę, że na waszej parafii / świat dla was aż dosyć szeroki.* Och… Jakbym słyszał własną matkę – sapnął Branicki. – Cóż za kołtuński tekst? Ty serio chcesz być Czepcem? Toż to będzie dla niej woda na młyn. – Zachichotał.

– Do usług, drogi szwagrze – odparł Gabriel, kłaniając się w pas. Potem sięgnął po zapisany tekst dramatu, choć w zasadzie też opanował go na pamięć. – *A tu ano i u nas bywają, / co byli aże dwa roki / w Japonii; jak była wojna.*

– *Ale tu wieś spokojna.– / Niech na całym świecie wojna, / byle polska wieś zaciszna, / byle polska wieś spokojna.* Ech… Marzenie. Ta sielanka może się skończyć szybko. – Wiktor znowu oderwał myśli od swej roli. – Tyle się teraz mówi o wojnie. Patrzeć tylko, jak wybuchnie.

– Ano. Zobaczymy, co przyniesie.

– Może w końcu wolną Polskę? Gdyby pobili się Prusacy z Rosjanami, moglibyśmy na tym skorzystać. Tylko po której opowiedzieć się wtedy stronie? Kto ma większe szanse na wygraną? Kto doceniłby nasze poświęcenie i w podzięce za wsparcie zbrojne zwróciłby nam niepodległość?

– Daj Boże, by tak było, choć dla mnie wojna oznaczałaby wiele ciężkiej pracy. A kto wie? Może i rozłąkę z Lulą, gdybym dostał przydział. No, kończmy tę scenę. Następnym razem trzeba ją będzie przepowiedzieć w całości, bez dywagacji. *Pon się boją we wsi ruchu. / Pon nos obśmiwajom w duchu.– / A jak my, to my się rwiemy / ino do jakiej bijacki. / Z takich, jak my, był Głowacki. / A, jak myślę, ze panowie / duza by już mogli mieć, / ino oni nie chcą chcieć!*

– Moi drodzy… – Do gabinetu zajrzała Lula, jak się okazało z wielkim wyczuciem chwili. – Jeśli jeszcze nie skończyliście, to zróbcie sobie przerwę. Zuzia podała właśnie podwieczorek.

– Właśnie uporaliśmy się z pierwszą sceną.

– Dopiero pierwsza scena? – wyraziła zdziwienie. – No tak, wy jak już się spotkacie, to zawsze macie do omówienia milion ważnych spraw. Gdyby Solski prowadził teatr tak jak wy, to pewnie by zbankrutował.

– Dlatego, moja duszko – Gabriel, nie krępując się obecności szwagra, cmoknął żonę w sam czubek nosa – on był dyrektorem Teatru Miejskiego, a my jesteśmy zaledwie amatorskim teatrzykiem. Swoją drogą, nie wiem, czy słyszeliście o tym, że Ludwik urodził się jako Sosnowski. Jakiś czas temu przyjął nazwisko żony – oznajmił.

– Szaleniec! – zachichotał Wiktor. – Pozbyć się nazwiska po ojcu? Przecież to nie wypada!

– Widać do czegoś mu to było potrzebne. Nawet nie wiedziałbym, że on to on, bo to nie nasze pokolenie, ale ojciec i wuj Zygmunt dobrze się z nim znają, chodzili razem do szkoły. I objaśnili mi, kim był dyrektor najwspanialszego teatru w Krakowie.

– Krążą słuchy – wtrąciła Lula – że zmienił nazwisko, ponieważ ukrywał się przed żandarmerią, która poszukiwała go za uchylanie się od służby wojskowej.

– Też o tym słyszałem – przyznał mąż. – Ale czy to prawda? Tak czy owak żal byłoby posyłać takiego artystę na wojaczkę.

– Szkoda, że zrezygnował z posady. Uczynił tyle dobrego dla teatru w Krakowie – westchnął Wiktor.

– Cóż miał zrobić, gdy znaczna część aktorów uciekła mu do Teatru Polskiego w Warszawie? Z próżnego i Salomon nie naleje.

– No dobrze, moi panowie. Zapraszam do stołowego. Podwieczorek podano – przypomniała.

– Ech… Właściwie na mnie czas – stwierdził Wiktor, zerkając na zegarek.

– Ania ci wybaczy. – Leokadia napomknęła o szwagierce. – Nie będzie chyba zazdrosna o to, żeś zabawił chwilę dłużej u siostry?

– Jeśli o coś zmyje mi głowę, to że nie zabrałem jej ze sobą.

– Szkoda, że jej nie wziąłeś. Dostałam niedawno najnowszy numer „Steru”[50] – pochwaliła się egzemplarzem czasopisma feministycznego, które prenumerowała, odkąd ponownie zaczęto je publikować po kilku latach przerwy.

Działalnością sufrażystek zaraziła ją kuzynka Matylda. Lodzia żywo zainteresowała się tym problemem i, podobnie jak mąż, też poświęcała mnóstwo czasu na działalność społeczną. Wstąpiła do niedawno utworzonego Związku Kobiet, a następnie zachęciła do wejścia w jego szeregi również szwagierkę. W Niepołomicach jego założycielką była nauczycielka Marta Hubicka[51]. Panie w nim skupione udzielały się charytatywnie, tworzyły amatorskie kółko teatralne, a w wolnych chwilach snuły marzenia o równouprawnieniu.

– Miała ochotę przyjechać, lecz Antoś marudził, jak mało kiedy – wspomniał o trzyletnim synku. – Nie chciała go zostawiać ani z boną, ani tym bardziej z babcią. Zapewne gdyby nie to, my zdążylibyśmy kilkakrotnie odegrać nasze kwestie z *Wesela*, podczas gdy wy, nasze ukochane emancypantki, wciąż nie mogłybyście się nagadać.

W jadalni już czekała reszta rodziny, czyli ośmioletnia Gabrysia oraz czteroletni Staś. Zalipiakowie odchodzili od tradycji nakazującej trzymanie dzieci z dala od dorosłych. Uważali bowiem, że prędzej nauczą potomków zasad dobrego wychowania, gdy młodzi będą uczestniczyli we wspólnych posiłkach. Pozwalali im także przebywać z gośćmi, oczywiście nie przez cały czas, gdyż w stosownym momencie pociechy odsyłano z nianią do pokoju zabaw.

***

Od kilku dni padał deszcz. Józefa Trzos z nadzieją spoglądała w okno, licząc na to, że wypogodzi się na tyle, by można było wziąć udział

w obchodach świętojańskich. Była już dorodną panienką na wydaniu, liczyła dwadzieścia lat – najwyższa pora iść za mąż. Mnóstwo dziewcząt dużo młodszych od niej pozakładało rodziny. Ba! Matula ślubowała, mając zaledwie szesnaście wiosen.

Józka nie myślała, by brać przykład z ciotki Zochy. Pragnęła wyjść za mąż, ale na razie przebierała w kawalerach jak w ulęgałkach, odprawiając wszystkich swatów. Nie chciała wydawać się za pierwszego lepszego kmiecia, wolałaby raczej urzędnika lub kupca.

Z lubością słuchała nielicznych opowieści o prababce Bernadecie, która miała wielkopańskie nawyki i aspirowała do tego, by być wielką damą. Józia marzyła o tym, by choć trochę się do niej upodobnić. Było jej przykro, że rodzice przerwali tradycję i nie posłali jej na kształcenie do Staniątek, ale do szkoły w Niepołomicach. Przy siostrzyczkach na pewno nabrałaby znacznej ogłady. Sama musiała więc zapewnić sobie choć namiastkę dobrych manier i światowego wychowania. Kupowała tygodnik „Bluszcz", który czasami docierał z Warszawy na galicyjską prowincję ze znacznym opóźnieniem. Uważnie studiowała publikowane tam artykuły, analizowała kroje noszonych przez damy sukien i marzyła o wielkim świecie, choć oczywiście zdawała sobie sprawę, że szlacheckie dwory są dla niej zdecydowanie zbyt wysokimi progami. Ale gdyby miała do wyboru pracę na własnej roli lub posadę pokojówki u wielkiej pani, to zdecydowanie wybrałaby tę drugą. Lepsze to niż dojenie krów, skubanie gęsi czy znojne podbieranie zboża w czasie żniw.

Na razie każdą wolną chwilę spędzała u wuja Gabriela i jego uroczej żony Leokadii, chłonąc dobrodziejstwa płynące z przebywania w tak znamienitym towarzystwie. Doktorostwo zamieszkiwali w kamieniczce stojącej przy niepołomickim rynku. Prowadzili prawdziwie elegancki dom, przyjmowali wytwornych gości i całą okoliczną śmietankę towarzyską włącznie z burmistrzem Wimmerem. Ciocia Lula nie robiła problemu z tego, że Józefa jest zwyczajną wiejską dziewczyną, i podejmowała ją w tym samym salonie, w którym bywał jej brat Wiktor

ze swą żoną Anną ze Świerczewskich i trzyletnim synkiem Antonim. Ci ludzie stanowili dla żądnej wielkiego świata pannicy doskonałą inspirację oraz wzory do naśladowania.

– No i co? Przeciera się? – zagadnęła wnuczkę Dominika.

– Już dawno nie pada. I przestało się burdasić[52]. Między obłokami jest coraz więcej błękitnych prześwitów. Sobótka będzie jak się patrzy!

– Wianek masz gotowy?

– Jeszcze nie. Zaraz pójdę narwać kwiatów.

– A to nie przeocz bylicy, trzeba ją porozwieszać w domu i ususzyć na zaś, by było czym odganiać wszelkie zło – pouczyła ją matka. – A jak już pójdziesz puszczać wianek, to nie zapomnij, by się nią przepasać.

– Oczywiście, matulu.

– A i ja się przepaszę – stwierdziła Dominika. – Może uchroni mnie przed łupaniem w krzyżu, bo ostatnio cosik dokuczają mi plecy.

– Tylko uważajcie z dziewuchami nad rzeką – napomniał córkę Klemens. – Brzegi mocno wypłukały deszcze, zrobiło się ślisko i grząsko. No i woda mocno się podniosła, więc żebyście się nie potopili.

Wciąż miał w pamięci powódź, która nawiedziła te strony przed dekadą.

***

Po śniadaniu Józia pobiegła na łąkę, by narwać kwiecia i ziół. Faktycznie grunt był grząski, musiała uważać na trzewiki, by nie pogubić ich w błocie. Prędko nazbierała spore naręcze maków, chabrów, rumianków i innych roślinek. Znalazła dość dużo ruty oraz bylicy. W przydomowym ogródku ucięła kilka różyczek, kalecząc dłonie drobnymi, lecz ostrymi kolcami. Z całym tym dobrodziejstwem zasiadła na ganku, gdzie już czekały na nią zbite na krzyż deseczki, które miały stanowić podstawę wieńca. Zręcznymi palcami uwiła prawdziwe cudo – bajecznie kolorowe i pachnące. By nie pomylić go z innymi wiankami,

gdy już będzie płynął rzeką, postanowiła obwiązać go wstążką. Na ostatek zamocowała świeczkę.

– No ładnie, ładnie – pochwaliła jej dzieło Dominika. – Na pewno niejeden kawaler będzie próbował go wyłowić.

Od dłuższego czasu obserwowała wnuczkę w milczeniu, wspominając dawne czasy, gdy sama była panienką. Za jej wianuszkiem nikt nie wchodził do wody, za biedna była, by zwrócić czyjąś uwagę. Jeden Wojtek się w niej zakochał, lecz poznała go już po sobótkowych obrzędach, a nim przyszła pora na następne wianki, została jego żoną. Jej koleżanki i kuzynki miały więcej szczęścia. *Cóż… taka dola nędzarzy. Nawet drobne radości zarezerwowane są dla zamożniejszych.*

Wierzyła, że wnuczkę ominie rozczarowanie. Bo mimo że urody była dość przeciętnej, to znaczny posag robił swoje. Nie brakowało jej także ogłady, choć to akurat było sprawą drugorzędną, gdyby o jej rękę starał się jakiś zamożny kmieć. Ważniejsze w tym przypadku byłyby gospodarność oraz wiano wniesione w małżeństwo. Na razie chętnie obtańcowywali ją w karczmie wszyscy okoliczni parobkowie, z Jacentym Filusiem na czele. A ten na brak powodzenia u panien nie narzekał, bo przyciągał wzrok swą krzepkością i powabem twarzy.

– Myślicie, babciu? – zagadnęła kandydatka do zamążpójścia.

– Na pewno. Masz szczęście, bo przyszło ci żyć w znacznie lepszych warunkach niż mnie, gdym była panienką.

– Oby trafił mi się jakiś godny uwagi absztyfikant. Za golca nie pójdę, choćby skoczył za wiankiem w najgłębszy nurt.

– Słusznie. Nie znasz biedy, dziecko, i lepiej, byś jej nie poznała nigdy. Wiesz… pod wieloma względami przypominasz mi nieboszczkę Bernadetę. Ale nie z wyglądu, bo świekra miała jasne włosy i była znacznie wyższa, lecz z charakteru.

***

Rzucanie wianków na najbliższą domu rzekę nie stanowiło dla dziewcząt żadnej atrakcji. Cóż to za wyzwanie dla parobków zainteresowanych ich łapaniem, by brodzić w wodzie po kolana, czy nawet po pas? Jeśli któremuś naprawdę zależało na pannie, gotów był skoczyć w głębokie nurty i płynąć za wieńcem, by potem z dumą chwalić się wyłowionym trofeum.

Józia pobiegła więc wraz z koleżankami przez puszczę na brzeg dostojnej Wisły, by tam dokonać bodajże najważniejszego dziewczęcego obrzędu związanego z obchodami wigilii Świętego Jana. Z zadowoleniem wypatrzyła wśród młodzieńców miłego sercu Teofila Wielgusa, młodego urzędnika, chłopaka wykształconego, pochodzącego z mieszczańskiej rodziny z tradycjami. Rada byłaby takiemu absztyfikantowi. Uczęszczała do szkoły z jego siostrą, Czesławą. Razem także śpiewały w niepołomickim chórze mieszanym, który założono cztery lata wcześniej. Czysty głos i talent muzyczny Józia odziedziczyła po prababce – tak stwierdziła pewnego dnia ciotka Zofia.

– Ale masz piękny wianek! – westchnęła Cześka. – Nie żal ci było takiej ładnej wstążki?

– Trochę – odparła Trzosówna. – Ale liczę na to, że jakiś kawaler wyłowi go z Wisły, a wtedy dostanę ją z powrotem.

Zerknęła z ukosa na Teofila, zastanawiając się, czy usłyszał jej słowa. Przypuszczała, że nie, ponieważ zajęty był pogawędką w gronie kolegów. Być może naradzali się, czy lepiej skakać do wody czy próbować przyciągnąć wianki żerdkami. Korzystanie z łodzi byłoby może bardziej efektywne, lecz żaden szanujący się parobek nie zamierzał sobie ułatwiać zadania.

Już rozlegały się dziewczęce głosy, intonujące znaną wszystkim piosenkę.

Tam nad Wisłą w dolinie, siedziała dziewczyna,
Była piękna jak różany kwiat!
Maki i róże zbierała sobie.

Wiła wianki i rzucała je do falującej wody,

Wiła wianki i rzucała je do wody[53].

Dziewczęta zapaliły świeczki i kolejno zaczęły puszczać wieńce na Wisłę.

– Na dobrą wróżbę, na szczęście!

– Niech no ten wionecek wyłowi jakisik gładki parobecek!

– Przynieś mi, wonne kwiecie, najmilszego kawalera na świecie – wyszeptała Józia.

Płomień zapalony przez nią był mocny, nie zdmuchnął go podmuch powietrza, gdy nurt pociągnął wianek na środek rzeki.

– Och nie! Świeczka zgasła na moim – jęknęła Florka Dylówna.

– A mój nie chce odpłynąć od brzegu – martwiła się Czesława. Zeszła jak najbliżej wody i próbowała odepchnąć żerdką wieniec, który zaczepił się o jakieś wodorosty i utknął w miejscu.

– Oszukujesz – skarciła ją Flora, zła, że czeka ją kolejny rok panieńskiego stanu, bowiem brak ognika był jednoznaczną wróżbą.

– Szczęściu trzeba pomagać – oznajmiła Wielgusówna, zdwajając wysiłki. Nie zamierzała czekać na swatów kolejny rok. Wiadomo, co się wydarzy do następnych sobótek? Na świecie robiło się jakoś niespokojnie. W karczmach ludzie wciąż gadali o możliwym wybuchu wojny powszechnej, która z jednej strony podzieli zaborców, dając szanse niepodległościowe Polakom, a z drugiej strony pociągnie za sobą ofiarę w postaci poboru. Dobrze więc byłoby wydać się za mąż jak najprędzej, zanim kwiat młodzieży pójdzie w kamasze, a potem w bój.

Wianek nieznacznie odbił od brzegu, lecz wciąż kręcił się w kółko, zamiast płynąć naprzód jak te, które uwiły inne dziewczęta.

Poniżej stali młodzi mężczyźni – gospodarscy synowie, parobkowie, biedacy, robotnicy oraz urzędnicy niższego szczebla. Wszyscy z jednakowym zaangażowaniem śledzili trasę płynących kwiatów. Niejeden pilnował wzrokiem wianka puszczonego dłonią wymarzonej

panny, do której serce się rwało, a jakoś brakowało odwagi, by poczynić pierwsze kroki. Sobótka była idealnym czasem na spróbowanie swych sił. Ten i ów usiłował sięgnąć po wianek kijaszkiem. Ktoś inny wszedł do wody, podwinąwszy wcześniej nogawki. Jakiś szczęściarz już wyłowił wianek, który zahaczył o wodorosty, lecz nie był to ten, który puściła Czesia.

– Czyje szczęście złapałem? – krzyknął ucieszony młodzieniec, nie mając bladego pojęcia, do której panny należy jego trofeum.

Wokół już płonęły ogniska, na brzeg Wisły nadchodziło coraz więcej ludzi. Parobkowie zaczęli przyśpiewywać do wtóru grającej kapeli:

Hej na czółna, hej na łodzie,
Gwiazdki kąpią się we wodzie,
Kto zdrów, młody, hej na wody
W świętojańską noc, w świętojańską noc.
Dalej, dalej, nasza młodzi,
Stary zwyczaj czcić się godzi,
Wszak dziś wianki, pohulanki,
W świętojańską noc, w świętojańską noc.
A więc żywo chwytać wianki,
Swojej lubej, swej bogdanki,
Hej, hej, młodzi, trud nagrodzi,
Świętojańską noc, świętojańską noc[54].

– Miłość wymaga poświęceń – stwierdził Wielgus, zzuwając buty.

Choć w pobliżu stały panny, zrzucił koszulę i spodnie, a następnie w samych tylko gatkach dał nura do rzeki. Wieniec, który sobie upatrzył, płynął zdecydowanie zbyt daleko od brzegu, wraz z kilkoma innymi niesiony środkiem koryta. Pośpiech był jak najbardziej wskazany, bo za Teofilem już ruszyli pozostali młodzieńcy.

Przypuszczał, że niejeden obrał sobie ten sam cel co on. Musiał więc ubiec kamratów i sięgnąć po zwycięstwo.

Stojące na brzegu panny spoglądały z ekscytacją na śmiałków, którym niestraszna była wiślana toń. Coraz więcej parobków decydowało się na skok do wody i właściwie nie wiadomo było, który z nich wybrał sobie konkretny cel.

– Ojej! Ktoś złapał mój! – pisnęła ucieszona Czesia, gdy zobaczyła, że z wysiłkiem odepchnięty od brzegu wianek jako jeden z pierwszych znalazł swego amatora.

– Mój poszedł środkiem. Niełatwo go będzie wyłowić – frasowała się Kasia Zalipiak.

– Nie martw się, Kasiu. Mój też jest daleko – odparła Józia, wierząc, że zdobędzie go któryś z mężczyzn. Z daleka trudno było rozeznać, kto rzucił się w pościg za jej wianuszkiem, choć wydawało jej się, że mógł wśród nich być Teofil.

Tymczasem młodzieńcy we trzech płynęli do jednego wieńca. Wielgus ścigał się więc z Jacentym Filusiem, o którym mawiano, że strasznie zagiął parol na Józefę Trzos, obtańcowując ją przy każdej nadarzającej się sposobności. W nurt wskoczył także pracujący na kolei Michał Pikulski, zwinny pływak należący do Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół". Teofil nie był może tak samo wysportowany, lecz miał dość determinacji, by ze wszystkich sił młócić ramionami wodę. Wszyscy trzej szli w miarę równo, w tym samym tempie. Przez moment Teofil był na prowadzeniu, jednak to nie jemu sprzyjała tego dnia kapryśna Fortuna, nie on pierwszy pochwycił wstęgę przywiązaną do kwiecia.

Szczęście dopisało Jacentemu, który od dawna durzył się w córce najbogatszych gospodarzy w okolicy i poprzysiągł sobie, że zawiedzie ją do ołtarza. A skoro już złapał przedmiot pożądania, nie puścił, choć wyciągnęły się po wianek dwie inne dłonie.

– Mój jest, nie oddam go nikomu! – wysapał, a potem zanurkował, by szybciej powrócić na brzeg. Zrobił zgrabnego fikołka pod wodą i już bez

większego pośpiechu popłynął w stronę pozostawionych na trawie ubrań.

Wieczór był ciepły, lecz po wyjściu z wody mężczyznę przeszył nieprzyjemny chłód. Jacenty podszedł do ogniska, które ktoś już zdążył rozpalić, by się choć trochę wysuszyć. Rozgrzał się błyskawicznie, więc włożył swe rzeczy i dopiero wtedy ruszył na poszukiwanie panny. Dziewczęta stały zbite w grupkę. Przeszedł pomiędzy nimi, a gdy wypatrzył Józię od Trzosów, ukłonił się w pas i wyciągnął do niej ręce, w których trzymał wianek.

– Panno Józiu, oto wyłowiłem z wody coś, co do ciebie należy. Zechcesz pójść ze mną na sobótkowe ogniska?

Józia zerknęła z ukosa na Wielgusa, który odpoczywał nieco na uboczu. Przykro jej było, że to nie on wygrał wyścig po trofeum. Momentalnie uleciała z niej chęć na dalszą zabawę. Już wiedziała, że przez resztę nocy nie opędzi się przed zalotami Jacentego.

– Tylko wtedy, gdy kawaler zostanie ze mną tutaj. Umówiłam się z Ignacym, że i on później dołączy do mnie w Niepołomicach – odparła bez większego entuzjazmu. Tak naprawdę chętnie wróciłaby do domu.

Ognie już płonęły na wałach wiślanych oraz po całej okolicy. Zapadający mrok ujawniał miejsca zabaw, gdyż z dala widać było strzelające wysoko w niebo płomienie. Tu i ówdzie przygrywali jacyś lokalni muzycy, ich głosy niosły się, przyciągając kolejnych amatorów sobótki.

Niech każdy z młodzieży pilnie zauważy

Że nieraz przez miłość nieszczęście się zdarzy

Ten człowiek szczęśliwy co nie zna miłości

Temu świat rozkwitnie niekiedy w przyszłości[55] – śpiewały gromko starsze wiekiem gospodynie, zezując ku młodym dziewuchom i wspominając własne młodzieńcze lata. Niemalże każda pamiętała swą najważniejszą noc sobótkową, puszczanie wianków, skakanie przez ogień z ukochanym. Kiedyś dorodne, urodziwe, dzisiaj zasuszone

i zniszczone pracą, wylewały łzy nad utraconą młodością. Niejedna myślała o tym, że gdyby Bóg dał taką możliwość, inaczej ułożyłaby swe życie. Że nad porywy serca przedłożyłaby szczyptę rozsądku.

– Skaczemy? – Jacenty wskazał płonące opodal ognisko. Trzymał mocno Józię za rękę, jakby bał się, że dziewczyna mu umknie.

– Nie skoczę. Mogłabym sobie osmalić sukienkę – odparła.

– Ech... szkoda. A może jednak? – judził. – Kto widział, by w sobótkę nie skoczyć przez ogień?

Skakali chłopcy samotnie, niektórzy pospołu z pannami. Słychać było piski, wznoszone w trakcie pokonywania gorącej przeszkody. Niektóre pary wymykały się na spacer wzdłuż rzeki albo w kierunku lasu. Panował nastrój dobrej zabawy, hen daleko niosły się gromkie okrzyki oraz śpiewy. I tylko Józi jakoś nie było do śmiechu. Snuła się jak cień, popatrując za Teofilem, i nie mogąc przeżałować, że nie on złożył wianek u jej stóp. Bo przecież płynął po niego, na własne oczy widziała! I przez moment nawet wysunął się na prowadzenie. Była wtedy pewna, że to on zatriumfuje!

Ucieszyła się, gdy dziewczęta pociągnęły ją do wspólnego kręgu tanecznego. Pląsały wokół ognia, śpiewając, śmiejąc się, piszcząc, gdy w niebo wznosiły się snopy iskier. Uwolniona, przynajmniej na chwilę, od towarzystwa Filusia, bawiła się z innymi. I nawet poczuła osobliwe ciepło wokół serca, gdy kilka razy przyłapała Wielgusa na tym, że ściga ją wzrokiem. Kiedy więc taniec dobiegł końca, zatrzymała się niby przypadkowo właśnie przy nim.

– Panno Józiu, skoczymy razem przez ogień? – zapytał, wstając z obalonej wierzby, na której siedział z kompanami, racząc się okowitą.

– Ty lepiej uważaj – przestrzegł go jeden z nich – bo na wianek tej panny bardzo łasy jest Filuś.

– Do diabła z Filusiem! – żachnął się Teofil i wyciągnął rękę do dziewczyny.

Ta zaśmiała się, odrzuciła w tył głowę, aż kokardy długich ciemnych warkoczy obiły się o jej pośladki.

– A pewnie, że skoczę! – odparła skwapliwie, podając mu drobną dłoń.

Poszli więc, by razem dać susa przez płonące żagwie, znad których wzbijały się w niebo snopy trzaskających iskier. Udało im się zgrabnie pokonać przeszkodę. Przymierzali się do kolejnego skoku, gdy nagle usłyszeli głos Filusia.

– Hola, hola! Ja złowiłem wianek panny Józi! Ze mną panna winna skakać przez ognisko.

Mężczyzna wyglądał na lekko podchmielonego. Źle mu z oczu patrzyło, jakby chciał startować do bitki. Zaczęli się przegadywać z Teofilem, już zaciskali pięści, już prężyli mięśnie, i być może doszłoby do grubszej awantury, gdyby w porę nie rozdzielił ich Gabriel Zalipiak, który przyszedł wraz z *madame* Leokadią pooglądać sobótkowe zabawy.

– No, no! Panowie! Tacyście chętni, by się brać za czuby? Ja was nie myślę opatrywać, gdybyście się poparzyli. Mam lepszy pomysł na rozstrzygnięcie rywalizacji. Potrzeba ochotników do sypania kopca. Cztery lata się z tym guzdrzemy. Zamiast tu tracić głupio siły, przyjdźcie po nieszporach w niedzielę i pokażcie, na co was stać. A ten, który lepiej sobie poradzi z taczkami i więcej ich przewiezie, będzie mógł w nagrodę zabrać moją bratanicę na ciastko do cukierni.

Niechętnie przystali na wyzwanie doktora. Teofil trochę się bał, że może znowu przegrać rywalizację z Filusiem i wtedy wyjdzie w oczach nadobnej Józi na łamagę. Jacenty natomiast zdołał na tyle przetrzeźwieć, by zrozumieć, że w ten sposób nie zdobędzie serduszka Trzosówny, bo ta najwyraźniej za nic miała, kto wyłowił z Wisły jej wianek. Skoro dla Teofila nie żal jej było osmalić sukienki, oznaczało to ni mniej, ni więcej, tylko że już dokonała wyboru.

Pokażę jej, że nic dla mnie nie znaczy – pomyślał z urazą, a potem odszedł, by emablować inną pannę. Nigdy nie narzekał na powodzenie u dziewcząt. *Nie ta, to inna* – szukał w duchu pociechy, jednak głęboko

nie w smak mu było, że został pokonany. Bo i dziewka była z niej niczego sobie, i kusił go ten posag, o którym cuda opowiadano w gospodzie Mojsiejowiczów. Wiedział, że niełatwo będzie przełknąć gorycz porażki.

***

Ochotników do sypania kopca przyszło tego dnia wielu. Jak to w niedzielę – przygrywała im kapela straży pożarnej. Na Wężowej Górze panowała atmosfera pikniku. Dzień był piękny, słoneczny, jednak nie tak bardzo skwarny, by nie dało się pracować. W cieniu drzew ulokowały się damy, które przyszły tutaj na spacer, a przy okazji chciały zerknąć na postęp prac. Dzieci robiły radosną wrzawę, przyglądając się krzątaninie silnych mężczyzn.

Józia przystanęła z Leokadią, Gabrysią i Stasiem oraz wujkiem Gabrielem, który zgodnie z zapowiedzią zjawił się, by sędziować w pojedynku pomiędzy Teofilem a Jacentym na liczbę przewiezionych taczek ziemi.

Rywale zmierzyli się wrogimi spojrzeniami.

– Nie dasz rady, urzędasie – burknął Filuś, pewny swego zwycięstwa.

W przeciwieństwie do Teofila, który sprawiał przy nim wrażenie wątłego, miał mnóstwo krzepy. Liczył na to, że swą siłą zaimponuje Trzosównie i, kto wie? Może rozmiękczy jej serce? Na cóż bowiem dziewczynie cherlak, który nie zna roboty? Z takiego nie będzie miała żadnego pożytku. Klemens wciąż powtarzał, gdy zachodził do karczmy, że brak mu w obejściu parobków. Na pewno przychylniejszym okiem spojrzałby na zięcia, który wraz z innymi stanie latem do kośby czy do żniw i któremu niestraszna znojna robota, niż na elegancika potrafiącego jedynie przekładać papiery na biurku.

– No, szykujcie się – powiedział Gabriel.

Ziemię przywożono na furmankach z różnych stron, głównie z kościelnej parceli. Trzeba ją było przeładować na taczki, czym

zajmowali się osobni robotnicy, a potem wypchnąć po specjalnym podeście na rosnący w oczach kopiec.

Mężczyźni zakasali rękawy koszul. Jeden i drugi splunął na dłonie, by mieć lepszy uchwyt.

– Tylko bez szaleństwa – napomniał ich Gabriel. – Tu nie chodzi o wyścig z czasem, ale o to, by jak najwięcej ładunku dostarczyć na górę. Liczą się pełne taczki, więc bez oszukaństwa, ładować wam mają po równo.

Jacenty wziął się do pracy ostro. Na samym starcie zamierzał utrzeć nosa Teofilowi i pokazać mu, że potrafi zrobić więcej i szybciej. Bo czas, wbrew pozorom, także miał znaczenie. Należało zdążyć przed zachodem słońca. Kto będzie pracował opieszale, ten mniej razy zostanie odnotowany przez Zalipiaka.

Teofil obrał inną strategię. Nie miał zamiaru się spieszyć, by nie opaść z sił nazbyt prędko. W przeciwieństwie do rywala nie zdjął z głowy kaszkietu. Przewoził załadunek metodycznie, wciąż w tym samym tempie, pozwalając sobie na krótkie chwile wytchnienia, podczas których gasił pragnienie. Wszak mozolili się w pełnym słońcu.

– Co? Jużeś spuchł? – zakpił Filuś, przemykając obok niego z kolejnym pełnym załadunkiem.

Teofil zgrzytnął zębami, lecz nie dał się sprowokować. Musiał zachować siły aż do zmierzchu. Wiedział, że na razie to przy nazwisku Jacentego doktor postawił więcej kresek. Ale za każdym razem, gdy mijał posterunek Zalipiaków i Trzosówny, słodki dziewczęcy uśmiech wynagradzał ponoszone wysiłki i sprawiał, że u ramion wyrastały mu skrzydła. W pewnym momencie zwrócił uwagę na to, że ilekroć w to samo miejsce docierał Filuś, Józia odwracała głowę lub zachowywała obojętny wyraz twarzy. *Dobra nasza, życzliwość panny to połowa sukcesu* – pomyślał, choć zbłaźnić się nie zamierzał.

Po dwóch godzinach pracy Jacenty zdecydowanie prowadził. Ale po nim też bardziej znać było zmęczenie, choć nadrabiał miną i jeszcze próbował dokuczyć przeciwnikowi. Słońce mocno pochyliło się ku

zachodowi, lecz do nocy pozostawało jeszcze mnóstwo czasu. To była pora najdłuższych w ciągu roku dni i krótkich, parnych nocy.

Teofil martwił się, że być może popełnił błąd, pracując w zbyt wolnym tempie. Tylko patrzeć, jak strażacy z orkiestry dadzą sygnał do zakończenia roboty. Wiedział, że być może nie zdoła już nadrobić zaległości. Ponownie przegra z Filusiem. Mimo to wskrzesił w sobie jakieś dodatkowe pokłady energii, która pozwoliła mu na wykonywanie żwawszych ruchów.

W tym samym czasie Jacenty wyraźnie zaniemógł. Promienie akurat poraziły go w oczy, gdy niefortunnie podskoczyły mu taczki na wybojach. Zrobił gwałtowny uskok, by się nie przewrócić, i nagle zapadła ciemność.

– Panie doktorze! Panie doktorze! Ochotnik nam zasłabł! – Momentalnie rozległo się wołanie innych robotników.

Zalipiak, widząc, co się dzieje, przekazał swe notatki Wiktorowi, który na koniec dniówki zajechał na plac budowy, by przyjrzeć się postępom. Wytłumaczył mu, że ma stawiać kreski przy nazwisku Wielgusa za każdym razem, gdy ten zjedzie na dół z kopca, a sam ruszył z pomocą Filusiowi.

Tego dnia nie udało się rozstrzygnąć konkurencji, gdyż w czasie, gdy Jacenty dochodził do siebie, Teofil zdołał wyrównać liczbę przewiezionych załadunków. A potem odtrąbiono koniec roboty.

Przeciwnicy uścisnęli sobie dłonie.

– Załatwimy to innego dnia – wysapał bezgranicznie wściekły Filuś. – Nie myśl sobie, że tak łatwo odpuszczę. A do gospody u nas nawet nie zaglądaj – syknął tak cicho, że usłyszeć go mógł wyłącznie Wielgus – bo możesz stracić zęby.

Potem odwrócił się i odszedł jak niepyszny. Wcale nie miał ochoty na kolejne mierzenie się z tym urzędasem. W polu było dość roboty, nie chciał marnować sił po próżnicy. Jedno wyzwanie przyjął, a i owszem, niech to mu będzie policzone jako zasługa dla miasta. Ale na więcej nie zamierzał się godzić. Postanowił zdobyć pannę w inny sposób.

Z Klemensem Trzosem znał się dobrze i nawet się lubili. Niejedną flaszkę okowity osuszyli wspólnie w karczmie. I już nieraz przygadywał bogaczowi, że ma w domu ładną pannę, to znowuż, że przydałby mu się w obejściu jeszcze jeden krzepki parobek. Trzosowie dom mieli duży, pomieściłaby się w nim niejedna rodzina. Gdyby oddali mu rękę Józki, zostałby u nich i wspólnie by gospodarzyli. Napomykał o tym półgębkiem, Klemens zaś nigdy nie dał mu odczuć, że jest temu przeciwny. Kiedyś nawet wspomniał, że byłby mu rad, bo przecież sąsiadują ze sobą gruntami. Dodatkowym atutem Jacentego było to, że zdążył już odbyć służbę w cesarskim wojsku, więc nie groził mu asenterunek[56]. Być może więc, gdyby Jacenty posłał swatów, to zostaliby przez Trzosa życzliwie przyjęci. Panna, nawet jeśli się na początku trochę pokrzywi, będzie musiała ulec woli rodziców. Nie ona pierwsza i nie ona ostatnia.

Jak poślubi, to polubi – pomyślał.

Na co czekać?

Mógłby się ożenić choćby zaraz, jeszcze przed żniwami. Wniósłby do areału parę mórg gruntu, które ojciec już dawno obiecał mu zapisać.

***

Z początkiem lata do dworku Branickich przyjechali krewni z Krakowa. Właściwie dotarli tylko Juliusz z Augustą, ponieważ Gerard i Matylda zajęci byli własnymi sprawami. Syn Parnickich miał w zastępstwie ojca dopilnować rodzinnego interesu, natomiast Matyldę pochłaniała praca w szpitalu oraz ochronce dla sierot, w której udzielała się charytatywnie.

– Stara panna! – utyskiwała Filomena pod adresem chrześnicy. – Teraz ubzdurała sobie, że nie potrzebuje męża i dzieci, a później, na starość, będzie samotność i płacz.

– Ech, Filutko! Współcześni młodzi chcą żyć inaczej. Dziewczęta marzą o nieograniczonym dostępie do edukacji, równouprawnieniu

i prawach wyborczych.

– Za naszych czasów to było nie do pomyślenia. – Branicka wydęła usta. – Naczelnym obowiązkiem kobiety jest dbałość o ciepło domowego ogniska.

– Matylda, niestety, woli pracować – odparła Augusta, bawiąc się emaliowanym wisiorkiem w kształcie pawia. Nie spojrzała w oczy szwagierki z obawy, że dostrzeże w nich przyganę. *Z wiekiem Filomena staje się koszmarnie radykalna* – stwierdziła w duchu.

– Ależ oczywiście. Ciekawe tylko, kto będzie rodził i wychowywał dzieci, jeśli wszystkie pójdziemy do pracy? Czyż prowadzenie domu nie jest wystarczająco czasochłonne? A dzieciaki, gdy spuścić je z oczu, skore są do popełniania różnych głupstw – prychnęła, mając na myśli własną córkę, która uparła się, by wyjść za mąż za prostaka, czego mimo upływu lat Filomena nie potrafiła zaakceptować.

– Droga siostrzyczko – Juliusz postanowił trochę zmitygować jej zapędy – przecież nikt nie mówi, że damy muszą zarabiać na swoje utrzymanie. Chodzi o to, aby otrzymały prawo wyboru i same decydowały o swym losie. Aranżowanie małżeństw jest niemoralnym przeżytkiem. Zamykanie pań w czterech ścianach i sprowadzanie ich wyłącznie do funkcji matek i żon też jest nieracjonalne. Niejedna dama ma umysł tak wybitny, że grzechem byłoby marnować jego możliwości. Taka Maria Skłodowska-Curie chociażby! Ilu mężczyzn chciałoby mieć na koncie tyle osiągnięć, co ona! Nie przyznaje się Nagrody Nobla ot tak. Na to trzeba geniuszu! A Maria otrzymała dwukrotnie zaszczytne wyróżnienie! Jej zasługi na polu nauk przyrodniczych są nieocenione! – mówił zapalczywie. Bronił w ten sposób nie tylko dość niesfornej latorośli, ale również wielu innych pań, które zasługiwały na swobodne stanowienie o swym życiu.

– Ja także popieram działania sufrażystek – oznajmiła z onieśmieleniem Augusta. – Pomyśl, Filomeno, czy nie byłoby sprawiedliwie, gdybyśmy mogły swobodnie studiować, zajmować się

tym, co jest dla nas ważne, a przede wszystkim oddawać głosy w wyborach i decydować o losach narodu?

– O czym ty mówisz? – westchnęła ciężko Parnicka. – Jakiego narodu? Od blisko stu dwudziestu lat nie ma naszego kraju na mapach. Nie my decydujemy o sobie, lecz Petersburg, Wiedeń i Berlin. Jestem głęboko przekonana, że tak długo, jak długo przebywamy w zniewoleniu, nie ma mowy o żadnej emancypacji. Wątpię, by którykolwiek z rządów pochylił się nad tak mało ważnym dla nich problemem.

– Ale to jest problem, sama użyłaś tego słowa – zauważył brat.

Marcel milczał. Zdążył się już przekonać, że do ślubnej nie docierają żadne racje. Żyła w świecie własnych prawd i zasad, odporna na cudze argumenty. Kiedyś Filomena zdawała się mieć otwarty umysł. Teraz ewidentnie skostniała w poglądach.

***

Swatowie przyszli bez zapowiedzi. Czasami się to zdarzało, choć przeważnie uprzedzali o swych zamiarach rodziców. W niedzielne popołudnie pojawili się we dwóch, obydwaj znani Trzosom z tego, że kojarzą ludzi w pary małżeńskie. Z góry wiadomo było, że chodzi o Józię, a nie o czternastoletnią Helcię czy o Ignacego, choć zdarzały się przypadki badania gruntu i samodzielnego poszukiwania kandydatów do ożenku.

Dwudziestojednoletni chłopak miał już jednak na oku panienkę.

Ku zaskoczeniu Klemensa i Elżbiety oraz ukontentowaniu babci Dominiki, która próbowała choć trochę zaszczepić w krewnych wartości wyznawane przez Bernadetę, młodzieniec upatrzył sobie córkę zaściankowego szlachcica, krewną Parnickich, siedemnastolatkę dość ubogą, lecz wychowaną tak, jak przystało na pannę z dobrego domu. Co ciekawsze, bliscy Elizy zdawali się przychylni takiemu konkurentowi, przyjmując go nader życzliwie. Między wierszami padły już pierwsze wzmianki o możliwym ślubie i wiele wskazywało na to, że jedynymi

przeszkodami do zawarcia związku są: wiek dziewczyny oraz wisząca nad głową kawalera perspektywa służby wojskowej. Leśniewiczowie pragnęli, by córka, wychodząc za mąż, liczyła przynajmniej osiemnaście lat, choć małżeństwa pannic w jej wieku czy nawet młodszych nie były niczym nadzwyczajnym. Nie chcieli też, by wiązała się z kawalerem, o którego lada moment może upomnieć się wojsko, by czasami nie została w domu sama z pęczniejącym brzuchem. O planach matrymonialnych Trzosa mawiano dość dużo wśród ziomków. Dla niektórych był to dowód, że odzyskująca niegdysiejszą świetność rodzina kmieci znowu zaczyna liczyć się w cyrkule, a aspiracje nie zostały pogrzebane wraz ze śmiercią Prokopa i Bernadety, o których wciąż w Niepołomicach i okolicy krążyły mniej lub bardziej prawdziwe opowieści.

– Zapraszam do salonu. – Klemens Trzos postanowił godnie przyjąć swatów, choć trudno mu było odgadnąć, przez kogo zostali przysłani. Kawalerów, którzy mogliby być zainteresowani Józią, znalazłoby się sporo. Zależało mu więc, by pokazać, że córka nie jest pierwszą lepszą dzierlatką i za byle kogo nie zamierza jej wydawać.

Filip i Eustachy rozsiedli się na fotelach. Jeden i drugi usiłował zachować nieodgadniony wyraz twarzy. Bawialnia w małym dworku robiła jednak na nich wrażenie, ponieważ częściej zaglądali do chat krytych strzechą niż pod czerwoną dachówkę pochodzącą z fabryki Wimmera. Już samo to było dowodem, że sytuacja materialna Trzosów uległa w ostatnich latach znaczącej poprawie. Mało kogo było stać na podobne zbytki. Nie wiedzieli jednak, że wydatek na wymianę dachu był koniecznością spowodowaną tym, że przed rokiem nad okolicznymi wsiami przeszła gwałtowna burza, która ciężko uszkodziła poprzednie pokrycie. Pieniądze na ten cel podarowała Klemensowi Dominika. Pochodziły z łupów zbójeckich Wojciecha, które trzymała dobrze ukryte, z myślą albo o posagach dla wnuczek, albo o podobnych, niespodziewanych wydatkach.

Czas był żniwny, więc zapewne gdyby nie padający deszcz, swatowie nie zastaliby w domu Trzosów, którzy czasami również i przy niedzieli musieli wychodzić w pola. A jeśli ich nie piliło z robotą, to zwykle o tej porze spacerowali, odwiedzali bliskich lub udawali się do karczmy na tańce. Józia albo przepadłaby gdzieś z koleżankami, albo także byłaby w gospodzie. Okoliczności zatrzymały ich jednak na miejscu.

Gdy przyszli niespodziewani goście, panienka zerwała się, by przygotować dla nich poczęstunek. Przeczucie podpowiadało jej, że powinna mieć na podorędziu czarną polewkę, lecz jak na złość w domu nie było czerniny. Wątpiła bowiem, czy swatowie przyszli w imieniu Teofila, który w jej odczuciu był zbyt honorowy na to, aby czynić podchody, nie rozstrzygnąwszy wpierw rywalizacji z Jacentym, choć ona osobiście uważała jej wynik za nieważny. Nie odmieni swego serca tylko dlatego, że wuj wymyślił sposób na pogodzenie ze sobą konkurentów. Ona już dokonała wyboru, a z każdym mijającym dniem utwierdzała się w przekonaniu, że coś, co wcześniej traktowała z pewnym wyrachowaniem, powoduje mocniejsze i żywsze uderzenia serca.

Gdy weszła do bawialni, niosąc ze sobą kawę oraz kołacz, mężczyźni zdążyli się na tyle rozluźnić, by na stole stanęła flaszka okowity. Na razie toczyła się dość swobodna rozmowa. Po wymianie mnóstwa niezobowiązujących uwag i komentarzy oraz osuszeniu butelki Eustachy wyjął zza pazuchy kolejną. Rozlał alkohol do kieliszków.

– Panie gospodarzu – zwrócił się oficjalnie do Klemensa. – Miło jest pogwarzyć przy wódeczce, ale jak się zapewne domyślacie, nie bez przyczyny ją popijamy. Otóż przychodzimy tutaj w imieniu pewnego zacnego kawalera, który zainteresowany jest powabną panną Józią.

– Tak? – Elżbieta udała zdziwienie. – A któryż to zamierza starać się o rękę mojej córeczki? Bo Józia, szanowni swaci, sroce spod ogona nie wypadła. Posażna jest, wiano ma piękne, zresztą wciąż haftuje wyprawę. – Wskazała dłonią odłożony na stolik tamborek.

– A jużci! Dobrze wiemy, że nie lada to panna, bo i urodna jest, i postawna, i kształcona. A i robotna także – dodał na ostatek Filip, choć doszły go słuchy, że panna Trzos chętnie wyręcza się służbą, do obory czy chlewu w ogóle nie raczy zaglądać, a i w polu pracuje dość opieszale, jakby bała się, że zniszczy sobie rączki. Zwyczaj jednak nakazywał pochwalić jej walory, a jemu na myśl nie przychodziło nic mądrzejszego.

– Nasza Józia gotuje, że palce lizać. Wypieka najlepsze kukiełki. A igłą potrafi tak śmigać, że niejedna wielka dama mogłaby pozazdrościć jej tej umiejętności. Miła z niej dzieweczka w obyciu, czuła, troskliwa i opiekuńcza. – Matka uznała za stosowne wymienienie zalet kandydatki do stanu małżeńskiego. – W przyszłości ani świekrzy, ani jej mąż nie będą mieli powodów do narzekania.

Józia irytowała się, słuchając jej słów, jednak taktownie zachowywała milczenie. W głowie miała artykuły, które na ten temat przeczytała w „Bluszczu", więc na wszelki wypadek zachowywała powściągliwość. Nie chciała zaprezentować się negatywnie, gdyby jakimś cudem swatów przysłał Teofil.

Och... traktują mnie jak kobyłę na targu. Szkoda, że nie zajrzą mi w zęby – zżymała się w duchu, czując na sobie taksujące spojrzenia mężczyzn. Siedziała jednak potulnie, ze spuszczonymi skromnie oczętami utkwionymi w robótce, po którą sięgnęła przed momentem.

– A w imieniu jakiegoż to kawalera przyszliście? – zapytał w końcu gospodarz.

– Ano takiego, który robotny jest jak mało kto. Do czego się zabierze, w rękach mu się pali. Krzepki z niego parobek, rzekłbym nawet, że chłop jak tur. W waszym gospodarstwie to byłby prawdziwy skarb. Gorzałki dużo nie pije, pobożny jest. Ot, i do tańca, i do różańca. Żonka będzie miała z niego pociechę nie tylko w obejściu. Niejedna za nim oczy wypatruje, lecz on żadnych panien nie chce znać, tak sobie Józię upodobał – odparł enigmatycznie Eustachy.

– Gospodarski syn? Majętny? – drążył rzeczowo Trzos.

– Jego familia zalicza się do przeciętnych, lecz zważcie, zacni gospodarze, że gdyby doszło do małżeństwa, przybyłby pod waszym dachem parobek na schwał. A i córcię mielibyście pod bokiem, bo nasz kawaler chętnie przyżeni się do gospodarki. Nie chce, by wasze włości rozdrabniać. Co od ojca dostanie, chce uprawiać wspólnie z wami.

– Krótko mówiąc, golec – skwitował pan domu.

– Ale po co od razu takie wielkie słowa? Golec z niego nie jest, bo kilka mórg otrzyma. Wniósłby je do wspólnego gospodarowania, nie czekałby, żebyście od razu wydzielili mu to, co Józi należne. Dopiero w przyszłości zapisałby wszystko na dziatki. Zdałby się na wasze rządy. Przecież wam, Klemensie, wciąż brakuje ludzi. Z niego mielibyście dość wyręki.

– Nasza Józia jest wypieszczona – wtrąciła się Dominika. – Cóż jej z takiego kawalera?

– Świekra rzecze prawdę – poparła ją Elżunia. – Moja córka za pierwszego lepszego nie pójdzie. Co to: nie jest warta tego, żeby być panią u siebie, miast siedzieć kątem pod bokiem brata? Wszak u nas dawno zostało postanowione, że Ignaś zostanie na ojcowiźnie, Józia i Helcia pójdą dobrze za mąż, a Stefusia chcemy kształcić na urzędnika.

Filip i Eustachy spojrzeli po sobie. Spodziewali się trudności, bo Trzosowie byli majętni i siłą rzeczy wynosili się ponad innych.

– A może po prostu zapytajmy pannę Józię, co o tym myśli – zaproponował Eustachy. – Może w dziewczęcym sercu nasz kawaler zajmuje znaczące miejsce?

Trzosówna uniosła wzrok i rezolutnie na nich spojrzała.

– A cóż ja mogę powiedzieć, skoro nawet nie wiem, o kogo chodzi?

– Ano to czas, byśmy powiedzieli, że o naszym kandydacie śni niejedna dziewoja.

Jeszcze trochę i stracę cierpliwość – westchnęła. Była głęboko przekonana, że swatom nie chodzi o Teofila, bo nawet słowem nie nadmienili, by ów tajemniczy osobnik pracował jako urzędnik. Mimo wszystko czekała

cierpliwie na ujawnienie nazwiska absztyfikanta, panując nad emocjami.

– Ano to pewnie panna będzie musiała przyznać, że nie ma w okolicy kawalera równie pociągającego dla panien co Jacenty Filuś – odparł w końcu zadowolony z siebie Eustachy.

– Filuś? – Elżbieta się skrzywiła. – Toć z takim tylko kłopot, bo baby nie dadzą mu spokoju. A poza tym on za bardzo lubi gospodę!

– Filuś? – Klemens się zamyślił, bowiem on znał tego chłopaka od jak najlepszej strony. I faktycznie rad byłby mieć kogoś takiego pod swym dachem na stałe. Dla niego propozycja swatów wcale nie była niedorzeczna. Miejsca w domu miał dość, by mogło w nim żyć więcej rodzin.

– Filuś? – prychnęła pogardliwie Dominika. – Moją wnuczkę stać na lepszego absztyfikanta. Choćby i samego panicza.

– Filuś… – jęknęła najbardziej zainteresowana tematem, załamując ręce.

– No to jak będzie, panno Józiu: napije się panna z nami gorzałki? – zagadnął Filip, wyciągając ku niej dłoń z napełnionym kieliszkiem.

– A musi od razu decydować? – zapytał Trzos, który wolałby w spokoju przemyśleć sytuację i albo nakłonić córkę do zamążpójścia, albo wybić jej z głowy takiego narzeczonego.

– Tatku… nie ma nad czym myśleć – odparła tymczasem panna, przyjmując od swata okowitę.

– Chcesz przepić? – zdziwiła się babcia.

Kilka par oczu z napięciem spoglądało na młodą. Ta powiodła wzrokiem po zgromadzonych, a następnie zrobiła energiczny ruch nadgarstkiem, wylewając zawartość na podłogę.

– Nie przepiję – odparła – bo nie myślę wydawać się za Jacentego Filusia. Ani on nie jest bliski mojemu sercu, ani rozsądek mnie do tego nie skłoni. A przymusić się nie dam – dodała hardo, nie pozostawiając cienia wątpliwości gościom.

Dominika i Elżunia odetchnęły z ulgą. Klemensowi było trochę szkoda, że córka nie przemyślała głębiej swej decyzji, ale nakłaniać jej nie chciał, choć Jacentego doceniał i lubił. *Młoda jest, jeszcze przyjdzie na nią czas. Może faktycznie matka ma rację, mówiąc, że Józia winna wysoko mierzyć?*

– Cóż jeszcze rzec? – powiedział. – Ja córki przymuszać nie będę. Jej wola.

***

Plotki o niefortunnych podchodach Jacentego szybko obiegły okolicę. Dotarły i do Teofila, któremu od razu serce mocniej zabiło. Upatrywał w tym szansy dla siebie i nie zamierzał dłużej odkładać posyłania swatów do Józi. Skąd mógł wiedzieć, co będzie jutro, pojutrze, za tydzień?

Na świecie wrzało niczym w ulu. Początek nowego wieku przynosił wciąż nowe awantury wywołane walkami o dominację. Nawet w Galicji mówiono o tym, że Niemcy szykują się na konflikt zbrojny z Anglią oraz Francją, szukając sojuszników wśród Austriaków i Włochów. Wiedeń niepokoił się sytuacją na Bałkanach i rosnącymi w siłę Serbami. Przez tamten region przetoczyła się niedawno jedna wojna, a po krótkotrwałym pokoju wszczęto kolejną. Tę na szczęście szybko zakończono, lecz zanosiło się na to, że niebawem dojdzie do następnych dramatycznych wydarzeń, ponieważ politycy zachowywali się niczym stado pobudzonych szerszeni.

Obserwując to wszystko, młody urzędnik postanowił, że przynajmniej spróbuje zaklepać sobie rękę Józi – to na wypadek, gdyby i jego powołano do wojska. Do tej pory szczęśliwie unikał poboru, lecz Austriacy już od dłuższego czasu mobilizowali siły. I choć Jacenty Filuś odgrażał mu się kiedyś, by nie zachodził do gospody w jego rodzinnej wsi, przekorny Teofil poszedł tam pewnej lipcowej niedzieli. Ku swej radości wśród zgromadzonej ciżby wypatrzył Józię. Siedziała wraz z koleżankami, gawędząc. Wokół nie brakowało parobków, którzy

przepijali do młódek. Filusia szczęśliwie nie było, być może nie chciał się wystawiać na pośmiewisko jako odtrącony adorator.

– Panno Józiu, zechce panna pójść ze mną w tany? – Wielgus skłonił się przed Trzosówną akurat wtedy, gdy grajkowie zaczęli mazura.

– Z przyjemnością, panie Teofilu – uśmiechnęła się, podając mu rączkę tak białą, że nie powstydziłaby się jej nawet dobrze urodzona dama.

– *Jeszcze jeden mazur dzisiaj, / Choć poranek świta, / Czy pozwoli panna Krysia?", / Młody ułan pyta. / I niedługo błaga, prosi, / Bo to w polskiej ziemi, / W pierwszą parę ją unosi, / A sto par za niemi*[57] – podjął tubalnym głosem młody organista, który przed rokiem objął przekazywane z pokolenia na pokolenie stanowisko. Gdy nie chwalił pieśnią Pana Boga, przygrywał parom tańcującym w gospodzie. A piosenki znał takie, jakich nikt wcześniej tutaj nie wykonywał, bowiem jako pierwszy z rodziny Bednarków kształcił się w szkole, gdzie nauczono go nie tylko nut, ale wielu innych przydatnych rzeczy.

Teofil z zachwytem spoglądał na tańczącą z gracją partnerkę. Tonął w jej brązowych oczętach, marzył o pokosztowaniu słodyczy ust. Podobała mu się jej wiotka sylwetka oraz długaśne, ciemne warkocze.

Pląsająca para przyciągała chytre spojrzenia starszych gospodyń, od dawna spekulujących, za kogo Trzos wyda swoją starszą córkę. Niejedna z chłopek, jak choćby Filusiowa, miała w obejściu kawalera w odpowiednim wieku, w związku z czym marzyła o takiej sneszce. Bo choć o pannie Józi mawiano, że nie garnie się do roboty w gospodarstwie, bo żal jej niszczyć rączki, to jednak posag, jakiego można było się spodziewać, byłby łakomym kąskiem.

– *Za Krakowem brama malowana/ A stoi tam luba zapłakana / Stoi, stoi, ręce załamuje / bo jej miły do wojska rokuje*[58] – zaśpiewali rzewnie grajkowie, ponownie przypominając ludziom zgromadzonym w karczmie o widmie wiszącym nad głowami parobków.

Ciemne oczęta Józi momentalnie wypełniły się łzami. Zdjął ją bowiem strach, że faktycznie wybuchnie wojna, zabierając jej kawalera, nim ten zdąży przysłać do niej swatów.

– Panno Józiu, a może wyjdziemy na krótką przechadzkę pod rozgwieżdżonym niebem? Zaduch tutaj straszny – zaproponował Wielgus, na co przystała z radością.

Daremnie szukali ochłody. Noc była duszna i gorąca.

Nie oddalali się od karczmy, by plotkarze nie wzięli ich na języki. Przeszli tylko kawałek gościńcem.

– Wojną nas straszą, panno Józiu.

– Może skończy się na straszeniu? – westchnęła zmartwiona dziewczyna.

– Raczej nie. Austriacy werbują do wojska. Zresztą od ubiegłego roku i nasi zwierają szeregi. Nie na darmo powstały Drużyny Polowe „Sokoła" z Józefem Hallerem[59] na czele.

– Pan też do nich należy?

– A jakże! Jeśli przyjdzie do wojny, pójdę z innymi. Może w końcu zdołamy wywalczyć wolną Polskę.

– Nie boi się pan ryzyka?

– Tylko głupcy nie odczuwają strachu, lecz bezczynnie tkwić w domu niepodobna, gdy na świecie tak dużo się dzieje. Samemu sobie bym nie darował, choć oczywiście serce wolałoby zostać w Niepołomicach. – Spojrzał na nią znacząco.

– A to pięknie, panie Teofilu – odparła z podziwem. W gospodzie sporo nasłuchała się rozmów na ten temat. Jedni parobkowie, żądni przygód, rwali się do bitki i marzyli o tym, by wybuchła wojna. Inni, ceniący błogość niepołomickiej prowincji, martwili się, by nie przymuszono ich do pójścia w bój. Ignacy skłaniał się do pozostania w domu, w przeciwieństwie do osnutego legendami dziadka Wojciecha nie odczuwał żądzy przygód. – Ale naprawdę nie żal byłoby panu odjeżdżać?

– Owszem, byłoby szkoda, myślami i tak wciąż pozostawałbym tutaj, przy pannie – odważył się w końcu. – Ech… Panno Józiu… Gdyby mnie panna zechciała! Z dobrym słowem w pamięci walczyłbym tak, jakbym miał skrzydła u ramion.

– Mocno pan wierzy w wojnę – zauważyła.

– Ano wierzę. Czytam prasę każdego dnia. Być może my, Polacy, staniemy niebawem przed niepowtarzalną szansą, by zrzucić jarzmo niewoli. A wtedy potrzebny będzie solidny wysiłek…

– I ofiary – weszła mu w słowo.

– I ofiary – przyznał. – Chciałbym jednak, nim wybije godzina próby, przeżyć choć jedną chwilę upajającego szczęścia. Panno Józiu… – urwał. Zatrzymał się i uścisnął jej dłoń.

– Tak, panie Teofilu?

– Panna jako jedyna mogłaby mnie uszczęśliwić. Opromienić mój świat niczym słońce stojące na niebie i sprawić, bym miał powód i do walki, i do zwycięskiego powrotu.

– Doprawdy? – zapytała zdławionym emocjami głosem.

– Czyż nie dałem wyrazu moich pragnień, skacząc w noc świętojańską w nurty Wisły za wieńcem puszczonym na wodę przez pani dłoń? Nigdy sobie nie wybaczę, że pozwoliłem na to, by trofeum przypadło konkurentowi. Ani tego, że przy sypaniu kopca nie pokonałem rywala. Dokładałem starań, by w panny oczach udowodnić moje zaangażowanie, lecz zawsze o włos wyprzedzał mnie ktoś inny.

– Ale pewnie pan słyszał, że ten sam człowiek dostał u mnie arbuza.

– Tak, słyszałem – przyznał. Przycisnął jej dłoń do swej piersi. – Czuje panna ten łomot?

– Czuję – odparła. – Pana serce uderza tak mocno i szybko!

– Bije tak właśnie przy pannie. Przy żadnej innej nie jest równie niespokojne. Zapadłaś mi, panno Józiu, w myśli tak mocno, jak tylko jest to możliwe. Powiedzże mi, dziewczyno – bez ceregieli przeszedł do mniej oficjalnej formy – czy dla moich swatów też miałabyś arbuza?

– Gdyby przyszli do mnie swatowie od pana Teofila, to nie rozlałabym okowity.

– Odpiłabyś?

– Odpiłabym.

– Ach, Józiu, Józiu! I zechciałabyś być moją?

– A jakże – wyszeptała.

Mimo otaczającego ich mroku zaglądali sobie w oczy z uczuciem.

– W takim razie przyślę swatów do twych rodziców, by się im pokłonili w moim imieniu.

***

Mrok nocy spowijał mieszkanie Teofila. Mężczyzna leżał w łóżku, tuląc do piersi świeżo poślubioną żonę. Kilka minut wcześniej łączyły ich miłosne uściski, teraz odpoczywali, szepcząc do siebie czułe wyznania.

– Gdybyś zniknęła z mojego świata, żoneczko, umarłbym z żalu i nie miałbym po co żyć. Tak mi z tobą dobrze, że chciałbym, aby ten moment trwał w nieskończoność.

– I ja zatrzymałabym czas, gdybym mogła, mój miły. Boję się, że zaraz wpadniemy w szalony wir dnia codziennego, pochłonie nas praca i prozaiczne troski. Ale to nic, bo przy tobie żadna chwila nie może być przykra. Wiesz, czego najbardziej się obawiam? – zapytała, kreśląc opuszką na jego torsie esy-floresy.

– Powiedz: czego? Może zdołam jakoś rozproszyć twoje lęki?

– Na ten lęk nie ma lekarstwa. Boję się wojny, którą wciąż nas straszą.

– Prędzej czy później musi do niej dojść – stwierdził ze smutkiem.

– Wiem. Żal będzie się rozstać. Bo pójdziesz walczyć, prawda?

– Tak, Józieńko. Jeśli będzie trzeba, pójdę z innymi – odparł. – Nie mógłbym zostać w domu, obojętny na ojczyste sprawy.

– Chociaż bardzo cię kocham, nie będę cię zatrzymywała. To byłoby niegodne – westchnęła.

– Dzielna dziewczynka. Gdy odjadę, w myślach będę nosił twój obraz. Pamięć o naszych wspólnych przeżyciach doda mi skrzydeł, gdy przyjdzie czas próby. Ale nie myślmy teraz, kochana, o czymś, co jeszcze przez jakiś czas nas nie dotyczy. Daj mi lepiej całusa. To najlepsza słodycz, jakiej kiedykolwiek zaznałem.

Podciągnęła się na łokciu, by go pocałować. Ponownie zatonęli w miłosnych uściskach z pasją i ogniem godnym nowożeńców, dla których świat zaraz ma się skończyć.

– Moja ukochana. Moja na wieki – szeptał mężczyzna wśród uniesień.

Miłość to nie kaprys i zabawa, lecz coś poważnego, łączącego dwa serca i ciała na zawsze – przemknęło przez myśl Józi.

Kiedyś wydawało jej się, że najważniejsze jest wybranie odpowiedniego kandydata, który zapewni jej godne życie, by nie musiała ciężko pracować. Teraz wiedziała, że o wiele ważniejszy jest związek dusz. Coś, co miało być racjonalną decyzją, okazało się największym szczęściem, jakie mogła sobie wymarzyć.

Zawładnął nią bezmiar uczucia.

Rozdział 9.

Pożoga

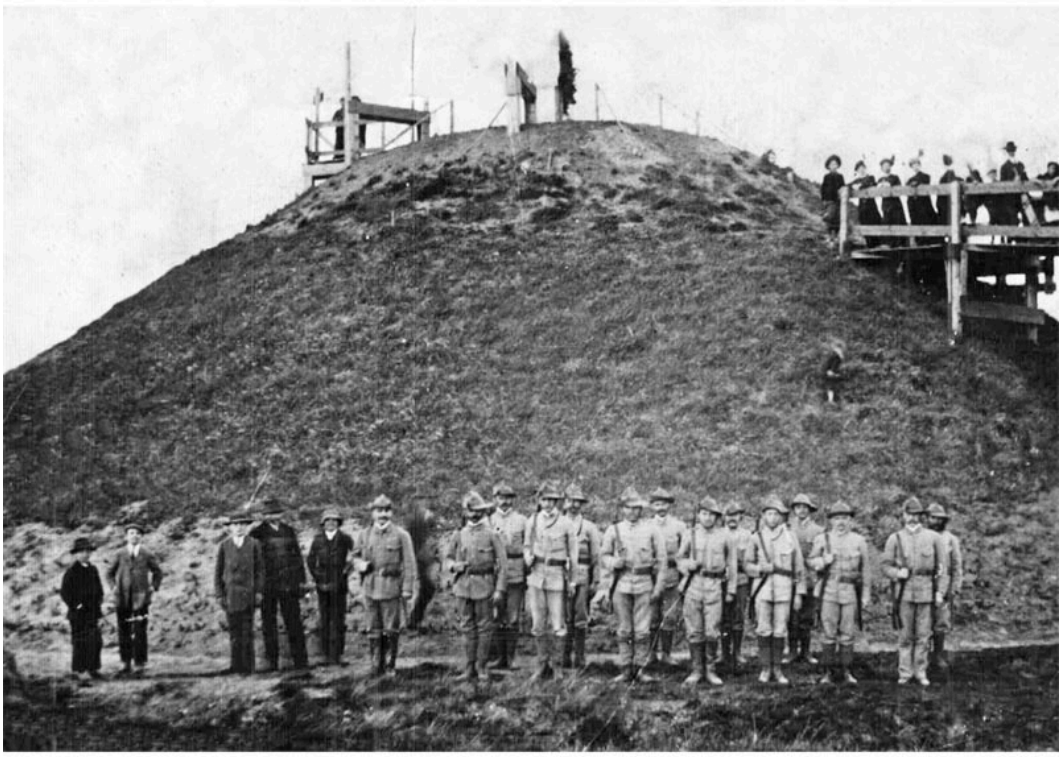

Legionioniści Niepołomic z I Kompanii Kadrowej
przed wymarszem na krakowskie Oleandry.
W tle niedokończony Kopiec Grunwaldzki

Rok 1914

– Bieda, chłopy! Będzie dodatkowy pobór! – ryknął Wincenty Skoczylas, wpadając z impetem do karczmy. Za nim przybiegła Magda, nie mniej przejęta niż ślubny.

– Co wy gadacie, Wicku? – zdziwił się Edek Karpiel, stały bywalec gospody. Odkąd uległ poważnym poparzeniom podczas gaszenia pożaru puszczy, do Mojsiejowiczów zaglądał wyłącznie po to, by pogwarzyć z ziomkami i popijać gorzałę. Dzierlatki, które wcześniej wprost lgnęły do niego, teraz umykały przed jego wzrokiem, bowiem po oparzeniach zostały mu szpetne blizny.

– Byłem ja w Niepołomicach na targu i na własne uszy słyszałem, jak rozprawiali między sobą ułani, że skoro cysorz Franciszek Józef wypowiedział kilka dni temu wojnę Serbom, to trza robić jeszcze jeden asenterunek.

– Też mu się zachciało wojaczki, kosztem naszych parobków – burknął jakiś chłopina. – Co nam do Serbów?

– Nic dziwnego, że każą również nam z nimi walczyć, skoro to właśnie Serb, Gavrilo Princip[60], zamordował następcę tronu. Wielki z tego dramat dla cysorza, bo najpierw rodzony syn palnął sobie w łeb, a teraz zginął bratanek, który miał być jego sukcesorem. Mocarstwo chwieje się w posadach – stwierdził Klemens Trzos, który był dość dobrze obeznany z sytuacją polityczną. Czytał na bieżąco gazety, a i chętnie dyskutował na ten temat z kuzynem Gabrielem, który, choć znacznie młodszy, był człowiekiem światłym i zawsze znał najświeższe nowiny. – Ale ja osobiście Serbom się nie dziwię. Chcą być wolni i pragną się zjednoczyć. Teraz ich sytuacja jest nieznacznie zbliżona do naszej. Są rozdarci. Polska też jest rozczłonkowana pomiędzy zaborców

tak, jakby stanowiła trzy odrębne kraje. A przecież jedną mamy historię i wspólną tradycję. Warto byłoby do tego wrócić – westchnął.

– O, prawdę gadacie, Klemensie – sapnął Skoczylas, sadowiąc się na ławie. Pokiwał głową do Lewiego, by podano mu kufel piwa.

– Niedobrze – jęknęła Gośka Zalipiaczka. – Zabiorą nam chłopaków na zmarnowanie.

– A niedobrze – przytaknęła Skoczylasowa. – Zaczyna się żniwny czas, roboty w obejściu huk. Wojny prowadzą panowie, ale to my, biedacy, płacimy za nie najwyższą cenę.

Obydwie miały dorosłych synów, podobnie jak Klemens Trzos. Bartek, Ignacy i Franek już dawno wyrośli na parobków na schwał. Każdy z nich był silny, dorodny i krzepki. Aż strach pomyśleć, że jeden z drugim pójdzie na zmarnowanie. W to, że Austriacy zrobią dodatkowy asenterunek, nikt nie wątpił. Mało któremu chłopakowi udawało się wymigać od przymusowej służby. Obowiązkowe świadczenie na rzecz cesarstwa zabierało większości młodych mężczyzn trzy lata życia. Kto mógł, starał się od tego wykupić, lecz większość kmiecych synów z rezygnacją przyjmowała swą dolę. Nieco lżej mieli absolwenci szkół średnich, tych bowiem powoływano wyłącznie na rok. Tak było w przypadku Ignacego Trzosa, który tę powinność właśnie wypełniał.

– Ech… – stęknął Mateusz Zalipiak. – Kiedyś to było lepiej. Opowiadali mi ojciec z dziadkiem, że niegdyś łatwiej było się zwolnić ze służby, bo na każdą prowincję przypadał określony kontyngent. Kto miał trochę talarów, mógł opłacić swobodę. Dla biedaków też wiązała się z tym korzyść, bo mogli się zaciągnąć za odpłatnością w miejsce zamożniejszych rekrutów. A teraz biorą wszystkich, nie patrząc na nic.

– A jużci – poparł go Lewi Mojsiejowicz, stawiając przed Skoczylasem kufel piwa. – Naszego Dawida też pewnikiem zabiorą.

Choć to było do niego niepodobne, usiadł pomiędzy kmieciami, bo połączyła ich wspólna troska o synów i wnuków.

Zafrasowany Klemens potarł się po brodzie. Martwił się i o Ignacego, który pechowo został powołany do służby w tym wojennym czasie, i o zięcia – wystarczająco młodego i zdatnego, by posłano go na front. Przeczuwał, że żadnego nie ominie zawierucha, która zaczynała ogarniać Europę i mogła przybrać naprawdę potężne rozmiary, gdyż stron zaangażowanych w konflikt było wiele. Polacy siłą rzeczy także zostali w nią wmieszani, z chwilą gdy Józef Piłsudski otrzymał od austriackich władz wojskowych zgodę na mobilizację oddziałów strzeleckich. Wiadome było, że jeśli wybuchnie wojna rosyjsko-austriacka, polskie formacje będą działać na Kielecczyźnie, broniąc Moskalom drogi w głąb kraju. Na krakowskich Oleandrach już organizowano I Kompanię Kadrową, składającą się ze słuchaczy szkół oficerskich „Strzelca" i Polskich Drużyn Strzeleckich. Na jej dowódcę Józef Piłsudski wyznaczył porucznika Tadeusza Kasprzyckiego – oficera Związku Strzeleckiego.

Jako pierwsi wypowiedzieli wojnę Serbom Austriacy, lecz z Serbami sprzymierzona była Rosja, która od razu ogłosiła mobilizację, a to dało pretekst Niemcom do wypowiedzenia wojny carowi. Jakby tego było mało, pierwszego sierpnia wojska niemieckie wkroczyły do Luksemburga, dwa dni później wciągnięto w konflikt Francję, a następnie neutralną Belgię, co dostarczyło Wielkiej Brytanii pretekstu do wypowiedzenia wojny II Rzeszy Niemieckiej.

W karczmie podniósł się lament i zawodzenie. Już teraz wylewano łzy nad tymi, których zabierze kostucha, i nad tymi, którzy powrócą z wojny ranni i niezdatni do roboty. Płakano nad matkami, które utracą swych synów, nad babami, które przedwcześnie owdowieją, i nad małymi dziatkami, które zostaną osierocone.

– Wiecie, co jest najgorsze w tym zamieszaniu? – powiedział w końcu Klemens. – Skoro będzie się bić Rosja z Niemcami i Austriakami, to można przypuszczać, że stoczą swe boje na naszych, polskich ziemiach, bo tak im będzie najdogodniej. Po co mają tratować swoje pola, skoro myśmy są dla nich nikim? Niewolnikami. Prawdę mówią panowie

szlachta, że nie możemy pozostać obojętni nawet na to, co dzieje się daleko stąd.

Po jego słowach zapadła grobowa cisza, jakby każdy ważył w duchu przekaz Trzosa.

– No i co teraz? – jęknął Janek Filuś, który w gruncie rzeczy nie żywił pretensji do Klemensa za odesłanie z kwitkiem swatów Jacentego. Wszak sam tłumaczył wówczas synowi, że zbyt wysoko mierzy.

– Ano nic – stwierdził Edek. – Nie zapobiegniemy temu, zbyt słabi jesteśmy, by stawić opór.

– Mamy patrzeć z założonymi rękami, jak tratują nam zboża? Jak niszczą nasze uprawy? Pewnikiem, skoro tutaj będą walczyć, zaczną też rekwirować żywność dla wojska – lamentował Zalipiak.

– Nic na to nie poradzimy, Mateuszu. – Klemens poklepał go po plecach. Dawno już nie odczuwał równej solidarności z ziomkami. Dziś, jak mało kiedy, był dla nich swój. Nie pan i nie cham, ale i nie obcy. – Słyszeliście, chłopy, o Piłsudskim? – zapytał.

Ten i ów pokiwał głową, nazwisko było im znane.

– Piłsudski organizuje nasze własne, polskie siły zbrojne. Chce u boku państw centralnych walczyć przeciwko Rosji. Najpierw powołał w Krakowie jakiś komitet[61], a teraz tworzy Legiony Polskie. Może trza pozwolić naszym synom, by do niego dołączyli i w końcu próbowali wywalczyć to, co nam niecnie wydarto sto dwadzieścia lat temu! – huknął nagle Trzos.

– Mówisz jak świętej pamięci Prokop – bąknął Bielak, człeczyna w wieku iście matuzalemowym, bo liczący już około stu lat, teść Gienki, która z dawien dawna służyła u Trzosów. – On zawsze mądrze gadał, ino człek nie zawsze go słuchał. A jakeśmy go nie słuchali, to potem srogośmy za to płacili. Tak było choćby z napaścią na Żelechowskich.

– A co to ma do rzeczy? – warknął Marcińczyk. – Żelechowskich dawno nie ma, dwór spłonął. Święty spokój zapanował, odkąd przepadło siedlisko, w którym pałętały się ich upiory.

Nigdy nie przyznał się nikomu, że to on podpalił opuszczony budynek.

Tamtego wieczoru pożar strawił do cna niewielki dworek. Potem okoliczni chłopi sami zaczęli rozbierać mur okalający pogorzelisko, bo niejeden potrzebował budulca na stajnię czy domostwo. Przyroda dokonała reszty, porastając dawny ogród, pokrywając kożuchem perzyny alejki, rozsiewając drzewka pomiędzy skruszałymi fundamentami. Puszcza oraz bagnisko szybko podchodziły bliżej, wchłaniając sukcesywnie coraz większy teren. Na razie wyrastały tam młode sosenki i brzózki – te najlepiej radziły sobie w nowych warunkach, lecz stopniowo pomiędzy nimi dawało się zauważyć dęby czy graby. Nieosuszane od lat mokradła też zagarniały kolejne piędzi ziemi. Można było przypuszczać, że następne pokolenia nie będą już potrafiły wskazać miejsca, w którym niegdyś stał dworek. A wtedy przepadnie pamięć o Żelechowskich, bowiem już teraz coraz rzadziej wspominano ich nazwiska i nie straszono dzieciaków duchami. Raczej nie zapuszczano się w tamtą stronę. Okoliczni mieszkańcy robili wszystko, by zapomnieć o wydarzeniach z przeszłości.

Nic więc dziwnego, że słowa starego wywołały pomruk niezadowolenia.

Tymczasem niezrażony Bielak wytłumaczył:

– A to ma do rzeczy, że Klemens ma rację. Trzeba ponieść ofiarę, daj Boże, by po raz ostatni, i posłać parobków na bój. Jeśli staną u boku Piłsudskiego i odniosą zwycięstwo, to prędzej pozbędziemy się jarzma niewoli. Skończy się władza Austryjaków i cysorza, który ma nas za nic. Ja wam powiadam, chłopy: lepiej być bidokiem u siebie niż służyć takim panom!

***

Stało się tak, jak przepowiedział Klemens. Młodzi wyruszyli w bój, pozostawiając w domach płaczące matki i żony. Pojechali więc: Jacenty

Filuś, Bartosz Zalipiak i Dawid Mojsiejowicz. Franka Skoczylasa wcielono już wcześniej do armii cesarskiej. Na ochotnika zgłosił się do Legionów Polskich Teofil Wielgus, czule żegnając ukochaną Józię.

Z Niepołomic powołano do wojska austriackiego sporo mężczyzn, lecz po pewnym czasie doktor Antoni Mączyński, Marian Czuma, Andrzej Majewski, Stanisław Japa[62] wraz z wieloma innymi żołnierzami zdezerterowali, by dołączyć do Piłsudskiego.

Miasteczko częściowo opustoszało, lecz te osoby, które pozostały na miejscu, nie siedziały z założonymi rękami. Miejscowa nauczycielka, Marta Hubicka, wraz z aptekarzem Reichenbergiem oraz jego córkami, z państwem Zachariasiewiczami, innymi niepołomickimi nauczycielkami i dyrektorką szkoły Jadwigą Jarzynową[63] utworzyli Komitet Pomocy dla żołnierzy idących na front. Udzielały się w nim ochoczo panie z towarzystwa, przygotowując ciepłe posiłki dla odjeżdżających wojaków, a ich rodziny otaczając opieką.

***

Staniąteckie siostrzyczki, choć żyły głównie myślami o Bogu, dobrze wiedziały o wybuchu wojny. Ksieni klasztoru, matka Hilaria Szczerbianka[64], nie należała do osób zasypiających gruszki w popiele. Z uwagą śledziła sytuację polityczną. Nim konflikt rozprzestrzenił się po Europie, oceniła, że bliskość granicy z Królestwem Polskim stwarza dla jej podopiecznych ogromne niebezpieczeństwo.

– Ta wojna będzie przerażająca – powiedziała pewnego dnia do Zofii Trzosówny, znanej w zakonie jako siostra Otylia. – Ludzie wymyślili w ostatnich latach zbyt wiele sposobów na to, by się wzajemnie zabijać. Jeszcze nigdy żołnierze nie dysponowali równie przerażającym arsenałem. Do niedawna wojny toczone były głównie na wodzie oraz na lądzie, lecz mało było tej przestrzeni generałom. Zapragnęli zawłaszczyć dla siebie również podwodne głębiny oraz niebo.

Zbudowali czołgi i inne przerażające urządzenia. A wszystko służy mordowaniu. I w imię czego, moja droga Otylio?

Czterdziestodwuletnia Trzosówna bywała jej powiernicą. Hilaria lubiła cichą mniszkę o anielskim głosie i często ucinała sobie z nią pogawędki.

– Tak, mateczko. Wieści ze świata są przygnębiające. Gdy byłam ostatnio odwiedzić chorującą matulę, trafiłam na gości. Nasłuchałam się wtedy, jak gwarzyli ze sobą mężczyźni o tych wszystkich straszliwych wynalazkach. Zarówno mój kuzyn Gabriel, jak i wuj Nikodem mieli sporo do powiedzenia na temat spodziewanego wybuchu wojny. Twierdzili, że dotrze do nas znacznie szybciej, niż możemy przypuszczać. No i cóż? Rok nie minął od tamtego dnia, a w Europie rozpętał się konflikt.

– Wiesz… Biorę pod uwagę inwazję rosyjską. Wojska carskie na pewno będą usiłowały wkroczyć na tereny Galicji. Może zechcą oszczędzić choć trochę Kongresówkę, która bądź co bądź jest pod panowaniem Mikołaja Drugiego. Przezorni władcy robią wszystko, by rozgrywać bitwy na terytorium wroga.

– A my jesteśmy niemalże przy samej granicy – uzupełniła Otylia grobowym głosem.

– Otóż to. Wciąż o tym myślę. Jestem odpowiedzialna za około pięćdziesiąt osób. Muszę zapewnić wam bezpieczeństwo.

– Co matka chce uczynić?

– Odeślę część sióstr w głąb kraju. Już wszystko sobie zaplanowałam. Podzielicie się na grupki, by łatwiej dało się was zakwaterować. Porozumiałam się z klasztorami w Starym Sączu oraz na Śląsku, już tam jesteście oczekiwane.

– My? – wyraziła zdziwienie Trzosówna.

– Owszem. Chcę, abyś wyprawiła się wraz z innymi.

– A matka?

– Ja tutaj zostanę z jezuitami – wspomniała o księżach zamieszkujących przylegającą do opactwa rezydencję. – W razie czego ktoś musi bronić klasztoru. Myślę także o założeniu szpitala wojskowego. Jestem głęboko przekonana, że nie będzie mi doskwierał brak pacjentów – stwierdziła z goryczą.

– Ależ matko! – wykrzyknęła mniszka, klękając u stóp siedzącej na ławce ksieni. Ujęła jej dłoń i ucałowała ją z szacunkiem. – Matko, nie odsyłaj mnie ze Staniątek. Tu jest mój dom. Tutaj pragnę dożyć swoich dni, obojętne w jaki sposób. Co dobry Bóg mi pisał, niech się ziści. Chcę tutaj zostać. Pomogę w szpitalu, będę opatrywała rannych. Zresztą ktoś musi gotować oraz nieść potrzebującym posługę.

W rzeczy samej chodziło jej nie tylko o to, by ulżyć Szczerbiance. Pragnęła także pozostać blisko rodziny. Można było się spodziewać, że w sytuacji zagrożenia okoliczna ludność będzie szukała schronienia za bezpiecznymi, kamiennymi murami klasztoru. Zamierzała to umożliwić swoim krewnym, gdyby zaszła potrzeba.

– Naprawdę chcesz ryzykować życie? – Hilaria pomogła jej powstać z kolan.

– Nie mam najmniejszych wątpliwości. Zapewniam, że będę przydatna.

– W takim razie zostań – zgodziła się ksieni.

***

Następnego dnia wyprawiono z klasztoru siostrzyczki. Kilka z nich pozostało, wyrażając chęć niesienia pomocy ewentualnym rannym. Naprędce przygotowano lazaret, który mógł jednorazowo przyjąć około stu pacjentów, a ten, ku zmartwieniu zakonnic, zapełnił się błyskawicznie, gdyż front był w pobliżu. Hilaria szczególnie chętnie przyjmowała legionistów, którzy walczyli u boku armii austriackiej. Ona także żywiła nadzieję, że bohaterstwo Polaków zostanie należycie docenione i z ojczyzny w końcu spadnie jarzmo niewoli.

***

Po odjeździe Teofila Józia nie mogła sobie znaleźć miejsca. Snuła się z kąta w kąt, nie wiedząc, co ze sobą począć. Dom, w którym mieszkali we dwoje, choć niewielki, bo zaledwie czteropokojowy, teraz wydawał jej się niemożliwie przestronny i zdecydowanie za duży dla samotnej kobiety. Kiedy mogła, zaglądała do Lodzi, lecz nie chciała jej się narzucać zbyt częstymi wizytami. Wydawało jej się niekiedy, że to osamotnienie i tęsknota są wręcz nie do udźwignięcia. Popadła w apatię tak wielką, że brakowało jej sił na to, by cokolwiek robić, więc jeśli nie wybierała się do kogoś z wizytą, przesypiała całe dnie. Kiedy nie dostała na czas miesięcznego krwawienia, zrozumiała, że czułe pożegnanie z mężem zaowocowało ciążą. I sama nie wiedziała, czy cieszyć się, czy płakać z tego powodu. Teofil był już gdzieś daleko w świecie, a ona została sama z kiełkującym w niej życiem w obliczu zbliżających się działań wojennych.

– A co będzie, jeśli on polegnie, matulu? – łkała w rękaw Elżbiecie.

– Módl się za niego, córeczko. Tyle nam tylko pozostało.

– Boję się. Spać nie mogę nocami. Chodzę po pokojach, szukając sobie miejsca. A potem w dzień jestem senna i zmęczona. Wszystko leci mi z rąk.

– Wróć do nas, dziecino – zaproponowała Dominika. – Nie powinnaś w tym stanie mieszkać sama, jeszcze spotka cię coś złego.

– Kiedy nie mogę zostawić domu. Przyjdzie ktoś i narobi szkody. Mało to kręci się różnych typów?

– Dom można komuś wynająć. A ja będę spokojniejsza, gdy będziesz przy mnie – stwierdziła matka.

Stanęło więc na tym, że Józia wróciła do rodziców. Napisała długi list do męża, w którym podzieliła się z nim nowinami. Żywiła nadzieję, że wieść o spodziewanym potomku ucieszy Teofila i sprawi, że mężczyzna będzie ostrożniejszy.

Długo czekała na odpowiedź. A gdy w końcu dostała list od ukochanego, z treści wynikało, że Teofil nie wie o niczym.

– Nie martw się, Józiu. Takie czasy. Trwa wojna, to i bałagan jest na poczcie. Listy nie dochodzą do adresatów. Napisz jeszcze raz. Grunt, że on pisze, przynajmniej wiemy, co się z nim dzieje.

***

Ta wojna wyglądała zupełnie inaczej niż poprzednie, zapamiętane przez przodków, lub te, w których Polacy brali udział z musu. Kiedyś walczono szablami, bronią palną i armatami. Teraz stronom konfliktu przybył znacznie większy i groźniejszy arsenał, który czynił przy okazji przerażające szkody. Owszem, nie brakowało piechoty czy ułanów, lecz pojawili się także żołnierze w wozach pancernych oraz śmiałkowie latający wysoko pod chmurami. Szybkostrzelne karabiny maszynowe miały znaczną siłę rażenia. Z frontu zachodniego dochodziły zatrważające wieści o używanych przez Niemców gazach bojowych, które wyciskały łzy z oczu, paląc niemiłosiernie, a nawet kładły ludzi pokotem. Gdy pociągi zaczęły przywozić pierwszych rannych, Gabriel Zalipiak łapał się za głowę ze zgrozy.

– Nie masz pojęcia, Lodziu – opowiadał żonie wieczorem, gdy skrajnie zmęczony wracał z lazaretu – ile ofiar pociąga za sobą ten konflikt. Ile kalek nam przybędzie, ile wdów, ile sierot.

– To straszne – westchnęła kobieta, gładząc go z czułością po naznaczonym bliznami policzku.

Ten gest, niby zwyczajny, miał dla małżonków niezwykłą wartość. Wszak oszpecenia na twarzy Gabriela powstały wówczas, gdy ratował ukochaną z pożaru. Ocalił jej życie, za co była mu wdzięczna. I wcale jej nie przeszkadzało, że ślubny nie prezentuje się tak powabnie jak niegdyś. Ona kochała każde zgrubienie jego skóry i każde przebarwienie. Nie poślubiła go dla urody, lecz z miłości tak wielkiej, że sama nie pojmowała czasami jej bezmiaru. I była szczęśliwa, ponieważ

mimo upływu lat żar łączącego ich uczucia nie słabł, jak to było w przypadku jej rodziców – ludzi żyjących już nie ze sobą, ale obok siebie.

– Daj Boże, by wojna jak najszybciej się zakończyła. Przy takim tempie walk straty są potworne i wręcz niewyobrażalne. Powiadają ludzie, że tam gdzie przebiega front, nie szczędzi się nawet cywili.

– Tak, słyszałam o tym. Niemcy nazywają to wojną totalną. Chcą szybko i bezwzględnie niszczyć wroga włącznie z rodzinami żołnierzy, domami i dziećmi, twierdząc, że tak jest humanitarnie, bo niby wróg męczy się wówczas krócej. Też coś! – prychnęła oburzona.

– Dzieciaki już śpią? – Mężczyzna zmienił temat. Potrzebował choć na chwilę oderwać myśli od ran, amputacji i poparzeń.

– Tak, śpią. W porze podwieczorku odwiedziła nas Józia. Wybawiła się z nimi aż miło.

– Jak ona się czuje?

– Wygląda na to, że coraz lepiej, choć oczywiście boi się, biedactwo, że zostanie z dzieckiem sama.

– To zrozumiałe, niestety. I nader prawdopodobne – westchnął. Chciał tego czy nie, całe życie toczyło się teraz wokół wojennych spraw.

***

Leokadia siedziała w salonie, pochylając się nad arkuszem papieru. Obok niej przycupnęła leciwa staruszka z sąsiedztwa, uboga wdowa, której do wojska zabrano ukochanego wnuka. Jednego go miała, potomka. Pozostałych krewnych przetrzebiły zarazy i głód.

– Proszę jaśnie pani, niech no pani jeszcze napisze do mojego Olusia, że panna Jagniesia nie odpiła do swatów. Powiedziała im, że w czas wojaczki porządne panny modlą się za kawalerów, którzy walczą na froncie, a nie myślą o zamążpójściu.

– Dobrze, pani Siwkowa. Już piszę – odparła Lodzia, maczając pióro w kałamarzu. Starannie wykaligrafowała wzmiankowaną treść

i odczytała ją na głos. – Chcielibyście coś dodać?

– Ady napisze jeszcze pani doktorowa, że mnie to się widzi, że panna Jagniesia czeka na jego powrót. Bo dobrze pamiętam, jak strzylała za nim łocami, nim poszedł na wojenkę. I że szkoda, że sam do niej swatów nie posłał i choć nie zaręczył się przed wyjazdem. A potem niech mu pani napisze, by na siebie uważał. Przeciągów unikał, nie polegiwał na gołej ziemi. Jadł, co mu dają, by nie opadł z sił. I że wiem, że tam pewnikiem nie zje tak smacznie jak w domu, ale niech się bidok nie frasuje, już ja go odkarmię, jak wróci.

Lodzia, uśmiechając się pod nosem, zapisała kolejne zdania. Na koniec dołożyła pozdrowienia i błogosławieństwa.

– Niech Bóg panią stokrotnie wynagrodzi, pani doktorowa – stęknęła kobiecina. – Mnie, starej, trudno wziąć w rękę pióro. Oczy nie te, paluchy niezgrabne. Pół dnia bym się męczyła nad listem. A jaśnie pani to szast-prast poszło!

– Trzeba sobie pomagać, sąsiadko – odparła *madame* Leokadia. – Czasy są trudne. A wasz wnusio jest bohaterem. Jak dobry Bóg da, panna Agnieszka poczeka na Olka. Tym słodszy smak będzie miała miłość, im bardziej młodzi się za sobą stęsknią.

– Oby miała pani rację. Mnie, starej, niewiele już trzeba do szczęścia. Ale chciałabym zobaczyć, jak Oluś wraca cały i zdrów, jak żeni się z Jagnieszką i jak rodzą im się dzieciaczki. Tyle szczęścia zupełnie by mi wystarczyło – chlipnęła, ocierając spod oka łzę.

***

Pierwsze dni wojny przynosiły znaczny chaos. Austriackie władze wojskowe zażądały od Józefa Piłsudskiego zaprzestania samodzielnych wystąpień zbrojnych i zapowiedziały wcielenie oddziałów będących pod jego rozkazami do armii austro-węgierskiej. W odpowiedzi na to głównodowodzący wojskami rosyjskimi, wielki książę Mikołaj Mikołajewicz wystosował do Polaków odezwę wzywającą do wspólnej

walki. Obiecywał zjednoczenie polskich ziem pod berłem Romanowów, autonomię oraz swobody religijne.

Legioniści pod dowództwem brygadiera Józefa Piłsudskiego rozlokowali się pod Nowym Korczynem przy ujściu Nidy do Wisły. Mieli udaremnić armii carskiej posuwanie się na zachód. Zasadniczo pierwszy pułk wciąż jeszcze się formował, lecz duch walki był tak wielki, że zapadła decyzja, by wziąć udział w ewentualnych potyczkach.

Legioniści zbierali siły, wyczekując na hasło do boju, gdy dowieziono pocztę.

Jacenty odebrał listy od kuriera, by rozdać je towarzyszom broni. Nagle rzuciła mu się w oczy koperta przeznaczona dla Wielgusa. Zerknął na nadawcę. To od Józi! Rozejrzał się wokół, a następnie schował ją za pazuchę. Jeszcze nie wiedział, co z nią uczyni: zniszczy, otworzy, czy może odda Teofilowi. Nie był zadowolony z faktu, że muszą walczyć w jednym szeregu. W rzeczy samej chętnie wypaliłby mu między oczy. Nie mógł darować urzędasowi, że go ubiegł i zdobył rękę Trzosówny.

Może trafi go jakaś kula? – rozmyślał.

Gdyby Wielgus poległ, a on przeżył wojenną zawieruchę, bez skrupułów wykonałby kolejne podchody w stronę wdówki. Za pierwszym razem nie wyszło, panna miała bowiem sentyment do konkurenta. Ale gdyby ta przeszkoda zniknęła z drogi, to kto wie? Może Józia spojrzałaby na niego przychylniejszym wzrokiem? Wszak każdy konflikt ma to do siebie, że giną w nim mężczyźni, a tym, którzy wracają do domów, pozostaje duży wybór panien do wzięcia. *Świadome tego dziewczęta są mniej wybredne, cieszą się z każdej perspektywy zamążpójścia* – rozumował. Oczywiście zdawał sobie sprawę, że ponosi takie samo ryzyko jak inni, lecz ufał, że kule szczęśliwie go ominą.

Gdy już rozniósł korespondencję wśród żołnierzy, odszedł na bok i przysiadł pod drzewem. Wyjął zza pazuchy list i przez chwilę oglądał go z każdej strony, a nawet pod światło. Wahał się, czy go otwierać, bo jeśli to zrobi, już nie będzie odwrotu.

Czy powinien wnikać w sekrety młodego małżeństwa? Czy powinien katować się lekturą miłosnych wyznań i zapewnień o tęsknocie?

Niecierpliwe palce rozdarły kopertę. Jacenty chciwie wbił wzrok w treść, marząc, że list adresowany jest do niego i to jemu należą się te wszystkie czułe słówka.

– Psiakrew! – przeklął, gdy przeczytał informację o dziecku, którego oczekiwała ukochana. Choć można było się tego spodziewać, wszak młodzi byli rok po ślubie, zabolało go, że nie on jest ojcem.

Siedział jeszcze długo ze spojrzeniem utkwionym w jakimś punkcie, niczym uderzony obuchem, otępiały, niezdolny do tego, by się poruszyć. Gdy wracała choćby odrobina energii, ponownie odczytywał list, katując się jego treścią i każdym słowem, które skradł towarzyszowi broni.

Bolało.

Bo choć początkowo jego starania o Józię miały w sobie sporo wyrachowania, tak z chwilą, gdy pojął, że ta jedna jedyna wymyka mu się z rąk, zakochał się w niej bez pamięci. A przecież mógł przebierać w pannach jak w ulęgałkach!

***

Następnego dnia, chciał tego czy nie, musiał wytrącić się z apatii, w którą popadł na wieść o tym, że Józia jest w stanie błogosławionym. Na Nowy Korczyn napierała ofensywa rosyjskiego korpusu kawalerii pod wodzą generała Aleksandra Nowikowa[65]. Dla legionistów wojna rozpoczęła się na dobre.

Wśród świstu kul i terkotu karabinów maszynowych Jacenty powtarzał sobie w duchu słowa, które nie były skierowane do niego. *Miły mój, masz teraz o jeden powód więcej, by wrócić do domu szczęśliwie. Uważaj na siebie, Kochany. Niech Bóg Cię strzeże. Tęsknimy za tobą – i ja, i ta maleńka istotka, która dopiero się pojawi.*

List od Józi trzymał na sercu. Wyobrażał sobie, że jest jego adresatem, że na niego czeka w domu kochająca kobieta. I że ten

staranie zapisany arkusz papieru uchroni go przed złem.

Z wielkim wysiłkiem i dużymi stratami w ludziach Polacy zdołali powstrzymać ofensywę. Symbolem bohaterstwa żołnierzy stał się pluton Czesława Fijałkowskiego[66], który do ostatniego żołnierza walczył pod Czarkowami.

Jacenty i Teofil bili się znacznie dalej. Obydwaj zdołali cało wyjść z pierwszych opresji, choć Wielgus został lekko i na szczęście niegroźnie ranny. Kula zaledwie drasnęła go w przedramię, nie czyniąc poważnych szkód. Po założeniu opatrunku zwolniono go z lazaretu.

– Ot, bohater! – zaśmiał się dowódca i poklepał go po plecach. – Oby tak dalej, niech kule cię omijają.

Jacenty zmełł w ustach przekleństwo. Choć wiedział, jak cenny jest każdy ochotnik stający do walki, wolałby, aby ten jeden poległ, uwalniając go od swego towarzystwa, zdejmując z jego serca ciężar zazdrości i torując mu drogę do Józi.

***

– Rosjanie przerwali front i wkroczyli do Galicji.

Hilaria spojrzała na Trzosównę.

– Jesteś całkowicie pewna, że nie chcesz ratować się ucieczką? Jeszcze nie jest za późno – oznajmiła, choć ryzyko było spore. Kilka dni wcześniej, widząc, jak zmienia się sytuacja wojenna, zdołała szczęśliwie odesłać w góry resztę sióstr. W klasztorze została sama z Otylią[67] oraz jezuitami zamieszkującymi rezydencję.

– Tak, matko. Przed laty, złożona tyfusem, ślubowałam sobie, że jeżeli dobry Bóg zachowa mnie przy życiu, to wstąpię do klasztoru, w którym dożyję swoich dni, służąc modlitwą i pieśnią. Nie odstąpię choćby na krok. Tutaj jest moje miejsce.

– Ech, uparciucho! W każdej innej sytuacji kazałabym ci się z tego wyspowiadać, traktując to jako brak pokory. Ale cieszy mnie twoja

decyzja. Będzie mi raźniej. Chcę bronić klasztoru przed wojskiem tak długo jak to możliwe.

– Jak matka zamierza tego dokonać? – zapytała rzeczowo Trzosówna. – Chyba nie będziemy strzelać do Moskali?

– Ależ nie! Drogie dziecko! Bóg jest bogaty w miłosierdzie, w Nim pokładam ufność – odparła powściągliwie, a następnie rezolutnie dokończyła: – Zostałam ksienią nie tylko z uwagi na pobożność, ale również dlatego, że mam dar przekonywania. Wierzę, że słowa mniszki wystarczą. Wojsko czy cywile, ludzie są jednakowo bogobojni. Nie poważą się na świętokradcze czyny.

– Ale Rosjanie są prawosławni…

– To prawda, lecz modlą się do tego samego Boga co my, tylko robią to nieco inaczej. Odmówmy dodatkowy różaniec przed wizerunkiem Matki Bożej Bolesnej. Teraz gdy lazaret przestał działać, i tak nie mamy nic lepszego do roboty.

***

Po wkroczeniu do Galicji żołnierze z carskiej armii zachowywali się nader przyzwoicie. Obywało się bez większych incydentów. Co więcej, przedstawiciele Rosji otrzymali odgórne rozkazy, by opowiadać okolicznej ludności, że przybyli na ich ziemie po to, by wyzwolić Polaków spod panowania Austrii.

Życie upływało na prowincji w miarę spokojnie. Największy bitewny tumult szczęśliwie omijał Niepołomice. W długie wieczory chętnie gromadzono się w domach lub karczmach, dyskutując żywo nad sytuacją.

– Tere fere! – grzmiał u Zalipiaków Marcel, który zajrzał z wizytą do córki. Filomenę zostawił w dworku. Ślubna zajęta była zwijaniem bandaży dla lazaretu. Ostatnio częściej samotnie wyprawiał się między ludzi, ponieważ z żoną coraz trudniej znajdował wspólny język. Filomena z wiekiem stawała się nad wyraz zgryźliwa, mniej miała

zrozumienia dla innych. Sprawiała wrażenie zamkniętej w sobie i skupionej na własnych bolączkach. Miłość w ich małżeństwie dawno temu się wypaliła i czasami Branicki ze smutkiem myślał o tym, że niczym się nie różni od tych mężczyzn, którzy brali ślub z rozsądku, a nie na skutek porywów serca. – Już widzę, jak Moskale nas wyzwalają. Jeszcze tylko tego nam trzeba, abyśmy stracili choć tę namiastkę swobody, którą dali nam Habsburgowie.

– Ja też im nie dowierzam – odparł zięć. – Może na początku byłoby dobrze, ale czuję, że nawet byśmy się nie obejrzeli, a na uniwersytetach w Krakowie i Lwowie językiem wykładowym stałby się rosyjski. Z dwojga złego lepsze są rządy Austriaków.

Panowie mieli posępne twarze.

– Zasadniczo jedni i drudzy tyle samo są warci – stwierdził w końcu gość. – Słyszałeś zapewne, że mój teść zginął w powstaniu styczniowym…

– Tak. U jego boku walczył mój wuj, Wojciech. Wiem z rodzinnych przekazów, że był przy panu Antonim w godzinie śmierci.

– Otóż to. Zatem pewnie słyszałeś także, że Parnicki zginął z ręki austriackiego policjanta. Nasi próbowali uciec przed Moskalami, lecz Austriacy odcięli im drogę. Zresztą czyż nie sprzymierzali się wówczas, gdy kroili nasz kraj na części?

– To prawda. Wtedy trzymali razem. To, że teraz stają naprzeciwko siebie z karabinami, nie świadczy o niczym. Niedługo może się okazać, że dogadają się ze sobą i zawrą pokój, a my jak byliśmy zniewoleni, tak dalej pozostaniemy pod ich władzą – powiedział przygnębiony Zalipiak.

– A jaka sytuacja w lazarecie? – zagadnął teść.

– Chwilowo jest jakby nieco spokojniej. Ale dość się napatrzyłem na ofiary tej zawieruchy. Daj Boże, by polska krew nie przelewała się na darmo. Tylu ludzi już poległo, że strach pomyśleć. Choćby ci, co oddali życie pod Czarkowami. A gdybyś zobaczył nieszczęśników, których muszę pozbawiać rąk czy nóg… Tych ze strzaskanymi szczękami, poparzonych, wyjących z bólu bądź błagających, abym poniechał

amputacji kończyn. W takich chwilach zawód doktora stanowi prawdziwe brzemię.

– Żałujesz, że obrałeś tę drogę?

– Nie. Jakoś nie potrafię sobie wyobrazić, że miałbym robić cokolwiek innego. I choć może nie do końca był to mój wybór, to jednak wdzięczny jestem rodzicom, że wskazali mi właśnie taki, a nie inny kierunek. A kiedy dopadają mnie chwile znużenia, bo zwątpieniem nie mogę ich nazwać, myślę o tym, że przecież w taki sposób służę ojczyźnie: amputując, operując, zszywając, kojąc ból. Gdyby nie to, poszedłbym z innymi na front. Ale burmistrz wytłumaczył mi, że potrzebny jestem na miejscu, bo nie sposób odesłać wszystkich lekarzy. Wszak cywile także chorują i potrzebują opieki.

Marcel odetchnął, słysząc jego słowa. To oczywiste, że gdyby zięć uparł się przy wstąpieniu w szeregi legionistów, nic by go nie powstrzymało. Ale dla Luli byłby to wielki dramat.

Ech... Dzieciaki. Oby ich związek okazał się szczęśliwszy niż mój – pomyślał.

***

Klasztor w Staniątkach przypominał warowną twierdzę. Potężny, okolony murem – zdawać by się mogło, że stanowi fortecę nie do pokonania. Tak przynajmniej uważali ludzie szukający w nim schronienia przed wojenną zawieruchą. Rosjanie bardzo szybko stanęli u jego bram, próbując wedrzeć się do środka. Potrzebowali solidnych zabudowań, które mogliby zająć na koszary.

– Odstąpcie! – zawołała matka Hilaria, która wyszła im na spotkanie. Jej głos brzmiał stanowczo, jakby kobieta nie odczuwała choćby krztyny strachu przed wojskowymi. Nawet jeśli dręczyły ją jakiekolwiek lęki, skutecznie je maskowała. U jej boku stała siostra Otylia, zachowując równie kamienny wyraz twarzy. – To żeński klasztor. Obowiązuje tutaj klauzura, nie mogę was wpuścić. Chcecie ściągnąć na siebie gniew Pański?

– Ależ skądże! – odparł dowódca, czyniąc znak krzyża od prawej do lewej strony. – *Hospodi pomiłuj!*[68] Na co nam klątwa z nieba? Skoro mówicie, że to zakon klauzurowy, nie wejdziemy do środka. Ale potrzebujemy dla siebie placu.

– U nas go nie znajdziecie – odparła zakonnica.

Mężczyzna rozejrzał się po dziedzińcu okolonym przez zabudowania gospodarcze, biurowe oraz mieszkania służby i jezuitów. Zatoczył gest ręką.

– Tutaj staniemy – oznajmił. – To już nie jest miejsce uświęcone.

– Nie ma mowy. Szukajcie innej placówki.

– Ależ matko! Ja nie pytam o zgodę, tylko informuję – żachnął się Rosjanin. – Do klasztoru nie wejdziemy, uszanujemy święte miejsce, ale ten dziedziniec i zabudowania rekwirujemy na potrzeby sztabu.

Przez chwilę mierzyli się spojrzeniami. Szczerbianka ważyła w duchu, czy stawianie oporu ma sens. Żołnierze stanowili potężną siłę, z którą ona nie była w stanie w żaden sposób walczyć. *Matko Boża Bolesna, miej nas w swej opiece* – westchnęła.

– Niech i tak będzie, zajmijcie dziedziniec. – Pokiwała głową i wraz z towarzyszącą jej Otylią oddaliła się do swoich spraw.

– Naprawdę pozwoliłaś im, matko, by tutaj urządzili sobie sztab? – wyraziła zdziwienie Trzosówna.

– To będzie mniejsze zło. Nie chciałam ich zanadto drażnić, bo kto wie, czy w gniewie nie wdarliby się do środka, profanując dom Boży?

Przez następne godziny siostry obserwowały przez niewielkie okienka ruch czyniony na zewnętrznym dziedzińcu. Wojaków przybywało z każdą chwilą. Robili zgiełk większy niż odpustowi handlarze i dzieciarnia. Ich obecność mocno kłóciła się ze zwyczajną ciszą tego miejsca. Stukot kopyt końskich mieszał się z okrzykami, pomiędzy którymi nieraz dało się usłyszeć siarczyste przekleństwa – tak bardzo tutaj rażące.

– A to swołocz – stwierdziła w końcu Hilaria. – Z Austriakami było mniej kłopotu. Nigdy nie próbowali zająć naszego terenu. Nie wrzeszczeli pod oknami. Zasadniczo niemalże nie pokazywali się tutaj. Jeśli już bywali ze służbowymi sprawami, załatwiali je pospiesznie, nie czyniąc większego zamętu.

Z przerażeniem dostrzegły skrzynie pełne prochu i amunicji. Otylia, widząc ich arsenał, pospiesznie wykonała znak krzyża.

– Matko Boska Bolesna, miej dla nas litość – jęknęła. – Jeśli Austriacy ruszą z kontrofensywą i zaczną strzelać, możemy z tym wszystkim wylecieć w powietrze.

– Pozostaje nadzieja, że zarówno Austriacy, jak i Rosjanie uszanują sacrum i unikniemy strzelaniny.

***

Przez kilka następnych dni hałas robiony przez wojskowych wdzierał się za grube klasztorne mury. Choć żołnierze nie naprzykrzali się siostrom, stanowili dla nich znaczną uciążliwość. Trudno było o skupienie na modłach, gdy z dziedzińca dobiegały siarczyste przekleństwa i różne odgłosy.

Austriacy szybko przystąpili do kontrofensywy, wzniecając poruszenie wśród Rosjan. Już po tygodniu od zajęcia przez Moskali budynków przyklasztornych ruszyli do ataku. Wieśniacy, którzy schronili się u mniszek, zaczęli w popłochu uciekać. Szczególnie dotkliwe było bombardowanie przyklasztornego terenu. Z okien wypadały szyby, kruszyły się mury, wszędzie unosiły się tumany dymu i pyłu, a powietrze raz po raz przeszywał huk.

Siostry, które od momentu wkroczenia Rosjan pozostawały wciąż czujne i niestrudzenie modliły się przed wizerunkiem Matki Bożej Bolesnej, mimo wszystko dały się zaskoczyć potężnemu rykowi dział.

Pisnęły przerażone, nakrywając głowy rękami, gdyż ze sklepienia posypał się kurz.

– Strzelają w naszą stronę! – wykrzyknęła Trzosówna.

– A to łotry! Za nic mają uświęcone miejsce. Lepiej stąd odejdźmy – zadecydowała matka przełożona. – Jesteśmy zbyt blisko dziedzińca. W każdej chwili może nas trafić jakiś zbłąkany pocisk.

Gdy przechodziły do bocznych pomieszczeń, Hilaria zdobyła się na odwagę, by wyjrzeć przez wąskie okratowane okienko na zewnątrz. Zobaczyła kotłujących się żołnierzy, pomiędzy którymi byli ranni oraz trupy leżące na bruku.

– Panika! Rosjanie latają jak stado szerszeni. Austriacy do nich palą. Musimy się ukryć, tutaj jest niebezpiecznie.

Zaczęły wraz z Otylią uciekać wąskimi, krętymi korytarzami. Huk nie cichł. Wojska cesarza prowadziły regularny ostrzał artyleryjski, aż mury trzęsły się w posadach. Kobiety odeszły już dość daleko, gdy poczuły wyjątkowo mocne drżenie posadzki i usłyszały przerażający rumor. Hilaria znowu wyjrzała przez okno, lecz teraz niewiele było widać, gdyż wszystko spowijał gęsty dym zmieszany z kurzem. Z oddali dobiegały przerażające krzyki. Dopiero po chwili Szczerbianka zorientowała się w sytuacji.

– Toć te zbóje trafiły w kościół. A nad północno-wschodnim narożnikiem klasztoru zapadło się sklepienie! – jęknęła, załamując ręce.

– Tam zostali jezuici! – wykrzyknęła Trzosówna.

Z chwilą gdy rezydencja księży została zajęta przez Moskali, trzej księża przebywający na stałe w otoczeniu klasztoru zamieszkali w tamtej części zabudowań. A teraz prawdopodobnie znajdowali się pod gruzami zrujnowanej świątyni. Otylia ze zgrozą spojrzała w stronę rumowiska, a potem zaczęła podążać w tamtym kierunku, choć wciąż słychać było kanonadę. Nie mogła jednak pozostawić kapłanów samych sobie. Być może przeżyli i potrzebowali pomocy przy wydostaniu się z ruin. Prawdopodobnie odnieśli rany, które wymagały opatrzenia. Hilaria bezzwłocznie ruszyła w ślad za mniszką.

Serca mocno łomotały im ze strachu, czy również na ich głowy nie zawali się za chwilę strop. Ostrzał nie ustawał nawet na moment. Otylia

pisnęła przerażona, gdy tuż obok ze świstem przeleciała kula, wbijając się w mur.

Gdy dotarły w pobliże zrujnowanej części, kurz wirujący w powietrzu podrażnił ich gardła i osiadł na ciemnych habitach. Siostry osłoniły twarze welonami i zaczęły przetrząsać gruzowisko. Nie odczuwały zimnych ukąszeń grudniowego powietrza, skupione na poszukiwaniach towarzyszy niedoli.

– Jest tu ktoś? Żyjecie? Księże Wojciechu![69] Księże Janie![70]

Spośród trzech jezuitów ocalał tylko jeden. Pozostali ponieśli śmierć.

Przez chwilę zakonnice trwały w stuporze, lecz kolejne wybuchy zmusiły je do racjonalnego oglądu sytuacji.

– I co teraz? – zmartwiła się Otylia.

– Nie ma rady, musimy uciekać. Umierając, nie przysłużymy się klasztorowi. Martwi nic nie wskóramy – stwierdziła Hilaria. – Wrócimy, gdy tylko front się odsunie. Jak Bóg da, nasz dom ocaleje, a po powrocie naprawimy zniszczenia. Nawet nie próbuj protestować – zwróciła się do Trzosówny tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Mniszka pokornie spuściła głowę. Nie miała zamiaru obstawać przy swoim w obliczu tak wielkiego zagrożenia.

– Na razie musimy się gdzieś ukryć. Za dnia trudno będzie się stąd wydostać. Ani Austriacy, ani Rosjanie nie zastanawiają się nad tym, do kogo strzelają – stwierdził kapłan. – Wcześniej mieli respekt dla sacrum, teraz po prostu bez opamiętania walą do siebie, nie bacząc na miejsce kultu.

– Tak – zadecydowała Hilaria. – Przeczekajmy strzelaninę. Nocą powinno się to uspokoić. Nie będą chyba marnowali amunicji po ciemku. Dzień teraz krótki. Niebawem zapadnie mrok.

Zaszyli się z dala od dziedzińca przylegającego do kościoła, skąd dobiegały najgorsze odgłosy wojenne. W swej kryjówce oddali się żarliwym modlitwom. Przyzwyczajeni do poszczenia, nie odczuwali głodu, choć od wielu godzin nie mieli niczego w ustach. Siostra Otylia

starała się nie okazywać lęku, lecz przepełniał ją strach o bliskich. Szczególnej modlitwie powierzała Klemensa i jego rodzinę. To znowu, gdy mijało skupienie, powracała pamięcią do beztroskiego i spokojnego życia, jakie wiodła, nim wstąpiła w mury klasztoru. Zatęskniła za babcią Bernadetą i jej pięknymi opowieściami, za wiecznie zapracowaną matką oraz bratem. Ze smutkiem wspomniała tragicznie zmarłego Bronisia.

Czy możliwe jest to, o czym mówiła babcia? Że nad naszym rodem zawisła straszna klątwa, która nie pozwala nam żyć spokojnie, zabierając wciąż naszych bliskich, i jednych wiodąc ku zgubie, a drugich ku Panu Bogu? Szybko uznała, że nawet nie powinna o tym myśleć, ponieważ jedyną siłą sprawczą, w jaką wolno jej wierzyć, jest właśnie Stwórca.

– Jak sądzicie? Czy Wieliczka też znalazła się pod ostrzałem? – zagadnęła, widząc, że zarówno ksieni, jak i jezuita przestali szeptać modlitwy. Przypomniała sobie bowiem o wuju Zygmuncie, który podobnie jak ona niósł posługę Bogu. I o niego także zadrżała, ponieważ z Wieliczki od kilku dni nie miała żadnych wieści. Od ludzi, którzy w ucieczce przed Rosjanami szukali schronienia za murami klasztoru, usłyszała zaledwie wczoraj o swoich bliskich, że mają się dobrze.

– Miejmy nadzieję, że nie – odparł kapłan. – Padło na nas, bo tutaj Rosjanie urządzili sobie sztab. O dobry Boże, miej nas w opiece, i jest jeszcze ten ich cały arsenał! Módlmy się, by żaden pocisk nie trafił w skład amunicji. Pod Twoją obronę…

Godziny, które zwykle upływały znacznie szybciej, zdawały się dłużyć w nieskończoność. Gdy zapadły ciemności, palba faktycznie ustała. Odczekali jeszcze trochę, by upewnić się, że nie jest to jakiś fortel dla zmylenia przeciwnika. Wyszli ze swej kryjówki i otrzepali habity z kurzu.

Dopiero pod solidną osłoną nocy w trójkę powędrowali pieszo do Bochni, dygocząc z zimna i na skutek przeżytego stresu. Po drodze zahaczyli o dwór Trzosów, lecz nie chcieli zostawać tam dłużej. Zosia

sprawdziła tylko, czy rodzina brata jest bezpieczna. Na szczęście zastała wszystkich w dobrym zdrowiu. Nawet brzemienna Józia była dzielna i starała się zachowywać optymizm, choć martwiła się o losy ślubnego, który z rzadka przysyłał lakoniczne listy. Młoda mężatka poprosiła ciotkę, by specjalnie pomodliła się w jego intencji.

– Całe szczęście, że nie szukaliście schronienia w klasztorze, gdy wam je proponowałam – stwierdziła Trzosówna, żegnając się z Klemensem. – Tam dzieją się teraz straszne rzeczy. To świętokradztwo, by zrzucać bomby na miejsce kultu. Gdyby tak spadły na skład amunicji, wszystko wyleciałoby w powietrze – skwitowała. – No, zostańcie z Bogiem.

– Boże, prowadź.

***

Kilka dni później, gdy front znacząco się przesunął, a kanonada ustała, cała trójka powróciła do Staniątek. Z przygnębieniem obchodzili zagruzowany dziedziniec, ze smętnymi ruinami rezydencji, w której zginęło dwudziestu oficerów. Żołnierze rosyjscy już wcześniej dokonali wielu zniszczeń i grabieży, Austriacy spowodowali kolejne straty.

– Poważnie został naruszony dach na kościele – westchnęła Otylia. – A w murach tkwią odłamki z ostrzału. Czeka nas ogrom pracy przy usuwaniu gruzu i naprawie zniszczeń.

– Poradzimy sobie. Matka Bolesna zachowała klasztor. Te uszkodzenia nie są aż tak duże – stwierdziła z optymizmem Hilaria. – Nie możemy popadać w rozpacz. Okoliczni mieszkańcy na pewno nam pomogą w uporządkowaniu budynków. Musimy jak najszybciej sprowadzić z powrotem siostrzyczki i wznowić naszą działalność. Wiem od biskupa Sapiehy, że przez wojnę zostało osieroconych mnóstwo dziatek. Trzeba będzie je przygarnąć. I koniecznie przywrócić funkcjonowanie lazaretu.

Pochyliła się, by podnieść fragment pocisku pozostałego po bitwie. Obejrzała go uważnie w promieniach nisko zawieszonego grudniowego słońca.

– Ludziom, którzy przyjdą odgruzowywać klasztor, trzeba zapowiedzieć, by odkładali na bok absolutnie wszystkie odłamki. Niech zostaną tutaj już na zawsze, jako wotum dziękczynne ku czci naszej patronki.

– Doskonała koncepcja – odparł jezuita. – Skoro klasztor przetrwał, choć znalazł się na linii frontu, trzeba zaufać, że nie zniszczy go żadna zła siła. A my, Polacy, wyjdziemy z tej opresji zwycięsko, jako wolny naród.

Rok 1915

Pomimo wojny pustoszącej świat życie wciąż się toczyło, choć było teraz znacznie trudniejsze. Mieszkańcy Niepołomic dokładali jednak starań, by nie poddać się zwątpieniu, gdy pociągi przywoziły kolejnych rannych z frontu, a napływające wieści nie pozwalały na wywnioskowanie, jak długo potrwa zawierucha.

Ci, którzy zostali w domach, angażowali się w pomaganie wdowom i sierotom. Choć brakowało wielu podręczników, ponownie organizowano szkoły, które na jakiś czas musiały zawiesić działalność.

Działo się dużo złego, ale przychodziły też wydarzenia, które napawały optymizmem. Mimo trwającej pożogi zdołano ukończyć wielki czyn społeczny, jakim było sypanie kopca.

– Dla naszej ojczyzny – stwierdził pewnego dnia Gabriel – jest to symbol jedności narodu rozdartego zaborami.

Tak się bowiem złożyło, że wiadomość o niepołomickim przedsięwzięciu pomknęła lotem błyskawicy w świat. Już wcześniej zwożono na teren budowy ziemię spod Grunwaldu, z Księstwa Poznańskiego, Królestwa, Litwy, Śląska czy Ukrainy. Ta ziemia,

naznaczona obecnością Polaków, skropiona nierzadko ich krwią, łączyła podzielony kraj. Jeszcze w czerwcu ubiegłego roku, zanim świat pogrążył się w chaosie, przybyła do Niepołomic delegacja Polonii amerykańskiej, przywożąc pięćset woreczków ziemi pochodzącej z mogił emigrantów polskich oraz nader hojny datek w wysokości pięciuset dolarów.

Nic więc dziwnego, że gdy dzieło zostało zwieńczone, mieszkańcy miasta z dumą spoglądali na kopiec.

Lodzia, która wybrała się z mężem oraz dziećmi na niedzielny spacer, odetchnęła głęboko.

– Wiesz, kochany? W takich chwilach wierzę, że w końcu będziemy wolni. A gdy już nadejdzie upragniona swoboda, to i nam, kobietom, zaczną przysługiwać takie same prawa, jakimi wy się cieszycie.

– Ech… moja ty sufrażystko! Tylko nie powtarzaj tego przy swej matce. Zaraz gotowa cię skarcić, że nie czas na emancypacyjne zapędy, gdy wokół szaleje wojna.

– Zapewne tak. Ale każdy czas jest dobry do podejmowania rozmów na ten temat. W innych krajach kobiety mają o tyle łatwiejszą walkę, że mogą zwracać się z petycjami do swych rządów. My jesteśmy podzieleni pomiędzy państwa o różnym ustawodawstwie i właściwie nie mamy do kogo zanosić postulatów. Ale wierzę, że gdy Austriacy wywiążą się z obietnic składanych Polakom i pozwolą nam na utworzenie w miarę suwerennego kraju, to nasi mężowie, ojcowie i bracia, grzęznący wśród wielu innych spraw, pochylą się i nad dolą kobiet.

– Pochylą się, bądź pewna. Niech no tylko zapanuje pokój. A co pisała Matylda? – zagadnął o list, którzy onegdaj ślubna otrzymała od kuzynki.

– Biedactwo jest równie zapracowane jak ty. Niemalże nie wychodzi ze szpitala. Chyba po raz pierwszy wyraziła zadowolenie z faktu, że mimo wszystko nie pociągnęła z legionistami na front, tak jak jej się to zamarzyło, gdy wybuchła wojna. Ranni, których ma pod opieką, dość jej naopowiadali o tyfusie, wszach i trudnych warunkach polowych.

– Na miejscu też jest potrzebna – zauważył Gabriel. – A może dzięki tej pracy spotka w końcu mężczyznę, który skradnie jej serce?

– Możliwe – odparła krótko, choć szczerze w to wątpiła. Matylda zarzekała się bowiem, że nigdy w życiu nie wyjdzie za mąż. Zawsze była mocno wyemancypowana, ukończyła studia, wzbudzając zgorszenie wśród niektórych krewnych i znajomych. Swój czas dzieliła pomiędzy pracę w lazarecie a zebrania sufrażystek, przysparzając tym samym zmartwień bliskim, którzy pragnęli, by córka żyła jak inne damy. – Skoro już spacerujemy, to może zajrzymy do twoich rodziców? – zaproponowała i, nie czekając na decyzję męża, zaczęła wołać dzieci, które nieco się oddaliły.

Rok 1916

– *Deszczyk pada, słońce świeci / Baba Jaga masło kleci. / Ukleciła, postawiła, / Przyszła świnia przewróciła. / Przyszedł wół poprawił, / Przyszedł dziad, wszystko zjadł*[71] – recytowała Dominika, bez pośpiechu ubijając śmietanę. Na podłodze tuż obok niej bawiła się Honoratka, półtoraroczna prawnuczka, owoc miłości Józi i Teofila.

Korzystając z okazji, że dziecko nie wymaga niańczenia, Wielgusowa pisała list do męża. Starała się jak najczęściej z nim korespondować, niezależnie od tego, że sama niezwykle rzadko otrzymywała odpowiedzi. Z ostatniego listu Teofila wynikało, że Legiony Polskie trafiły na front wschodni i zgrupowały się na Polesiu Wołyńskim w rejonie Kostiuchnówki, gdzie już wcześniej kilkakrotnie walczyli żołnierze polscy, dając dowody męstwa.

Wyjątkowo trudno było jej się skupić na tym, co chciała przekazać mężowi. Od kilku dni była nad wyraz niespokojna i nerwowa. Wykłócała się z domownikami o byle bzdurę i przeganiała z kąta w kąt Helenkę, wciąż wydając jej polecenia. W końcu, w czerwcowe niedzielne popołudnie, młodsza siostra zaczęła się buntować i nawet

bąknęła, że to ona jest u siebie, a Józka w gościach i ta wizyta nieznośnie się przedłużyła. Niech więc wraca do swego domu w Niepołomicach, tam pewnie będzie jej lepiej. Na to Józia odpyskowała, że ona jest starsza, zamężna i dzieciata, więc młoda winna jej okazywać szacunek. Słysząca tę wymianę zdań Elżbieta próbowała ostudzić emocje, odsyłając młodszą z córek do grabienia łąki, a starszej przykazując, by zajęła się dzieckiem. Józia wzięła więc Honorcię do kuchni, licząc na to, że mała nie będzie marudna i pozwoli jej w spokoju podzielić się z Teofilem nowinkami.

Zwykle pisała do niego o różnych głupstwach. O krowach, sianokosach i domowych pracach. Przekazywała mu plotki krążące po okolicy, pisała o tym, jak ciotka Zofia opiekuje się rannymi żołnierzami, o tym, że Honoratka ostatnio źle sypia, bo wyrzynają jej się ząbki i że bez burmistrza Władysława Wimmera, który zmarł w grudniu ubiegłego roku, jest jakoś dziwnie w Niepołomicach, a przy ulicy Kościuszki, w piętrowym budynku należącym do jego syna, Andrzeja Wimmera[72], zorganizowano ochronkę dla dzieci żołnierzy oraz sierot, którą prowadzi panna Sierosławska[73], siostra legionisty walczącego wraz z Teofilem. I że tatko przekazuje datki na tę placówkę, tudzież dostarcza tam to mleko, to inne płody rolne. Tym razem słowa jakoś nie chciały składać się w całość. Kobieta siedziała więc przy kuchennym stole, wzdychając raz po raz i gryząc obsadkę pióra.

– A coś ty taka niespokojna, wnusiu? – zagadnęła w końcu Dominika, znużona monotonną pracą. Przeciągnęła się przy tym i stęknęła, starając się jednocześnie nie przerywać ubijania. – Zaś cię naszła tęsknica?

– A żebyście wiedzieli, babciu. Tak mi się ckni za Teosiem. Przecież jego dłużej nie ma w domu, niż byliśmy razem. Nie zdążyłam się nim nacieszyć. Nie wyobrażasz sobie, jak mi go brakuje.

Dominika uśmiechnęła się z pobłażaniem.

– Ależ ptaszyno! Na temat tęsknoty wiem naprawdę wiele. Ja i twój świętej pamięci dziadek musieliśmy się rozdzielić nazajutrz po ślubie.

On został w lesie z rozbójnikami, mnie przysłał tutaj, do świekrów. Przez cały czas trwania naszego małżeństwa żyliśmy na odległość. Choć obiecywał, że rzuci zbójowanie, by wyjechać ze mną i dzieciakami w szeroki świat, nie zdążył dotrzymać słowa. Moja dola była więc jedną wielką tęsknotą – przypomniała wnuczce historię swego życia.

Sprawy, o których mówiła nader rzadko i właściwie w tajemnicy, wydawały się Józi tak bardzo odległe, że aż nierealne. Często wspominani przez babcię pradziadkowie czy dziadek Wojciech zdawali się postaciami z legend, równie ciekawymi, jak ta o królu, który nadał Trzosom grunt pod Niepołomicami. Tego dnia jednak intrygujące opowieści nie wzbudzały jej emocji. Czuła wielki ciężar i w sercu, i na żołądku, zupełnie jakby miało wydarzyć się coś złego.

Podzieliła się z babcią swymi odczuciami.

– Boję się, że ta wojna nigdy nie dobiegnie końca – dodała na ostatek. – Tak długo to już trwa, tyle ofiar ponieśliśmy. Z samej wioski na front poszło kilku krzepkich chłopaków. Franek Skoczylas wrócił bez nogi. Bartoszowi od Zalipiaków urwało rękę i zmasakrowało twarz. A Mojsiejowicze opłakują Dawida. To byli najlepsi koledzy Ignasia. Zresztą on też już był ranny, lecz niegroźnie. Nie ma wieści o Bielaku i Dylu – wymieniła mężczyzn, których powołano pod przymusem do armii austriackiej. Brat początkowo także w niej służył, lecz przy pierwszej sposobności przekradł się do legionów. Teraz walczył w tej samej jednostce co Teofil oraz Filuś. O dziwo, trzymali się we trzech, choć wcześniej Jacenty i Teofil rywalizowali ze sobą o Józię. Widać jednak trudy wojenne zrobiły swoje, bowiem mąż oraz Ignacy wspominali co jakiś czas o łączącej ich trójkę komitywie. Służba w Legionach Polskich czyniła nieprzyjaciół braćmi.

– Każda wojna dobiega kiedyś końca – odparła Dominika. – I o tej też niebawem będziemy mówiły jak o bolesnej przeszłości. Tyle narodu ginie i tak wielkie są straty, że to już nie może długo potrwać. Oni niebawem wytłuką się wzajemnie, a wtedy zapanuje spokój.

Słysząc jej słowa, Józia załkała żałośnie.

– Co wy mówicie, babciu? Oni nie mogą się wytłuc. Chcę, by wrócili do domu.

– Ależ oczywiście, że wrócą. Przecież niemożliwością jest, by wszyscy polegli – stwierdziła prędko Trzosowa, widząc, że mocno się zagalopowała. Wszak chciała pocieszyć wnuczkę, a nie dokładać jej zmartwień. – Nie frasuj się, dziecino. Pisz lepiej do lubego, że modlimy się każdego dnia, by kule omijały i jego, i Ignasia. Niech w końcu legioniści utrą nosa Rosjanom i wracają bezpiecznie.

Wielgusowa skończyła list. Ciężar, który nosiła w sercu, nie zmalał ani trochę.

***

W nieznośnym lipcowym upale żołnierze pracowicie okopywali się nad rzeką Styr na Wołyniu. Zadanie nie należało do łatwych, gdyż często ich pozycje ostrzeliwała artyleria, a lotnicy zrzucali bomby. Legiony Polskie rozstawione zostały na linii Optowa–Kostiuchnówka–Wołczeck i miały za zadanie utrzymać linię frontu za wszelką cenę. Austriacy spodziewali się wielkiej operacji zaczepnej ze strony Rosjan, wywiad donosił o planowanej ofensywie, którą miał przeprowadzić generał Aleksiej Brusiłow[74].

Faktycznie już w czerwcu armia carska ruszyła do potężnej ofensywy. Rosjanie dysponowali niemalże trzykrotnie większymi siłami, ponieważ dowództwo austro-węgierskie nie przewidywało, by w tym rejonie miało dojść do działań na tak wielką skalę. Na wschodzie zostawiono mocno uszczuplone siły składające się właśnie z Legionów Polskich oraz z oddziałów węgierskich honwedów[75]. Nieprzyjaciel przełamał linie obronne pod Łuckiem i ruszył na Bukowinę oraz Polesie, prąc też ku drodze na Kowel.

Spodziewano się, że atak na zajmowane pozycje nastąpi niebawem, więc szykowano linię obrony. Kto żyw pracował przy kopaniu rowów, przygotowaniu umocnień oraz zasieków.

Poprzedniego dnia Teofil dostał list z domu. Wieści od żony dodawały mu energii do pracy, więc wymachiwał łopatą, aż furczało. Cieszył się, że bliscy są bezpieczni. To dla nich walczył, narażając życie.

Jacenty obserwował go ukradkiem. Nie mógł się nadziwić, jak wojenna tułaczka zmieniła cherlaka, który nie sprostał mu podczas sypania kopca. Bo tak naprawdę Filuś czuł się wówczas wygrany. Gdyby nie stracił przytomności, odniósłby nad Wielgusem miażdżące zwycięstwo. Tylko czy to otworzyłoby mu wówczas drogę do serca Józi?

Wciąż nosił w kieszeni munduru tamten list. Mocno zniszczony, wytarty w miejscach, gdzie złożony został papier, gdzieniegdzie nieczytelny. Znał na pamięć każde słowo. I niekiedy, choć ostatnio coraz rzadziej, wyobrażał sobie, że to on był jego adresatem, że na niego czeka w domu tęskniąca kobieta z dzieckiem.

Czasami czuł się jak perfidny zdrajca. Zbliżył się bowiem z Teofilem na tyle, by tamten myślał, że nie chowa urazy. Wojenna tułaczka mocno asymilowała ludzi. Takiej solidarności jak w Legionach Polskich Jacenty nie widział w armii austriackiej, gdy służył w ramach przymusowego poboru. Tutaj jeden za drugiego gotów był oddać życie. Filuś już wcześniej kolegował się z Ignacym, a ponieważ ten trzymał z szurzym, siłą rzeczy wiele czasu spędzali w trójkę. Dzięki temu wiedział, że Józia powiła wiosną ubiegłego roku córeczkę i dała jej na imię Honorata, oraz że mała chowa się zdrowo.

Myśl o Józi podtrzymywała go na duchu, dodawała mu skrzydeł w walce, była niczym talizman chroniący przed kulami. Wszak gdy Dawid Mojsiejowicz stracił życie, a Bartosz Zalipiak rękę, był z nimi w tym samym okopie, choć znajdował się najdalej. Jego wybuch zaledwie ogłuszył, oni mieli znacznie mniej szczęścia.

– Ale skwar – westchnął Ignacy, wbijając saperkę w kopczyk ziemi. Otarł przedramieniem czoło zroszone potem i sięgnął po manierkę. Pociągnął z niej parę łyków. W promieniach słońca połyskiwał jego wilgotny nagi tors. Wszyscy trzej już dawno zrzucili kurtki siwego

koloru, raz: by ich niepotrzebnie nie brudzić, a dwa: dlatego że było im zbyt gorąco.

– Pali – przytaknął Teofil. – Niedobrze, bo jak już Moskale zaatakują, będziemy wyzuci z sił.

Zerknął na niebo, wypatrując obłoków, które choć na chwilę zapewniłyby im odrobinę cienia.

– Jakoś trzeba będzie sobie poradzić – odparł Jacenty. – Nie zachowujcie się jak omdlewające panny. Tu waży się los naszej ojczyzny.

– Patrzcie! – Teofil ruchem głowy wskazał do góry. – Znowu latają balonami.

– To musi być wróg. Na pewno nas obserwują.

W stronę balonów wypuszczono salwy, lecz pociski chybiły celu, który nie dość, że był wysoko, to jeszcze w znacznej odległości. Z daleka widać było, jak promienie słońca odbijają się w szkłach lornetek.

– Skurczybyki znają nasze pozycje. Czuję, że czeka nas ciężka przeprawa. – Ignacy poczochrał się po włosach, potem włożył czapkę „maciejówkę" z błyszczącym na niej polskim orzełkiem, by choć trochę uchronić głowę przed żarem spływającym z nieba.

***

Nazajutrz rozpętało się piekło. Polaków zaatakowały dwie dywizje piechoty oraz kawaleria. Główne uderzenie zostało skierowane na żołnierzy broniących Reduty Piłsudskiego. Ostrzał był tak gęsty, że nad polem bitwy wznosił się gęsty tuman kurzu, który, zmieszany z gryzącym dymem, wżerał się w piersi i drażnił oczy. Raz po raz błyskały jęzory ognia. W powietrzu unosił się nieznośny swąd utrudniający oddychanie.

Ignacy wyjrzał na moment z okopu, by rozeznać sytuację, lecz nie był w stanie dostrzec absolutnie nic: ani ludzi, ani drutów łączności, ani tym bardziej wroga, który raził z karabinów maszynowych gęsto

i częściowo na oślep. Widać balony szpiegujące rozeznały pozycje legionistów wystarczająco, by przeprowadzić skuteczny atak.

– A to ancykrysy – jęknął, choć jego okrzyk nikł w bitewnym jazgocie. – Walą do nas równo. Trzeba się wycofać, może z dalszych pozycji łatwiej ich będzie ostrzelać.

– Co? – krzyknął Teofil, który nie usłyszał nawet połowy jego wypowiedzi.

– Musimy przejść na bok! – wrzasnął głośniej Trzos. – Tam mają karabin maszynowy i amunicję. Mnie już skończyły się naboje do mannlichera. – Wskazał puste magazynki po ośmiomilimetrowych ładunkach do powtarzalnego karabinu.

Jacenty ich nie słyszał, grzebał gorączkowo po kieszeniach w poszukiwaniu kul. Trzos złapał go więc za kurtkę i pociągnął za sobą. Przemykali chyłkiem, nie podnosząc głów, by czasem któryś nie oberwał, gdyż pociski świstały tuż nad nimi. Jak na złość, najbliższe stanowisko ciężkiego karabinu maszynowego zostało rozbite. Cały szaniec obrócił się w gruzowisko zawalone belkami, spod których widać było same trupy oraz żołnierza drgającego w przedśmiertnych konwulsjach. Karabin i luneta leżały strzaskane na ziemi, tuż obok wiły się kłęby drutu i powstała potężna wyrwa.

– Psiakrew! Trza brać rannego na grzbiet i iść dalej. Tu nic nie zostało – jęknął Trzos.

Trudy bitewne zahartowały go, krystalizując charakter. I tak z miękkiego podrostka, który zawsze pozostawał w cieniu, przedzierzgnął się w chwata będącego nieformalnym przywódcą podejmującym szybkie i trafne decyzje, gdy wymagała tego sytuacja. Potrzebowali naboi, bez nich byli całkowicie bezużyteczni. Parli więc naprzód, w poszukiwaniu kolejnego stanowiska. Teraz dodatkowo obciążał ich balast w postaci rannego towarzysza broni, którego najsilniejszy pośród nich, Jacenty, zarzucił sobie na grzbiet, trzymając go za ręce. Wiedział, że wpół ciągnąc go za sobą, sprawia biedakowi ból,

lecz nie mógł pozostawić go ot tak, choć istniało prawdopodobieństwo, że wojak nie dotrze żyw do lazaretu.

Faktycznie skonał, nim dotarli na kolejną pozycję strzelecką. Tam zaopatrzyli się w naboje i zaczęli wracać na opuszczoną pozycję – wszak nie można było dopuścić do przerwania linii frontu.

Rozstawili się w pobliżu miejsca, gdzie Moskale zrobili wyłom, niszcząc karabin. Osłonięci belkami z zawalonego szańca czuli się trochę bezpieczniej, choć obecność potwornie okaleczonych trupów była deprymująca.

Bezzwłocznie załadowali broń i zaczęli strzelać – nieco na oślep, gdyż dym i kurzawa nie opadały nawet na chwilę. Dodatkowo życie utrudniał nieznośny upał, który mocno osłabiał ich kondycję. Na szczęście wody mieli pod dostatkiem, ponieważ gdzie się dało, zbierali manierki poległych żołnierzy.

Jakiś czas później atak ustał. Zapadła cisza.

Polacy mieli odrobinę czasu na przegrupowanie pozycji oraz dokonanie pospiesznego bilansu strat, a te były ogromne. Wciąż jednak pozostawali czujni, ponieważ wróg mógł uderzyć w każdym momencie.

Wieczorem Rosjanie ponowili frontalny atak. Od strony dworu stojącego w Kostiuchnówce oraz rosnącego opodal lasu wyłaniały się gęste masy przeciwnika. Dowódcy wstrzymywali się z rozkazem kontrataku, pozwalając Moskalom podejść bliżej, niemalże pod same druty. Dopiero wówczas huknęła palba z polskiej linii obrony, zaterkotały karabiny maszynowe, siejąc spustoszenie wśród Rosjan, którzy rzucili się do ucieczki.

Polacy walczyli mężnie, utrzymując się na swych pozycjach. Gorzej wyglądała sytuacja na sąsiednich stanowiskach, bronionych przez Węgrów. Ci musieli się wycofać, ustępując pola Moskalom. Głodni, zmęczeni i spragnieni Polacy wytężali resztki sił, by odzyskać utracone przyczółki. Walczyli od wielu godzin, dokonując skutecznych przeciwuderzeń nawet nocną porą.

Nazajutrz Jacenty, Ignacy i Teofil znaleźli się w samym ogniu walk. Póki mogli, wojowali z karabinami w dłoniach, a gdy znowu zabrakło im nabojów, pozostały jedynie potyczki na bagnety.

Starali się trzymać razem, choć było to niezwykle trudne w panującym rozgardiaszu. Jacenty zapamiętale wywijał ostrzem, kładąc wokół kolejne trupy. Krew tryskała na boki, słychać było jęki konających, przerażające okrzyki bólu, świst kul i huk kanonady. Gdzieś w pobliżu musiała szarżować kawaleria, bo ponad zgiełkiem przebijał się tętent kopyt, a ziemia zdała się drżeć pod nogami.

To dla ciebie, Józiu, byś mogła bezpiecznie żyć! – powtarzał sobie w duchu Filuś.

Nie oszczędzał się, gotów był na śmierć.

Jakiś czas temu zrozumiał, że nienawiść, którą żywił do Teofila, była absurdalna, a rojenia o odebraniu mu ukochanej kobiety idiotyczne. Z miłością nie da się wygrać. Ona pokona każdego. Nawet śmierć towarzysza broni mogłaby niczego nie zmienić. Skąd miał wiedzieć, czy po okresie żałoby owdowiała kobieta spojrzałaby na niego łaskawszym wzrokiem? Może upodobałaby sobie kogoś innego? Godniejszego siebie.

Za wysokie progi, za wysokie – przemknęło mu przez myśl.

Nagle zza zasłony kurzu i dymu wyłonił się kawalerzysta rosyjski. Pędził wprost na odwróconego tyłem Wielgusa.

Filuś miał ułamek sekundy na podjęcie decyzji: odepchnąć towarzysza broni na bok, ratując mu życie, czy raczej dopilnować, by trafił pod końskie kopyta? Zwiększyć sobie szansę na zdobycie Józi czy ją zmarnować?

Niewiele myśląc, z całych sił pchnął Teofila.

A potem zapanowały cisza i mrok.

Rozdział 10.

Nareszcie wolni

Dąb Wolności w Niepołomicach – zdjęcie współczesne

Rok 1918

Zawierucha wojenna zaczynała cichnąć, zmieniając znacząco układ sił na świecie. Klęski Rosji podkopały system caratu na tyle skutecznie, że w październiku 1917 roku doszło do rewolucji, której skutkiem było obalenie dynastii Romanowów i całkowita zmiana ustroju państwa. Rewolucjoniści doprowadzili do zawarcia pokoju z Niemcami. Mocno wzrosło znaczenie Stanów Zjednoczonych, a zmalało państw centralnych, które zaczęły się dzielić na mniejsze kraje. Rozpadowi uległo imperium rosyjskie oraz Austro-Węgry, co dało Polakom nadzieję na odzyskanie pełnej suwerenności.

Z początkiem listopada, idąc za przykładem krakowian, grupa niepołomiczan pod przewodnictwem chorążego Andrzeja Klisieckiego[76] opanowała koszary, w których stacjonowało wojsko austriackie. Mężczyźni dostali się na dziedziniec. Wyszedł do nich dowódca garnizonu, pułkownik Bezeliak[77].

– Domagamy się – huknął Klisiecki – aby żołnierze austriaccy złożyli broń i bezzwłocznie opuścili miasto.

Jego wezwanie zostało spełnione bez próby stawiania oporu.

Wycofanie się mundurowych z Niepołomic uznano za umowny koniec zaboru austriackiego. Uczczono ten fakt wielkim zebraniem okolicznej ludności, a na pamiątkę symbolicznego zwycięstwa na placu przed Zamkiem Królewskim posadzony został Dąb Wolności[78].

***

– Co dobrego? – zagadnął Tosiek Bielak Edwarda, dosiadając się do niego w gospodzie.

– Stara bieda. – Zafrasowany mężczyzna poskrobał się po nieogolonym policzku. – Zima idzie, a w komorze niewiele zapasów. Latoś miałem słabe plony. A co urosło na wiosnę, stratowało przechodzące wojsko. Też nie mogli robić przemarszu choćby parę sążni dalej? Zaś będę musiał żebrać u ojców, by nas wspomogli.

– Mnie też starasili uprawy – przyznał Tosiek. – Jakby tego było mało, Achler, krwiopijca, u którego brałem towary na bórg, żąda teraz spłaty długu, i to jeszcze z dużą nawiązką.

– Jak to Żyd. Swoje chce zarobić. – Karpiel wzruszył ramionami.

– Bez przesady, chytrus drugie tyle mi porachował!

– I u mnie krucho – przyznał milczący do tej pory Czesiek Marcińczyk. – Austriacy często podkuwali u mnie konie. Niby mieli przy garnizonie swoją kuźnię, ale wciąż korzystali z moich usług, a rachunki regulowali raz na kwartał. Dzisiaj wybrałem się do garnizonu, by się upomnieć o swoje, a tam pusto. No i właśnie wtedy się dowiedziałem, że nasi wypędzili Austriaków z Niepołomic. Nie ma już ani żołnierzy, ani policjantów. A mnie nie ma kto zapłacić za robotę – utyskiwał rozżalony.

– No to kto teraz pilnuje porządku w mieście? – zdziwił się Tosiek, który o niczym nie słyszał.

– Chyba nikt – bąknął Czesiek. – Bo jakem zaczął wyklinać, to zaczepił mnie jeden taki małorolny z Kłaja i trochę żeśmy se na ten temat pogwarzyli. W Niepołomicach nie ma teraz ani jednego stróża prawa. – Zniżył mocno głos, niemalże do konspiracyjnego szeptu. Spojrzał wymownie na ziomków.

– Ale za to są Żydzi, którzy mają geszefty przynoszące nieliche dochody – zauważył równie cicho Bielak.

– Ano są – przytaknął Karpiel, pocierając dłonią naznaczoną bliznami twarz. – Gdyby człek dobrał się do tyłka takiemu kupcowi, to pewnie szłoby jakoś przetrwać zimę. Bez proszenia się krewnych o łaskę.

– Tfu! Na tej naszej wsi to już chyba na zawsze jakieś przekleństwo będzie wisiało – sapnął Tosiek, zezując w stronę szynkwasu, a następnie odprowadzając wzrokiem cycatą Ryfkę roznoszącą napitki między kmieciami. Gdy odeszła, dodał, zniżając głos do szeptu: – Tutaj też tylko Mojsiejowiczowi dobrze się wiedzie. Reszta wiecznie ma problem z wyżywieniem rodziny.

– E tam, bajesz. A Trzosy? A Zalipiaki? – przypomniał Edek.

– No… Oni rzeczywiście nie mają powodu do narzekania. Ale Trzosy zawsze były bogate. Dziadek mówił, że jako jedyni w okolicy nie odrabiali pańszczyzny – bąknął Bielak.

– Jak to nie odrabiali pańszczyzny? – zdziwił się Karpiel, który nie znał układów panujących tutaj przed laty. Wyjaśnili mu, w czym rzecz. – Takie buty! – Pokiwał głową. – Ech… Bogatemu to i byk się ocieli.

– Wiecie, co jeszcze mi powiedział ten chłopina z Kłaja? – zaszemrał cichutko Marcińczyk. Nie chciał bowiem, by usłyszał go ktokolwiek poza kompanami. A już zdecydowanie nie Mojsiejowicz.

– Niby skąd mamy wiedzieć? – odparł Bielak.

Czesław rozejrzał się, czy nikt nie podsłuchuje.

– Nachylcie się bliżej – polecił ziomkom, a gdy ci usłuchali, kontynuował: – Ponoć w puszczy gromadzą się parobkowie. Organizują zielone bandy. Chcą wydrzeć Żydom trochę dóbr. Wszak ci krwiopijcy od lat paśli się na naszej krzywdzie, to lichwiarsko borgując, to zdzierając skórę, jak człowiek potrzebował coś kupić, to zaniżając ceny, gdy próbował im coś sprzedawać. A i karczmarze nieźle się na nas dorobili. Widzieliście kiedy przymierającego głodem karczmarza?

Dwie głowy energicznie zaprzeczyły.

– Ano nie!

– Słuchajcie no, chłopy. Może zdałoby się skorzystać z okazji i dołączyć do bandziorów? Pójdziemy razem na Żydów.

– Jee… Co też? – żachnął się Karpiel. – Toć grzech rabować…

– Jaki tam grzech? – odparł Bielak, któremu ta koncepcja bardzo się spodobała. Wszak mógłby odbić sobie na Achlerze nieuczciwie rozliczony dług. – Grzech byłby rabować naszego. Ale Żydom nie ubędzie – podpuszczał ziomków.

– To jak? Przystajecie ze mną do bandy? – zapytał Czesiek.

– A to ty się zdecydowałeś?

– No ba! Wiem, gdzie i kiedy mają się spotkać. Nie ma czasu do stracenia, trzeba szybko działać. Zanim nastanie nowa władza, a z nią nowi policjanci.

– Dobrze gadasz – stwierdził Edward. – Lada dzień sytuacja może się zmienić. A jak polscy urzędnicy zaprowadzą własne porządki, to ani ty nie odbijesz sobie krzywdy na Achlerze, ani Czesiu nie wyrówna sobie strat za podkute konie, ani ja nie napełnię komory bez żebrania o łaskę u krewnych.

***

– Nie do wiary, co się wyrabia w Niepołomicach! – wykrzyknął Wiktor, wchodząc do salonu.

Filomena oraz Anna uniosły głowy znad robótek i spojrzały na niego z zainteresowaniem.

– Co się stało? – zapytał zaniepokojony Branicki. Od razu odłożył na bok gazetę i spojrzał wyczekująco na syna, który wrócił z posiedzenia rady miejskiej.

Wiktor podszedł bliżej, lecz nie usiadł, tylko przystanął obok kominka. Przez chwilę delektował się ciepłem trzaskającego na nim ognia.

– Wyobraźcie sobie, moi drodzy, że jakieś bandziory wdarły się do gospody oraz sklepów znajdujących się na rynku. Splądrowali pomieszczenia, narobili okropnych szkód, zrabowali, co tylko zdołali stamtąd wynieść. Ponoć była ich cała chmara, nadeszli jakoś od strony puszczy, tyle przynajmniej udało się ustalić.

– O matuchno! – jęknęła ze zgrozą Filomena, załamując ręce. – Żeby już dochodziło do rozbojów? To niepojęte! Zaraz może zaczną rabować domy, jak przed laty! Dość mama o tym wspominała! Była młodziutką mężatką, gdy w Galicji doszło do prawdziwej rzezi, bo chłopi ruszyli na dwory. Pewnie znowu się to powtórzy! Zaczną nas łupić, mordować, a na ostatek palić!

– Ależ nie denerwuj się, Filomeno!

Marcel, który wygrzewał przy kominku obolałe od reumatyzmu kości, wstał z zajmowanego przez siebie fotela i przysiadł na kanapie obok ślubnej. W przypływie troski ujął i uścisnął jej dłonie.

– Bez obaw, nikt nas nie będzie łupił. To, o czym mówisz, związane było z pańszczyzną. Chłopi się buntowali, chcieli zniesienia jarzma niewoli. Zasadniczo mieli pewnie rację. My tego nie pamiętamy, ale rodzice opowiadali, że kmieciom było ciężko, bo najpierw musieli odsłużyć u panów, dopiero potem mogli robić u siebie. W tamtych czasach przymierali głodem, toczeni przez robactwo i zarazy. Teraz nie dzieje im się krzywda, mają własne grunty i są wolni. Jeśli ktoś nie może się utrzymać z gospodarstwa, może iść na zarobek do lasu, fabryki dachówek czy gdzieś indziej. Musi być jakieś rozsądne wytłumaczenie, czemu w Niepołomicach doszło do rabunków. – Spojrzał na syna.

– Oczywiście, że jest. To po prostu anarchia. Chwilowo jesteśmy pozbawieni strażników bezpieczeństwa. Nie ma wojska ani policji, więc bandziory poczuły się bezkarne. Aby zapobiec na przyszłość podobnym wybrykom, powołaliśmy Straż Obywatelską, która ma panować nad porządkiem w mieście. Pierwsi ochotnicy już mają baczenie na Niepołomice. A i w okolicznych wsiach też należałoby zorganizować podobne, tymczasowe służby. Tak na wszelki wypadek.

– Och… – westchnęła Anna. – Niech już skończy się ta potworna wojna i związany z nią chaos.

– Koniec wojny jest coraz bliżej. Kolejne państwa dążą do zawarcia pokoju. Bułgaria właśnie skapitulowała, ententa przypiera do muru

Austriaków. Turcja też złożyła broń. – Wiktor pobieżnie objaśnił ślubnej bieżącą sytuację.

– To prawda – potwierdził ojciec. – Ale samo podpisanie traktatów pokojowych nie oznacza jeszcze świętego spokoju. Przed naszą ojczyzną stoi nieliche wyzwanie. Trzeba scalić w jeden organizm rozdarte zaborami ziemie. Wprowadzić wspólną walutę, stworzyć struktury władzy, powołać instytucje, które dopilnują porządku publicznego. To potrwa wiele miesięcy, może nawet lata. Na razie nasi politycy mają na uwadze przywrócenie Polski na mapy, a to, choć będzie krokiem milowym, będzie także początkiem prawdziwie wyboistej drogi do wolności.

– Z pustą kasą państwową na pewno trudno będzie cokolwiek zdziałać – przyznała synowa. – Ale gdyby tak ludzie pomogli? Gdyby każdy dał od siebie choć krzynkę złota; pierścionek, zegarek, kolczyki… A choćby i obrączkę… Zapewne jest nas, Polaków, ładnych parę milionów. Wiem, że większość z tego to biedacy, ale wspólnym wysiłkiem można byłoby wiele zdziałać.

Filomena zerknęła z ukosa na synową.

– Ty jak już coś powiesz! – prychnęła pogardliwie leciwa matrona. – Miałabym łożyć na utrzymanie polityków? Przecież jak ktoś rwie się do władzy, to winien mieć pieniądze. Mój świętej pamięci tato mawiał, że polityka jest sprawą bogaczy.

Marcel zdusił komentarz cisnący mu się na usta. Wszak Filomena nie miała możliwości, by usłyszeć podobne słowa z ojcowskich ust, ponieważ Antoni Parnicki poległ, gdy miała zaledwie dziesięć lat. I zapewne jak większość dziatwy będącej w tamtym czasie w tym wieku, trzymano ją z dala od spraw dorosłych i polityki. Zamiast jednak sprzeczać się z żoną, która wciąż była wystraszona i rozdrażniona wieściami przyniesionymi przez syna, zwrócił się do Anny.

– Mądrze mówisz, drogie dziecko. Słyszałem o planie zorganizowania narodowej kwesty. Jakoś trzeba będzie napełnić pustą kasę, by można było w jak najbliższej przyszłości powołać policję i inne

służby państwowe, które są nam wszystkim potrzebne. Choćby po to, by do głosu nie dochodzili anarchiści, którzy próbują siać terror i zaprowadzać własne porządki. Mam nadzieję, że podobne incydenty więcej się nie powtórzą.

***

Istotnie już niebawem mieszkańcy Niepołomic zawiązali Komitet Obywatelski, którego zadaniem było prowadzenie kwesty polegającej na zbieraniu złota niezbędnego do stworzenia podwalin pod walutę narodową. Ochoczo przekazywano na ten cel złote zegarki, biżuterię, a nawet ślubne obrączki. Choć dla Trzosów rozstanie się z symbolami zawartego małżeństwa było niełatwą decyzją, zarówno Elżbieta, jak i Klemens oddali złote, przyjmując w zamian metalowe z naniesionym na nich grawerunkiem: *Złoto Ojczyźnie 1918*. Na szczodry gest zdobyła się również Dominika. Wdowa po rozbójniku oddała nie tylko obrączkę, lecz dodatkowo wydobyła ze schowka pod podłogą złoty łańcuszek, który trzymała z myślą o czarnej godzinie, i także przekazała go na szczytny cel.

– Czarne godziny już przeminęły, wierzę, że bezpowrotnie. To, co najgorsze, pozostało za nami. A ja nigdy nie przestanę dziękować Bogu za to, że nasza rodzina przetrwała wojenną zawieruchę – stwierdziła.

Helence, która była łasa na błyskotkę i wręcz prosiła, by jej nie oddawać, obiecała na prezent ślubny bransoletkę zrobioną z prawdziwych pereł.

***

– Koniec wojny! Koniec wojny! Niemiecki rząd podpisał akt kapitulacji! – wykrzykiwali uliczni sprzedawcy gazet.

Prasa schodziła niczym ciepłe bułeczki. Czytano ją od razu na ulicach, a następnie przekazywano z ust do ust dobre wieści. Polały się łzy wzruszenia. Dla Polaków nastąpiła nowa era w historii, oto pojawiła

się realna szansa na wzniesienie z powojennych zgliszczy suwerennego kraju. Na scalenie trzech rozdartych części jednego organizmu.

Już od jakiegoś czasu do domów stopniowo wracali weterani. Część powróciła znacznie wcześniej, jeszcze przed podpisaniem w Compiègne pod Paryżem rozejmu pomiędzy ententą a obalonym cesarstwem niemieckim. Innym schodziło trochę dłużej, gdyż przybywali z dalekich stron, wszak rozsiani byli po wielu krajach świata.

U Trzosów w napięciu oczekiwano na powrót Ignacego oraz Teofila. Na początku listopada dotarł list, z którego wynikało, że wracają z frontu. Obydwaj są cali i we względnie dobrej kondycji.

Józia od kilku tygodni znowu mieszkała w Niepołomicach. Osiadła tam tuż po żniwach, gdy wiadomo już było, że wojna ma się ku końcowi. Pragnęła, by mąż wrócił do miejsca, które stworzyli wspólnymi siłami, urządzając je według własnych upodobań. Honoratka była na tyle dużą dziewczynką, że potrafiła się sobą zająć, nie wymagała niańczenia, a i Wielgusowej nie potrzeba już było pomocy. Wzorem ciotki Weroniki Józka zajęła się wyrabianiem koronek, które oddawała do sklepu. Dochód z tego nie był może duży, lecz wystarczał na skromne utrzymanie, ponadto jako żona legionisty otrzymywała niewielki zasiłek.

Każdego dnia, ilekroć słyszała gwizd nadjeżdżającego pociągu, wychodziła przed dom i obserwowała idących gościńcem ludzi. Niezależnie od pogody czekała cierpliwie, niczym Penelopa na powrót Odysa. Gdy padał deszcz lub dął przejmujący zimny wiatr, chroniła się na ganku, zerkając zza firanki.

– *Rozkwitały pąki białych róż, / Wróć, Jasieńku, z tej wojenki już, /Wróć, ucałuj, jak za dawnych lat, / Dam ci za to róży najpiękniejszy kwiat*[79]. – Józia nuciła piosenkę, która w ostatnich tygodniach podbijała serca Polek czekających na ukochanych mężczyzn.

Przed momentem ubrała ciepło Honoratkę, gdyż postanowiła, że zrobią sobie spacer w stronę dworca. Dzień był wyjątkowo piękny i słoneczny. Psotne podmuchy wiatru strącały z drzew ostatnie liście,

zaścielając gościniec barwnym kobiercem. Gdzieniegdzie w promieniach połyskiwały krople rosy zaczepionej o pajęczyny, przywodząc na myśl najkosztowniejszą biżuterię świata. Kobieta szła więc z lekkim sercem i pieśnią wciąż brzmiącą w jej głowie.

Przeszła wraz z córką zaledwie kilkadziesiąt kroków, gdy dostrzegła grupkę idących mężczyzn. Wszyscy ubrani byli w legionowe mundury. Szli o własnych siłach, choć część z nich musiała odnieść rany. Widziała bowiem obandażowane głowy, ręce na temblakach czy szczudła. Nagle jej serce mocno zabiło. Zamarła, przystanęła w miejscu. Zasłoniła dłonią usta, jeszcze nie dowierzając temu, co widzi.

– Mamusiu! – Mała szarpnęła ją za rękę, chcąc iść dalej. – Mamo, chodź. Bo spóźnimy się na pociąg.

– Nie trzeba, kochanie – odparła. – Ten pociąg już przyjechał.

Od grupki legionistów oderwał się jeden z mężczyzn i zaczął biec w jej kierunku. Zerwał z głowy maciejówkę, nim porwał Józię w ramiona.

– Żono moja! Żoneczko najukochańsza! – wykrzyknął.

Tulili się do siebie, to znowu odsuwali się, by nacieszyć oczy swym widokiem. Przepełniało ich bezgraniczne szczęście, że wyszli cało z wojennej zawieruchy. Wszak przerażający konflikt pochłonął około czternastu milionów istnień ludzkich, z czego połowę stanowili bezbronni cywile: kobiety, dzieci, starcy.

Chwilę później Teofil pochylił się i wyciągnął ręce ku dziewczynce. Uniósł ją tak, by spojrzeć na drobną buzię z zadartym noskiem posypanym szczodrze piegami.

– Niech no ja zgadnę: ta śliczna panieneczka ma na imię Honorcia – powiedział.

W tym czasie zrównali się z nim towarzysze broni, więc wzruszona Józia mogła przywitać brata. Pozwoliła, by jej dłonie ucałowali Bielak i Dyl, którzy odnaleźli się w lazaretach i dawno temu zdążyli wylizać wcześniejsze rany, a potem odnieść kolejne.

***

Gabriel kończył śniadanie. Została mu jeszcze do wypicia filiżanka porannej kawy. Przeważnie łączył tę przyjemność z przejrzeniem „Czasu". Zwykle o tej porze nie wczytywał się uważnie w treść artykułów, przebiegając wzrokiem głównie po nagłówkach. Tego dnia jednak pojawiło się coś, co z miejsca przykuło jego uwagę.

– Kobietom przyznano prawa wyborcze! – wykrzyknął.

Leokadia wyprawiała właśnie dzieci do szkoły. Choć liczyli odpowiednio: Gabrysia trzynaście a Stanisław dziewięć lat, każdego dnia pilnowała, by należycie się ubrali, zabrali przybory szkolne i na czas opuścili dom. Staś ostatnio wyszukiwał sobie różne wymówki, by opuścić lekcje. A to bolał go brzuch, a to głowa, a to ucho. To znowu „zapominał" kajetów. Była przy drzwiach wejściowych, lecz słysząc męża, czym prędzej pomachała pociechom i wróciła do jadalni.

– Dobrze cię zrozumiałam? – zapytała bez większej euforii, jakby nie dowierzała własnym uszom.

– Ależ oczywiście. Wczoraj Józef Piłsudski podpisał Dekret Naczelnika Państwa o ordynacji wyborczej. Z artykułu wynika, że panie zyskały możliwość oddawania głosów w wyborach oraz wpływania na politykę.

– A to pięknie! – ucieszyła się ślubna. – Po tylu latach starań nareszcie zaczniemy się liczyć w społeczeństwie. Matylda pewnie szaleje ze szczęścia.

– A ty nie? – Mężczyzna zdziwił się jej dość powściągliwą reakcją. Spodziewał się większego entuzjazmu.

– Owszem, jestem szczęśliwa. Wszak czekałyśmy na to wiele lat. Walczyłyśmy o równouprawnienie i nareszcie wyszłyśmy z tej walki zwycięsko. Ale to oznacza, że spoczywa na nas ciężar wielkiej odpowiedzialności.

– Rzeczywiście. Możecie swoimi głosami sprawić, że zmieni się świat.

– Oby na lepsze. Może nasza obecność w życiu publicznym przyczyni się do łagodzenia ewentualnych konfliktów?

– Jest to możliwe. Nie wyobrażam sobie kolejnej wojny na tak wielką skalę. To byłby chyba koniec świata – stwierdził.

Przez chwilę rozmawiali o artykule. Później Gabriel wstał i zaczął zbierać się do wyjścia. Miał w perspektywie dyżur w lazarecie.

– Tylko nie zapomnij, kochany, że będziemy mieli gości na podwieczorku – przypomniała żona, podając mu lekarską torbę.

– Gości? – zapytał z roztargnieniem.

– Zapomniałeś – westchnęła. – Narzeczeni zapowiedzieli się z wizytą.

– Ach tak! – Mężczyzna pacnął się dłonią w czoło. – Zamierzają zaprosić nas na ślub. To będzie niemalże jak powtórka naszego wesela. – Zachichotał.

Plany matrymonialne Ignacego Trzosa i Elizy Leśniewiczówny wywołały burzę w szklance wody.

Z Zalipiakami skoligaceni byli obydwoje: z Gabrielem narzeczony, z Leokadią narzeczona. Wesele miało więc być kolejną uroczystością, na której spotkają się obydwie rodziny: szlachecka i kmieca. Większość Parnickich i Branickich nie miała z tym problemu, lecz dla Filomeny był to powód do gderania. Twierdziła, że krewna, nie szkodzi, iż uboga, popełnia błąd, wiążąc przyszłość z chłopem. I o ile decyzję własnej córki jakoś potrafiła przetrawić – wszak chodziło o doktora, to związek Elizy z gospodarskim synem był dla niej trudny do zaakceptowania. Dodatkowo utyskiwała na pośpiech, gdyż Ignacy wrócił z wojny przed zaledwie dwoma tygodniami, a już odbyły się zaręczyny, ślub natomiast zaplanowany został tuż po Bożym Narodzeniu. Narzeczeni tłumaczyli, że nie ma na co czekać, ponieważ wojna zabrała im cztery lata życia i młodości.

– Wytrzymali cztery lata bez siebie, dla przyzwoitości mogliby wytrzymać jeszcze choć parę miesięcy. Co ludzie powiedzą? Każdy

będzie myślał, że zaszły ku temu istotne powody. Wezmą ich na języki – wydziwiała dwa dni wcześniej na wieść przyniesioną przez córkę.

***

Dominika z dumą spoglądała na najstarszego wnuka stojącego z ukochaną kobietą u stopni ołtarza. Raz po raz ocierała spod oczu łzy wzruszenia.

Matula byłaby taka szczęśliwa – westchnęła na myśl o świekrze. *Tak bardzo pragnęła koligacji ze szlachtą i lepszego życia dla swych dzieci oraz wnuków. No i proszę: doczekaliśmy się w rodzinie doktora, urzędników oraz szlachcianek.*

Choć od śmierci Bernadety minęło już wiele lat, nie zapomniała o kobiecie, która w trudnej chwili przygarnęła ją pod swoje opiekuńcze skrzydła. Dzięki świekrze Dominika zyskała bezpieczny, dobry dom, i ciepło domowego ogniska. Wdzięczna była jej także za obronę przed złymi ludźmi, przed obmowami i nienawiścią. I choć zawsze szanowała i podziwiała teściową, w jednym nie mogła się z nią zgodzić.

– Nie było żadnej klątwy – wymruczała sama do siebie. – Wyszliśmy zwycięscy z niejednej zawieruchy. Ominęły nas ogień i wielka woda. Wojna nie zabrała nikogo spośród moich bliskich. A że Zocha i Zygmuś poszli za głosem Boga? Cóż, takie życie!

KONIEC

Całość napisana w Podłężu koło Niepołomic
w okresie: styczeń – wrzesień 2021 r.

Drzewo genealogiczne rodziny Trzosów

Rok 1918

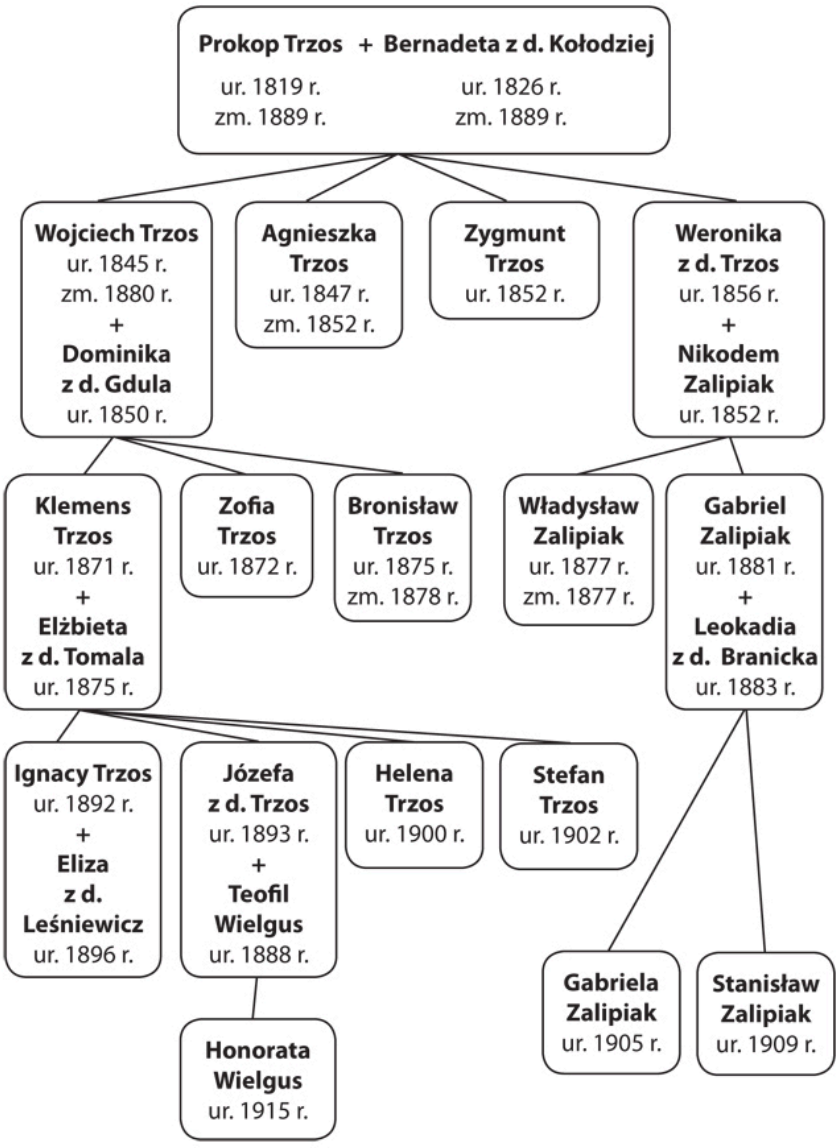
Prokop Trzos + Bernadeta z d. Kołodziej
ur. 1819 r. zm. 1889 r.
ur. 1826 r. zm. 1889 r.
Wojciech Trzos ur. 1845 r. zm. 1880 r. + Dominika z d. Gdula ur. 1850 r.
Agnieszka Trzos ur. 1847 r. zm. 1852 r.
Zygmunt Trzos ur. 1852 r.
Weronika z d. Trzos ur. 1856 r. + Nikodem Zalipiak ur. 1852 r.
Klemens Trzos ur. 1871 r. + Elżbieta z d. Tomala ur. 1875 r.
Zofia Trzos ur. 1872 r.
Bronisław Trzos ur. 1875 r. zm. 1878 r.
Władysław Zalipiak ur. 1877 r. zm. 1877 r.
Gabriel Zalipiak ur. 1881 r. + Leokadia z d. Branicka ur. 1883 r.
Ignacy Trzos ur. 1892 r. + Eliza z d. Leśniewicz ur. 1896 r.
Józefa z d. Trzos ur. 1893 r. + Teofil Wielgus ur. 1888 r.
Helena Trzos ur. 1900 r.
Stefan Trzos ur. 1902 r.
Honorata Wielgus ur. 1915 r.
Gabriela Zalipiak ur. 1905 r.
Stanisław Zalipiak ur. 1909 r.

Drzewo genealogiczne rodziny Parnickich oraz Branickich

Rok 1918

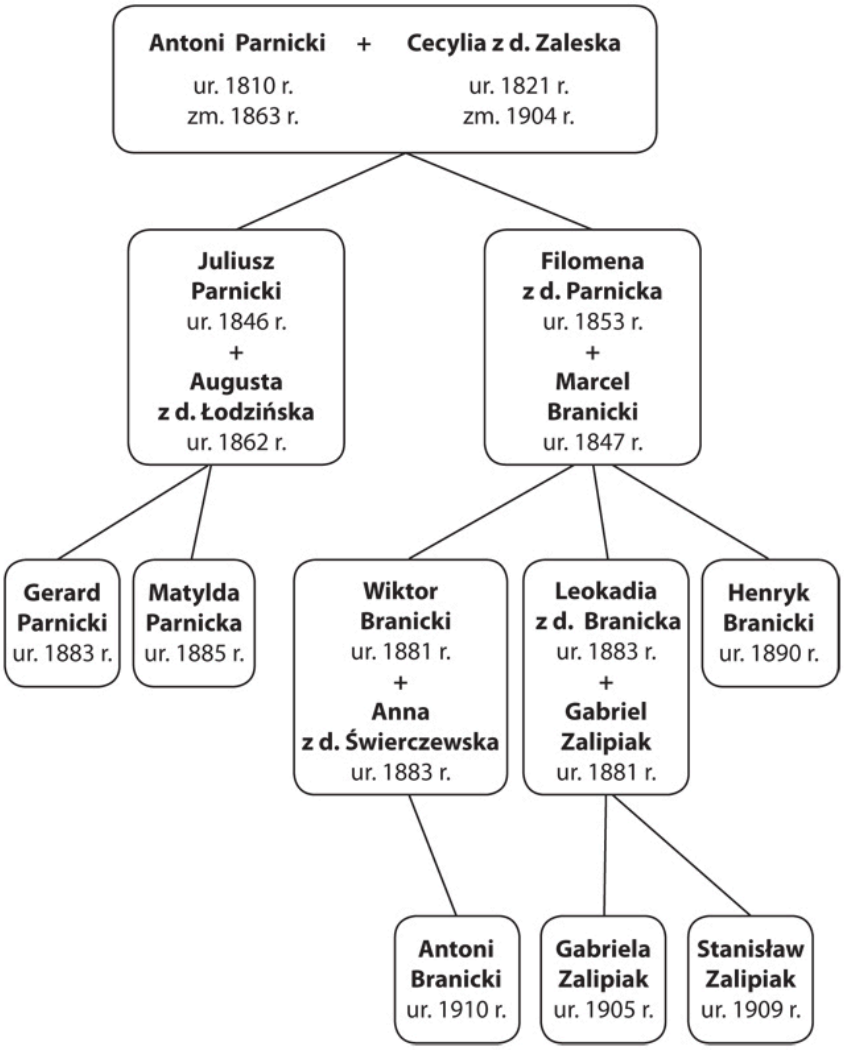

Podziękowania

Właścicielom oraz pracownikom Wydawnictwa Skarpa Warszawska za owocną współpracę.

Monice Orłowskiej – mojej nieocenionej redaktorce, za wszystkie cenne wskazówki i podpowiedzi.

Tomaszowi Pieprzycy – autorowi bloga Węgrzce Wielkie i Okolice – Historia, przyroda, ludzie https:\\wegrzcewielkie.wordpress.com, który stanowił bogate źródło inspiracji podczas mojej pracy nad całym cyklem „Niepołomice", składam serdecznie podziękowania za okazaną życzliwość oraz wyrazy uznania za stworzenie strony, która kultywuje pamięć o naszej „małej ojczyźnie". To ważne, by przyszłe pokolenia mogły poznawać swe korzenie.

Mieczysławowi Januszowi Jagle – prezesowi Stowarzyszenia Miłośników Ziemi Niepołomickiej, za udostępnienie archiwalnych oraz współczesnych zdjęć opublikowanych na kartach niniejszej sagi.

Marcie Wdaniec za użyczenie odręcznie spisanego śpiewnika swojej babci.

Wszystkim patronom medialnym niniejszej powieści za ogromne wsparcie promocyjne.

Moim kochanym Teściom: Zofii i Władysławowi Świętkom za rodzinne anegdoty oraz nieustający doping i ogromne zainteresowanie moją pracą literacką.

Eleonorze Chojnowskiej, Anecie Pimpis, Katarzynie Darzyckiej-Pazdan – wielkim miłośniczkom literatury za nieustające trzymanie kciuków, każde ciepłe słowo i pozytywną myśl.

Joannie Sykat – mojej koleżance „po piórze” za powieść „Gdy zabłyśnie światło”, która trafiła w moje ręce w momencie, gdy potrzebowałam pokrzepiającej historii z pięknym przesłaniem.

Wszystkim Czytelnikom i Bibliotekarzom – bez Was moje wysiłki nie miałyby najmniejszego sensu.

Rodzinie, która zawsze jest przy mnie.

Bibliografia

Julian Zanikow, *Wokół Niepołomic i Puszczy Niepołomickiej*, wyd. nakładem UMiG w Niepołomicach, Niepołomice 2009.

Jan Kracik, *Ludzie królewskich Niepołomic*, wyd. nakładem UMiG w Niepołomicach, Niepołomice 2008.

Anna Siwek, Antoni Siwek, *Kronika Niepołomic*, wyd. nakładem UMiG w Niepołomicach, Niepołomice 2005.

Anna Siwek, Antoni Siwek, *Kronika Niepołomic 1000-1945*, wyd. nakładem UMiG w Niepołomicach, Niepołomice 1989.

Marcin Korzec, *Niepołomice*, PUW Roksana, Krosno 2001.

Mariusz Niemycki, *O lichu, co króla mamiło*, Wydawnictwo Skrzat, Kraków 2008.

Marcin Pielesz, *Opactwo Benedyktynek w Staniątkach*, Wydawnictwo Petrus, Kraków 2015.

s. Małgorzata Borkowska OSB, *Gawędy staniąteckie*, wyd. nakładem UMiG w Niepołomicach, Niepołomice 2016.

Barbara Ogrodowska, *Polskie obrzędy i zwyczaje*, Wydawnictwo MUZA, Warszawa 2012.

Anna Sieradzka, *Tysiąc lat ubiorów w Polsce*, Wydawnictwo Arkady, Warszawa 2003.

Praca zbiorowa, *Historia Polski. Atlas ilustrowany*, Wydawnictwo Demart, Warszawa 2014.

Słownik polskich wyrazów technicznych, Wydawnictwo Akademii Nauk Technicznych, Warszawa 1929.

Teresa Olearczyk, *Oświata na ziemi niepołomickiej*, Wydawnictwo Naukowe Akademii Ignatianum w Krakowie, Kraków 2020.

Louise Alqui de Rieupeyroux, *Zwyczaje towarzyskie (Le savoir-vivre) w ważniejszych okolicznościach życia przyjęte, według dzieł francuskich spisane*, wydawca: Wildt Juliusz, Kraków 1876.

Zbigniew Grabowski, *Legiony Polskie*, Wojskowe Centrum Edukacji Obywatelskiej, Warszawa 2014.

Piotr Czerwiński, *Vademecum. Historia*, Wydawnictwo Greg, Kraków 1999.

Źródła internetowe:

https://ciekawostkihistoryczne.pl
https://wielkahistoria.pl
https://dzieje.pl
https://wegrzcewielkie.wordpress.com
https://cbr.gov.pl
https://www.historiasztuki.com.pl
https://www.agnieszka.lisak.net.pl
http://ihistorynka.blogspot.com
http://www.konkursmoda.wilanow-palac.pl
https://dziennikpolski24.pl
https://culture.pl

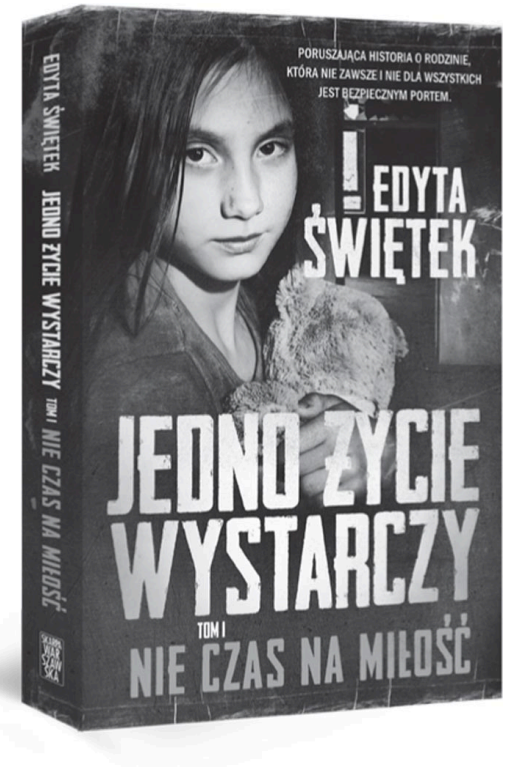
PORUSZAJĄCA HISTORIA O RODZINIE, KTÓRA NIE ZAWSZE I NIE DLA WSZYSTKICH JEST BEZPIECZNYM PORTEM.
EDYTA ŚWIĘTEK
JEDNO ŻYCIE WYSTARCZY
TOM I
NIE CZAS NA MIŁOŚĆ
EDYTA ŚWIĘTEK JEDNO ŻYCIE WYSTARCZY TOM I NIE CZAS NA MIŁOŚĆ

Poruszająca historia o rodzinie,
która nie zawsze i nie dla wszystkich
jest bezpiecznym portem.

Rozalia Kmiecik wydaje na świat szóste dziecko – Anielę. Rodzina dziewczynki zmaga się z problemami finansowymi, a ojciec wkrótce zostaje aresztowany za rozbój. W trudnych chwilach oparciem dla dziewczynki jest ukochana ciocia Wanda, a następnie najbliższa przyjaciółka. Dorastające dziewczęta łączy zbieżność marzeń oraz wspólny cel do zrealizowania. Jaką tajemnicę skrywa matka Anieli? I jak wszystkie czyny oraz niewypowiedziane słowa wpłyną na młodą kobietę i jej dalsze życie? Czy w świecie, który z założenia powinien być bezpieczny, jest miejsce na sekrety i kłamstwa?

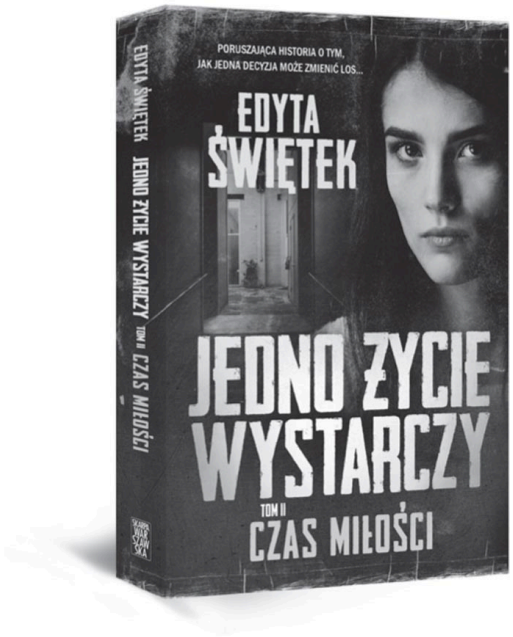

Poruszająca historia o tym,
jak jedna decyzja może zmienić los...

Po latach emocjonalnej pustki w życiu Anieli Kmiecik przychodzi czas na miłość. O serce dziewczyny walczą dwaj mężczyźni: Norbert oraz Marcin. Sekret wyjawiony przez Rozalię stanowi poważną przeszkodę na jej drodze do szczęścia, a traumatyczne przeżycia z dzieciństwa wciąż nie pozwalają o sobie zapomnieć. Jak walczyć z zakazanym uczuciem? Czy weźmie górę głos rozsądku? Czy w świecie pełnym niedomówień jest miejsce na drugą szansę?

PORUSZAJĄCA SAGA,
W KTÓREJ MIŁOŚĆ, NIENAWIŚĆ I TAJEMNICE
SPLATAJĄ LOSY BOHATERÓW

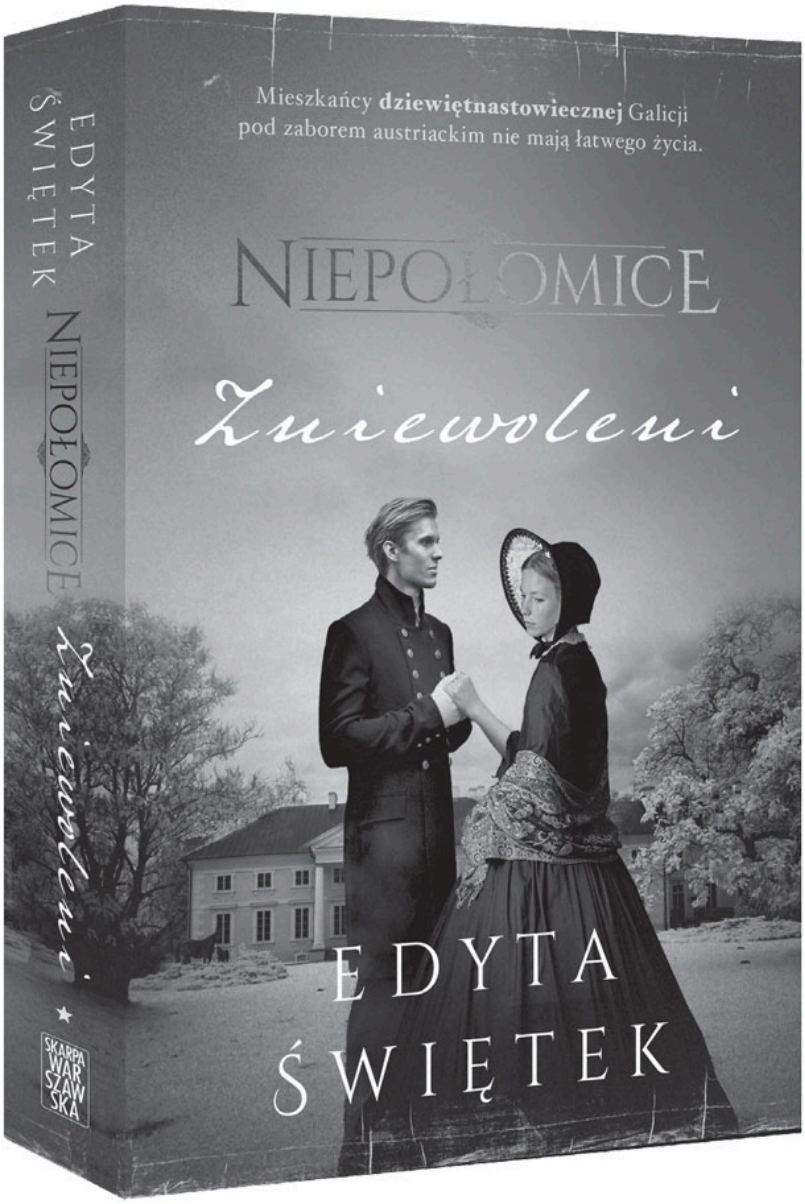

EDYTA
ŚWIĘTEK

NIEPOŁOMICE

Zniewoleni

MIESZKAŃCY DZIEWIĘTNASTOWIECZNEJ GALICJI POD ZABOREM AUSTRIACKIM NIE MAJĄ ŁATWEGO ŻYCIA.

Antoni Parnicki, zakochany w Kornelii – żonie swego sąsiada i przyjaciela, tkwi w zawartym z rozsądku małżeństwie z Cecylią Zaleską. Brat Cecylii jest emisariuszem powstańczym. Na obrzeżach puszczy Niepołomickiej, po sąsiedzku z dwoma szlacheckimi rodami: Parnickich i Żelechowskich, żyje rodzina Trzosów – wolnych kmieci, których korzenie sięgają czasów króla Kazimierza Wielkiego. W skutek nieszczęśliwego wypadku na rodzinę Trzosów zostaje rzucona klątwa.

Mieszkańcy dziewiętnastowiecznej Galicji pod zaborem austriackim nie mają łatwego życia. Chłopi pańszczyźniani, nękani nieurodzajami, tyfusem i cholerą, marzą o zrzuceniu jarzma niewoli. Zubożała szlachta podrywa się do nierównej walki z zaborcą, lecz ich zryw zostaje krwawo stłumiony przez zbuntowanych kmieci.

SKARPA WARSZAWSKA

skarpawarszawska.pl

PORYWAJĄCA HISTORIA RODZIN
NA TLE WYDARZEŃ,
KTÓRE ZMIENIŁY LOSY POLSKI.

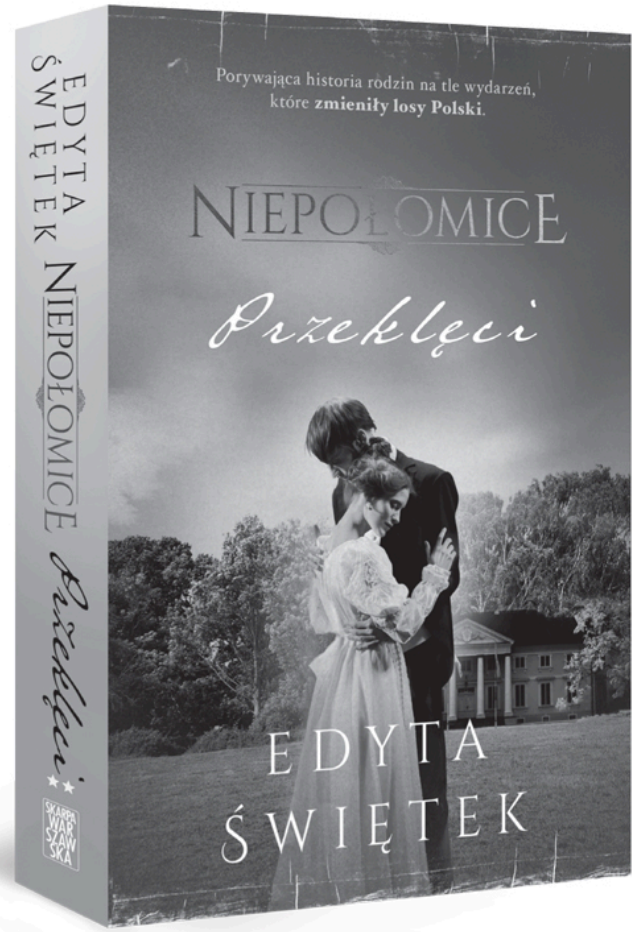

EDYTA
ŚWIĘTEK

NIEPOŁOMICE

Przeklęci

POWSTANIE STYCZNIOWE ZBIERA KRWAWE ŻNIWO.

Wojciech Trzos z obawy przed karą ukrywa się i wpada w tarapaty. U owdowiałej Cecylii pojawia się adorator, lecz w przeciwieństwie do swej bratowej kobieta nie jest zainteresowana ponownym zamążpójściem. W sercu Gustawa Zaleskiego odradza się miłość do Eulalii, jednak na drodze do ich szczęścia stoi Gertruda, która nie akceptuje związku córki.

Czy miłość pięknej szlachcianki i kupca ma szansę na pokonanie piętrzących się trudności? Jak potoczą się losy Wojtka? Czy Maksymilian zapomni o przeszłości i wybaczy mordercom swej rodziny?

Edyta Świętek kolejny raz udowadnia, że doskonale odnajduje się w historycznych realiach epoki.

SKARPA WARSZAWSKA

skarpawarszawska.pl

Przypisy

[1] Mikołaj Zyblikiewicz (1823–87) – polski polityk, adwokat, prezydent miasta Krakowa.

[2] Fragment pobrany ze strony: https://www.lisak.net.pl/blog/?p=2579 30-07-2021 r. Zachowana autentyczna pisownia.

[3] Fragment piosenki ludowej – autor nieznany.

[4] Ludwik Marciszewicz – postać autentyczna. W 1889 r. objął aptekę w Niepołomicach prowadzoną wcześniej przez farmaceutę Jana Tichego.

[5] Historia polowania zapisana na podstawie miejscowych przekazów. Dąb Batory został powalony przez uderzenie pioruna 28 maja 2003 r. W miejsce obumarłego sześćsetletniego drzewa posadzono nowe.

[6] Fragment piosenki ludowej, autor nieznany.

[7] Fragment piosenki ludowej – autor nieznany.

[8] Alojzy Kosiba (1855–1939) – postać autentyczna. Zakonnik kwestarz z klasztoru Franciszkanów-Reformatów w Wieliczce, zasłynął z pomagania ubogim chłopom.

[9] Panslawizm – ruch kulturalno-polityczny o różnorodnym zabarwieniu politycznym, dążący do wyzwolenia, a następnie zjednoczenia politycznego, gospodarczego i kulturalnego Słowian, traktujący jednocześnie Germanów jako wrogów.

[10] Roman Dmowski (1864–1939) – polski polityk, publicysta, działacz niepodległościowy.

[11] Jan Potoczek (1857–1941) – pierwszy chłopski poseł do Rady Państwa w Wiedniu, współtwórca i sekretarz Związku Stronnictwa Chłopskiego.

[12] Zbrocze – wgłębienie wzdłuż głowni broni siecznej.

[13] Fragment piosenki ludowej z Podhala – autor nieznany.

[14] Na podstawie prawdziwej historii. Dąb runął wskutek uderzenia pioruna w 1980 r.

[15] Mgr Mieczysław Reichenberg – postać autentyczna.

[16] Władysław Wimmer – postać autentyczna, burmistrz Niepołomic, zasłużony obywatel miasta.

[17] Jan Karol Sas-Zubrzycki (1860–1935) – polski architekt, konserwator sztuki.

[18] Inaczej dzień Nawiedzenia Najświętszej Marii Panny przypadający na 2 lipca.

[19] Maria i Bolesław Wysłouchowie – współorganizatorzy ruchu ludowego w Galicji.

[20] Jakub Bojka (1857–1943) – działacz, publicysta i pisarz ludowy, jeden z pionierów ruchu ludowego w Galicji.

[21] „Przodownica" – ukazujący się w Krakowie w latach 1899–1912 miesięcznik dla kobiet wiejskich, którego współzałożycielką była Maria Wysłouchowa. Zrezygnowała z redagowania pisma po czterech miesiącach.

[22] Halerz – najniższa jednostka walutowa wprowadzona w 1892 r.

[23] Cyrtolić się – gwarowo: bawić się.

[24] Z łaciny – I ty, Brutusie, przeciwko mnie?

[25] Stanisław Niedzielski herbu Larysza (1853–1938) – poseł do sejmu krajowego Galicji.

[26] Postać autentyczna.

[27] Zajączek, Drużbacki i Flisowski – postaci autentyczne.

[28] Gadzina – gwarowo: żywy inwentarz.

[29] Goronc – gwarowo: upał.

[30] Smędzić – gwarowo: narzekać.

[31] Karpiele – inaczej brukiew, odmiana kapusty rzepak.

[32] Prasnąć – gwarowo: uderzyć kogoś.

[33] Kaciała – gwarowo: fajtłapa.

[34] Upolować (upalować) – gwarowo: uwiązać krowę do palika na pastwisku.

[35] Do imentu – gwarowo: do samego końca, do ostatka.

[36] Tarasić – gwarowo: zdeptać, zniszczyć.

[37] Bojcyć – gwarowo; plotkować, gadać.

[38] Łokieć – jednostka miary obowiązująca w zaborze austriackim. 1 łokieć równy jest 0,7792 metra.

[39] Dychnąć – gwarowo: odetchnąć, odpocząć.

[40] Mowa o Mariannie z Wawrzeckich (1760–1828) żonie zasłużonego męża stanu, która w Krakowie i okolicy zasłynęła jako osoba niechlujna, ekscentryczna i skąpa.

[41] Rodzina Branickich, o której opowiadam w niniejszej powieści, jest fikcyjna. W rzeczywistości po śmierci Marcina Badeniego wzmiankowany majątek przeszedł w inne ręce.

[42] Marcin Badeni (1751–1824) – postać autentyczna. członek Rady Generalnej Konfederacji Generalnej Królestwa Polskiego w 1812 r., polski mąż stanu okresu Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego, wcześniej szambelan Stanisława Augusta Poniatowskiego.

[43] Postać autentyczna.

[44] Postać autentyczna.

[45] Postać autentyczna.

[46] Postać autentyczna, brat burmistrza Władysława Wimmera, przedsiębiorca.

[47] Żeleński, Homolacz – postaci autentyczne.

[48] Franciszek Ziemba – postać autentyczna. Druh towarzystwa „Sokół" odpowiadający za reżyserię przedstawień oraz choreografię ćwiczeń gimnastycznych.

[49] Ten oraz poniższe cytaty pochodzą z dramatu *Wesele* Stanisława Wyspiańskiego – akt I, scena 1, Wydawnictwo Literackie, 1987.

[50] „Ster" – polskie czasopismo poświęcone prawom kobiet. Ukazywało się w latach 1895–97 we Lwowie, a następnie w latach 1907–14 w Warszawie.

[51] Postać autentyczna.

[52] Burdasi się – gwarowo: chmurzy się, zbiera się na deszcz.

[53] Piosenka ludowa. Autor nieznany.

[54] Piosenka ludowa. Autor nieznany.

[55] Piosenka ludowa. Autor nieznany.

[56] Asenterunek (od niem. *Assentierung*) – system przymusowego poboru rekruta w cesarstwie austro-węgierskim.

[57] Fragment utworu *Jeszcze jeden mazur dzisiaj* – słowa: Fabian Tymulski, muzyka: Ludwik Ksawery Pomian-Łubiński, pieśń powstała ok. 1839 r.

[58] Fragment piosenki ludowej – autor nieznany.

[59] Józef Haller (1873–1960) – generał broni Wojska Polskiego, Naczelny Dowódca wszystkich Wojsk Polskich.

[60] Gavrilo Princip (1894–1918) – serbski nacjonalista powiązany z organizacją terrorystyczną Czarna Ręka.

[61] Mowa o Naczelnym Komitecie Narodowym, którego zwierzchnikiem został prezydent miasta Juliusz Franciszek Leo (1861–1918).

[62] Postaci autentyczne.

[63] Postaci autentyczne.

[64] Hilaria Szczerbianka (1865–1943) – ksieni opactwa Benedyktynek w Staniątkach.

[65] Aleksander Wasylewicz Nowikow (1864–1932) – generał w armii rosyjskiej.

[66] Czesław Młot-Fijałkowski (1892–1944) – polski dowódca wojskowy, generał brygady Wojska Polskiego.

[67] W rzeczywistości z ksienią Hilarią Szczerbianką pozostała siostra Maura. Na potrzeby niniejszej powieści pozwalam sobie na nieznaczne nagięcie tego faktu.

[68] *Hospodi pomiłuj* – z języka cerkiewno-słowiańskiego: Panie, zmiłuj się.

[69] Wojciech Płukasz (1847–1914) – senior rezydencji.

[70] Jan Nepomucen Kurcz (1864–1914) – staniątecki duszpasterz.

[71] Rymowanka ludowa – autor nieznany.

[72] Andrzej Wimmer – syn Władysława Wimmera, od 1921 roku burmistrz Niepołomic.

[73] Postać autentyczna.

[74] Aleksiej Brusiłow (1853–1926) – rosyjski generał kawalerii.

[75] *Honvéd* – królewsko-węgierska Obrona Krajowa w latach 1867–1918.

[76] Postać autentyczna.

[77] Postać autentyczna.

[78] Drzewo nadal rośnie pośrodku plant przed Zamkiem Królewskim.

[79] Fragment piosenki *Rozkwitały pąki białych róż* – słowa: Kazimierz Wroczyński, Jan Lankau, melodia: Mieczysław Kozar-Słobódzki, rok powstania: 1918.